

TRĘDOWATA
TOM I

Tejże autorki:

Ordynat Michorowski	Wydanie 12-te
Gehentia 2 tomy	„ 9-te
Panicz	„ 7-me
Verte	„ 5-te
Pustelnik	„ 4-te
Królowa Gizella, 2 tomy	„ 3-cie
Zaszumiły Pióra, nowele	„ 3-cie
Książęta Boru, nowele	„ 3-cie
Dziedzictwo	„ 2-gie
Pluton i Persefona, baśń fantastyczna	
Czciciele szatana, nowela	
Prymicja, nowelka	

HELENA MNISZEK

TREĐOWATA

POWIEŚĆ

WYDANIE PIĘTNASTE

SZEŚCDZIESIĄTYPIĄTY TYSIĄC

TOM I.



POZNAŃ
WIELKOPOLSKA KSIĘGARNIA NAKŁADOWA KAROLA RZEPECKIEGO
1928

CZCIONKAMI DRUKARNI DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO TOW. AKC., POZNAŃ

Dniało. Wstawał świt.

Jasna smuga na wschodzie rozszerzała się dalej i dalej. Z różowej, wpadała w tony blade, coraz świetlistsze, prawie przejrzyste, haftowane na tle złotogłowiu.

Powietrze, pełne surowych powiewów nocnych, wchłaniało słoneczne smugi, wilgocią mgły opadając na dół, z każdą chwilą było rzeźwiejsze, jak brylantowe.

Zbudzone ptaki dzwoniły niezliczoną ilością świergotów. Drzewa, otulone puchami zieleni majowej, szemrały na powitanie jutrzeńki — przedniej straży słońca.

Pałac w Słodkowcach stał cichy, błyszcząc w różowych topielach wschodu białymi murami ścian i jaskrawą zielonością strzyżonych lip, które wieńcem stroiły fasadę.

Za ogrodem i parkiem przedźwiewał już dzwonek gospodarski. W ciszy poranku brzmiał donośnie, kołatał, roznosząc echo po izbach mieszkań folwarcznych. Ostрым głosem zrywał czeladź z pościeli do roboty.

Mieszkańców pałacu dźwięk ten nie obudził.

Po chwili jednak na lewym skrzydle parterowem otworzono weneckie okno. Świeży oddech wiosny dmuchnął na delikatne zasłony szyb, muskając puszyste sobolowo złote włosy Stefcy Rudeckiej, ciekawie wychylonej na świat.

Była w białiznie, z warkoczem trochę roztarganym. Obudził ją odgłos dzwonka i kukulki, wołającej w parku.

Dziewczyna podskoczyła do okna.

Ranek zachwycił ją, powietrze orzeźwiło, wciągała je w piersi z lubością.

Widok kwiatów, pokrytych blaskiem rosy, świergot ptaków oczarował ją, rozmarzył trochę.

Ponsowe usta uśmiechały się majowo, jak poranek, ale w dużych flokkowych oczach pozostał smutek, niezgodny z młodzieńczą postacią i wesołym głosem, jakim zawołała:

— Cudny świat! Już nie zasnę, pójde do lasu!

Odbiegła od okna i zaczęła się ubierać.

Włosy splotła w warkocz i zwinęła w ciężki węzeł z tyłu głowy; z natury falowały puszysto, osłaniając miękkimi zwojami drobne uszy i kąty ładnie zarysowanego czoła. Narzuciła na siebie skromną suknię z szarego batystu, ozdabiając ją sznurem różowych korali, błyszczących jak duże czereśnie.

Ubrana zajrzała do sąsiedniego pokoju. Ciemny od zapuszczonych firanek, wyglądał, jakby sam spał.

Stefcia szepnęła:

— Lucia śpi smacznie. Sama pójdę.

Na palcach przeszła parę pokoi bogato i gustownie urządzonych. W ogromnej sieni pałacowej zatrzymała się bezradnie, ujrzawszy ciężkie oszklone drzwi zamknięte na klucz.

Pomógł jej służący, który właśnie szedł po schodach ze szczotkami w rękę. Szeroko otworzył zaspane oczy na jej widok, ale uprzejmie pospieszył odkręcić zamek.

Po chwili wbiegła do parku.

Chodząc po zwirowanych uliczkach, zrywała białe smukłe narcyzy. Liljowy bez w bujnych kiściach opadał z krzaków, rozkołysany, pachnący. Kielichy narcyzów, przeczysto białe, wonne, pełne były chłodnej rosy, żółte oczy kwiatów w czerwonej rzesie wyglądały jak zażawione.

Dziewczyna przychyliła do ust białe czarki i piła te lzy ze swawolnym uśmiechem.

Pierwsza młodość jej życia i pierwsze poranne blaski słońca złożyły się w potężny hejnał szczęścia, spłynęły do duszy stubarwną tęczą.

Podskakiwała do większych bukietów bzu, strząsając z pachnących pióropuszków kroplisty deszcz na swe lśniące włosy. W świetle słonecznych jaśni głowa jej migotała, niby w srebrzystej rosie.

Z więzią kwiatów wyszła z parku do ogrodu owocowego i tu krzyknęła z zachwytem. Wspaniale przystrojone kwieciami drzewa stały uroczyste. Jabłonie, w różowych pękach, miały wygląd młody, pieszczący wzrok. Wiśnie stały osypane bielą kwiatów, niby szeregi dziewcząt, idących do ślubu w białych welonach.

Zapach płynął duszący, gałęzie sypały potoki woni. Słońce malowało złotem kwiaty, wiatr niósł szumy, brzęczały pszczoły. Czasem, oderwany z drzewa, biały motyl unosił się w górę, jak strząśnięty kwiat.

Stefcia, upojona zapachem, odłamała parę gałązek wiśniowych, przypinając je do włosów, do paska, i tak ukwiecona, szła wąską uliczką, wysadzoną krzewami porzeczek.

Uliczka wiodła do lasu za ogrodem, zwanego borkiem.

Stefcia odchyliła zroszone gałęzie, okryte nikłym, jakby spłowiałym kwiatem; mnóstwo tych seledynowych liszek zwisało na ciemniejsze liście, tworząc malowniczą grę kolorów. Szary batyst pokrywała błyszcząca mgiełka rosy, pryskała na twarz i ręce dziewczyny, lecz ją to bawiło.

Biegła do małej bramki w sztachetach, otworzyła ją i brodząc w mokrej obfitej trawie, przeszła skrawek łąki, przedzielającej ogród owocowy od lasu. Wśród wysokich sosen i rozłożystych drzew liściastych zaczęła śpiewać.

Koło nóg jej śmignęła wiewiórka i prędką wskoczyła na drzewo. Cwierkały wróble, monotonnie stukał dzięciół.

W pobliskiej olszynie ślicznym sopranem wyśpiewywał słowik, z głębi lasu wołała tenorem kukułka, największa próżniaczka między ptakami. Świat leśny wrzał życiem, pełen szczebiotów, nawoływań, fruwań, pełen chrzęstu igieł sosnowych, szumu leszczyny, dźwięczał, huczał, brzmiał.

Zbudzone echa szły daleko rozgwarzone, wesole. Uśmiechnięta dziewczyna pławała się w słońcu, nurzając w kwiatkach i zieleni.

Ale wkrótce jej promienistość znikła. Jakaś chmura zaćmiła młoda jej twarz, matując blask oczu w oprawie bujnych, ciemnych rzes. Ładne

gęste brwi zsunęła na czole i opuszczając na mokry mech suknie, rzekła z niechęcią:

— Mam się też czego cieszyć!

Przypomniała sobie, że minął miesiąc, jak jest nauczycielką w Słodkowcach.

Jak ten czas długo płynie!

Nigdy nie myślała o zajmowaniu posady, nie potrzebując pracować na siebie. Ale stało się inaczej.

Materiałnie nic jej do nauczycielstwa nie zmuszało.

Była córką zamożnych obywateli z Królestwa, którzy oprócz niej mieli jeszcze dwoje młodszych dzieci. Ona kończyła dziewiętnaście lat. Chodząc po lesie, Stefcia wspominała okoliczności, jakie ją wyгнаły z domu.

Piękna postać Edmunda Prątnickiego uwypuklała się głównie i jej dziecinne uczucia dla tego człowieka.

Kiedy powrócił ze szkoły dublańskiej, porwał Stefcie siłą urody. Nie badając treści, zakochała się, pierwszy raz w życiu, gwałtownie, na ślepo, bez odrobiny prawdziwej miłości. Prątnicki odurzył jej głowę nieco romantyczną i egzaltowaną.

Stefcia, skończywszy pensję w Warszawie, uczęszczała na kursa zbiorowe. Wówczas miała sposobność poznać trochę młodzieży ze sfer uczących się.

Przeważnie byli to chłopcy szlchetni, o idealnych porywach. Stefcia nie wyobrażała sobie innych. Prątnicki wyzyskał jej łatwowierność, a podniecony urodą dziewczyny, chciał ją zdobyć i maskował się zrecznie. Potrafił nawet zjednywać sobie państwa Rudeckich. I trwała sielanka.

Ale ojciec Stefci, jakkolwiek wiedział, że młodzi wyznali sobie wzajemnie uczucia, jednakże na urzędowe oświadczenia nie pozwalał. Przeczował, że się tu spotkały dwie natury całkiem odmienne...

W piękne barwy Edmunda stary obywatel nie wierzył. Znał „papę Prątnickiego“, a ten w mętach społecznych miał pewne zastosowanie. W swej córce Rudecki widział tyle idealnego zapału, takie bogactwo uczuć, że z obawą wyczekiwał zakończenia tej sielanki. Nie wątpił, że to nastąpi i bał się o Stefcie...

Przecucia go nie zawiodły.

„Papa Prątnicki“, sprzyjając zamiarowi syna, zaczął jednak z umiejętnością sędziego śledczego wywiadywać się o posag Stefci. Suma kilkunastu tysięcy oburzyła go.

Synowi wytłómaczył bezzasadność takiego związku i namawiał do zerwania. Dowodził mu, że ze swą urodą i nazwiskiem powinien ożenić się z cyfrą stutysięczną.

Stefcia w owym czasie zaczynała już wątpić w oślepiający blask swego ideału. Robiła próby, szukając na nim plam. Jej inteligencja i wrażliwość popychały ją do tego. I nastąpił przewrót.

Okepcione szkło dał jej w rękę sam „papa Prątnicki“, rozpoczął bowiem oświadczenia jej ojcu od pytania, ile córka dostanie posagu.

Słowa te zniweczyły wszystko. Pan Prątnicki odmówił stanowczo, zadowolony, że dość wcześnie odkrył istotne zamiary Prątnickich.

Ale Stefcia, pragnąc upewnić się o szlchetności Edmunda, spojrziała śmiało w jego blask duchowy, czarujący ją pełnią uroku.

I ujrzała zaćmienie na świetlnej tarczy swych marzeń.

Ujrzała wielkie piętna cynizmu i próżności, a zamiast wzniosłych uczuć, spostrzegła brutalną naturę, dążącą jedynie do własnego użycia.

Edmund przedstawił się jak ów kwiat krwiożerczy, który uroda i silnym zapachem zwabia ku sobie łatwowierne owady, a gdy złudzone poddadzą się magnetycznej sile, wówczas zamyka nad nimi kielich i bezwstydnie odkrywa prawdziwą wartość wewnętrzną. Zabija owady trucizną swych namiętności, wchłania je, aby żywić się ich kosztem.

Ona była zaledwie na brzegu zdradnego kielicha. Uratowano ją wcześniej od zguby.

Stefcia, myśląc o tem, usiadła na pniu i objawszy kolana, zwiesiła smutnie głowę.

Pierwszy zawód życia pozostawił w jej duszy wiele goryczy! Dawna, bezgraniczna wiara w ludzi osłabła, znikł zapal do głębokich porywów.

We własnem pojęciu dziewczyna nie czuła się już zdolną do uczuć gorętszych, zapominając, że ma lat dziewiętnaście i bujny temperament.

Delikatny szron pesymizmu osiadł nikłą warstwą na jej idealnych marzeniach, ale zwiększał się, nawet już w Słodkowcach.

Po zerwaniu z Edmundem Stefcia postanowiła wyjechać z domu. Palil ją wstyd i żal, chciała uciec jaknajdalej. Śniła o szerokich świątach, dalekich przestrzeniach, rwało ją naprzód!...

Powodowana żywą naturą, tworzyła w myślach barwne obrazy, pełne fantazji. Bujała w lśniących wizjach, czując pewną ciasnotę w dotychczasowych warunkach. Po krótkiej walce, wyjechała z ojcem szukać posady nauczycielki. Wszelkie tłumaczenia rodziców nie odniosły skutku. W końcu ulegli, sądząc, że to krótkotrwały kaprys, spowodowany pierwszym zawodem życiowym, ale obawiali się o wybór odpowiedniego miejsca.

Szło dosyć trudno. Grymasiła Stefcia i pan Rudecki.

Stefcia wydawała się niektórym paniom za ładną, szczególnie, gdy same były pełne pretensji, lub gdy miały brzydsze córki. Po wielu niepowodzeniach posadę znaleziono. Baronowej Elzonowskiej uroda Stefci nie razila, przeciwnie — ujęła ją.

Jdnakże baronowa spytała dziewczyny, czy nie będzie się nudziła w Słodkowcach, gdyż mieszka tam tylko ona z córką, stary ojciec i również stary rezydent, dawny nauczyciel jej brata. Ale Stefcia pragnęła ciszy, nawet zgodziła się na warunek nie powrócenia do domu na wakacje. Przerazały ją odległe Słodkowce, jednak coś ją tam ciągnęło.

Pan Rudecki, opowiedziawszy historję, poprzedzającą wyjazd córki, prosił panią Elzonowską o troskliwą opiekę nad Stefcią, na co otrzymał obietnicę, wypowiedzianą dość wyniośle z odrobiną serdeczności.

Niepokoilo go arystokratyczne pochodzenie baronowej. Arystokracji nie chciał dla córki, wiedząc, że nauczycielka nawet w obywatelskich domach bywa rozmaicie traktowana. Drżał na myśl, że w wielkopañskim pałacu mogą jego Stefcię obrażać.

Ale wiedział przytem, że arystokracja rodowa jest wyjątkowo uprzejmą i że prawdziwy wielki pan starożytnego rodu zawsze jest grzeczniejszy od wielkiego pana parwenjusza.

Nazwisko baronowej uspokajało pana Rudeckiego. Zauważył w niej typ wielkiej damy, trochę sztywnej, lecz nie pozbawionej sympatyczniejszych stron.

Uczennice swa Stefcia poznała na miejscu.

Lucia miała rok szesnasty. Dość wątpa, wydelikaccona i ładna dziewczynka, o bardzo jasnych włosach i niebieskich oczach, różniła się od matki powierzchownie i usposobieniem. Ze Stefcia zgodziły się. Wkrótce nastąpiła koleżeńska przyjaźń.

Stefcia podniosła się z pnia i poszła w głąb lasu.

— Czy ja tu wytrwam do końca? Oj wątpię! — szepnęła.

Jej miłość do Prątnickiego, błyskotliwa i wątpa, jak motyl żyjący krótko, zgasła. Niepokoiło ją teraz coś innego. Wszyscy byli dla niej dobrzy, szczególnie stary dziadek Luci pan Maciej Michorowski, typ magnata, ale miły typ. Okazywał on jej wiele serca, nazywając ją Stenia. Mówił, że mu takie spieszczenie jej imienia przypomina dobre czasy z młodości. Stefcia nie wiedziała, jaki to rodzaj wspomnień, ale czuła dla starca wdzięczność za sympatię i ojcowską dobroć. Nie lubiła jego wnuka, właściciela Słodkowic, młodego ordynata, Waldemara Michorowskiego. Mieszkał o dwie mile w ordynacji Głębowiczach a w Słodkowcach bywał często. Nie ominał nigdy sposobności, aby się z nią nie drażnić zuchwale. Ile razy on przyjeżdżał, Stefcia wpadała w najgorszy humor, złośliwe jego zaczepki zbywając milczeniem i gniewem.

— Ten mnie zmusi do opuszczenia Słodkowic — myślała z żalem.

Stefcia, słysząc o nim same pochwyty, zdziwiła się.

— Więc tylko dla mnie jest takim?... Przypomina Prątnickiego, ale po zdemaskowaniu.

Ten się nie krępuje, nie udaje idealnego; brutalność swej natury odsłania jawnie. A co lepsze: czy świat złudzeń, czy świat marzeń, czy świat rzeczywistości?... To wszystko jak kwiat o pięknej barwie i czarownej woni.

Barwa — to marzenie.

Woń — to złudzenie.

Rzeczywistość — to prosta łądyga i szara ziemia, z jakiej wyrasta.

Młody Michorowski jest właśnie rzeczywistością, bez upiększeń.

Stefcia biegała w lesie, unosząc się własnymi myślami.

Każda sosna, polanka, nawet wiewiórka i kukułka przypominały jej Ruczajew i tęsknota do domu rosła... Pierwszy raz przerażona zapytała siebie, jak mogła zgodzić się na warunek, aby na wakacje nie powracać do rodziny.

W bagnistym zakątku leśnym znalazła mnóstwo niezapominajek, jaskrów, gorąco żółtych pełników łąkowych i ze łzami w oczach zaczęła je zrywać. Całowała niezapominajki, bo jej przypominały olszynkę ruczajewską.

Z pękiem zeschzonych kwiatów zawróciła do ogrodu.

Słońce, wzniesione już wysoko, wsiąkało w szczelinki pomiędzy liśćmi, rzucając na puszystą trawę olbrzymi złoty niewód.

W tem na drodze środkowej w borku Stefcia ujrzała sunącego wolno jeźdźca.

Aż drgnęła z gniewu.

Był to Waldemar Michorowski.

Jechał na pysznym, czarnym jak lawa, wierzchowcu. Ładnie wyglądało na nim zamszowe siodło, żółty czaprak i uzdeczka.

Koń arabski szedł z fantazją, nogi stawiał klasycznie, z wdzięcznie przegiętą szyją, niespokojnie gryzł wędzidła.

Ordynat siedział jak przymurowany, opięty w elegancki strój do konnych wycieczek, w długich botfortach. Wyglądał zgrabnie i postawnie.

Jadąc stępa, młody pan, widocznie zamyślony, patrzył przed siebie, uderzając pejczem po końcach butów. Słońce nieciło iskierki na błyszczących ostrogach.

Stefcia cofnęła się za drzewa, lecz nagłym ruchem spłoszyła z gałązki kraskę. Ptak zatrzepotał skrzydłami, kwiląc głośno.

Michorowski spojrzał w tę stronę.

Stefci uderzyła krew do głowy.

— Zobaczył mnie!... Boże!... że też ja go zawsze spotkać muszę!

Przyklekła po rozsypane kwiaty, udając, że go nie widzi.

Ale on już podjechał blisko, zdjął czapkę i zawołał żartobliwie:

— Dzień dobry, pani! Co pani tu robi tak rano? Gdzie pani zdobyła tyle kwiatów? Pośród tych drzew jest pani jak rusałka.

— To też spotkałam wilkołaka — odparła z gniewem bez namysłu.

On podniósł brwi i, złośliwie uśmiechnięty, odrzekł:

— Owszem, chcę być wilkołakiem przy pani, jako rusałce.

Stefcia poczerwieniała gwałtownie.

— Czy pan jedzie do Słodkowic? — zapytała chłodno.

— Tak. Mam zamiar panią tam odprowadzić.

— Ja sama trafię do domu.

— Bardzo wątpię! Przedewszystkiem nie udźwignie pani tego zielska. To waży cały pud. Muszę pani ulżyć.

Zeskoczył z konia i wytwornym ukłonem czekał na podanie ręki.

Stefcia zawahała się lecz podała mu ją wzburzona i prędko się cofnęła.

— Ależ nie objąłem palców pani... Nie! Stanowczo jestem zdumiony! — zawołał, składając ręce komicznym ruchem.

Miała go ochotę bić.

Michorowski patrzył na nią z ironicznym uśmiechem. Ona drżała z gniewu pod spojrzeniem jego szarych oczu.

Zebrawszy kwiaty, kiwnęła mu dumnie głową i rzekła odchodząc:

— Żegnam pana.

— Hm, pani jest energiczna, ale i ja muszę jechać do Słodkowic. Inna droga nie istnieje.

Stefcia skreśliła w las, wskazując na bielący pas drogi.

— Proszę, niech pan jedzie.

— A pani?

— Ja idę lasem.

— Nie mogę pani zostawić w tej puszczy. Pani jest dziś tak nerwowa, że zabłądziłaby łatwo.

Postępował obok niej, prowadząc konia za uzdę.

Stefcia zacięła wargi. Szła prędko, milcząc.

On mówił wciąż głosem, przesiąkniętym złośliwością:

— Wie pani co? Niech pani siądzie na mego konia, a ja pójdę obok, jak paż. Albo jeszcze lepiej: siądźmy razem. Na rusałkę i wilkołaka tak stosownie.

Stefcia nie odpowiedziała, przyśpieszając kroku.

— Pani odemnie ucieka, jak od straszydła leśnego. Przecie ze mnie wcale ładny chłopczyk, co? Nie uważa pani?

Żadnej odpowiedzi.

— Aha! milczenie jest znakiem potwierdzenia. Bardzo mię to cieszy! Oddała mi pani nareszcie sprawiedliwość.

Skłonił się głową żartobliwie i z umyślną uniżonością.

— Przedewszystkiem jest pan źle wychowany — wybuchnęła Stefcia.

— Doprawdy? Pierwszy raz słyszę! Zawsze uchodziłem za gentlemana.

— Pan gentleman?! — zawołała ze śmiechem.

Gniew zaświecił w jego oczach. Zmarszczył brwi i, szarpiąc konia, przeszył ją oczyma. Ale trwało to chwilkę. Odparł z ironją:

— W takim razie możemy sobie po koleżeńsku podać ręce, bo i pani nie uprzejma.

— Panie ordynacie, czy pan uwolni mnie dziś od swego towarzystwa?

— O tak, pani: w Słodkowcach.

— Boże! za co mnie karzesz! — szepnęła do siebie.

Ordynat wybuchnął śmiechem.

— Z czego się pan śmieje? Czy ze swej niedelikatności?

— O nie, pani! Ale pierwszy raz widzę młodą pannę, którą widocznie przerażam. Jak mi Bóg miły, tak to dla mnie nowy objaw.

— Pierwszy raz jest pan tak niegrzeczny dla młodej panny. Za wiele pan sobie pozwala.

— Eee! pozwalam sobie często więcej, ale w żadnej nie wzbudzałem tak panicznego strachu, jak w pani.

— Ja się pana boję? Pyszny pan jest! Ja pana....

— Nie cierpę — dokończył.

— Tak!

— Dziękuję! Przynajmniej szczerze! Nikt na spowiedzi większej prawdy nie powiedział. Pani utopiłaby mnie w łyżce wody. Ktoby pomyślał, że w tak delikatnem stworzeniu tyle siedzi złości. Skandal! Pani mnie nie cierpi... Ha! cóż robić! Możemy się pomordować w tym lesie, wolę odjechać samotnie. Gdyby mi pani wydrapała oczy, co powiedziałby na to cały świat kobiecy? Zabrakłoby krepy żałobnej w sklepach, liczba samobójczyń wzrosłaby zastraszająco, a panią skazałyby moje wielbicielki na gilotynę.

Wskoczył na konia i, wznosząc do góry czapkę, zawołał:

— Do widzenia! Umykam!

Zawrócił do drogi, uderzył konia ostrogami i pocwałował, roznosząc głośny tętent po lesie.

Stefcia odetchnęła.

Nareszcie!... Pojechał... obrzydły cynik! Obraziłam go... Tem lepicj, nie będzie mi dokuczał.

Spiesznie podążyła w stronę pałacu.

Waldemar zrywał konia munsztukiem, smagał szpicróżgą i przez zaciśnięte wargi wyrzucił słowa ostre:

— Romantyczka... przybiera pozy królowny. Poczekaj! zdejmę ja twoją koronę!... Wolę djablicę, niż mniszki, ale nie mogę cierpieć, gdy djablica pozuje na westalkę.

Wzruszył ramionami.

— Ona podobna do księżniczki, a ja do szatana. W tym wypadku jestem szatanem... No... zobaczymy!

I spisał konia ostrogami.

W ogrodowej altanie przy stoliku siedziała Lucia Elzonowska ze swą nauczycielką i słuchała z zajęciem wykładu literatury. Stefcia opowiadała barwnie najświetniejsze czasy piśmiennictwa w Polsce, przytaczając najciekawsze ustępy z dzieł sławnych poetów. Wymową i zapamiętała umiała porwać uczenicę.

— Czy ty, Luciu, nigdy nie uczyłaś się literatury ojczystej? — spytała Stefcia, widząc zaciekawienie dziewczynki.

— Owszem, coś tam, ale bardzo mało — odparła Lucia. Poprzedniczka pani, panna Klara, dowodziła, że w naszej sferze trzeba umieć dużo języków obcych i obcą literaturę, o polskiej zaś mówiła, że mi się na nic nie przyda.

— Czy panna Klara jest Polką?

— Tak, ale to wielka arystokratka, przesiąknięta naszymi poglądami.

— Jakież są wasze poglądy?

— Nie wiem, czy potrafię wytłumaczyć, ale sędzę, że chyba polegają na... Nie, nie umiem tego powiedzieć.

— Ja ci pomogę. Polegają na tem, aby mieć cześć dla wszystkiego, co francuskie, niemieckie, słowem obce, byle nie dla tego, co nasze polskie. Nieprawdaż?

— Skąd pani o tem tak dobrze wie?

— Domyślam się. Czy twoja mama tak samo się zapatruje?

— Naturalnie! Mama nie czyta nic po polsku, ze mną rozmawia tylko po francusku i wierzy jedynie w zagranicę.

— A dziadzio? — spytała Stefcia.

— O dziadzio przeciwnie! Zawsze o to sprzeczki z mamą. Dziadzio mówi, że to wstyd zapominać o swej narodowości — że każdy powinien najwięcej cenić i kochać to, co własne. Ale mamy te argumenty nie przekonują.

— Twój dziadzio bardzo zacny człowiek.

— Pani kocha dziadzia?

— Szanuję go, ufam w jego rozum.

— I dziadzio panią lubi, ja to widzę. Ale i Waldy jest tych samych poglądów. Dlaczego pani go nie znosi?

— Moja Luciu, cóż mnie pan Waldemar obchodzi?

Lucia odrzekła ze śmiechem:

— Wie pani, że między mamą a Waldym wieczne kłótnie. Teraz jeszcze pani przybyła. Biedny Waldy!

— Kończmy lekcje — przerwała Stefcia. — Masz jeszcze napisać wypracowanie.

Lucia zarzuciła jej ręce na szyję i rzekła pieszczotliwie:

— To jutro, moja droga pani. Dziś nic nie napiszę, czuję to. Tak mnie pani zachwyciła literaturą, że o niczem więcej nie mogę myśleć. Musi mi pani dać do czytania coś naszego, a wszystkich Niemców i Francuzów schowam na dno szafy, niech ich tam mole jedzą.

— Nie można wpadać z jednej ostateczności w drugą, moja Luciu. I obcych poznać powinnaś lepiej.

— Ale naszych więcej, prawda? Dziś powiem o tem dziadziowi i Waldemu, będą radzi. Waldy zawsze nazywał mnie papużką... Często, przyjeżdżając, pytał: „Cóż tam papużkę nauczyli nowego?” Mama zaraz w dasy, a panna Klara z miłutkim uśmiechem mówiła: „Vous plaisez, monsieur le comte”. Bo ona go nazywała hrabią. Ale Waldy

odpowiadał niby grzecznie, lecz z gniewem: „Nie jestem żadnym com-tem. Raczy pani zapamiętać“.

— A cóż na to panna Klara?

— Obrażała się. Do mnie mówiła: „Votre cousin est detestable. Il n'est pas sage“ i przez parę dni nie wychodziła do niego. Ale potem było znowu: „monsieur le comte“, a Waldy ją przestrzegł. Tak trwało ciągle

— Widocznie pan Michorowski uważa za ulubiony sport dokuczanie nauczycielkom — rzekła Stefcia z przekasem.

— Ależ co znowu! Waldy nienawidził panny Klary, a ona się w nim kochała, ja wiem. Panna Klara to już zupełnie stara panna, ale w pretensjach. Jak tylko Waldy przyjechał, fryzowała włosy i pudrowała się, aż na suknię puder opadał. Waldy ją ogromnie wyśmiewał. Razu jednego na obiad przyszła upudrowana niemożliwie i opowiadała, że zwiędzałyśmy młyn turbinowy. Waldy, wówczas czegoś zły, rzekł bez wahania: „Znać po pani“. — Dlaczego? — spytała. — „Bo pani cała w mące“. Wtedy gniewała się na niego przez tydzień.

Stefcia wzruszyła ramionami, pomagając Luci składać książki i kajety, i myślała o smutnej doli nauczycielki, która w dodatku jest starą panną. O pannie Klarze słyszała już wiele rzeczy: kpili sobie z niej wszyscy, ile chcieli. Kiedyś może i ją będą wyśmiewali, choć nie jest starą panną.

A Lucia powolnym głosem mówiła dalej, kręcąc jasną głową:

— Chciałabym się kiedy zakochać, wie pani? To musi być przyjemne. Ale w kim? W Słodkowcach niema kandydata. Chyba pan Ksawery. Ha! ha! On ma za dużą łysinę i mówi do mnie: „moje dziecko“. Bardzo tego nie lubię. Jest tu w Ożarowie hrabia Trestka, ale w nim się nie zakocham, bo ma taką gapiowatą minę. Zresztą on stara się o pannę Ritę. Ot! szalałabym napewno za Waldym, ale on jest moim wujecznym bratem. On bardzo przystojny i elegancki, ale za poważny, czasem się tylko rozdokazuje.

— Moja Luciu, nie myśl o takich rzeczach — wtrąciła Stefcia. — Jesteś za młoda. Przyjdzie czas i na to. Im później, tem lepiej.

— Pani tak mówi, bo sama z tego powodu miała dużo smutków.

— Skąd wiesz?

— Wiem od mamy.

Stefcia poruszyła głową.

— Mama czasem wszystko mi mówi, ale czasem nic. Zresztą cóż w tem złego? Przecież nie zawsze bywa taki koniec rozpaczliwy, zwykle doznaje się dużo szczęścia.

— Ty już o tem wiesz? — spytała Stefcia ubawiona.

— Ja, czytając dużo powieści francuskich, wiem, co znaczy miłość, lecz na sobie jej nie doświadczyłam. Kiedyś zapytałam Waldemara, co się wówczas czuje — bo on może być doświadczony.

— I cóż ci odpowiedział?

Lucia machnęła ręką.

— Ech, Waldy zawsze żartuje. Powiedział mi tak: „Kochać się to jest zupełnie to samo, co odrabiać lekcję arytmetyki“ — bo wie, że najgorzej nie lubię rachunków. Pani mogłaby mi coś powiedzieć, ale pani nie powie. Będę czekała na podobne wiadomości z własnej praktyki.

— Tylko nie zaprzataj głowy oczekiwaniem. Powtarzam: to za wcześnie,

Lucia zrobiła ruch, jakby sobie coś przypominając, i z wesołą mimiką, szepnęła:

— Już wiem! Otóż i zakocham się nawet prędko, może za tydzień lub za dwa. Ma tu przyjechać praktykant, mówił Waldy. On ma takich kilku w Głębowiczach, z dobrych rodzin. I ten, co tu przyjdzie, jest podobno z dobrej rodziny, taki, co mu nic nie płacą i on nic nie płaci. Będzie mieszkał w pawilonie, ale jadał z nami. Chciał się tu dostać hrabia S., lecz podobno okropny lalusz, więc Waldy odmówił.

— A ten może nie zadowoli twego gustu? — rzekła Stefcia, myśląc o czem innym

— No, zapewne! Ale jeśli ładny, to się zakocham.

W tej chwili wszedł do altany młody pokojowiec i rzekł służbowo:

— Jaśnie pani prosi do stołu.

Poczem, nie czekając rozkazu, zabrał książki i niósł do pałacu z wielką czcią.

W sali jadalnej, stylowej, z sufitem w płyty mahoniowe, wszyscy już byli zebrani. Pani Elzonowska, siedząc w krześle, czekała na córkę.

W ręce gniotła serwetkę, miała wygląd zirytowany. Poruszała ustami z grymasem i podnosiła jedną brew prędko, co u niej oznaczało niezadowolenie. Obok niej siedział pan Maciej Michorowski, starzec ośmdziesięcioletni. Szczupły i trochę pochylony, robił sympatyczne wrażenie rozumnym wyrazem twarzy bladej, ozdobionej siwym wąsem i dwojgiem miłych szarych oczu. Rysami twarzy przypominał cesarza Franciszka Józefa i dziwną ufność wzbudzał w każdym. Pociągającym uśmiechem ujmował wszystkich, jakby mówiąc: „Szanujcie mnie i kochajcie“.

Teraz słuchał wnuka, rozważając każde jego słowo. Staruszek widział w nim swe odrodzenie, młodość.

Waldemar oparty o wysoką poręcz krzesła, rozdrażniony, ze zmarszczonymi brwiami, dowodził czegoś, na coś się nie zgadzał, co oburzało panią Elzonowską.

Czwartą osobą przy stole był pan Ksawery, emeryt, stary i łysy, wielki smakosz. Ten widząc, że ordynat nie siada, stał również, z miną nieszczęśliwą. Nie zajmowała go rozmowa Waldemara z ciotką: on pożerał oczyma wazę, stojącą na bocznym stole, z której ulatywała woń zupy à la reine. Zerkał strapiiony na baronową i na wyfrakowanego lokaja. Lecz i ten oczekiwał hasła rozlewania zupy. Nareszcie Stefcia i Lucia weszły. Pani Idalja spojrzała bystro na Waldemara, dając mu do zrozumienia, że czas zakończyć rozmowę. Ale ordynat sam umilkł. Prędko poszedł do panien i, ucałowawszy Lucię, skłonił się Stefci z wyszukaną elegancją. Ironiczny uśmiech od razu osiadł mu na ustach.

— Po takiej poezji, jak las i kwiaty, spotkamy się przy prozaicznym obiedzie. Czy to pani nie razi? — spytał.

Stefcia poczerwieniała. Jego słowa zniweczyły jej humor w jednej chwili.

— Nie myślałam o tem — odparła chłodno.

— Szkoda! A ja wątpiłem, czy panią zobacze. W tej puszczy mógłby panią porwać jaki szczęśliwy wilkołak, połknąć żywcem lub unieść do swych komyszy. Bardzo rad jestem, że pani ocalała.

— Czy i ty, Waldy, byłeś rano w borku z panną Stefanją? — spytała Lucia.

Pani Elzonowska popatrzyła na Stefcie zmrużonemi oczyma, jak szpareczkami, i z odpowiednim grymasem ust spuściła je znowu na talerz.

Waldemar zauważył przykrość na twarzy Stefcie, spojrział bystro na Lucie i odpowiedział swobodnie:

— Jadąc przez las, widziałem pannę Stefanję spacerującą.

Stefcia odczuła wdzięczność dla niego.

Służący obniósł zupę. Zaczęto ją spożywać w milczeniu. Takie ciche obiady zdarzały się tu rzadko, ale bywały ciężkie, jak gradowa chmura.

Stefcia poznała, że chmura dziś wisi nad stołem.

Pani Idalja, siedząc bez słowa, wyglądała, jak gdyby połknęła kij. Sztywna jej postać, chłód bijący z twarzy oziębiał i pana Macieja. Staruszek chciał rozweselić wszystkich, rzucał od czasu do czasu jakieś zdanie, ale rozmowa nie kleiła się. Zły humor pani domu działał przynębiająco. Nawet pan Ksawery, chociaż nie tracił apetytu, spoglądał na baronową z obawą.

Tylko ordynat zachował swobodę, lecz także milczał. Wypił dwa kieliszki starki. Po zupie lokaj ciągle dolewał maderę, zdziwiony, że młody pan ma tak wyjątkowe pragnienie. Po poledwicy Waldemar pił na umór burgunda, lecz zdziwienie służącego wzrosło, gdy podano szparagi. Zwykle ordynat nie lubił tej potrawy, ale dziś drugi raz kazał sobie podawać.

Pani Elzonowska spojrzała na niego z miną istoty wyższej, któraby nie potrafiła dobrać jednej potrawy. Uważała to za nieestetyczne, w ich sferze niesłychane. Jej zły humor znalazł ujście, nie wytrzymała. Bez podniesienia oczu rzekła po francusku, głosem trochę syczącym, ciągnąc wyrazy:

— Nie rozumiem, jak można dwa razy brać z półmiska. Bierze się tylko raz odpowiednią ilość dla zaspokojenia apetytu.

Pan Maciej patrzył na córkę z wymówką w oczach. Nie rozumiał rozdrażnienia posuniętego aż do niegrzeczności. Ale Waldemar nie zawstydzil się, przeciwnie, rozweseliło go to. Zerknął na ciotkę złośliwie, na Stefcie figlarnie uśmiechnął się i zawołał do lokaja:

— Jacenty! podaj mi szparagi.

Pani Idalja zacięła usta. Pan Maciej teraz na wnuka spojrział z wymówką.

Stefcia i Lucia wstrzymały uśmiech, tylko lekkie drganie kącików ust Stefcie wskazywało, że ją ta scena ubawiła.

Jednakże Waldemar to zauważył. Zaczął dowcipkować z panem Ksawerym, wreszcie rzekł:

— Zapraszam pana do Głębowicz na całe lato, dobrze? Będzie pan miał wszystko, czego dusza zapagnie. Codzień zupa à la reine, szparagi, bo ja pasjami polubiłem szparagi — codzień gra w szachy, dzienniki ilustrowane. Nawet na pańską intencję urządzę iluminacje, którą pan tak lubi. Cóż, zgoda?

Pan Ksawery wyjął z przepaścistej kieszeni surduta ogromną chustkę, dokładnie wytarł sobie łysinę i dopiero wówczas odpowiedział:

— Co panu po mnie, panie ordynacie? Dobędę już w Słodkowcach.

— W Słodkowcach będzie ktoś inny... młodszy. Pan nie potrafisz bawić dam! To widzi pan, wyłączna zdolność. My obaj, apostołowie celibatu, trzymajmy się razem w Głębowiczach. Tu moja pani ciotka życzy sobie kogoś zabawniejszego.

Pani Idalja wzruszyła ramionami.

— Zechciej łaskawie nie narzucać mi własnych kaprysów — rzekła kwaśno.

Waldemar poważnie pochylił głowę.

— Zawsze jestem na twoje usługi, kochana ciociu.

Poczem rzekł do Stefci:

— Pani wyrocznią, pani głosuje, czy pan Ksawery ma zostać w Słodkowcach, czy go mam zabrać do Głębowicz?

— Moje zdanie zbyteczne — odparła Stefcia podrażniona.

Waldemar utkwiał w niej szare, przenikliwe oczy z wyrazem trochę szatańskim. Potrząsnął głową i zawołał z udanym żalem:

— Desperacja! Nie mam weny do pani. Co krok to rekuza! Pani jest dla mnie okrutną. Lucia, czemu nie nawrócisz panny Stefanji na moją stronę? Powinnaś tego dokazać.

Dziewczynka spojrzała na matkę i spuściła oczy. Widocznie chciała coś powiedzieć, lecz surowa twarz matki onieśmieliła ją.

Wtem przemówił pan Maciej, chcąc nadać inny kierunek rozmowie:

— Czy będziesz nocował, Waldy?

— Broń Boże! A to po co? Wydam ostatnie polecenia Kleczowi i jadę.

Spojrzał na Stefcię i dodał:

— Chyba panna Stefanja zechce, abym został jako partner do tenisa. W takim razie zapominam dziś o Głębowiczach i...

— Waldy, proszę cię, nie żartuj — przerwał pan Maciej, bardzo niezadowolony.

— Ależ ja wcale nie żartuję! Panna Stefanja może mnie skłonić do zostania. Więc... słucham wyroku?

I pochyłony patrzył na Stefcię zuchwałym wzrokiem.

— Słucham wyroku! — powtórzył.

Stefcię oblała gorąca krew oburzenia.

Z jaką przyjemnością cisnęłaby w twarz tego magnata serwetką lub talerzem.

Podniosła na niego oczy pełne gniewu i odrzekła:

— Mówiłam panu, że nie grywam w tenisa, i jeszcze raz to powtarzam.

Waldemar mówił dalej:

— Ach! więc zostanę nauczycielem pani. Ręczę za świetne rezultaty.

— Zbytek łaski — rzuciła gniewnie.

— Pani jest niesłychanie do twarzy w koralach. Wyglądają apetycznie, jak dojrzałe wiśnie. Gdybym był wróblem, nie odpędziłaby mnie pani od siebie, obiadłbym wszystkie. Tymczasem tylko ślinkę tykam.

Stefcia zbladła, zagryzła usta i, obrzuciwszy Waldemara chłodnym wzrokiem, spuściła oczy.

Obiad skończył się. Baronowa wstała, nie spojrzawszy na nikogo, i prędko wyszła z sali.

W Słodkowcach przy powstaniu od stołu nie dziękowali sobie. Taki panował zwyczaj. Stefcię on raził i stale oddawała wszystkim ogólny ukłon.

Pani Idalja z zasady na ukłon taki nie odpowiadała, a pan Maciej zawsze nawet podawał Stefci rękę, co ją krępowało ze względu na panią Idalję.



*Dziewczyna podskoczyła do okna. Cudny świat!
Już nie zasnę, pójdę do lasu! str. 5.*

Ordynat dla dokuczenia ciotce i dla własnej przyjemności również podawał Stefcji rękę, wiedząc, że ją tem rozgniewa. Ale dziś Stefcia, chcąc uniknąć podziękowania, powstała prędzej od baronowej i, skłoniwszy się ładnie głową panu Maciejowi, podażyła w stronę drzwi.

Waldemar zrećźnie zastąpił jej drogę i, wyciągając dłoń, przemówił:
— Dziękuję pani za mile vis-à-vis.

Stefcia cofnęła się, i nie podając mu ręki, przeszła, nawet na niego nie patrząc.

Młody magnat patrzył na Stefcję zdumiony. Kiedy znikła za drzwiami, szarpnął ładne złotawoblond wąsy i, nic nie mówiąc, poszedł do swego gabinetu.

Usiadł na fotelu przed biurkiem, wyjął z kieszeni kosztowną cygarniczkę, wydobyl cygaro i zaczął zapalać z nadzwyczajną uwagą i namaszczeniem. Pełne, barwne, zmysłowe usta, wydymał lekko, pykając z cygara błękitnym dymkiem.

Z brwią namarszczoną siedział, z widocznem skupieniem w szarych oczach. Po chwili poruszył się, wsunął ręce w kieszenie, założył nogę na nogę i, rozparty wygodnie w fotelu, rzekł głośno, nie wyjmując z ust cygara:

— Poprostu dała mi w pysk.

Ubawiony własnymi słowami, szepnął znowu:

— Zuch dziewczyna! Ale temperament ma piekielny!...

III.

W parę godzin potem ordynat powstał od biurka i, podając rękę rządcy, rzekł grzecznie:

— Skończyliśmy. Jeśliby zaszło coś niespodziewanego, proszę telefonować, będę cały czas w domu.

Rządca Klecz skłonił się z uszanowaniem, z pewną czcią dotykając ręki Michorowskiego, zapytał zdziwiony:

— Pan ordynat nieprędko będzie w Słodkowcach?

— O tak! do tygodnia, może dłużej.

— W takim razie muszę jeszcze trudzić pana w jednej kwestji.

— Proszę.

— Chcę mianowicie spytać, jaką czwórkę przeznacza pan ordynat na wyłączny użytek pałacu: karą, kasztany, czy gniade?

— Dlaczego pan o to pyta?

— Bo kare są to konie bardzo delikatne. Pani baronowa często jeździ do Szal, do hrabstwa Cwileckich. To jest przecie cztery mile i nietęga droga. Konie do naszych dróg nie przyzwyczajone, przychodzą jak haki. Pani baronowa ostro jeździ. Ja sam nie mogę przedstawić, ale wolałbym, żeby jedna czwórka była wyłącznie przeznaczona do rozjazdów, bo wówczas jużbym nie odpowiadał za konie.

Waldemar słuchał prędkiej mowy rządcy, przekładając papiery na biurku. Podniósł głowę, spojrział na Klecza ze zdziwieniem i rzekł spokojnie:

— Przedewszystkiem stangret odpowiada za konia po takiej wycieczce, nie pan.

Klecz zmieszał się.

— Tak właściwie. Ale ja mogę odpowiadać za to, że je dają.

Michorowski przesunął ręką po czole i rzekł z akcentem:

— Proszę pana, czy mojej ciotce wszystko jedno, jakimi końmi jedzie?

Klecz zmieszał się mocniej.

— Nie, pani baronowa zawsze sama dysponuje i rozmaicie: czasem kare, czasem kasztany.

— A więc musi pozostać tak jak jest.

Klecz zrozumiał, że niezręcznie poruszył tę sprawę, i że powinien już odejść. Spojrzał na ordynata: widok jego zsuniętych brwi i wydętych ust dotknął rządzącą niemile. Oczów ordynata nie widział, gdyż były spuszczone na papiery, ale domyślał się, że wyraz ich nie jest zachęcający.

Klecz zawsze podziwiał grzeczność tego magnata względem podwładnych. Lecz wiedział, że zmarszczenie brwi, charakterystyczne wydęcie ust i wielkopańskie zaniedbanie w całej postaci nie jest u niego oznaką zbyt dobrego humoru. Rzekł z ukłonem:

— Przepraszam, że się ośmieliłem.

— O proszę pana! — odrzekł Michorowski szczególnym tonem, jakby przebaczenia i zarazem oburzenia za te przeprosiny. Wypowiedział te słowa wspaniałomyślnie i karcąco.

Podniósł przytem głowę i błyskawicznie spojrzął na Klecza. — Ten pragnął już nie być w gabinecie.

— Moje uszanowanie — rzekł, kłaniając się powtórnie.

— Do widzenia — rzucił ordynat krótko, z odpowiednim kiwnięciem głowy.

Podniósł przytem brwi nerwowym ruchem.

Klecz wyszedł. Ordynat odetchnął.

— Wiecznie skargi na ciotkę — mruknął zły — i zawsze Klecz. — No, ale już dziś zrozumiał. Nie lubię dawać takich nauk.

Przeszedł się po gabinecie i pokręcił głową.

— Ten ją lubi! — rzekł prawie głośno.

Zjawił się kamerdyner Jacenty.

— Starszy pan prosi jaśnie pana do siebie.

— Dobrze. Każ siodłać konia.

Pan Maciej czytał u siebie w gabinecie, zagłębiając się w staroświeckim fotelu. Na widok wchodzącego wnuka położył księgę na stoliku.

— Przepraszam, że cię wezwałem. Chcę z tobą pomówić. Może byłeś zajęty?

Waldemar uśmiechnął się.

— Choćby nawet. Czy nie uważasz, dziadziu, że jesteś pierwszym? Staruszek podał mu rękę.

— Dobry jesteś, bardzo dobry. Tembardziej mi przykro, że ci muszę dać burę. Siadaj tu nieznośny chłopcze.

Wskazał mu fotel, stojący naprzeciw.

Waldemar nie usiadł. Przez okno zaglądał do parku, gdzie śpiewały słowiki. Spytał z żartobliwym odcieniem w głosie:

— Ach, więc już ciotka dziadzię przekabaciła. Winszuję!

— Mój drogi chłopcze, niepotrzebnie drażnisz Idalkę.

— Doprawdy? Cóż zawiniłem?

— Ale cóż znowu, mój Waldy! Tylko widzisz, ja nie lubię nerwów, a ona je posiada w wysokim stopniu. Gdy je podrażnisz, mamy takie obiady, jak dzisiejszy, co miłem nie jest.

— No dobrze. Ale ostatecznie jakiego jest zdania dziadzio? — spytał Waldemar porywczo.

— Ja stanowczo trzymam twoją stronę. Ten hrabia S. jest niepo-
czytalny. Idalka sądzi inaczej. Ona mówi, że powinniśmy zawsze
trzymać się naszej sfery i dopomagać jedni drugim, zamiast szukać
obcych bogów. Po części mówi prawdę, ale w tym wypadku...

Waldemar wybuchnął ironicznym śmiechem.

— Wspaniała teoria! Altruizm ciotki rozczuła mnie! Ale to pseudo-
altruizm. Ciotce ten hrabież zaimponował, jakby sama była parwe-
njuszką. Hrabia S. praktykantem w Słodkowcach, — to ciotkę lechce.
Ale ja jestem krańcowym egoistą i takiego poliszynela nie wezmę na
praktykanta, po części swego pomocnika. Ja szukam nie sfery, lecz
tęgości, energii, o czym ten pan pojęcia nie ma. Że jeden z praktykan-
tów w Głębowiczach jest hrabią, to nie dowodzi, bym szukał drugiego
i brał bez względu, jaki on. Tamten w Głębowiczach pracuje, jak każdy
inny, a hrabia S. jest do niczego. Może ciotka myśli, że praktykant
będzie tu odgrywał rolę panicza na wodach, będzie grywał w tenisa,
w bilard i czytał głośno romanse francuskie, ale ja wymagam prakty-
kanta innego i takiego mieć muszę. Zresztą już mam, jest umówiony,
a umowy nie zerwę dla... idjosynkrazji ciotki.

Mówił żywo, gestykulując i chodząc po gabinecie.

Stanął przy oknie.

— Czy dziadzio wie, jaką ja odbywałem praktykę u książąt Łoziń-
skich po skończeniu Halli? — spytał gwałtownie. — Jeśli hrabia S. jest
zdolny do podobnej, niech przyjdzie zadowolić ambicję cioci.

Pan Maciej machnął ręką.

— Dajże spokój, znam dobrze tego gagatka. Uperfumowany lalusz,
ma dwadzieścia kilka lat i już sporą łysinę. Sama toaleta zajmuje mu
pół dnia czasu. Byłby ci zawadą, nie pomocą.

— Eee! jabym nie robił ceremonji. Nie chcesz, paniczu, wstawać
o piątej, to jazda do Monte-Carlo na ruletkę. Ja chcę, aby moi prakty-
kanci korzystali. W Słodkowcach i Głębowiczach mają do tego wielkie
pole. Ale brać pierwszego dudka nie mam zamiaru. Ten S. nie skoń-
czył żadnej szkoły rolniczej. Cóż on chce, żebym mu wykladał agro-
nomję od a do z, i to wtedy, jak przyjdzie ochota, lub jak znudzi tenis?
Podobnym filantropem dla sfery nie jestem. Niech ciotka założy tu
szkołę dla takich filistrów, aferzystów, gogów, tenisistów, a wówczas
ja pošlę karetę po hrabiego obitą poduszkami, żeby się nie rozbił, jak
pusty flakonik od perfuma.

Pan Maciej zaśmiał się.

— Tegoby tylko brakowało, żebyś to Idalce powiedział.

— A powiem! Jeśli ciotka zacznie mi wmawiać miłość do naszej
wyłysiałej sfery, to powiem. Na szczęście, mieszkam w Głębowiczach,
moge tu rzadziej bywać, jeśli tak ciotkę irytuję.

— No, mój drogi, nie myśl o tem. Ale wiesz co? Ten pan prakty-
kant mógłby naprawdę mieszkać w Głębowiczach i byłby spokój. Jak
myślisz?

— Ależ w Głębowiczach mam trzech praktykantów, a tu żadnego.
Wreszcie z Głębowicz do Słodkowic jest z górą dwie mile, więc tam
jeździłby na obiady i noclegi? Głupstwo! to jest niemożliwe!

— Więc może niech jada u Kłecza?

Waldemar usiadł i pochylony do pana Macieja rzekł, poważnie biorąc go za rękę:

— Dziadziu, proszę być szczerym: czy dziadzio to mówi pod wpływem ciotki, czy z własnej niechęci, aby ten praktykant przebywał z nami? Jeśli dziadzio sam tego nie życzy, jeśliby mu to sprawiło przykrość, proszę mówić otwarcie. Cofnę umowę z tym panem i rzecz skończona. Tobie, dziadziu, nie chcę przyczyniać przykrości.

Pan Maciej objął wnuka, ucałował go serdecznie i rzekł:

— Jesteś Waldy, bardzo kochanym chłopcem. Dziękuję ci za troskliwość. Będę szczerym: ten pan nie sprawi mi najmniejszej przykrości, owszem lubię towarzystwo młodych. Zresztą wiem, że nie przyjmiesz człowieka bez wychowania, bo ci na to nie pozwoli twój własny smak, dobry wytworny gust. Ja nic nie mam przeciw temu, nawet podzielam twe zdanie. My powinniśmy cywilizować, wszczepiać dobrą rasę w mniej rasowych, podnosić kulturę, — a skoro jesteśmy do tego zdolni i powołani, nie możemy się usuwać, to nasz obowiązek jako przewodników w społeczeństwie. Hrabia S. nie skorzystałby u nas, a ten z pobytu w naszym gronie może wynieść dużo atomów, które z czasem mogą być dla niego pożytkiem, upiększeniem w życiu, za co pozostanie nam wdzięczny.

Waldemar wiedział, że dziadek, mimo trzeźwości i rozsądku, był zagorzałym fanatykiem własnej sfery i cześć dla niej posuwał aż do fetyszyzmu. Wyobrażał sobie, że arystokracja jest batutą w ręku Boga, że kieruje rasą ludzi niżej umieszczonych, orkiestrą ludzkich wrażeń; że nadaje im odpowiednie hasło, każe tłumom patrzeć na siebie, zmusza do kierowania się śladem jej ruchów.

Jednej wady nie mógł pan Maciej darować swej fikcyjnej batucie, to jest zamiłowania do cudzych farb, co ją czyniło podobną do maskaradowej pstrokacizny, zakrywającej właściwy grunt.

Na wzmiankę pana Macieja, że, obcując z nimi, ludzie innych sfer mogą korzystać wiele, Waldemar zawołał z humorem:

— A tak, skorzysta, będzie nam wdzięczny. Po co ma nabywać atomami? Może przejąć gremjalnie nerwy i kwasy ciotki, jej wytworne i dystygowane minki. Nauczy się makaronizować, uważać zagranicę za wyrocznie, dowie się, że człowiek, który szanuje swą godność, powinien uważać literę „r“ za barbarzyński zabytek w alfabecie; wreszcie przekonamy go, że można być skazanym na utratę czci i honoru nie tylko po spełnieniu podłości, ale i za... dobieranie drugi raz z półmiska. Wspañiale nabytki cywilizacji, in summo gradu!

Pan Maciej, zarażony żartobliwym głosem wnuka, śmiał się również. Wszystkie punkta, wyszydzone przez Waldemara, raziły go w córce. Zgadzał się z nią jedynie w bałwochwalczej czci dla arystokracji, lecz i te pojmował inaczej.

— Mój chłopcze — rzekł z uśmiechem — mówiłeś tylko o Idalce, a czemuże ja cywilizowaćbym potrafił?

— Och! dziadzio wywołuje komplementy. Gdybyśmy byli wszyscy do dziadzia podobni i do babci Podhoreckiej, sądziłbym o nas inaczej. Wówczas może stałbym się kapłanem, składającym ofiary na ołtarzu naszej sfery. Śpiewałbym na naszą cześć hejnały i byłbym pionierem naszych czcigodnych hasel, ultrahumanitarnych zasad, wyborowej etyki. Lecz ponieważ u innych nie widzę nic podobnego, więc nie śpiewam wraz z ciotką hymnów pochwalnych.

Wysokie czoło starego magnata zmarszczyło się, spuścił głowę i westchnął ciężko. Słowa wnuka wywołały w jego duszy niepokojący szept. Coś w sumieniu cichutko się odezwało, jakaś mała komórka wspomnień, pokryta pleśnią, drgnęła, sprawiając ból. Tę smutną chwilę życia można wytłomaczyć młodością, ale pan Maciej nie należał do ludzi, co dla załagodzenia własnych błędów wynajdą powody i, stawiając je przed sobą jak barykady, żyją spokojnie.

Siedział zamyślony, milczący, aż zwrócił uwagę Waldemara.

Ordynat przystanął obok dziadka i, zaglądając mu w twarz, zapytał z uśmiechem:

— O czym dziadzio tak marzy?? wolno wiedzieć? Słowiki wprawdzie do tego usposabiają, bo naprzykład ja nie jestem romantykiem, a słucham tych ćwierkań z przyjemnością. Gdyby nie perspektywa kolacji w towarzystwie cioci, zostałbym na noc, ale ta myśl odbiera mi humor i apetyt.

— Bo też zostań! Co tam Idalka! Pogodźcie się z sobą.

— Nie, wolę jechać. Wszyscy mnie dziś zmęczyli, nawet i ta makolągwa, ta królewna przebrana za pasterkę.

— Co za makolągwa? Jaka pasterka?

— A no ta — panna Stenia...

Pan Maciej drgnął.

— Stenia? Co ty mówisz, Waldemarze?

Ordynat spojrział zdziwiony.

— Mówię o panie Stefanji Rudeckiej. Dziadzio ją przecie tak nazywa.

— Ach ta!... Istotnie tak ją nazywam, bo to ładnie. Ale czemu ona ci dokuczyła? Ty raczej męczysz ją zawsze i dziś także.

Waldemar zaśmiał się głośno.

— Och! nie męczę jej, to ostrodzioba!

— Jednak źle robisz, Waldy, że ją drażnisz. Miłe to i bardzo dobre dziecko. Jest z dobrej rodziny i wiesz przecie, w jakich warunkach została nauczycielką. Pracuje pilnie, choć to nie jej fach właściwy. Trzeba to ocenić. Po co jej robić przykrości.

— A cóż, kochany dziadzio, jeszcze jedna cecha naszej sfery: robić sobie zabawkę z takich istot zablakanych wśród nas, mieć ją za przedmiot żartów, ostrzyć na nich dowcip.

Pan Maciej popatrzył na wnuka z obawą.

— Wątpię, żebyś tak mówił na serjo.

— Owszem, zupełnie serjo mówię. Także jeden klejnot z drogiego skarbcza naszych przymiotów.

— Waldy, co tobie dziś jest?

— Jestem wyjątkowo prawdomówny.

— Jesteś tylko rozgoryczony i skutkiem tego niesprawiedliwy nawet dla siebie. Niezdolnym byłbyś do zabawy, o jakiej wspominasz.

— Być może. Zresztą wszystko mi jedno.

— Więc czemu tak postępujesz?

Waldemar podniósł rękę do góry.

— Dla tradycji, kochany dziadku!

— Ech! zawsze kpisz.

— Więc powiem prawdę. Ja jej nie cierpię!

— Kogo? Panny Steni?

— Tak, jej we własnej osobie.

— Za co? Takie to piękne, dobre, inteligentne!

Waldemar wzruszył ramionami.

— Prawdopodobnie za to samo, za co i ona mnie. Czy ja wiem za co? Mniejsza o to. Muszę jechać, konia dawno oprowadzają. W nocy zajadę do Głębowicz. Za tydzień przyjeżdżam z praktykantem, ku wielkiemu zadowoleniu cioci.

— Jakto! wcześniej nie będziesz?

— Zapewne. Mam dużo zajęcia.

Pan Maciej uściskał serdecznie wnuka.

— Jakże ty sam pojedziesz? Czemu nigdy nie weźmiesz maszta-
lerza?

— Nie lubię mieć ze sobą gapia.

— Weź stajennego.

— Ależ, dziadziu! czyż jestem dzieciak, żebym się miał bać nocy? Uściskał dziadka, wyprostował swą męską postać i zaśmiał się głośno.

— Idę pożegnać ciocię. Ale czy mnie nie zrzuci ze schodów?

— Dajże spokój. Idalka śpi. Pożegnaj ją od ciebie.

— Tem lepiej. Do widzenia!

Waldemar wyszedł z gabinetu.

Pan Maciej widział przez okno, jak wskoczył na konia i ruszył kłusem. Za nim w podskokach biegł duży, pyszny dog Pandur, ulubieniec ordynata.

W bramie Waldemar spotkał Stefcie i Lucie, wracające ze spaceru. Lucia zaczęła coś mówić, a Stefcia na jego ukłon odpowiedziała skinieniem głowy i szła wolno w głąb dziedzińca, nie uważając na niego. Lucia wkrótce podażyła za nią.

Waldemar stał w bramie, patrząc uporczywie na Stefcie, dopóki nie znikła mu z oczu. Wówczas uderzył konia spicróżgą, świsnął na psa i pomknął, jak wicher.

Pan Maciej uśmiechnął się.

— Mówi, że jej nie cierpi, a jednak interesuje go — szepnął do siebie.

IV.

Życie Stefci płynęło w Słodkowcach spokojnie. Lekcje, rozmowy z Lucią, muzyka, spacer i czytanie wypełniało każdy dzień.

Panią Idalję Stefcia widywała najczęściej przy stole, w innych godzinach dnia można ją było spotkać w gabinecie. Rozłożona wygodnie na szeslongu, lub na bujającym fotelu, czytała, ciągle czytała. Na stolikach, konsolach, krzesłach wałało się pełno dzieł Jakóba Rousseau'a, Zoli, Dumasa, Bourgeta, nawet Voltaira obok Rochefoucauld'a i Chateaubrianda. Najwięcej książek francuskich — czasem błysnął Dickens, Walter Scott lub zamajaczył Shakespeare. Niemieckie tomy spotykały się rzadko, z polskich ani jednego. Pani Elzonowska wystarczała sobie najzupełniej. Córkę oddała pod opiekę Stefci, rzadko udzielając jej posłuchania. Ojca pani Idalja odwiedzała jedynie w chwilach dobrego humoru, grywając z nim w szachy. W takich razach zносиła nawet obecność pana Ksawerego, codziennego partnera.

Bywały dni, że pod wpływem wrażeń, zaczerpniętych z literatury, stawała się przesadnie czułą dla córki, ojca, nawet dla Stefci. Z miłym uśmiechem wypytywała jej, czy jej czego nie brak i po takim występie

była przekonana o swej anielskości. Wyjeżdżała często do Szal, do siostry męża, hrabiny Cwileckiej, lub do Obronnego, gdzie mieszkała księżna Podhorecka, babka Waldemara po kądzieli.

Więcej sąsiedztw Słodkowce nie posiadały, gdzieby pani Idalja mogła bywać bez uchybienia sobie w jej przekonaniu. Kilka domów obywatelskich odwiedzało Słodkowce, uważając to za obowiązek towarzyski, a głównie dla dogodzenia własnej ambicji. Pan Maciej przyjmował ich uprzejmie, pani Idalja grzecznie, ale rewizytował ich tylko Waldemar. Pana Macieja tłómaczył wiek, panią Idalję własny pewnik „pas pour moi“, co wszyscy rozumieli, wmawiając w siebie, że pani Idalja często cierpi na nerwy.

Jadąc do Szal lub Obronnego, wstępowała czasami do sąsiadów będących poza obrębem jej dążeń. Ale nie zapomniała nigdy nadmienić, że tylko wstąpiła, co w jej słowniku brzmiało „par politesse“. Pani Idalja miała swe zasady wyłączne.

W Słodkowcach goście zdarzali się często, z nieuprzywilejowanych jedni dążyli tam w celu odwiedzenia pana Macieja, innych wiodła próżność, a jeszcze innych nadzieja zastania ordynata. Ten młody magnat i milioner miał na sobie zwrócone oczy całej okolicy. Przedstawiał partję jedną z najpierwszych w kraju, dla wielu niedoścignioną. To tłómaczyło u niektórych żywą sympatję pana Macieja, oraz łatwe składanie na nerwy i migrenę niechęci pani Idalji do życia towarzyskiego.

Stefcia, pomimo pracy, tęskniła za domem. Listy jej nie wystarczały, ogarniał ją smutek.

Obie z Lucią często widywały pana Macieja, odwiedzając go w jego gabinecie. Stary ten człowiek dziwnie ją rozrzewniał. Miał nadzwyczaj miły uśmiech. Rozmawiając z nim doznawała złudzenia, że to nie arystokrata z tej samej sfery, co pani Idalja. Nawet urządzenie jego mieszkania różniło się od urządzenia pałacu.

Wszystko tu było staroświeckie, ale wesołe i bez sztywności, panującej w wytwornych salonach, przesiąkniętych etykietą.

Pan Maciej często siadywał w ogrodowej altanie, słuchając Stefci. Lubił jej muzykę. O szarej godzinie grywała mu Chopina i ulubione arje z oper. Stefcia dogadzała staruszkowi, z każdym dniem przywiązując się do niego więcej. Ale pan Maciej wpadał w melancholję, gdy Waldemar długo nie przyjeżdżał. Tęsknił do wnuka, bo jego wesołość, młodzieńcza postać pełna życia ożywiała starca. Cieszył go widok jedyne-ego potomka ich rodu z linii głębowickiej.

Po tygodniu nieobecności swego ulubieńca pan Maciej zaczął już wpadać w smutny nastrój. Nie bawiły go szachy, ani czytanie, nawet muzyka Stefci. Słuchał z roztargnieniem nocturnu Chopina, kręcąc się niespokojnie w fotelu, posyłał Lucię do okna, czy nie jedzie Waldemar. Na przeczącą odpowiedź mrucał:

— Co to jest? Co to znaczy?...

Gdy Stefcia skończyła grać, podziękował jej i poszedł do siebie.

— Dziadzio dziś smutny — rzekła Lucja — a czy pani wie dlaczego? Bo Waldy marudzi z przyjazdem. Dziadzio go okropnie kocha.

— Niechby już przyjechał — odrzekła Stefcia.

Lucja poszła do matki, Stefcia do swego pokoju. Stała w otwartym oknie i z rozkoszą pochłaniała oczyma grę promieni słonecznych, dzierżgających w złote nitki rozpyloną wodę fontanny. Z cichym szumem spadała fala do kamiennego basenu, jak różowozłota chmurka, strzepując

drobne kropelki na rosnące obok kwiaty. A one zdawały się podnosić spragnione główki, barwne, pachnące. Słońce przesuwało czerwony krąg ku zachodowi, pysznie rozwinięte drzewa i wspaniałe dywany aksamitnych roślin.

Była w powietrzu promiennosc, lenistwo nadchodzącego wieczoru, rozmarzająca ociążalosc. Spokój wiał z natury w powodzi gorącego światła, bez podmuchu wiatru. Nagle w ciszę, maconą jedynie chórami ptaków i szeptem fontanny wpadł inny głos.

Najpierw rozległ się turkot kół, tupot wielu koni, wreszcie zagrzmiały wesole głosy ludzkie i z za gęstwiny krzewów wjechało na zwirowany podjazd pałacu kilka pojazdów. Pierwsze powozy zaprzężone w czwórki były poważniejsze, wolant i brek wypełniony po brzegi wyglądały weselej. Rozmowy i śmiechy dochodziły głównie z breku. Tam jasne kapelusze i suknie pań zaćmiewały sobą ciemne sylwetki panów.

Stefcia, cofnięta w głąb pokoju, patrzyła ciekawie.

Powozy stanęły przed gankiem, brek i wolanty zatrzymały się w szeregu i naprzeciw jej okna towarzystwo zaczęło wysiadać. W tem spojrzeli w stronę wjazdu. Panie, wymachując parasolkami, wołały:

— Spóźniony! Spóźniony! pobiliśmy pana.

Po bielejącej wśród trawników drodze pędziła wyciągniętym klusem czwórka w lejc karych lśniących koni, kierowana przez ordynata. Siedział na koźle małego, jak cacko, wolancika i, unosząc w górę kapelusz, wymachiwał nim na powitanie. Na siedzeniu przyczepiony jechał stangret w czarnej liberji z czerwonym.

Waldemar obok breku zatrzymał konie prawie na miejscu a łagodnie.

— Prześcignęliście mnie państwo, — wołał, rzucając lejce stangretowi. — Ale proszę pamiętać, że jadę cztery mile. To coś znaczy. Przytem Brunon laź jak żółw, musiałem go zsadzić z kózła i wówczas zaczęła was dopędzać. To mi musicie przyznać.

— Konie pańskie ogrzewały nam plecy oddechem — zawołała młoda przystojna panna o minie zuchwalej i wesołych oczach. — Próbowałam je gładzić, ale zbrudziłam tylko rękawiczkę. O, niech pan patrzy!

I wyciągnęła do Waldemara rękę, opiętą w jasną dunkę.

— Przepraszam, to nie brud, tylko pot koński. Moje konie są zawsze przeczyste — odrzekł Waldemar.

— Pan się kocha w swych koniach, prawda?

— Tak, to jedyna moja miłość.

— Bez wzajemności — dodała młoda panna z wdzięcznym uśmiechem.

— Voyons, monsieur, vous avez de la chance! — zawołała jedna z pań.

Waldemar ukłonił się żartobliwie.

— Jestem rozczałony, szanowne panie. Nie rozumiem tylko, po co tu stoimy. Rada starszych dawno w objęciach ciotki. Chodźmy również.

Towarzystwo znikło w ogromnych drzwiach głównej sieni. Waldemar szedł ostatni, trochę się ociągając. Kiedy mijał okno Stefci, zwolnił kroku i z poza lip rzucił prędkie, ciekawe spojrzenie.

Stefcia, myśląc, że wszyscy przeszli, wyjrzała również i spotkali się oko w oko.

Dostrzegła jego zaciekawienie. Na jej widok spoważniał, zdjął kapelusz i poszedł dalej.

Stefcia postanowiła nie wychodzić. Nikt jej nie zna, a przynajmniej uniknie żartów Waldemara, może i docinków pani Idalji, bo to był dzień jej złego humoru.

Uszczęśliwiona własnym pomysłem Stefcia zaczęła nucić. Z góry dochodził przytłumiony gwar głosów męskich i kobiecych. Czasem dźwięknał fortepjan krótko, urywanie, jakby ktoś przechodząc uderzył parę akordów. Niekiedy zabrzmiał głos dominujący, a potem głośny wybuch śmiechu. Widocznie bawiono się tam doskonale.

Po godzinie do pokoju Stefci wpadła Lucia zdyszana, zarumieniona i zaczęła mówić z niebywałym ożywieniem:

— Czy wie pani? Szesnaście osób przyjechało, licząc z Waldym. Jest i ciocia Ćwilecka z córką Michałą, bo Pauli niema w domu i księżna Podboręcka, babka Waldemara, i młodzi księstwo Podhoreccy i Żyżemscy i hrabia Trestka i dużo, dużo gości.

— Skądże tak nagły zjazd?

— A tak sobie, taki traf. Wszyscy do nas jechali osobno i na drodze dopiero połączyli się. Najwięcej osób z Obronnego: jeden powóz i brek. Waldy jechał także do nas i jego spotkali. On nawet chciał prześcignąć brek ale przegrał. Teraz się z niego panna Rita wyśmiewa.

— Któż to ta panna Rita?

— Szeliżanka. To jakaś kuzynka czy przylatana siostrzenica księżnej Pochoreckiej, ale że sierota, więc stale mieszka w Obronnem. Ona tu bardzo często przyjeżdża, tylko teraz długo bawiła w Wiedniu i dlatego jej pani nie zna. Bardzo miła i wesoła.

Stefcia pomyślała, że to ta sama szykowna panna, która pokazywała Waldemarowi zbrudzoną rękawiczkę.

— To przystojna panna. Prawda?

— Tak, ładna. Waldy tego nie uznaje, ale mu trudno dogodzić. Pani ją dziś sama pozna.

— Ja nie wyjdę wcale.

Lucia otworzyła szeroko oczy.

— Czemu? Jakto! Pani nie wyjdzie? Ja już chwaliłam się panią przed wszystkimi...

— Ach moja Luciu!

— A bo ja panią bardzo kocham.

Stefcia ucałowała dziewczynkę.

— Bardzo mnie to cieszy. Dziś już sama bądź z gośćmi. Mnie masz na codzień.

— E! co pani mówi! Ani dziadzio, ani Waldy nie zgodzą się nigdy na to, żeby pani sama została.

Stefcia wybuchnęła śmiechem. Zapewnienie Luci, że Waldemar chciałby ją widzieć, ubawiło ją. Szczególnie on! A zresztą może: gdyby nie wyszła, nie miałby na kim ostrzyć dowcipu. Ta myśl rozweseliła ją. Jak rozdokazywane dziecko, porwała Lucię wpół i zaczęła walcować po pokoju, śpiewając.

Lucia tańczyła zapamiętale. Obie prawie jednego wzrostu, fruwały, kręcąc się w wirze walca i śpiewając jedna przez drugą. Latał za nimi jasny warkocz Luci i trzepotała batystowa suknia Stefci. Na twarzy jej wykwiwały rumieńce, fiołkowe oczy z pod ciemno złotawych obłon błyskały ognikami, rozchylone różowe usta chwytaly szybko powietrze, skutkiem czego śpiewany głośno walc wychodził urywanie. To jednak nie przeszkadzało tancerkom.

Rozbawione, nie słyszały dwukrotnego pukania do drzwi, nie spostrzegły, że je ktoś otwiera. Dopiero po chwili w zawrocie tańca Stefcia osłupiała z przerażenia.

We drzwiach stał Waldemar. Z uśmiechem patrzył na tańczące panny i na zmieniony wyraz twarzy Stefci. Patrzył na jej rumieńce, na błyszczące oczy, na rozrzucone w tańcu włosy i dziwiła go ta przemiana.

Nie widywał jej dotychczas tak wesołej. Umyślnie stał cicho, chcąc, by go sama spostrzegła. Wyobrażał sobie jej przestach i bawiło go oczekiwanie. Jak też będzie wyglądała?

Nie czekał długo. Stefcia na jego widok oniemiała. Ognista łuna zapaliła jej twarz, w oczach zalśnił gniew, każdy nerw zadygotał w niej z irytacji.

Waldemar z przyjemnością napawał się grą jej rysów i błyskawicami w oczach. Patrzył na nią z zachwytem.

Lucia przerwała niemą scenę, wybuchając śmiechem. Podbiegła do Waldemara i ciągnąc go za rękaw na środek pokoju, zawołała:

— Złapałeś nas, Waldy, na gorącym uczynku. Myśmy sobie tak pysznie tańczyły, jakby nam orkiestra przygrywała. Ale żebyś ty wiedział jak panna Stefanja tańczy! Jak baletnica.

Waldemar uklonił się Stefci wytwornie i rzekł, przerywając mowę Luci:

— Pozwoli pani wyjaśnić powód mego wtargnięcia do jej sanctuarium. Dotąd nie miałem przyjemności widzieć pani u siebie. Może trafiłem nie w porę, lecz jestem uszczęśliwiony: ujrzałem panią swobodną. W mej obecności jest pani zawsze nastroszoną na tony możliwie syczące... przed chwilą widziałem harmonję... i cieszę się bardzo. Pani mnie nie powita po całotygodniowym niewidzeniu? — spytał z odcieniem niecierpliwości, patrząc na nią tyranicznie.

Stefcia podała mu rękę.

— Pan zapewne szukał Luci.

— O nie, jestem tu wyłącznie dla pani, a nawet po panią, ponieważ ciotka moja prosi panią na herbatę.

— A co! czy nie mówiłam, że pani nie pozwoli zostać samej?... Zaraz mówiłam!

Zwróciła się do Waldemara.

— Wiesz, Waldy? Panna Stefanja zapowiedziała, że nie wyjdzie do gości, że zostanie tu sama u siebie.

— Czy pani miała naprawdę taki barbarzyński zamiar względem nas?

Stefcia odparła prawie wesoło:

— Ma pan dziwny sposób pytania. Istotnie chciałam pozostać u siebie.

— Protestuję! w imieniu całego towarzystwa, które pragnie panią poznać.

Stefcia znowu zeszywniała. Już chciała stanowczo odmówić, lecz on dostrzegł cień na jej wyrazistej twarzy i, uprzedzając odpowiedź, dodał prędko:

— Proszę panią na herbatkę w imieniu ciotki i dziadka. Jeżeli zaś moja babka i pani hra...bi...na Cwilecka chcą panią poznać, proszę to zawdzięczać swej uczenicy.

— A tak, ja o pani dużo mówiłam cioci księżnej — potwierdziła Lucia.

— Więc służę paniom.

— Nie, Waldy. Jeśli chcesz iść razem z nami, to poczekaj w saloniku. Musimy sobie poprawić włosy. Wyglądamy jak strachy.

— Ty — tak, ale pannie Stefanji bardzo z tem do twarzy.

— Ach niegodziwcze! — zawołała Lucia, wyciągając go za drzwi, tak samo za rękaw, jak go wciągnęła.

Stefcia spojrzała na młodego pana z niechęcią. Gniewał ją na każdym kroku. On to spostrzegł i, podnosząc ramiona z komiczną miną, szedł do drzwi, wołając:

— Hanibal ante portas! Mówią mi to pani oczy... Uciekam, już mnie niema!

Wyszedł. Lucia zamknęła drzwi za nim.

V.

W niewielkim saloniku w stylu cesarstwa kilkanaście osób bawiło się wesoło.

Lokaje roznosili herbatę i ciastka. Goście, każdy z filiżanką, siadali i pili, gdzie kto chciał. Główne siły towarzystwa zajmowały jeden większy stół, otaczając panią domu i pana Macieja. Pani Elzonowska w świetnym humorze, zachwycona gośćmi, bawiła głównie księżną Podhorecką i swą szwagierkę hrabinę. Te zaś dwie damy różniły się znamiennie.

Patrząc na nie, można było myśleć, że pochodzą z innych planet. Księżna, wysoka i szczupła, o klasycznym profilu wielkiej damy, arystokratyczne piętno miała jak wszczepione. Uwydatniało się ono w każdym rysie, w ruchu, nawet w fałdach ciężkiej czarnej sukni. Wyidealizowana dystynkcja otaczała ją, nadając poważny a pociągający wdzięk. Białe włosy miała zaczesane gładko nad czołem, pokryte drogocenną czarną koronką. Żadnych klejnotów, oprócz obrączek i pierścienia z ogromnym szmaragdem z wyrytym herbem Podhoreckich. Żegarek ta wielka dama nosiła na czarnym sznureczku. Twarz miała drobną, bladawą, o delikatnej cerze, prawie bez zmarszczek, wyraziste rysy, duże czarne oczy. Piękność miniona widniała wyraźnie. Księżna mówiła niewiele, dźwięcznym głosem i potrafiła zjednywać sobie wszystkich.

Hrabina Cwilecka był to typ zupełnie inny. Wzrostu średniego, po-każnie tęga i rubaszna, miała w sobie coś z burżuazji, niczem nie przypominając arystokracji. Ubrana bez gustu, obsadzona brylantami, cała w złotych łańcuchach, gestykulując, prędką i nerwującą, głośną, wyglądała jak republikanka, plebejuszka, wygrażająca pięściami przedstawicielce arystokracji za czasów rewolucji. Nie lubiła księżnej, nazywając ją ironicznie Spartanką, i chciała zawsze wykazać swą wyższość, polegającą zapewne na ilości klejnotów. Pomimo wewnętrznej niechęci, była jednak dla księżnej uprzedzającą grzeczną, prawie nadskakującą.

Ale księżna wiedziała, co o tem sądzić. Ona miała wnuka, a hrabina dwie córki, z których starsza, panna Michała, przekroczyła już trzydziestkę. To tłumaczyło wygórowaną uprzejmość hrabiny względem księżnej.

Teraz obie panie rozmawiały z panią Idalją i z panem Maciejem, w towarzystwie kilku osób.

Młodzi, porozrzucani grupami, bawili się każde po swojemu. Panna Rita Szeliżanka w fularowej sukni czarnej w secesyjny niebieski deseń, z dużym kołnierzem z kremowej koronki, przodowała w rozmowach i dowcipach. Włosy ciemnoblonde wytwornie zaczesane ozdobiła kokardą z niebieskiej wstążki, przypiętej wysoko. Wyglądało to cokolwiek dzi-

wacznie, ale pannie Ricie było do twarzy. Ona zawsze ubierała się inaczej niż wszyscy, jej uczesania mogły wielu razić. Miała ruchy śmiałe i pełne wdzięku. Każda rzecz, będąca dla innych niemożliwością, z nią kojarzyła się jaknajlepiej. Szczera, zabawna, dowcipna, była przytem sympatyczna i zarażająca wszystkich wesołością.

Księżna miała dla niej słabość, choć często raziły ją dziwactwa wychowanki. Panna Rita z zamiłowaniem uprawiała sport. W Obronnem, majątku księżnej, miała własną stajnię, gdzie najczęściej lubiła przesiadywać. O koniach mogła mówić bez przerwy, i teraz siedząc na stylowym foteliku z filiżanką w ręku, rozmawiała z młodym paniczem, uzbrojonym w binokle.

Dowodziła mu czegoś z zapalem, wreszcie, stawiając energicznie filiżankę na stoliku, rzekła:

— Ach pan się nie zna na koniach, jeśli moim zarzucą pan brak czystości krwi. Moje konie importowane prosto z Anglii. To są folbluty. Niech pan zapyta ordynata: on koneser pierwszej wody.

— Zawsze ordynat! Zawsze mnie pani do niego odsyła. Czy to wyrzecznia?

— W kwestji końskiej napewno.

— Czy dlatego, że ma dziewięć muz z Apollinem?

— Nie, ale jest prawdziwym i bezstronnym znawcą.

— Więc mnie pani odmawia tych cnót?

— Po części. Pan jest zaślepiony w swoich perszeronach i wszystko dobre widzi tylko w swej stajni.

— Chyba pani raczy przyznać, że moja stajnia nie jest byle jaką.

Panna Rita skrzywiła się.

— Nie lubię perszeronów.

— Nie lubi pani? Ha! to kwestja gustu. Tak samo ja nie cierpię anglików.

Panna Rita zmierzyła go ironicznem spojrzeniem.

— Więc niech pan tak mówi, ale poco wyliczać wady, które nie istnieją.

— Dla mnie istnieją choćby w anglezowaniu, które pani doprowadza do granic najwyższych.

— To nie wada. Jeśli tylko takie pan widzi, jestem spokojna. Zresztą ta rasa koni zawsze bywa anglezowana.

— Ale u pani bajecznie!

— Ech! co pan mówi! Szkoda, że znikł ordynat, prosiłabym go o interwencję.

— Pan Michorowski poszedł po Lucię i jej nauczycielkę — odezwała się powolnym głosem panna Michalina Cwilecka. — Przez czas rozmowy panny Rity z hrabią Trestką siedziała milcząca, popijając herbatę. Ubrana była dość gustownie, w jasną suknię, bo tak chciała matka, lecz nic jej nie bawiło, nawet zabawa innych nużyła ją. Miała wygląd apatyczny. Powiedziawszy krótko, gdzie jest Waldemar, spuściła oczy na filiżankę i zmiłkła, jak przedtem.

Hrabia Trestka poprawił binokle i uśmiechnięty złośliwie, rzekł:

— Jakieś fory ma ta nauczycielka, skoro ordynat tak się nią zajmuje.

— Ale co znowu. Il l'abhorre! — zaprzeczyła panna Rita, — tak przynajmniej mówi Lucia, a więc to samo co z Klara.

— Zdaje się.

— Czy i podobna do panny Klary?

— Nie znam jej, ale Lucia nią zachwycona. Jeśli naprawdę ładna, strzeż się, panie hrabio.

Trestka spojrział na mówiącą obrażony.

— Voilà une idée! Pani ma czasami pomysły bajeczne. Ja na osoby tego rodzaju nigdy nie patrzę.

— Chciałbym, żeby się pan zakochał w tej właśnie.

— Mogę ją najwyżej osądzić po sportsmeńsku i wykazać wady.

— O panie! o kobietach w ten sposób mówić nie można...

— O nauczycielkach wolno.

Także nie. Wzbronione jest bez zastrzeżeń. Zresztą panna Rudecka jest z dobrej rodziny.

— Chut! idą już — przerwał hrabia i, poprawiając binokle, spojrział badawczo w stronę drzwi.

Weszła Stefcia z Lucią i Waldemar.

Stefci pociemniało w oczach. Tyle głów zwróciło się do niej, tyle badawczych oczu. Stała jak pod pręgierzem.

Rozmowy umilkły. Wszyscy obrzucili młodą nauczycielkę krytycznym spojrzeniem.

Pani Elzonowska popatrzyła na nią przez swe szpareczki i dość po-
bieżnie wskazała ją towarzystwu okrągłym ruchem ręki.

— Panna Rudecka — rzekła krótko.

Kilka głów skinęło nieznacznie. Stefcia, zmieszana, skłoniła się wszystkim, nie wiedząc co ze sobą począć. Pierwszy raz odczuła boleśnie własne położenie. Darować sobie nie mogła przyjscia do salonu.

— Intruz — przemknęło jej przez głowę i gdyby nie panowanie nad sobą, wybuchnęłaby płaczem.

Ale w tej chwili podszedł do niej Waldemar, widocznie wzburzony, jednak z dobrze udanym spokojem podał jej ramię i rzekł z wytworną uprzejmością.

— Pozwoli pani, przedstawię ją mej babce.

Stefcia machinalnie pozwoliła się prowadzić do odległej kanapki. Połknięty oczy, zobaczyła pogodną twarz pana Macieja i poważną arystokratyczną postać księżnej.

W tem zabrzmiał znowu niski głos ordynata.

— Droga babciu, przedstawiam ci pannę Stefanję Rudecką, o której słyszałaś od Luci.

Księżna powstała z kanapki i, podając Stefci rękę, rzekła:

— Bardzo mi miło panią poznać. Istotnie Lucia mi o pani opowiadała. Jest zachwycona swą kierowniczką.

Stefcia zręcznie pochyliła się i ucałowała rękę staruszki, przepojona wdzięcznością i dziwną otuchą.

W oczach starej kobiety zamigotało zdziwienie. Uśmiechnięta dotknęła ustami włosów dziewczyny, poczem usiadła, wskazując jej obok stojący fotelik.

Rozpytywała ją uprzejmie o rodzinę i czy jest zadowolona z Luci. Rozmowę podtrzymywał pan Maciej.

Na wszystkich obecnych zachowanie się ordynata i powitanie z księżną zrobiło wrażenie.

Spojrzeli po sobie zdziwieni.

Księżna Podhorecka wstała podając rękę nauczycielce. Co to jest i czemu się sufit nie wali? Zwłaszcza hrabia Trestka i hrabina Cwilecka nie mogli tego pojąć. Hrabina, patrząc na księżną, rozmawiającą z jakąś

tam nauczycielką, wzruszyła ramionami. Gniewała się, że Waldemar ją pominął, nie przedstawiając Stefci. Nie szło jej o osobę, lecz pominięcie siebie uważała za lekceważenie. Podanie ramienia nauczycielce przez ordynata wydało się hrabinie rażącym. Rzuciła kilka spojrzeń na Stefcię, a widząc, że jest bardzo ładna, zaczęła szeptać do siedzącego, jak mumia męża. Na dużych ustach miała zjadliwy uśmiech.

Do uszu pani Idalji doleciał jeden wyraz: „maitresse“, lecz udawała, że go nie słyszy: poruszając nerwowo brwią kończyła rozmowę ze swym sąsiadem.

Tymczasem przy małym stoliku panna Rita opowiedziawszy Waldemarowi spór z Trestką, usłyszała pochwałę swych koni. Hrabia zaczął rozmawiać z ordynatem, a Rita podeszła do księżnej i, żywo podając rękę Stefci, rzekła z wesołym uśmiechem:

— Ponieważ nikt nas nie zapoznał z sobą, więc ja sama dopełniam tej ceremonii. Margeryta Szeliga we własnej osobie. Pewno pani o mnie jeszcze nie słyszała, bo długi czas awanturowałam się w Wiedniu.

Stefcia powstawszy, uściśnęła rękę młodej panny.

— Owszem. Lucia mi o pani mówiła z wielkim zachwytem.

— Tak? Widzę, że Lucia to mały reporter okolicy, wszystkich informuje. Zabieram panią do naszego towarzystwa. Tu grono bardzo szanowne, lecz tam chyba weselsze. Ciocia i dziadzio nic nie będą mieli przeciw temu, prawda?

Księżna uprzejmie skinęła wytworną głową, a pan Maciej rzekł:

— Owszem, wiemy, że pani potrafi zabawić i tem śmielej polecamy jej pannę Stefanję.

Po chwili Stefcia siedziała przy małym stoliku, gdzie zebrało się więcej osób. Wśród wesołej rozmowy przywykała do towarzystwa.

Drażniły ją błyszczące binokle Trestki wciąż na nią skierowane, zaciekawiała zimna postać hrabianki Cwileckiej.

Panna Rita wciągnęła ją do ogólnej rozmowy tem łatwiej, że Stefci nie zbywało na dowcipie. Wyglądała najskromniej, ale bardzo ładnie, w jasnopopielatej batystowej sukni, ubranej granatową wstążką. Na twarzy miała żywe rumieńce, oczy w pysznych obsłonach rzes błyszczwały wesoło, kwitły ponsowe usta.

Panna Rita spoglądała na nią z przyjemnością, reszta osób mniej więcej obojętnie. Trestka ciekawie przyglądał się Stefci, jakby chcąc dojrzeć jej wady. Zbadał dokładnie jej rysy, oczy, sposób mówienia, uczesania i przyznał w duchu, że jest możliwa.

„Pas mal, pas mal“ mruczał do siebie, uważając to za wielką pochwałę. Obejrzał krój sukni i pokręcił głową zdziwiony, że nauczycielka może być tak gustownie ubrana. Zajęty oględzinami zapomniał chwilowo, że przegrał sprawę o konie. Panna Rita przypomniała mu ją znowu, pytając ordynata:

— Panie Waldemarze, jak się mają pańskie muzy z Apollinem?

— Doskonale — odrzekł ordynat, siadając obok Stefci. — One mają piękność prawdziwie olimpijską, niezmienną.

— Jakie to muzy? — spytała Stefcia.

— Towarzyszki Apolla — wtrącił hrabia Trestka.

— Czy pani nie wie?

— Owszem, panie hrabio, znam dobrze mitologię.

Zwróciła się do Waldemara:

— Czy to pańskie konie noszą nazwę muz?

— Tak. Pani nawet zna te konie.

— A którymi pan dziś przyjechał? Nigdy nie mogę ich dokładnie rozpoznać. Wszystkie są czarne, jak aksamit.

Waldemar uśmiechnął się.

— Dziś przyciągnęły mnie: Clio, Mepomene, Uranja i Terpsychora.

— Prawda, jak to ładnie brzmi? — zawołała panna Rita — w drugiej czwórce jest Talja, Kaljopa, Euterpe i Polihymnja, a Erato jest wierzchówką pana.

— Tę znam dobrze — odrzekła Stefcia — na niej pan najczęściej przyjeżdża.

— Pani ją zauważyła? Prawda, że cacko?

— Bardzo ładna.

— To nic. Nie widziała jeszcze pani Apollina. Ja go poprostu kocham — egzaltowała się panna Rita.

Zaśmiali się wszyscy.

— Tylko sportsmenkę mogą nawiedzać podobne uczucia — rzekł ktoś z grupy towarzystwa rozmawiającego dalej.

— Muszę go przyprowadzić do Słodkowic: będziemy mieli częściej wizyty pani — żartował ordynat.

— Powinien pan panie Ricie ofiarować jego portret.

— Albo odlać z bronzu.

— Co znowu! Straciłby, nie mając właściwej barwy.

— No więc z czarnego marmuru.

— Śmiecie się państwo, śmiecie, a wszyscy go podziwiacie.

— Prócz mnie — rzekł hrabia Trestka, poprawiając binokle.

— Bo pan ma limfatyczne gusta i dlatego wystarczają panu perszerony i te obrzydłe meklemburgi. Apollo w stajni pańskiej wyglądałby jak najezdnik.

— To samo powiem o pani anglikach.

Panna Rita rozpoczęła kłótnię na dobre.

Waldemar popatrzył w oczy Stefci i rzekł wesoło:

— Teraz mogą Słodkowce wylecieć w powietrze, a ta para nie przestanie debatować o stajni. Jak się tych dwoje sportsmenów spotka, już o niczem innym nie mówią i zawsze się kłóca, tak jak pani ze mną.

— Ja się z panem nie kłóczę.

— Ale mnie pani tyranizuje. Bałem się tu jechać przez cały tydzień.

— Ach, jakież pan bojaźliwy!

— No cóż? Tak mnie pani energicznie wyprawiła z lasu, potem przy obiedzie zostałem zlynchowany, nie chciała mnie pani pożegnać. Czy to wszystko nie mogło odstraszyć?... Ale zażęskniłem do swego tyrana i oto jestem.

Stefcia przygryzła wargi.

Postanowiła nie odpowiadać na zaczepki w obawie, by kto nie usłyszał. Ale w salonie panował gwar licznych rozmów, a siedząca obok panna Rita fechtowała się na słowa z Trestką tak zawzięcie, że nic ich więcej nie obchodziło.

Waldemar zauważył niepokój Stefci, spostrzegł wzrok szukający Luci i rzekł z przekąsem:

— Chce się pani uzbroić przeciw mnie w niewinność, jak Twardowski przed Mefistofešem, ale Lucia już, niestety, za duża na rolę, jaką pani chce jej w tej chwili przeznaczyć.

Stefci zadrgały usta do śmiechu.

Waldemar mówił dalej:

— Ja tęskniłem za swą prześladowczynią, ale pani pewno błagała Boga, abym jak najdłużej się nie zjawiał.

— Przeciwnie, chciałam, aby pan prędzej przyjechał.

Na twarzy Waldemara błysnęło zaciekawienie.

— Doprawdy!... O Boże! czemuż nie wiedziałem!

Stefcia spojrzała mu prosto w oczy.

— Oczekiwałam pańskiego przyjazdu, ponieważ dziadek pana tęsknił i zaczynał już dostawać melancholji.

— To znaczy, że pani pragnęła mego przyjazdu dla dziadka, nie dla siebie.

— Spodziewam się, i „pragnęła“ — to za silne. Poprosto oczekiwałam.

— Otc rozczarowanie! Miałem już złudzenie rajy, tymczasem jestem, jak dawniej, w czyścucu.

Stefcia zaśmiała się. On patrzył na nią badawczo, z uśmiezkim na pełnych zmysłowych ustach. Po chwili rzekł przyciszonym głosem:

— Pani dziś cudownie wygląda. Czuję, że tracę głowę.

— Panie ordynacie! — zawołała rozgniewana dziewczyna.

— Słucham pani! — podchwycił z żartobliwymi ognikami w oczach.

Stefcia zacięła usta. Dawniej odpowiedziałaby mu z gniewem, lecz teraz była względem niego dobrze usposobiona... Przytem bawiła ją jego mina. Brwi miał podniesione, szybko poruszały mu się nozdrza, z każdego rysu twarzy wyzierał tłumiony śmiech.

Odpowiedziała:

— Zaczynam żałować, że prosiłam Boga o pański przyjazd. Przez sympatję dla starszego pana Michorowskiego zaszkodziłam sobie...

— Młodym Michorowskim, jak miksturą — dokończył.

— Zradł pan — zaśmiała się.

— Ja zaś jestem pewny, że pani mnie oczekiwała nie dla melancholji dziadka, lecz z powodu własnej tęsknoty. Czy tak?

Zajrzał jej w oczy zuchwale.

— Widzę, że w pańskim towarzystwie najbezpieczniej dla mnie być milczącą, gdyż inaczej pan staje się zbyt wesołym.

— A pani zaraz wysuwa pazurki, łapięta śliczne, ale ostre — odrzekł z grymasem.

— O czem państwo tak poufnie rozmawiają? — spytał z ironją hrabia Trestka, skierowując na Stefcie binokle.

Waldemar odrzekł swobodnie:

— Mówiliśmy o innym sporcie. Prosiłem właśnie pannę Stefanję, aby nam zagrała.

— Pani grywa na cymbałkach? — zapytał Trestka kpiącym tonem.

— Nie, panie, nie grywam na cymbałkach — odparła Stefcia z taką samą intonacją głosu.

— A to szkoda, bo to ma ładny ton.

Waldemar ściągnął brwi. Zakipiało w nim. Spojrzał na Trestkę z góry i rzekł z odpowiednim akcentem:

— Posadzałem pana o lepszy smak i większą subtelność... ucha

Trestka zrozumiał. Zbladł ze złości.

Panna Rita uśmiechnęła się i, widząc zakłopotanie hrabiego, rzekła do Stefci:



— *Przedewszystkiem jest Pan źle wychowany — wybuchnęła Stefcia. — Doprawdy? Pierwszy raz słyszę! . . . str. 11.*

— Popieram prośbę pana Waldemara. Stanowczo nam pani coś zagra. Ja, niestety, nie grywam, lecz pasjami lubię muzykę.

— Owszem, pani, ale trochę później.

— Tak, zbyt jest głośno, a muzyka lubi ciszę.

— Bo łatwiej wówczas odnajduje nerwy i gra na nich — dodał Waldemar.

Kamerdyner zapalił lampy. Panna Rita stanęła w oknie, patrząc na wąski świetlano-złoty pasek wschodzącego księżyca. Na tle szarych barw wieczornego nieba pięknie wyglądała czarna wstęga lasu z tym odłamkiem złota, strojącym czuby drzew, jak błyszczący ryngraf na piersi zakutego w ciężką zbroję rycerza.

Panna Rita zachwycała się głośno. Stefcia i parę osób jeszcze poszło do okna. Waldemar wezwany przez Lucję, poszedł do sali jadalnej, gdyż pani Elzonowska chciała go widzieć.

VI.

Duży stół, przykryty obrusem holenderskim, z wytkanym na środku herbem Michorowskich, zastawiony był do kolacji. Po brzegach stały talerze z pysznej porcelany, malowanej w nikiel wzory, jak żołnierze w gałowych mundurach. Obok na podstawkach spoczywały z godnością srebrne noże, widelce i wydatne kształty łyżek deserowych. Po drugiej stronie sterczały sztywne serwety, niby budki szyldwachów, z ciemniejszymi plasterkami chleba wewnątrz. Kryształowe kosze z owocami, szklanki, kieliszki, parę wspaniałych bukietów uzupełniało zastawę. Przy każdym nakryciu leżały wiązanki kwiatów. Kwiaty, rozrzucone po stole nadawały mu wygląd majowy.

Kamerdyner Jacenty i młodszy lokaj w czarnych frakach, zdobnych w złote guzy, z ponsowemi kamizelkami, oraz lokaj księżnej Podhoreckiej w żółtej kurtce liberyjnej krzątali się pomiędzy głównym stołem a kredensem i bocznym stolikiem, gdzie stały kompoty.

Na ścianach świeciły białe kule lamp, nad stołem zwieszony brązowy żyrandol, promieniejący ognikami kryształowych sopli, lał światło na srebra i kryształy. Kwiaty w tej powodzi, nabierając życia, pachniały odurzająco.

Do sali weszła pani Idalja z ordynatem i rzekła do niego po francusku:

— Pierwsze miejsce zajmą księżna z ojcem, który ją poprowadzi. Reszta osób niech się sama dobiera. To nie obiad proszony. Może być swoboda. Ale ty, Waldy, powinienesz podać ramię Cwileckiej. W takim razie jej mąż mnie poprowadzi.

Waldemar, niezmiernie wesóły, odrzekł:

— Czyli że dla mnie przeznacza ciocia kopalnię djamentów. Zamienilbym ją z ochotą na jedną tylko perłę...

— Nie żartuj. Wiem, o kim mówisz... Dziwię się, że cię tak zajmuje ta dziewczyna.

Waldemar ściągnął brwi.

— Myślałby kto, że ciocia mówi o swej pannie służącej. Panna Stefanja nie jest z tych, które można zbałamucić — odparł podrażniony.

— Ale po takim wystąpieniu, jak twoje dzisiejsze, może myśleć, że jest czemś nadzwyczajnym. Moja prezentacja wystarczała. Twój wyskok był zbyteczny.

— Ja na tę kwestję inaczej się zapatruję. Zresztą odrazu widać, z kim ma się do czynienia. Zwłaszcza ciocia nie powinna o niej mówić w ten sposób, choćby ze względu na Lucię.

— Wymowny jesteś, mój drogi — sarknęła pani Idalja — lecz ostrzegam cię, że mogą wyniknąć plotki. Sama słyszałam jakieś nie-dorzeczne domysły Lory.

— Och! pani „hrabina“ może opowiadać, co chce. Niewielu znajdzie chętnych słuchaczy. Niech jej ciocia powie, aby nie próbowała robić przy mnie swych domysłów, bo wówczas nawet jej wyimaginowany hrabski majestat nie zamknąłby mi ust.

— Jako wyimaginowany?

— No chyba nie potrzebuję wyklądać cioci o istotności tytułu Ćwileckich. Wiedzą o nim wszyscy, zwłaszcza ich własne karety z koronami i stary kamerdyner, który się bardzo zadziwił, gdy mu wsadzili na guzy liberyjne dziewięć pałek. Wszystkie herbarze i kroniki milczą o tym tytule wcale nieuprzejmie.

Pani Idalja zacięła usta.

— Idźmy do salonu, zaraz podają.

W salonie do Stefci podeszła hrabina Ćwilecka, usiadła na stylowym foteliku i popatrzała na Stefcie z wysoka.

— Pani skąd pochodzi? — spytała sztywnym tonem.

— Z Królestwa, pani hrabino.

— Jak dawno pani zajmuje się nauczycielstwem?

— To moje pierwsze i ostatnie miejsce.

— Tak? pierwsze? I bratowa powierzyła pani Lucię? C'est une absurdité!

Młoda nauczycielka poczerwieniała.

— Widocznie potrafiłam wzbudzić zaufanie — odrzekła z uśmiechem.

— Ileż pani ma lat?

Stefcia spojrzała na hrabinę zdumiona.

— Dwadzieścia pięć — odparła bez namysłu.

Hrabina popatrzała na nią przez lornetkę, osadzoną na długiej złotej ręczce.

— Tak! — rzekła z przekonaniem — wygląda pani na to. Lucja mi mówiła, że pani ma dziewiętnaście. Odrazu wiedziałam, że to omyłka. Comment donc! Bardzo dobrze, że pani nie ukrywa swoich lat. Moja Michala jest w takim razie w wieku pani, chociaż wszyscy myślą, że jest młodsza.

Stefci zadrgały usta śmiechem, w oczach błysnęły iskierki żalu. Spojrzała na siedzącą opodal hrabiankę, zawsze poważną, apatyczną, wyglądającą na starszą siostrę pani Elzonowskiej.

Hrabina mówiła dalej:

— Podobno pani zostałaś nauczycielką nie z zamiłowania?

— Tak, ale zaczynam lubić swą pracę, dlatego głównie, że mam dobrą uczennicę.

Podszedł Waldemar, w ślad za nim hrabia Ćwilecki.

Hrabina krzykliwie zawołała do męża:

— Te voilà! Czy wiesz, Auguste? Panna Rudecka ma dwadzieścia pięć lat. Więc nie dziewiętnaście, jak mówiła Lucja. Mamy jednak dobre oko

Spojrzała na Stefcie i rzekła znowu:

— Oboje z mężem uważaliśmy, że to niemożliwe.

Waldemar spytał porywczo:

— O czym tu mowa? Nie rozumiem.

— O moich latach. Dodałam sobie powagi — śmiała się Stefcia.

— Niech panj ten wywiad zapisze w dzienniku. Niesłychane!

Waldemar mówił jakby od niechcienia, ale z widoczną ironją.

Hrabia, dotknięty, spojrział z niechęcią na żonę i rzekł wolno, jak zwykle:

— Mylisz się, Loro. Nigdy nic podobnego o latach panny Rudeckiej nie mówiłem.

-- Mais, mon cher, zapomniałeś.

Hrabia nie zdążył odpowiedzieć. Wszedł kamerdyner, oznajmiając, że podano do stołu.

W salonie zrobił się ruch. Ordynat podał ramię hrabinie i powiedział z widoczną irytacją:

— Kwestję chronologii trzeba odłożyć na czas nieograniczony, teraz służę pani.

Hrabina mówiła mu coś ze śmiechem, czego już Stefcia nie słyszała. Odeszli.

Hrabia spojrział bystro dokoła i ruszył do pani Idalji. Stefcia została sama. Widziała pary, idące do sali jadalnej, i była to dla niej znowu przykra chwila. Wyrzucała sobie, iż nie wyszła wcześniej, gdyż wtenczas ominęłoby ją powtórnie wchodzenie przy wszystkich.

W tej chwili podbiegła Lucia i, wsuwając rękę pod ramię Stefci, zawołała ze śmiechem:

— Wszystkie panie mają swoich rycerzy, a my pójdziemy z sobą. Zwiodłam pana Ksawerego. Mama poleciła mu, żeby panią prowadził, ale mu powiedziałam, że pani idzie z kim innym. Bo chyba pani woli iść ze mną. Prawda, panno Stefanjo?

— Ależ naturalnie! Doskonale zrobiłaś. Zresztą możemy sobie wyobrazić, że naprzykład ja jestem kawalerem.

— Oho! pani do kawalera niepodobna, prędzej panna Rita, tylko bez tej kokardy na głowie i gdy jest w amazonce.

Weszli do sali jadalnej.

Znowu kilka par oczu obrzuciło Stefcię ciekawymi spojrzeniami. Na końcu stołu siedział pan Ksawery, mając po obu stronach dwa miejsca dla Stefci i Luci.

Gdy Stefcia usiadła, pani Elzonowska spojrzała na nią z pod zmrużonych powiek i rzekła z intonacją w głosie:

— Myślałam, że już pani nie przyjdzie.

Stefcę oblała gorąca fala krwi. Zawahała się, co ma odpowiedzieć.

Przyszedł jej z pomocą i tym razem Waldemar. Zagadnął o coś panią Idalję. Położenie młodej dziewczyny zostało uratowane.

Gwar przy stole odżył na nowo. Rozmowy, śmiechy, dowcipy płynęły coraz gęściej. Ale dobre usposobienie Stefci minęło. Siedziała milcząco, prosząc Boga, aby kolacja skończyła się jaknajprędzej.

Wszyscy rozmawiali, milczała tylko ona i pan Ksawery. Ten był pochłonięty widokiem roznoszonych półmisków i tem, co miał na talerzu. Stefcia natomiast myślała ciągle, że jest intruzem, czuła się samotną, jak pomiędzy wrogami. W głowie wirowały jej bezładne marzenia, więc: Ruczajew, przyjazd do Słodkowic, sprzeczeki z Waldemarem, jej dzisiejsza rozmowa z hrabiną.

Gdyby nie Edmund, nie poznałaby tego świata, nie byłaby narażona na docinki, klujące ją dotkliwie. Wszyscy tu patrzą na nią, jak na istotę, pozbawioną praw ludzkich, nie należącą do świata. Patrzą, jak wspaniałe rośliny egzotyczne na skromny bławatek mimowoli zbłąkany w cieplarni.

Stefcia spojrzała na wiązanek kwiatów, leżącą przed jej talerzem.

Dziwnym trafem były to kwiaty polne: pierzasta brązowa trawka i białe margerytki z żółtymi środkami. Wzięła bukiet do ręki, myśląc, że to jej symbol: polne, wężle roślinki, rzucone między srebra i kryształy. Choć je olśnił blask i przepych, zwiędną i świat zginie dla nich. Podniosła głowę i nagle drgnęła.

Patrzało na nią kilka par martwych oczu z rzeźbionych ram portretów, zdobiących salę.

Oczy przodków Michorowskich, szare jak u Waldemara, przenikliwe, groźne, zdawały się wpijać w jej twarz, pytając: „Skąd się tu wzięłaś, plebejuszko, w tem gnieździe senatorów i hetmanów? Czego tu chcesz?” Stefcię przejmował dręszcz. Surowe spojrzenia, spoczywające na niej ze wszystkich stron, męczyły ją... Spojrzenia nieprzyjazne, odpychające.

— Co mnie od nich dzieli tak potężnie? Owi sławni rycerze-przodkowie? — myślała. — Odgradzają mnie od nich korony dziewięciopalkowe, mitry książęce i nazwa arystokracji, uświęcona przez tradycję rozpościerającą się zawsze na szczycie gmachu społeczeństwa. I czy ten szczyt tonął w słońcu, czy w chmurach, nigdy nie przestawał być najwyższym. Oni przywykli spoglądać z góry na ludzi, zajmujących niższe piętra, chociażby równie sławnych, często więcej zasłużonych. Uważali ich za podwalinę, na której mogli roztaczać swą magnacką świetność i wywieszać chorągwie z herbami. A ci mniejsi niech śpiewają hymny na ich cześć.

Jednak w tej uprzywilejowanej rasie jest jakiś urok nieuchwytny, działający na wytworne natury. Stefcia pomyślała, że powodem tego może być majestat ich wiekowego możnowładztwa. Choć nie widać na nich znaków podnioślejszych, ani bujnych polotów, jednak otacza ich jakiś urok piękna zewnętrznego, są oni w społeczeństwie jakby dekoracją. Niektórzy z nich, jak staruszka księżna, pociągają ku sobie siłą nieprzepartą. W księżnej przebija wyższość rasy; widać, że to magnatka w każdej kropli krwi, prawnuczka karmazynów. Jest w całej pełni wielką panią, rozumiejącą swe zadanie. Stefcia słyszała o jej działalności i wielkiem sercu. Pan Maciej, do niej podobny, ma duszę subtelnego arystokraty; ale jest znacznie starszy, trochę ociężały.

Stefcia spojrzała na Waldemara.

A ten?... Jest wielkim panem, rodowym karmazynem. Nie robi ujmy swym przodkom. Przeciwnie, mogą się nim szczycić. Czynny, energiczny, prawdziwy pan, magnat i milioner, pojmował poważnie swe zadanie w społeczeństwie. Pan Maciej, wielki gaduła, opowiadał Stefci, że nie sądził nigdy, aby Waldemar potrafił się tak zmienić. Dawniej żył inaczej. Po skończeniu uniwersytetu w Bonn i szkoły rolniczej w Halli, wpadł w wir życia, szalał. Przesiadywał za granicą, podróżował. Znał całą Europę. Zwiedzał Algier i Egipt. Polował w Indiach i w stepach amerykańskich, wdrapywał się na szczyt gór, marzył na fjordach norweskich. Zwiedzał kliniki, miewał dysputy z uczonymi, ciekawie zaglądał do wielkich laboratoriów chemicznych, w obserwatoriach meteorologicznych robił doświadczenia. Pociągały go fabryki,

w dokach nowojorskich wtajemniczał się drobiazgowo w pracę robotników. Jego stosunki i miliony otwierały mu wszelkie instytucje. Miał wstęp do zakładów Kruppa w Essen, w odlewniach armat pracował kilka dni powodowany nieprzepartą chęcią poznania wszystkiego. Robił próby ze sławnym młotem Frycem, miał rewolwer zmielony na proch przez olbrzyma fabryk essenskich i złoty pierścień z brylantem, na który Fryc spuścił się i dotknął go, nie uszkodziwszy zupełnie. Na Wezuwjuśzu zapalał cygaro, zwiedzał dom Napoleona I-go na wyspie św. Heleny, w galerjach Louvre'u i w drezdeńskich przesiadywał godzinami, wpatrzony w dzieła sztuki. Rozrzucał pieniądze, miewał awantury i skandaliki przeważnie na tle erotycznym, był ulubieńcem najwykwintniejszych kół towarzyskich. Obracał się w sferach dworskich w Wiedniu, gdzie wśród magnaterji węgierskiej zyskał wielką popularność, będąc spokrewniony z kilkoma najpotężniejszymi domami przez swą prababkę. Tracił na kobiety, nawet trochę grał w karty, lecz to nie wchodziło w zakres jego namiętności. Odbył kilka pojedynków, zakończonych zwycięstwem, zawdzięczając to swej odwadze i ćwiczeniom w fechtunku i strzelaniu. W Jockey Clubie wiedeńskim zrobił raz awanturę jednemu z arcyksiążąt za to, że ten nazwał Polskę krajem podgolonych łbów i grzmiących języków. Sprawa oparła się o dwór i arcyksiężę jak niepyszny musiał przeprosić polskiego magnata. Kobiety szalały za nim: jedne olśniewał blask milionów i świetna partja, inne kochały go prawdziwie. Lecz on choć wiedział, że jest wszędzie pożądanym, jednak nie znalazł sobie żony. Po pięciu latach hulanki, nastąpił przesyt, znudziły go triumfy, miłostki, nawet podróże, powrócił na stałe do kraju.

Pan Maciej opowiadał Stefci, że Waldemar ma trzy namiętności: konie, polowanie i kobiety, choć te już mu trochę zubożniały. Polowania urządzał wspaniale, nawet w czasach swych podróży; zjeżdżali wówczas do Głębowicz magnaci z całego świata. On sam wyjeżdżał często na polowania do swych przyjaciół, prawie do wszystkich domów arystokratycznych, gdzie go zawsze mile widziano. W koniach lubował się, lecz nie puszczał na wyścigi, mówiąc, że nazbyt je lubi, aby oddawać w ręce dżokejów i patrzeć, jak nogi łamią.

Stefcia wiedziała to wszystko od pana Macieja, trochę od pana Ksawerego i sama już miała parę przykładów szlachetności i dobroci serca ordynata. Dwoistość jego charakteru przebijała wyraźnie; miał dobre serce i jednocześnie dużo złośliwości; w gniewie gwałtowny, najczęściej ironiczny, miał delikatny i subtelnie rozwinięty dobry smak. Przy swej szlachetności był trochę egoistą, nie pozwalał nikomu dotknąć jej nieśtosownym żartem, ale sam gniewał ją stale i lubował się tem. Stefcia nie lubiła go, jednakże spostrzegła, że jest on więcej wart od innych i od pani Idalji w pierwszym rzędzie. Zrozumiała jego wyższość nad Edmundem.

Tamten zapewniał, że ją kocha, przysięgał jej przecież, a opuścił tak lekko, jakby nie wiedząc, że i ona ma serce, które mogłoby cierpieć.

Waldemar nie lubił jej, może nawet nienawidził, jednak wyratował ją z przykrej chwili w salonie, a uczynił to naturalnie i wykwinicie.

Stefcia spojrzała na niego po raz drugi.

Rozmawiał z paniami ze zwykłą swobodą i pewnem zaniedbaniem, czasem kpiąco. Ruchy miał cokolwiek rozrzucone, lecz to nadawało właściwy jemu wdzięk. W zaniedbaniu jego przebijał szyk i dystynkcja zupełnie odrębna, jego własna. Nie był pięknym, ale miał w sobie coś

nieokreślonego, co robiło wrażenie. Smukły i bardzo zgrabny, posiadał rysy wyraziste i pleć smagłąwą, włosy ciemno-blond, ładnie rozdzielone z boku głowy; małe wypukłości nad pysznie zagiętymi brwiami zdawały się skupiać w sobie energję, siłę woli i zdolności. Oczy miał szare, przenikliwe, o rozumnym i stanowczym wyrazie, zawsze prawie drwiące, często figlarne; niesłychanie piękne usta, wydatne, ponsowe, ocienione eleganckim, w miarę bujnym, złotawo-blond wąsem, trochę najeżonym i rozczesanym na końcach. Na twarzy widniała głęboka myśl w połączeniu z odrobiną nudy; w oczach gwałtowność, czasem duma, lub też błyskały w nich iskry żartu. Z ust poznawało się epikurejczyka, uśmiech, jeśli nie był ironiczny, miał w sobie dużo łagodności.

Stefcia, patrząc na niego, spotkała jego wzrok, lecz nie spuściła oczu. On błysnął uśmiechem, ona zagadnęła o coś pana Ksawerego.

Nie miała nawet z kim rozmawiać. Lucia bawiła się dobrze ze swym sąsiadem, pan Ksawery myślał o potrawach, a jej sąsiad z drugiej strony, pan o pokaźnej tuszy, rozmawiał bez przerwy z całym towarzystwem, zgromadzonym przy stole. Stefcia widziała przed sobą jego rękę białą i pulchną, jakby zrobioną z waty; w palcach kręcił wiązanke kwiatów. Nikt na Stefcię nie uważał. Siedziała na końcu stołu i mogła pozostać odosobnioną. Woląa słuchać rozmawiających.

Spoglądała często na ożywioną twarz pani Idalji i jej duże piwne oczy, które tylko na nią patrząc, stawały się szpareczkami. Przesuwała wzrok po jej zielonej bluzce i grubym złotym łańcuchu od zegarka; patrzyła na pannę Ritę, rozbawioną i z apetytem zajadającą indyka. Widziała zadartą głowę i błyszczące szkła Trestki, kolosalną postać księcia Franciszka Podhoreckiego, sympatyczną drobną osóbkę jego żony, pęsną twarz Ćwileckiego, ordynarną hrabiny. Parę razy, za przykładem wszystkich, podniosła przy toastach kieliszek w górę, ale nie piła nic i jadła mało.

Waldemar, rozlewając wino, podszedł do niej. Podniosła na niego oczy i odsunęła kieliszek. Wę wzroku Waldemara dostrzegła wyraźny błysk życzliwości, do uszu jej doleciał leciuchny szept: „Biedne dziecko!”

Stefcia zdumiała się.

Jakto? On jej nie wyśmiewa, on nie krytykuje?

— Widocznie bardzo biednie wyglądam, skoro wzbudziłam jego litość — pomyślała z żalem.

Po lodach pani Elzonowska powstała. Zrobił się ruch ogólny.

W pierwszej parze odszedł od stołu pan Maciej, prowadząc pod rękę księżnę, w drugiej Waldemar z hrabiną Ćwilecką, dalej księżę Podhorecki z panną Żyżemską, Ćwilecki z panią Idalją, Trestka z panną Ritą, Stefcia chwyciła pod rękę Lucię i szły na końcu tej wielkopańskiej procesji. Pan Ksawery korowód zamykał.

I znowu w salonie płynęły rozmowy, przeplatane wesołemi śmiechami. W końcu młodsze towarzystwo zaczęło dokazywać. Panna Rita i Waldemar wiedli rej, dowcipkowali, pletli gupstwa, pobudzając do ciągłej wesołości.

Pannie Ricie towarzyszył Trestka, co ją widocznie drażniło. Waldemar natomiast, w niesłychanym humorze, bawił Stefcię, prawiać jej grzeczne słówka, potem zaczęli się po swojemu kłócić. Gdy jednak ktoś inny podszedł do nich, Waldemar zmienił ton i przedmiot rozmowy tak zręcznie, że Stefcia nie mogła powstrzymać uśmiechu, ubawiona, ale wdzięczna za jego krytykę. Po raz drugi prosił ją o muzykę.

— Proszę, niech mnie pan uwolni od tego — szepnęła.

— Jak pani każe — odrzekł, skłaniając głowę — ale w zamian proszę, aby pani zagrała kiedy wyłącznie dla mnie. Czy dobrze?

— Owszem — odparła, ujęta jego ustępstwem.

— Przepadam za Beethovenem, a pani podobno wykonywa go po mistrzowsku. Mówił mi o tem dziadek.

— Jednak pańskiemu dziadkowi grywam najczęściej Chopina. Najbardziej lubi jego nokturny.

— Bo dziadek mój jest marzycielem, a ja przeciwnie — odrzekł Waldemar.

Dochodziła druga po północy, jak się goście zaczęli rozjeżdżać. Noc była jasna, ciepła, pełna woni, panowała cisza głęboka, upajająca i czarowna w swych matowych blaskach, jakimi obsypywała świat, spowijając go w srebrzystą tkaninę, usianą djamentami.

Po gwarnych pożegnaniach wolanty i powozy ruszyły, za nimi posunął brek.

Po chwili ciemne sylwetki koni i zaprzęgów znikły w przeczystej jasnej topieli, zalewającej pola i oparami otulone łąki.

Stefcia na ganku oddawała dobranoc pani Idalji i Waldemarowi. On mocno ścisnął jej rękę i przytrzymał w swej gorącej dłoni.

Spojrzała zdziwiona, ale widząc jego palące oczy utkwione w siebie, prędko wysunęła rękę; szła jeszcze oddać dobranoc panu Maciejowi, pozostałemu w salonie. Waldemar zauważył, że przy bladym świetle księżycy jest ładniejsza, niż zwykle, i bardzo ponętna. Zagrała w nim krew. Odchodząc do swych pokoi zaciskał zęby z wściekłością i mruzczał do siebie:

— Muszę ją mieć, muszę! Drażni mnie, działa jak haszysz. Chcę się nią upić.

I długo chodząc po sypialni, układał plany obłąnnicze.

VII.

Na drugi dzień rano Stefcia wstała z bólem głowy i dziwnie przykrem uczuciem. Było jej smutno. Ciężar niezmierny przygniatał ją, odbierając swobodę myśli.

Lucia mówiła, że posłano już na kolej po praktykanta, że jest bardzo ciekawa, czy ładny i... czy dobrze urodzony.

W Słodkowcach jadano obiad o drugiej. Zaraz po skończeniu lekcji wszedł do klasy lokaj, prosząc do stołu.

— Czy pan ordynat powrócił — spytała go Lucia.

— Tak jest, przyjechał jaśnie pan z drugim panem z kolei, co już tu ma być na stałe.

— Praktykant! — zawołała Lucia i po odejściu lokaja stanęła przed lustrem, poprawiając bluzkę i włosy. — Jak to dobrze, że już przyjechał! Ciekawam, gdzie go mama posadzi przy stole. O! będzie teraz weselej w Słodkowcach, a tak tylko wtedy wesoło, jak przyjeżdża Waldy. Chodźmy już!...

Przed drzwiami jadalnej sali Stefcia doznała wrażenia lęku. Weszła szybko i zbliżyła się do stołu. W tem spojrzała na Waldemara, podchodzącego do niej z powitaniem, i dusza zdrętwiała w niej z przerażenia.

Obok Waldemara stał Edmund Prątnicki.

Stefci zaszumiało w głowie, cienie zaczęły jej skakać przed oczyma, jakby padał czarny śnieg. Doznała wrażenia, że ktoś cisnął na nią ciężki rozpalony przedmiot. Jej twarz w jednej chwili zbielała. Stefcia instynktownie cofnęła się, jak na widok szerszenia, który uciał ją raz aż do krwi. Nieprzytomnie podała rękę Waldemarowi, spostrzegła jego oczy szeroko otwarte ze zdziwienia i usłyszała jego słowa:

— Pozwoli pani przedstawić sobie pana Edmunda Prątnickiego...
Panna Stefanja Rudecka — dokończył.

— Witam panią — zawołał Prątnicki z zupełną swobodą, podając jej rękę zamasyście. — Nadzwyczajne spotkanie! — dodał wesoło.

— Państwo się znają? — spytała pani Idalja.

— Doskonale! Sąsiadujemy z sobą. Prawda, panno Stefanjo?

— Tak — odparła zapytana i usiadła cicho na krześle.

Było jednak w niej coś takiego, że pani Idalja nie pytała więcej, natomiast odgadła, że między Stefcią a młodym praktykantem coś kiedyś musiało zajść. Zaczęła ich nieznacznie badać. Pan Maciej, zdziwiony zachowaniem się nauczycielki, milczał. Lucia nie mogła usiedzieć z ciekawości. Tylko Waldemar zrozumiał wszystko. Zmieniona twarz Stefci, siła wrażenia, jakiej uległa, wreszcie jej milczenie utwierdziło go w przekonaniu, że młody praktykant jest niedoszłym jej narzeczonym. Waldemara drażniła jego swoboda. Prątnicki sam jeden mówił dużo i wesoło, zerkał na Stefcię z uśmiechem niesmacznym, wogóle zachowywał się hałaśliwie. Zdawał się nie rozumieć, że prosta delikatność nie pozwalała być swobodnym wobec takiego spotkania.

Młody Michorowski odrazu powziął niekorzystne wyobrażenie o wychowaniu, nawet o charakterze swego praktykanta. Polecał go wpływowi obywatel. Waldemar znał Prątnickiego jedynie z listów, w których przedstawiał się zupełnie inaczej. Ordynata gniewało niespodziewane spotkanie Stefci z Prątnickim, jego rubaszność i odcień lekceważenia, oraz drwiące uśmieszki, jakimi ją obrzucał.

— Jak on śmie? — myślał z oburzeniem i siedział zły, nie chcąc podtrzymywać rozmowy.

Drażniła go pani Idalja, badająca Stefcię, nawet gniewała go Lucia, wpatrzona z zachwytem w ładną twarz przybyłego.

Waldemar wyrzucał sobie, że nie mówił przy Stefci nazwiska praktykanta, bo gdyby spostrzegł najmniejsze wrażenie, zbadałby przyczynę i cofnął wszelkie z nim układy. Teraz już zapóźno. Zgnębienie Stefci sprawiło mu ogromną przykrość.

A Stefcia istotnie cierpiała.

— Czy on wiedział o mej obecności w Słodkowcach, czy to tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności? Skądby wiedział — może od sąsiadów Ruczajewa? i postarał się wejść mi w drogę. W jakim celu? — myślała gorączkowo.

Była wprost ogłuszona. Po pierwszej chwili przerażenia ogarnęła ją rozpacz. Może on podążył za nią umyślnie, aby ją skłonić do opuszczenia Słodkowic? Może on przebłagał jej ojca, a teraz od niej zażąda słowa i ręki.

A ona? już nie mogłaby powtórzyć mu, że go kocha, nie mogłaby mu oddać ręki bez popełnienia fałszu. Zrozumiała siebie i swe uczucia, omyliła się strasznie...

Jego swobodne powitanie zastanowiło ją. Chyba wiedział o jej obecności w Słodkowcach? Ta myśl wracała jej uporczywie.

Ochłonawszy, młoda dziewczyna słuchała jego rozmowy ze zdumieniem. Ten człowiek wydał jej się inny, nienaturalnie wesoły i zbyt hałaśliwy. Mówił o sobie z chępliwością, znamionującą zarozumialca; dla pani Idalji, jej ojca i Waldemara był zanadto uniżony. Stefcie to raziło. Nie mogła pojąć, gdzie są zalety, widziane w nim poprzednio.

Ale wówczas działał na nią urokiem, ubierała go w tęczowe blaski, jakich w istocie nie posiadał. Stefcia przechodziła prawdziwe męczarnie. Drażnił ją głos Edmunda i nie rozumiała obecności jego w tem miejscu. Męczył ją badawczy wzrok pani Idalji i zupełne milczenie Waldemara.

— Ten odgadł wszystko — myślała — i teraz będzie ostrzył na mnie dowcip... Powinam wyjechać stąd. Wyznam wszystko pani Idalji. Ona zrozumie mnie i odczuje. Wówczas powrócę do swoich, szczęśliwa i spokojna. — Nagle, na wspomnienie wyjazdu, Stefcia doznała niepokoju, uczuła w duszy leciuchny żal, sama nie rozumiejąc, dla czego.

— Dzieciństwo! — pomyślała z gniewem. Przeniknął ją dreszcz strachu na samo wspomnienie, że on może po nią tu przyjechał. Teraz on jest dla niej niczem.

Od pierwszego spojrzenia na Edmunda nie patrzała na niego więcej, siedząc jakby w odrętwieniu. Ale ciekawość w niej przemogła. Odczuwając zmianę w jego głosie, chciała zobaczyć, czy zmieniony z powierzchowności. Podniosła oczy. Nie zmienił się: pozostał bardzo pięknym chłopcem, lecz dawniej widziała w jego rysach inny wyraz, w oczach inną myśl. Teraz te same rysy, ściągnięte płaskim uśmiechem, oczy zdradzają pospolitą naturę... żadnej podniosłości, ani odrobiny dawnego ideału. Inny człowiek! Stefcia miała wrażenie, jakby spojrzała z bliska na zwyczajny kamyk, w promieniach słońca wydający się klejnotem bez ceny.

Edmund zwrócił na nią oczy. Świeciły w nich błyski cynicznego uśmiechu.

Twarz jej poczerwieniała, nerwami zatargało oburzenie. W tem zabrzmiał jego głos:

— Dlaczego pani jest dziś tak milcząca, panno Stefanjo? Nie poznaję pani i, jako dobry znajomy, mogę mieć pretensję, gdyż wydaje mi się pani niezadowoloną z mej obecności. Czy tak?

Stefcie te, bezczelne słowa wyprowadziły z równowagi. Zagrała w niej krew obraza, podrażniona ambicja ukuła, jak żądłem.

Zmierzyła Edmunda chłodnym wzrokiem, ale odparła spokojnie:

— Nie spodziewałam się spotkać tu pana, nic więcej.

— Ale spotkanie chyba ucieszyło panią. Ja bo na przykład jestem szalenie rad.

Nic nie odpowiedziała, tylko zagryzła usta. W głosie jego czuć było wyraźne drwiny.

Pratnicki przechylił się przez stół i natarczywie powtórzył raz jeszcze:

— Jestem niezmiernie ucieszony.

— Widać to — odrzekła podrażniona.

— Doprawdy? Ha! ha! To dobrze. Ja lubię być wesołym.

— Czy pan zawsze ma tak... przyjemny humor? — zapytał Waldemar, poruszając się nerwowo na krześle.

Mówił z nieukrywaną iracją i na wyrazie „przyjemny“ położył nacisk.

Pratnicki szybko spojrzał na niego i zeszywniał: twarz młodego magnata była jak z lodu, na ustach widniał niesmak, w zmarszczonych brwiach jakaś przestroga, coś groźnego. Całą postacią mówił: „Nie zapominaj, że ja tu jestem“.

Młodzieniec zrozumiał, że jest w towarzystwie, gdzie jego „przyjemny humor“ trochę razi. Słowa Waldemara dotknęły go i otrzeźwiły natychmiast. Niebardzo wiedział, co odpowiedzieć, lecz Waldemar nie czekał odpowiedzi. Z cygarniczką w ręce, zwrócony do pani Idalji i Stefci, spytał grzecznie:

— Panie pozwolą?

Pani Elzonowska skinęła głową, lecz spojrzała na niego zdziwiona. Waldemar przy poobiedniej kawie palił cygaro, ale pozwolenie miał już udzielone raz na zawsze. Teraz jednak pytanie Waldemar skierował głównie do Stefci, bo, gdy ona nie spostrzegłszy się, nie zrobiła najmniejszego ruchu, Waldemar z wykwinną uprzejmością zwrócił się bezpośrednio do niej:

— A pani?

— O. proszę pana — odparła z uśmiechem.

Pratnicki zagryzł wargi. Grzeczność ordynata dla nauczycielki była dla niego nauką. Odczuł, że dano mu ją umyślnie. Zbyt lekceważąco odzywał się do Stefci i oto ten arystokrata zręcznie, a jednak wyraźnie dał mu do zrozumienia, że postąpił niewłaściwie.

Edmund rzucił wzrokiem na pana Macieja, panią Idalję i przekonał się, że i oni także nie ujawniali zachwyków nad nim. I pomyślał, że obcy ludzie biorą stronę tej dziewczyny, a on, który za nią szalał, nie wahał się teraz przemawiać do niej w sposób lekceważący. Dlaczego tak robił, nie wiedział. Wprost doznawał dzikiej przyjemności na widok jej rumieńców, był przekonany, że ona go kocha, i to go ośmielało.

Dowiedział się o jej bytności w Słodkowcach od jednego z sąsiadów Ruczajewa, nie pomyślał nawet, że spotkanie może być dla niej przykre. On się cieszył i to mu wystarczało.

Uplanował mścić się na niej, rozkochać ją na nowo, jeśli zapomniała. Wyobrażał sobie, że Stefcia, kochając go, potrafi znosić cierpliwie jego żarciki.

Na wstępie doznał zawodu.

Wprawdzie widział wrażenie, jakie sprawił na pannie Rudeckiej, lecz i ono było inne, niż się spodziewał. Górowało przerażenie tak ogromne, że aż zdumiał. Lodowata twarz Stefci nie zdradziła ani odrobiny zadowolenia, ani cienia radości.

Na jego zaczepki zmierzyła go tak szyderczym wzrokiem, że mimo woli uczył dreszcz.

Co jej się stało? — pomyślał ze złością — skąd ta pogarda?

Jednocześnie jakiś głos wewnętrzny syknął w nim, przypominając jego postępek z przed paru miesięcy. To go rozdrażniło, postanowił jej dokuczyć. Ale Waldemar nie pozwalał jej lekceważyć. Pratnicki rozumiał, że go wzięto na munsztuk i że ona ma tu obrońców, z którymi powinien się liczyć. Po pierwszej chwili zmieszania ogarnęła go wściekłość. Postanowił zemścić się na dziewczynie w inny sposób. Błysnęła mu w głowie genialna myśl, godna najzdolniejszego dyplomaty.

Od samego początku obiadu zauważył niebieskie oczy Luci, spoczywające na sobie z nieukrywanym zachwytem, i to zapaliło w jego mózgu

myśl pełną natchnienia: odrazu wydała mu się ona tak świetną w następstwach, że mimowoli skłonił głowę, jakby z uznaniem dla samego siebie.

Obiad się skończył. Pani Idalja powstała od stołu i Waldemar zabrał swego praktykanta do gabinetu dla obznajomienia go z jego zajęciami.

VIII.

Przeszło kilka tygodni. Życie panny Rudeckiej stało się ciągłą walką najróżnorodniejszych uczuć, często bardzo sprzecznych. Obecność Edmunda działała na nią niepokojąco, drażniła, wprowadzając w stan nerwowego rozstroju.

Stefcia wyznała szczerze pani Elzonowskiej, kim jest Edmund, powiedziała, że spotkanie z nim zanadto ją męczy i prosiła o zwolnienie. Pani Idalja okazała jej współczucie z całą taktyką wielkiej damy, ale nie zgodziła się na wyjazd. Ponieważ jej osobiście podobał się Prątnicki, więc nie powtórzyła prośby Stefci ani ojcu ani Waldemarowi. Odgadywała, że pan Maciej chciałby zapobiec cierpieniom Stefci, a gdyby to doszło do Waldemara, Edmund przestałby istnieć w Słodkowcach.

Pani Idalja nie życzyła sobie jego wyjazdu. Dla niej młody, przystojny i wesoły praktykant stał się miłym towarzyszem codziennych obiadów i kolacji. Umiał jej zręcznie pochlebiać, lechtać jej ambicję, przytem, zabawny i dowcipny, potrafił bawić. Zawsze z wielką żywością chwalił Lucię i w pani Idalji odczuwał jedyną przyjaciółkę i sprzymierzeńca.

Waldemar nie lubił go aż nadto wyraźnie, pan Maciej również. Dla Stefci stał się obojętnym. Luci mówił grzeczności, wiedząc, że matka to lubi. O samą Lucię mniej mu chodziło. Nie uważał, że jego nadskakiwania robiły na dziewczynce wrażenie zupełnie niepożądane.

Lucia, jak sobie przepowiedziała, zadurzyła się w nim odrazu. Pociągnęła ją jego uroda istotnie przepyszna, reszty dopełniły hołdy, do jakich jej jeszcze nie przyzwyczajono. Z tego powodu i stosunek jej do Stefci uległ zmianie. Swoboda dziewczynki znikła. Myślała zawsze, że Stefcia kocha Edmunda. Czuła do niej żal i obawę, aby ona nie spostrzegła jej uczuć. Stefcia odgadła wszystko.

Bała się o spokój Luci, lecz mówić z nią o tem nie mogła, z panią Idalją nie śmiała. Pozostał pan Maciej, lecz jego także nie chciała dręczyć.

Taktyka i nieszlachetność Edmunda oburzyły ją. Wszystko to składało się dla niej na życie pełne zmartwień i niepokoju. Przyjazdy Waldemara sprawiały jej ulgę. Witała go z przyjemnością zupełnie różną od dawnej niechęci. Wówczas drażnił ją, teraz występował w charakterze obrońcy przed Prątnickim.

W obecności Waldemara panowała swoboda. Rozweselał wszystkich, prócz jednego Edmunda, który przy młodym ordynacie tracił werwę, nie pozwalał sobie na żarciki ze Stefcią, nawet nie pochlebiał Luci, wiedząc, że ordynat nie lubi go.

Prątnicki oddychał, gdy Waldemar odjeżdżał, Stefcia oddychała, gdy przyjeżdżał; czuła się przy nim swobodniejsza, mniej rozgoryczona. Ich sprzeczki trwały, lecz już odmienne, więcej w tonie obopólnego żartu, dowcipne, nawet cięte, ale bez domieszki dawnej złośliwości. Nie

klócili się nigdy przy Edmundzie, za co Stefcia musiała być wdzięczną Waldemarowi. Rozmawiali z sobą dużo i zajmująco.

Inteligencja i wykształcenie jego imponowały dziewczynie. Ale po każdym wyjeździe ordynata cierpiała podwójnie. Edmund mścił się na niej niesmacznymi żartami za rozmowy z Waldemarem i za to, że sam nie może brać w nich udziału, bo poruszali często kwestje mało mu znane. Zresztą praktykant w obecności Waldemara tracił swój burzowski humor. Nawet pani Idalja mniej mu wierzyła przy swym kuchynie, choć zwykle Waldemar nie miał u niej wielkich łask.

Pewnego dnia po obiedzie Stefcia grała w salonie. Lucia, wciśnięta w fotel, czytała ilustrowane dzienniki. Nagle wszedł Waldemar, niosąc sporą paczkę. Lucia z okrzykiem zerwała się pierwsza.

— Przyjechałeś?... Jak to dobrze... Coś przywiózł?...

Ordynat powitał Stefcie.

— Mam tu dla pani obiecane książki. Jest „Korynna“ i „Delphina“ pani Stael, jest kilka tomików Byrona w oryginale. Czy pani jest dość silna w angielskim, aby czytać? Mówi pani dobrze...

— I rozumiem wszystko. Nie czytałam wprawdzie w oryginale, lecz spróbuję — odrzekła Stefcia, dziękując.

— Horacego przywiozę innym razem. A może pani chce coś z naszej literatury?

— Owszem, poproszę pana o Lama i Mochnackiego, jeżeli pan posiada.

— Ależ dobrze, mogę pani służyć i Skargą i Rejem, i Kollatajem i kim pani zechce. Moja biblioteka na rozkazy pani.

— Jest widać niewyczerpana.

— Szczycę się tem, że jedna z największych w kraju. Ale przerwałem pani muzykę.

Stał przed pulpitem, odrzucił kilka stron w zeszycie z nutami i zatrzymał się na dwunastej sonacie Beethovena As dur.

— O tę proszę. Ślicznie pani oddaje scherzo i marsz żałobny.

— Skąd pan wie?

— Słyszałem raz, kiedy mnie pani nie widziała.

— O! to się muszę strzec — zaśmiała się Stefcia, siadając do fortepianu.

Waldemar stanął za nią, ale spojrzał na bok i, widząc Lucię zatopioną w czytaniu, zawołał klasnąwszy w dłonie:

— Hoła panienko, to nie dla ciebie jeszcze lektura.

Lucia zamknęła książkę.

Nudni jesteście ty i panna Stefanja. Ja dawniej czytałam nawet Zolę, a teraz mi nic nie wolno.

Waldemar zaśmiał się.

— Emancypowana pani pupilka, co? — rzekł do Stefci. — Pewno, że po Zoli blado wygląda Mickiewicz, jak moralne jasełka po pikantnej operetce.

— Nieznośny jesteś — oburknęła nadasana Lucia.

— No, Lucia, cicho! Przecież pan żartuje.

Waldemar ucałował dziewczynkę. Ona mu się wyrwała i wybiegła z pokoju.

Stefcia zaczęła grać z pamięci. Ordynat usiadł. Chwilę patrzył na grającą, oparł czoło na dłoni i, zagłębiając się w fotelu, znieruchomiał.

Stefcia początkowo Andante grała z roztargnieniem. Obecność Waldemara niepokoiła ją. Nogi miał założone jedną na drugą. Widziała eleganckie buty jego z ostrogami, opinające prawdziwie arystokratyczne stopy, i drażniły ją w dziwny sposób. Pierwszą warjację przegrała bezdźwięcznie.

Waldemar poruszył się, odjął rękę od czoła i palcami najeżając wąsy w sposób sobie właściwy, z podniesieniem ust w górę, patrzył na nią badawczo.

Dziewczyna dojrzała jego ruch, odczuła wzrok i zrozumiała, że spostrzegł jej roztargnienie. Następną warjację wykonała dobrze, trzecią i czwartą z brawurą i znakomitą techniką, piątą artystycznie, z pełnią uczucia, jakby grając, mówiła zarazem. Waldemar, wsparty na dłoni, słuchał w skupieniu.

A Stefcia cieniowała piątą warjację, jakby haftując na klawiszach perłami i cudną pelą. Wdzięczne, lekkie nuty płynęły z tęsknotą, namiętnie, pieszcząc i unosząc się w błękity. Ostatnie akordy jęknęły rozpacznie, i nagle posypało się rześiste, jak złote kropelki, Scherzo.

Zadrgały szybkie nuty na klawiszach, niby łopot skrzydełek ptasich, zaszumiły gradem srebra, spływając hucznie w spokojniejsze Trio. Przebrzmiały błyskotliwe nuty, zgasły. Chwila ciszy i zabrzmiał tragiczny, pełen majestatu marsz żałobny.

Powaga, groza, potęga szły z grzmiących nut. Stefcia z wypiekami na twarzy, z błyszczącymi oczyma kładła w tony siłę i energję duchową, cały zasób swych zdolności dramatycznych. Marsz porywał, wzbudzał grę nerwów. Gdy w drugiej części zawarczały bębny, groza wzmogła się, krew zatrzymując w żyłach. Stefci tętna waliły w skroniach, grając oddychała szybko, przejęta do głębi duszy.

Waldemar powstał, podszedł krok naprzód i oparty o konsolę kominka, z dreszczem w żyłach przepalał Stefcię gorejącymi oczyma.

— Co za temperament, jaki zapal! — myślał, widząc ruch jej palców i ogień na twarzy.

Olbrzymia siła namiętności, jakiej dawno już nie doznawał, pchała go do niej. Uczuł, że pożąda tej dziewczyny, że ona przepala mu krew, szarpie nerwy.

— Ogień, ogień — mrucał przez zaciśnięte zęby. I skurcz szalonej, namiętnej fali ściągnął jego brwi, poruszył nozdrza, drżał na ustach. Miał wygląd orła gotowego do zadania ciosu, szeptał już wściekły:

— Ona musi być moja... Kobieta, która tak porywa mężczyznę, musi ulec. Zdobywałem wiele mniej pożądanym, więc i ją mieć będę... To ogień!... wulkan... Ale dwa ognie poparzyć się nie mogą... i tyle rozkoszy!...

Nagły prąd pchnął go naprzód.

Stefcia rzuciła na klawisze ostatnie akordy marsza. Ordynat rozgorączkowany stanął tuż za nią, pochylił się. Ostatnią siłą woli panował nad sobą, by nie porwać jej w ramiona. Czuł rozkosz, lecz i dziwną niemożebność tego czynu. Szatan namiętności zapalał go, a biały, czysty duch owiewał Stefcię iluzją, jakiej nawet jego demon rozedrzeć nie śmiał.

Waldemar walczył... Płomienie buchnęły mu na twarz, oczy gorzały piekłem pożądania. Nie zdołał wytrwać, pochylił głowę niżej, oddech jego palący, przepojony ogniem wewnętrznym sparzył szyję Stefci, jego ramiona były o włos od jej ramion. Dziewczyna drgnęła, odwróciła

głowę, jej oczy ogromne, tęskne, spojrzały na Waldemara zdumione. Patrzyli na siebie. Stefcia blada, z dreszczem przestachu zerwała się z krzeselka.

Ale on ją zatrzymał.

— Niech pani gra... Błagam!

Usiadła zniewolona siłą jego głosu. On przetarł czoło i odsunął się.

Stefcia rozsunała piątą warjacje tak lekko, że mniejszego szmeru nie wydaje motyl, trącąc skrzydełkami o kwiaty. Jak w osłupieniu przegrała warjacje do połowy, prędko wstała i, zamykając fortepian, szybko pobiegła do drzwi.

Od okna wzburzony ordynat skłonił jej się grzecznie.

— Zakończyła pani ślicznie. Całość wspaniała. Dziękuję.

Dziewczyna wybiegła.

Waldemar popatrzał za nią i rzekł głośno:

— Ogień zamknięty w kielichu białej lilii.

Podwieczorek zastawiono na tarasie. Waldemar już spokojny, wesoły, unosił się nad grą Stefcia, żartował z Luci, nawet z Prątnickim rozmawiał uprzejmiej, niż zwykle. Sam zaproponował przejażdżkę łódką po jeziorze.

Stefcia się rozchmurzyła. Popłynęli we czworo. Waldemar wiosłował. Prątnicki ujął mechanicznie ster w ręce, Stefcia i Lucia usiadły na środkowej ławeczce, zwrócone do Waldemara. Ale Lucia zmanewrowała tak, że za chwilę była już nawprost Edmunda.

Łódka odbiła od brzegu. Zachód czerwcowy rzucał gorące iskry na błękitną wodę, łabędzie z rozpostartymi skrzydłami płynęły za łódką. Stefcia pluskała na nie wodą, ciesząc się widokiem rozgniewanych ptaków. Waldemar patrzył na jej ręce, jak zanurzone w wodzie przybierały tony perłowe, słuchał jej śmiechu i myślał:

— Jak łatwo to zmaćić... Wystarczy porwać ją za rękę i zgnieść w swojej, albo przywołać szatana w oczy i wpić się nim w jej usta, i już ta swoboda, ten śmiech jasny zgaśnie, zwarzy się niby płatek konwalji na mrozie. Cóż to za dziewczyna?... Bo nie anielica, a ma czystość anioła... nie demon, a ma temperament i ogień szatański. Fenomenalne! Czyż dla zdobycia jej mam się przemienić w anioła?... Nie, tego nie potrafię. Zresztą nie pragnę jej anielskości. Przeciwnie, chcę, aby mi oddała to wszystko, co jest w niej z demona, anielskość chowając dla przyszłego męża.

Mimowoli spojrzał na Prątnickiego.

— A gdyby on nim pozostał?... Nie, potworne porównanie.

Zamyślił się, patrząc na Stefcie.

— Dla kogo ona stworzona? Kto ją posiadzie? Bajeczna dziewczyna! godna świetnego losu! Czy upaść w moje ramiona wystarczy dla niej?... Na to ona jest za czysta! Obrywałem listki z najpiękniejszych orchidei, ale dla mimozы miałem zawsze szacunek. Ona jest mimozą i warta zachodu. Cierpliwości, a będę ją miał.

Stefcia czuła jego wzrok na sobie, ale spokojnie bawiła się pluskaniem wodą na łabędzie. Wreszcie, chcąc przerwać milczenie, rzekła:

— Pan wiele podróżował po morzu. Niech mi pan opowie wrażenia. Muszą być wspaniałe.

— A pani nie zna morza?

— Owszem, znam trochę morze Bałtyckie, ale nie odbywałam dalszych podróży.

— Dla mnie najmiłsze wody Adrjatyku i Oceanu Wielkiego — dwa kontrasty, jak baletnica w błękitnych gazach obok siłacza. Na Adrjatyku lubiłem pływać łodzią żaglową samotnie lub tylko w towarzystwie sternika. Ale na ocean wolałem się uzbroić w potężny statek, który kpi sobie z groźnych fal. Nie była to jedynie ostrożność wywołana obawą, lecz i chęć zaimponowania temu kolosowi siłą rozumu ludzkiego. Przetrwalem na oceanie dwie burze i straszliwy tajfun, nawet siedziałem już w szalupie ratunkowej wśród ryku bałwanów.

— To jest chyba okropne wrażenie — przerwała Stefcia.

— Potężne! jedyne w swoim rodzaju. Jakby się człowiek wziął za bary z oceanem — kto kogo zwycięży. Obawa śmierci ustępuje miejsca nie rezygnacji, ale zjadłości. Człowiek, walcząc z tytanem, zmienia się sam w tytana. Patrząc na niezmiernie przestrzenie rozszalałych fal, widząc piramidy wody, słuchając ryku i grzmotu, o jakim na lądzie nie mamy pojęcia, człowiek doznaje szacunku dla samego siebie, że w tych odmętach żyje, nawet potrafi zastanawiać się nad bezowocnym rozwścieczeniem oceanu. To jest uczucie niezmiernie dziwne i porywające.

Stefcia patrzyła na niego zdumiona.

— Nie każdy chyba doznaje takich uczuć — rzekła, kręcąc głową — trzeba mieć w sobie dużo hartu i abnegacji życia, aby ulegać podobnym wrażeniom.

Waldemar uśmiechnął się.

— No, hartu mam dosyć, a żal za życiem nic nie pomoże. Wówczas przeważa prosta filozofja: „umrę, to umrę“, a jednocześnie energia i zaciekłość szepcze: „umrę, jeśli się dam zwalczyć“. Niekiedy ocean zwycięża, pogrzebując tysiąc ofiar, i zawsze zostawia choćby jedną przy życiu, jakby dla urągania jej, pochwalenia się swą mocą. Nic nie jest silniejszym nad triumf obrońców statku, gdy tajfun nie zdołał go zatopić. Ja, nie chcąc być jedzącym tylko śliwki w czasie burzy, pracowałem albo z majtkami przy linach, albo przy busoli, lub z kapitanem dyrygowałem naprawieniem uszkodzonych miejsc.

— I nie męczyło to pana?

— Sprawiało mi zadowolenie. Borykałem się na równi z załogą, dla zwalczania potwora. Na linii transatlantyckiej znali moją słabostkę. Lubilem być na pokładzie, kiedy burza cichła, kiedy zapieniony ocean oddychał resztkami wściekłości, jakby mu brakło tchu w olbrzymich płucach. Statek wówczas rozwiewa żagle, kurzy triumfalnym słupem dymu, śruba druzgoce spienione cielsko oceanu i rwie naprzód, posuwa statek dumna i zwycięska. Gdy dzieje się to przy wschodzie słońca, wrażenie spotęgowane pięknnością natury wzbudza prąd w nerwach, jakby dreszcz rozkoszy, zdaje się, że i niebo jest przyjacielem ocalałych, a wrogiem poskromionego napastnika. Do najwspanialszych zjawisk zaliczam burzę na morzu.

— Pan lubi niebezpieczeństwa?

— Podniecają mnie. Najnieznośniejsze na statku są panie: aby trochę wichru, zaraz spazmy, płacze, histerje! Ciekawy jestem, jakby się pani zachowała w takim wypadku?

— Nie spazmowałabym napewno, lecz bałabym się okropnie.

Waldemar patrzył na nią z uśmiechem.

— Niech mi kto wytłómaczy, dlaczego kobiety są od nas lękliwsze, kiedy w innych razach przewyższają nas odwagą...

— W czymże naprzykład?

— W czym?... Choćby w walce z nami. Wy jesteście pogromczy-
niami rodu męskiego i przedstawiacie niebezpieczeństwo poważne choć
ukryte... takie pazurki w aksamitnej rękawicze.

— Czyżby i pan bał się tych pazurków?

— Pani wątpi?

— Trochę.

— Ma pani słusność — zaśmiał się Waldemar. Wyciągnął wiosła
z gryf i złożył na swych kolanach.

Płynęli cicho po spokojnej wodzie; drobne fale goniły za sobą
błyszcząc jak mika; łódka sunęła jak liść nenufaru, bez szelestu.

Edmund rozmawiał z Lucją o tańcach, głośno i z niesłychaną zu-
chwałością.

Waldemar rzekł znowu, pochylony do Stefci:

— Więc pani przeczuwa, że nie jestem lekliwy, nawet w tym wy-
padku? Nie przeczę! Chociaż batalja z kobietą bywa nieraz większą
nieostrożnością, niż targanie lwa za ucho, bo nigdy nie jest się pewnym,
jaka wyniknie niespodzianka. Zaratustra Nietzschego powiedział: „Dwóch
rzeczy pragnie prawdziwy mężczyzna: niebezpieczeństwa i igraszki,
przeto pożąda kobiety, jako najniebezpieczniejszej igraszki“.

— Ładna teoria! Czyli że kobiety uważacie jako zabawkę mniej
więcej ładną lub kolącą, albo za oswojone zwierzątko, które może ugryźć.

— No, czasem trzeba je dopiero oswajać. W tem właśnie leży nie-
bezpieczeństwo przedsięwzięcia. Ułaskawione łatwiej skłonić do poda-
wania łapy.

— Pan jesteś bezczelny cynik!

— Oj! oj! co za potwarz. Przepraszam panią, jeśli ją obraził, ale
ja dopełniłem porównania zrobionego przez panią. Możemy ten sam
temat omówić efektowniej. Więc: kobieta jest istotą, o którą mę-
czyzna walczy, a im ona ma większe pazurki, tem walczy o nią wytrwa-
lej. Nie każda walka prowadzi do wyników pożądanych, lecz prawie
każda zwycięża, gdy mężczyzna weźmie na kiel, naturalnie o ile potrafi.
To już jest odrębna zdolność. Ten sam Nietzsche powiedział: „Idziesz
do kobiet — nie zapomnij bicia“. To ma znaczenie głębokie, dowodzi,
że tylko taki alegoryczny bicz energii i silnej woli może z kobiety zrobić
baranka. Wszelkie padanie plackiem, to most rzucony pod jej stopy, po
którym ona przejdzie zawsze i bezwzględnie.

— O jakim rodzaju kobiet pan mówi?

— Wobec pani nie mógłbym mówić o innym, tylko o najwyższym.

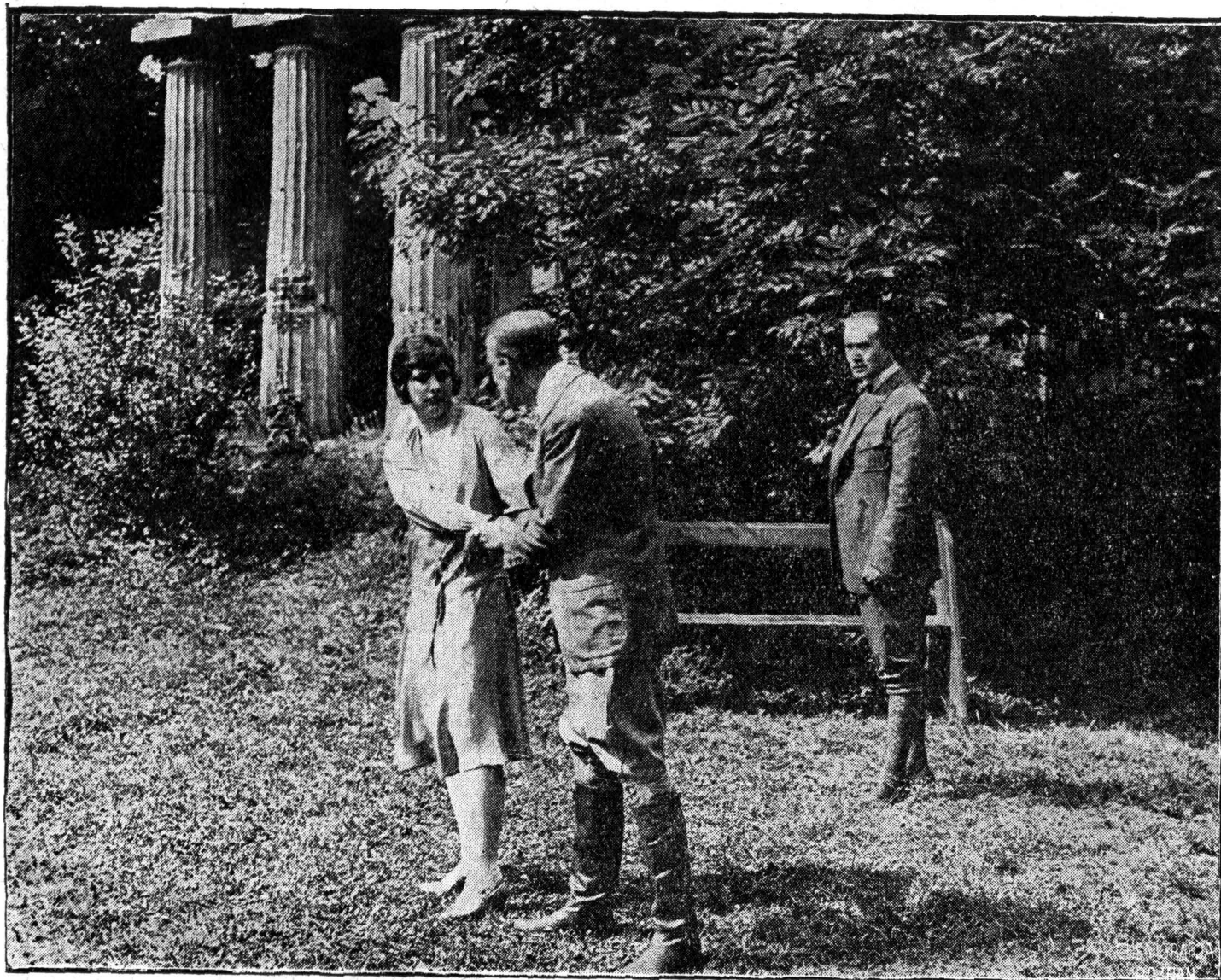
— Bo mówi pan zagadkowo.

— Nie, pani. Wygłaszam tylko moje credo w tej sprawie. Ja mogę
sięgnąć po kobietę, będącą na najwyższym szczycie moralnym, podać
jej rękę i sprowadzić do własnych postulatów, ale będę jej patrzył prosto
w oczy albo trochę z góry, lecz nie wzniosę oczu i nie padnę na kolana.
Tego mnie jeszcze życie nie nauczyło. Czy pani wolałaby, żeby jej wy-
brany szedł do celu z takim właśnie batem Nietzschego, czy żeby żebrał
u niej zmiłowania na kolanach z wywróconemi białkami?...

— Wolałabym pierwsze, ale z warunkiem, żeby swej siły nie używał
jak obucha, żeby rachował się ze mną, jak z człowiekiem równym. Moja
ambicja wymaga prostego wzroku, bez spuszczenia powiek.

— Pani to mówi nadzwyczaj śmiało — rzekł ordynat, poruszając
brwiami.

— Śmiało?... w jakim znaczeniu?



— Prątnicki przysunął się i wziął ją za rękę. — Zazdrość przez
ciebie przemawia str. 57.

— Za mało ma pani doświadczenia życiowego, żeby tak stanowczo twierdzić.

— A jednak jestem przekonana, że życie nie zmieni mego twierdzenia.

— Ej! niech pani nie ręczy!

— Czy pan mi zaprzecza wyższości moralnej?

Waldemar był rozdrażniony.

— Nie zaprzeczam, ale wątpię, czy ta moralność wytrwa na piedestale, ustawionym przez ambicję pani.

— Co ją może zachwiać? — spytała zuchwale.

Popatrzał jej w oczy długo i rzekł dobitnie:

— Pani temperament, wrażliwość, młodość i jakaś potężna siła męska. To są atuty zdolne nie tylko zachwiać, lecz zwalić panią z piedestału, gdyż zagłuszają punkt, uważany przez panią za stanowczy.

W źrenicach mówiącego dojrzała Stefcia dziką siłę i śmiały cynizm; zaimponował jej. Zanurzyła palce w wodzie i, bawiąc się rozpryskiwaniem błyszczących kropelek, rzekła wolno, jakby do siebie:

— Za wielką wiarą w siłę męską, a za małą w naszą.

— To tylko doświadczenie, że najsilniejszy pancerz nie ostoi się przed tym, kto ma pragnienie walki i potrafi odnaleźć w największym uzbrojeniu piętę Achillesa.

— A jeśli taka słaba strona nie istnieje?

— Dla woli i energii istnieje zawsze, tylko bywa różną, zależnie od intelektu kobiety. Odszukanie właściwej przedstawia największą trudność. To kwestja sprytu mężczyzny.

Stefcia zamyśliła się.

— Czy przekonałem panią? — spytał jej z uśmiechem.

— Daje pan dobre oświetlenie swej tezie; nie przeczę, ale...

— Niech pani dokończy, proszę,

— Ale mówi pan głównie na podstawie własnych triumfów, o jakich nawet ja słyszałem. W pańskich słowach brzmi pewność siebie. Czy jednak zdanie pańskie może się tyczyć ogółu?

— Ogółu kobiet napewno, bo z wieloma bardzo różnymi miałem do czynienia, a mężczyzn podobnych do mnie jest więcej. Tylko są kobiety opancerzone w dziwną zbroję, jakiej trudno dojrzeć, są owiane nimbem i ten hamuje napastników, czarując zarazem. Zwyciężyć je można, ale wobec nich brutalność ginie i ten szczegół stanowi ich siłę.

— A więc znalazł pan wyjątek! — zawołała Stefcia.

— Bardzo rzadki. Są to kwiaty, ginące wśród powodzi innych. Zresztą powtarzam: i takie kobiety mężczyzna zwalczy, inaczej.

Stefcia nic nie odpowiedziała. Patrzała na wodę i na białe kielichy nenufarów, wychylone z talerzastych grubych liści. Sięgnęła po jeden kwiat, lecz pływał za daleko. Waldemar w milczeniu zahaczył go wiosłem i przysunął do jej ręki.

Zerwała, dziękując mu uśmiechem.

On patrzył na nią, na jej rumieniec, na sinawe cienie, jakie rzucały na twarz ogromne rzęsy, i myślał:

— Czyś ty ów kwiat owiany nimbem wśród powodzi innych? Moja brutalność ginie wobec uroku twych aksamitnych oczu... A jednak walczyć będę z tem opancerzeniem i złamię je.

Zobaczył kępkę nenufarów i skierował tam łódkę. On wiosłem przysunął kwiaty, Stefcia rwała, rzucając je Luci. Ale dziewczynkę

pochłaniała rozmowa z Prątnickim. Opowiadał jej o świeżo czytanej powieści. Stefcia, dosłyszawszy kilka zdań, spojrzała znacząco na Waldemara.

— Wracajmy — rzekła cicho.

— Dlaczego? Teraz po zachodzie słońca najprzyjemniej.

— Ale już prawie ciemno.

— Jeszcze trochę...

Nagle wypowiedziane głośniejsze słowa Edmunda zastanowiły go. Spojrzał na Lucię, potem na Stefcie. Ona szepnęła:

— Wracajmy.

Skinał głową i zaczął zawracać łódkę, ale Prątnicki wstrzymał ster.

— Panie ordynacie, wracamy?

— Wracamy!

— Już?

— Tak.

Stefcia uśmiechnęła się z intonacji głosu obydwóch.

— Taki ładny wieczór — zaproponowała Lucia.

— Już późno — rzekła Stefcia — mama będzie o ciebie niespokojna.

— Hee! to tylko pani chce wracać. Moglibyśmy jeszcze popływać...

— Panna Stefanja pierwsza ma głos — rzekł sucho Waldemar.

Lucia umilkła, natomiast Prątnicki rzekł z ironją:

Pannie Stefanji zapewne zimno. Szkoda, że pani nie wzięła szala.

Waldemar utkwiał w nim oczy, usta mu zadrżały gniewem, ale Stefcia powstrzymała go błagającym wzrokiem. Rzekł więc tylko:

— Zamiast uwag, niech pan lepiej steruje. Łódka się ciągle krzywi. Prątnicki poczerwieniał.

W milczeniu dojechali do brzegu, gdzie oczekiwała pani Idalja z panem Ksawerym.

Księżyc oświetlał głębiny parku, błyszczał na wodzie srebrną siatką, ruchomą i mieniącą. Róże pachniały, nisko w krzakach świeciły robaczki świętojańskie. Wieczór, zalany falą ciepła, usposabiał marząco.

Z nad jeziora buchnął chór żabi. Wysokie białe lilje na trawnikach i żółte irysy wyglądały niby dziewice w rzymskich tunikach, przechadzające się wśród cyprysów, do których w cieniu wieczornym podobne były tuje. Oświetlony pałac mrugał rzędami okien, odbicia światła słały się na kamiennej posadzce tarasu ognistą smugą, srebrzyły rozkwitłe róże, drgały na listkach caprifolium, zapuszczały iskierki w głąb cieniastej alei, jakby przywołując idących. Jasną suknię Stefcie pokryły błyszczące plamki, na włosach igrały złote nitki. Waldemar szedł na końcu, mnąc w ręce żółtą różę, patrzył na jasną postać dziewczyny, z zagadką w swej upartej duszy.

— Czem ta dziewczyna mnie porywa? To ogień w kielichu białej lilji — powtórzył w myśli dawne porównanie.

Po kolacji, gdy się wszyscy rozeszli, Waldemar chodził w parku otoczony psami, które łaściły się do niego, szczekając wesoło. Ordynat obszedł aleje, błędził nad jeziorem, podchodził do pałacu, patrząc na światelko w oknie Stefcie, przyćmioną firanką.

— Co ona robi? — myślał — czy rachunek sumienia, czy prosi Boga o zachowanie swej cnoty... czy rozmyśla o naszej rozmowie?... Wogóle czy ona przeczuwa niebezpieczeństwo? Czy jest świadoma mych pragnień?...

Ordynat wzruszył ramionami i szedł dalej. Dymek z cygara otaczał go delikatnym obłokiem. W świetle księżycy smukła postać Waldemara migająca na tle trawników nadmiernie wydłużona, cienka. Żwir pod stopami skrzypiał, czasem ordynat cmoknął na psy lub pogładził którego z nich. Przy bocznym pawilonie zatrzymał się na widok otwartego okna, skąd buchało światło i szedł cichy szept rozmowy. Ponad krzewami spirei spojrzął w okno. Przy małym stoliku siedział Prątnicki z rządcą Kleczem. Grali w karty. Prątnicki bez surduta, w rozpiętej kamizelce, rozparty w krzesło, dowodził coś z nadzwyczajną werwą. Miał minę bursza. Waldemar poszedł dalej, mrużąc:

— Bestja! działa mi na nerwy. I te karty! Wprowadza nowe zwyczaje!

Prątnicki zwykle wobec ordynata tracił humor. Odgadywał niechęć do siebie w obu Michorowskich, nie mógł za wiele mówić, nie mógł się chwalić, bo czuł, że to ich razi. Zaprzyjaźnił się z Kleczem, ponieważ wiedział, że mu imponuje. Podchlebiało mu to.

Pewnego dnia, w końcu czerwca, Prątnicki z Kleczem byli na łąkach, gdzie robotnicy kosili trawę. Panowie na linijce pod lasem rozmawiali ze sobą, często wybuchając śmiechem.

Edmund palił papierosa i z rękoma w kieszeniach zwracał się do zaciekawionego Klecza z junakierją i minami. Mówił o Stefci:

— Tak, panie! na świecie dużo jest kobiet, ale trzeba umieć wybierać takie, co obok dobrego smaku, posiadają jeszcze dobrą przyprawę. To jest grunt. Stefa jest apetyczna, nie przeczę: teraz jakaś zblakowała, ale to esencjonalna dziewczyna!... Lecz cóż z tego? Pływa tylko w dwudziestu tysiącach. Czyż to dla mnie? Miły Boże! wystarczyłoby mi akurat na dwie podróże zagranicę.

— Gdyby tak miała ze sto tysięcy, co? ha! nie porzuciłby jej pan — zaśmiał się Klecz rubasznie.

Edmund zrobił ustami grymas, wyrażający lekceważenie.

— Tak, naturalnie, chociaż powiem panu prawdę, że ona trochę mdła, zanadto cnotliwa. Byłem przecież przez kilka miesięcy prawie narzeczoną, a dalibóg nie udało mi się wziąć całusa ani razu, chociaż umiałem być natarczywy. Nie i nie... Ona nie ma temperamentu, ta dziewczyna.

— Jabym sądził inaczej. Panna Stefanja ma bardzo żywą fizjognomję, wygląda na ognistą kobietę. Może pan nie umiał jej zająć, bo z kobietą to panie tak, jak z narowistym koniem, trzeba umieć obchodzić się.

Wybuchnęli śmiechem.

— Przecież szalała za mną — mówił dalej praktykant. — Już ja potrafię krzesać iskry, to moja specjalność. Zobacz pan, ona za mąż nieprędko wyjdzie — jeśli wogóle wyjdzie. Chyba ożeni się z nią jakiś świętoszek albo facet, dla którego jej posag będzie stanowił sumę. Ona choć ładna, porwać nie potrafi. Mówię panu, że cnotliwa do obrzydliwości. A to ważny defekt w kobiecie. Z niej nikt nic nie wydobędzie.

Klecz uśmiechnął się chytrze.

— E! tak źle nie jest. Panu się nie udało, ale naszemu ordynatowi pewnie się poszczęści.

Prątnicki szeroko otworzył oczy.

— No! pan tak myśli na serjo? Ordynat ożeniłby się z nią? Co znowu! i Klecz parsknął śmiechem.

— Ożenić się!... Co panu w głowie? ordynat z nauczycielką! Także myśl! On, o którego księżniczki się ubiegają... Ale zbałamucić może i potrafi. Jemu się ona nie oprze, choć pan dowodzi, że zimna.

Praktykant zamyślił się.

— A wie pan co? — rzekł po chwili — że mnie to już do głowy przychodziło. On jakoś za grzeczny dla niej i zawsze jej broni.

— Broni?...

— No tak. Ja czasem żartuję z niej. On kilka razy wziął jej stronę, nawet dość szorstko, niedelikatnie.

Klecz spojrzął na Edmunda z pod oka i mruknął:

— Pewnie dał ci dobrą naukę...

— Co pan mówi?

— Ech! nic. Mówię, że on to potrafi.

Prątnicki kręcił głową.

— No, no! gdyby ta cnotliwa skromna Stefcia została kochanką ordynata, ot śmiałybym się...

— Cieszyłby się pan, co?

— Cieszyłbym się naprawdę. Nawetbym nie żałował, że to mnie nie spotkało.

— Podlec! — mruknął rządca.

To samo słowo padło na wąskiej ścieżynie leśnej wyrzucone przez wściekle usta Waldemara.

Konno stał tam od kilku minut i wysłuchiwał rozmowy. Jadąc po piaszczystej drożyni wśród gęstych krzewów leszczyny i młodych sosen, usłyszał głośny śmiech. Przez gąszcze dojrzał kontury linijki i głowę konia, skubiącego trawę. Nagle wpadło mu do uszu imię Stefci, wymówione przez Prątnickiego ze śmiechem i z jakimś cynicznym dodatkiem. Zatrzymał się, a że w naturze panowała cisza, bo z oddalonych łąk gwar dochodził słabo, więc każde słowo praktykanta przefiltrowane przez liście drzew, w akustyce leśnej padało wyraźnie. Słuchając, ordynat zaciskał zęby, gniótł w rękę pejcze, jakby ją chciał połamać na grzbiecie Prątnickiego. Gdy Edmund mówił o swych nieudanych próbach ze Stefcia, Waldemar posunął konia, chcąc przerwać dalszy ciąg, ale usłyszał mowę o sobie i stanął.

Miał wygląd złowrogi ze zmarszczonemi brwiami i zimną stałą w oczach. Nozdrza jego rozděły się, poruszane gniewem. Oburzyły go ostatnie słowa Edmunda. Tracił konia ostrogami, zdecydowany wymówić miejsce Prątnickiemu i Kleczowi za ich złośliwe uwagi, ale się opamiętał. Jakiś głos wewnętrzny wstrzymał go szeptem: „Oni mają słusność, do tego dążysz“...

Ordynat ściągnął konia munsztukiem, aż Apollo osiadł na zadzie, wznosząc przednie kopyta w górę. Skręcił na miejscu i wolno pojechał w głąb lasu wzburzony, ciskając przez zęby przekleństwa. Nie mógł się pozbyć myśli, że Klecz odgadł jego zamiary. To wprowadziło go w szal gniewu. Duma magnacka burzyła w nim krew. Jego własny rządca zna go dobrze, napewno twierdzi, że mu się Stefcia nie oprze... ta dziewczyna świeża i czysta jak woda kryniczna... On nie ominie takiej sposobności, pragnie nasycić się krasą Stefci?...

Ordynat zaciał wargi.

— Odgadł mnie. Ja istotnie chcę ją mieć. To nieprawda, co Prątnicki o niej dowodzi, że niema temperamentu. Dziewczyna jak iskra,

przytem jakaż ponętna! Jest dumna i ambitna, lecz to nie zmniejsza jej uroku — przeciwnie podwaja go...

Waldemar, pomimo gniewu, czuł radość, że Edmund nazwał Stefcie cnotliwą „do obrzydliwości“.

Prątnicki nie ukryłby nic — przeciwnie chwaliłby się.

Nie kochała go prawdziwie — pomyślał Waldemar — gdyż inaczej... To esencjonalna dziewczyna, w tem Prątnicki ma słuszność... A gdybym ja miał większe szanse?

Wzdrygnął się.

— To samo mówił Klecz.

— Podły jestem — rzekł Waldemar sam do siebie i popędził cwałem.

Las kończył się, smukłe sosny przeświecały łąkę. Gdzieniedzie stały pojedyncze, otoczone kępami jałowca, wreszcie i one znikły. Przed ordynatem leżała wilgotna, bujna łąka. Zdaleka widniał rząd kosiarzy w białych koszulach, kosy w słońcu migwały jak złote. Koń zwolnił, zniżył głowę, chcąc skubać soczyste źdźbła, lecz munsztuk utrzymywał go w obowiązującej postawie dobrego wierzchowca. Waldemar jechał zamysłony. Nagle podniósł brwi, uderzył szpicróżgą po sztylpach butów: roześmiał się i zaczął w myśli monologować:

— Ja mogę mieć względem niej zamiary, jakie mi się podoba. Cóż mnie ona obowiązuje? Spotykam na drodze jedną więcej istotę, którą warto zdobyć i koniec. Czy mi się uda... to kwestja! Wszystko zależy od miary jej temperamentu. Jestem lekkomyślny. Cieszyć się, że ktoś zbałamuci osobę, którą się kochało, to jest podłość i nikczemność w wysokim stopniu, to godne tylko takiego cymbała, jak Prątnicki!... Jednak ja się z nim muszę rozstać. Psuje mi krew... I ta przyjaźń z Kleczem...

— A jeśli Stefcia kocha go jeszcze? — szepnął mu jakiś głos.

Waldemar wzruszył ramionami.

— Więc niech nawet szaleje. Cóż mnie to obchodzi? Tem dowiodłaby, że nie warta zachodu.

Spiął konia ostrogami i pomknął jak wichur przez trawy, niby jakiś potężny ptak, pędzący za zdobyczą. Okrążył lasek, chcąc pokazać się Kleczowi i Edmundowi.

Opanowała go wesołość. Był pewny, że przy nim Prątnicki niknie w oczach Stefci, że on robi na niej wrażenie, zatem on posiada tysiące widoków, jakich niema tamten.

Minał zakręt lasku i o sto kroków przed sobą ujrzał linijkę. Odwrócił głowę, udając, że nikogo nie widzi, i ostrym kłusem jechał środkiem łąki wprost do robotników.

— O czem oni jeszcze rozprawiają? Chciałbym wiedzieć — szepnął z irytacją. — Może ten osioł rozmyślił się i uważa, że Stefcie wartoby zachować dla siebie. No, z takim durniem współzawodniczyć nie będę. Tobo było więcej niż śmieszne.

Zbliżając się do robotników, zwolnił i z żakowską radością patrzył na pędzącą prawie galopem z pod lasu linijkę.

— Będą mi się tłumaczyć, że byli z tamtej strony lasu — mruknął ironicznie i cieszył się na myśl, jakie zrobią miny, skoro im powie, że właśnie stamtąd wraca.

IX.

Lipcowy wieczór zapadł cichy i senny.

Ostatnie krwiste obłoki pociemniały, otulając naturę szarą gazą zmierzchu; w mroku tonęły drzewa parku, zaledwo wierzchołki złociły się jeszcze odblaskiem zachodu, jakby słońce rzucało ziemi pożegnanie.

Znikły barwne kobierce kwiatów, słabo rysowały się trawniki, tylko czarne kontury świerków na klombach i białe posągi widniały wyraźnie. Lecz smutna pomroka nie trwała długo; nagle zadrgały na listkach drzew matowe blaski, ożywiły się posągi, raźniej strzeliły w górę tuje i piramidalne świerki.

Trwające przez chwilę cienie, spędzone światłem, skupiły się w pojedyncze grupy, gdzieś tworząc czarne głębie i plamy, w innych miejscach ścierając się delikatnym rysunkiem, jak cudnie tkane koronki. Niewyraźny, zmacony park stanął w srebrzystej szacie z lamy i lśnił, migotał listkami brzoź, z których szło najwięcej błyszczących ogniwek. Jakby czarami, świat powołany został do życia, ale mistycznego, pełnego snów.

Wszedł księżyc, odwieczny sprzymierzeniec ideałów, powiernik najtajniejszych wrażeń, przyjaciel poetów i lunatyków. Na granatowym tle nieba, wśród mozaiki obłoczków jak w kłębach dymów, płynął niby wielki elektryczny lampion, tylko stokroć świetlistszy, promienny, a nade wszystko niedościgniony. Zapalał na swym szlaku gwiazdy, oświecał drogę mleczną, na ziemię ciskał miljardy spojrzeń brylantowych, wkraadał się niemi w każdy zakątek, odnajdując znane już sobie, lub nowe tajniki.

Stefcia siedziała przy oknie i z głową opartą na dłoni wlepiła oczy w oświetlone niebo, zamyślona i tęskna. Dzień ten przeszedł dla niej nie wesoło. Widziała Lucię rozmarzoną i to ją dręczyło.

W postępowaniu Prątnickiego zauważyła wiele szczegółów dla niego niepocholebnych, dla Luci zgubnych.

Dziewczynka była pod jego urokiem, każde jego spojrzenie, słowo działało na nią zabójczo. Edmundowi Stefcia nie ufała, przeczuwając, że Luci nie kocha, że mu chodzi jedynie o zdobycie bogatej dziedziczki. Nie dostrzegła w nim ani połowy tego zapału, z jakim dawniej starał się o jej względy. I ogarniał ją niepokój, pomimo wszystko żałowała Edmunda, będąc pewną, że czeka go zawód. Dumna pani Idalja nie pozwalała się ludzić.

Chwilami żal Stefci skierowywał się głównie na Lucię. Ją czekało rozczarowanie podwójne: ze strony matki i boleśniejsze ze strony Edmunda.

— Daj Boże, aby to był szal, złuda, która przeminie, pozostawiając po sobie trochę goryczy, bez głębszych śladów — myślała pocziwa dziewczyna.

— Gdybym ja mogła wiedzieć napewno — szepnęła strapiona.

W rozmyślania jej wplatały się nieuchwytnie marzenia. Było jej dobrze i źle, dziwne połączenie uczuć! Fizycznie odczuwała spokój i bogaty dobrobyt razem z poezją czarownej nocy, ale duch jej leciał wyżej. Błądził w obłokach utopij i z nerwowym niepokojem szarpał się, spadając w szarą rzeczywistość. Miała złudzenie, że posiada skrzydła u ramion, lecz, że przybito ją dużymi ćwiekami do jakiejś zapory i że trzyma ją bez ratunku. Stefcia chce lecieć w przestworza i czuje, że

słabnie, że jej braknie sił; ćwieki tkwią w skrzydłach, cięża jej, hamują lot. Majaczyła, a księżyc oświecał jej bladą twarz, gładził włosy i zdawał się ją pieścić, jakby wszystkie swe ognie na nią jedną skierował, skupiając mistyczne spojrzenia. Stary oszust! Ile on w tej chwili widział takich okien i rozmarzonych głów dziewczęcych, ile pieścił twarzy, jak przeróżne gładził włosy. A na każdą głowę siał obficie iskry, rzucał kaskady świetlanych uczuć.

Miał ich zapas nielada, żył przecie wieki.

Stefcia, pogrążona w zadumie, nagle drgnęła i obejrzała się z lękiem. Drzwi skrzypnęły i na progu stała Lucia w nocnym kaftaniku, z rozpuszczonymi włosami. Oczy miała otwarte szeroko i niepokój w twarzy.

Zanim nauczycielka spytała, dlaczego nie śpi, dziewczynka prędko podbiegła do niej i ręce zarzuciła jej na szyję, twarz rozpaloną przytuliła do jej twarzy i zaczęła szeptać:

— Ja przeczułam, że pani nie śpi, i przyszłam, bo i ja zasnąć nie mogę — tak mnie coś dręczy — i tak mi smutno.

Odjęła ręce od szyji Stefci i, robiąc niemi jakieś ruchy na wysokość twarzy, zawołała z trwogą:

— Ot tak coś mi stoi przed oczyma!

Poczem przytuliła się zaraz i spytała cichutko:

— Panno Steniu, dlaczego ty nie śpisz? Dlaczego tak siedzisz przy księżycu? Czy i ty także?... Jeszcze?...

Stefcia drgnęła, żal błysnął w jej oczach.

— Co chcesz powiedzieć, Luciu?

— Czy pani kocha jeszcze pana Edmunda? — wypowiedziała jednym tchem dziewczynka.

— Pratkaniego!... Dlaczego pytasz o to?

— Pani tak gniewnie wymówiła jego nazwisko.

— Nie odpowiadasz na moje pytanie, Luciu.

— Bo ja chcę najpierw wiedzieć, czy pani go kocha. Panno Steniu, powiedz, proszę.

Patrzała jej w oczy z błaganiem.

Stefci ścisnęło się serce.

— Nie kocham — odparła szybko.

Dziewczynka wstrzymała oddech w piersi, nieufność odbiła się w jej oczach. Spytała jeszcze natarczywiej:

— Nie kochasz? Naprawdę? Ale kochałaś, ja wiem.

— Łudziłam się — odrzekła Stefcia szczerze.

Lucia położyła jej głowę na ramieniu.

— Ja się nie łudzę..

— Ty, Luciu?

— Tak, ja kocham pana Edmunda.

Zapanowało milczenie. Lucia ukryła twarz na piersiach swej przewodniczki i przestała oddychać, jakby chcąc usłyszeć, co ona myśli. W tej główce dziewczęcej chwila ta wydawała się tragiczną. Wszystkie wrażenia, zaczerpnięte z powieści francuskich, w jej pojęciu, przedstawiające obecną chwilę czemś rozpaczliwem, prawie rujnującem świat.

Ze drżeniem serca czekała, co powie Stefcia. Może teraz, kiedy wie wszystko, przyzna się, że Edmunda kocha i że on do niej należy.

— Ja bym umarła — myślało zrozpaczone dziewczątko.

Stefcia starała się uspokoić zblakana, ale żal ją ogarniał, że ten sam człowiek, który przed kilku miesiącami ją zahypnotyzował, znalazł nową ofiarę.

Może także tylko do chwili, kiedy cała jego wartość okaże się jedynie w piękności zewnętrznej.

X.

Była niedziela. Po śniadaniu pani Elzonowska zamknęła się u siebie. Lucię zabrał pan Maciej, który lubił czasami pogwarzyć z wnuczką, lub coś jej przeczytać ze starych ksiąg.

Stefcia usiadła do fortepianu. W odosobnionym salonie grała swobodnie. Różnorodność wrażeń przebijała w muzyce wyraźnie.

W tem drzwi szarpnięto gwałtownie. Wpadł do salonu Prątnicki. Stał i, rozglądając się dokoła, zapytał zdziwiony:

— Gdzie jest panna Lucyna?

— U dziadka — odparła chłodno zapytana.

Prątnicki strzepnął palcami w sposób, przypominający karcinę i zawołał:

— A to dopiero mamy pecha, no!

Stefcię zastanowiły jego słowa, spojrzała na niego zdziwiona:

On to spostrzegł, włożył ręce w kieszenie i dodał jakby od niechcienia:

— Mieliśmy się tu spotkać z Lucią... hm... z panną Lucyną. No i trzebaż tego dziadka... fatalizm!

Panna Rudecka wstała gwałtownie i rzekła surowym głosem:

— Proszę nie mieszać Luci do swych... pomysłów i zaniechać wyrazu „my“. Bardzo proszę.

Prątnicki zatrzymał się na miejscu.

— Cóż to za ton oratorski? — zawołał szyderczo. — Pani chce odgrywać wobec mnie rolę mentora?

— Powtarzam, że nie pozwolę, aby się pan o Luci tak odzywał, nie pozwolę ze stanowiska jej nauczycielki.

— Proszę!... a cóż to złego mówiłem? że się tu mamy spotkać? *Przed pół rokiem pani była względniejsza, gdy chodziło o siebie.*

Pod Stefcia nogi zadrżały. Omal nie upadła. Ale przemogła się, podniosła dumnie głowę i rzekła dobitnie:

— Pan mi to śmie mówić? pan?

Tyle w niej było powagi, taka siła pewności brzmiała w jej słowach, że Prątnicki zmieszal się. Korzystając z tego, mówiła dalej:

— Po panu mogłam się tego spodziewać, ale to jeden dowód więcej, że mam prawo zabraniać panu mówienia w ten sposób o Luci.

— Nie ma pani prawa zabronić mi! — zawołał gwałtownie.

— Owszem, na podstawie własnego doświadczenia — mówiła ze spokojem, choć w niej wrzało.

— Tu nie może być żadnych podstaw i porównań, bo tamto co innego, a to co innego.

— Panie Prątnicki — rzekła poważnie — bądźmy szczerzy. Pan zajmuje się Lucią — ale czy pan obliczył następstwa?

— A cóż to może panią obchodzić?

— Powinno obchodzić. Lucia jest oddana pod moją opiekę, za jej spokój odpowiedzialna jestem. Zresztą nie tylko traktuję to jako obowiązek, dbam o nią z własnego przywiązania.

— Nie zjem jej przecież — bąknął Prątnicki.

— Wyraża się pan dość trywialnie... Ale mniejsza o to. Nie chcę, aby pan zakłócał spokój Luci i mącił pogodę jej myśli.

— Za to pani wyraża się kwieście! — wybuchnął śmiechem.

Zagryzła wargi i poczerwieniła mocniej.

— Proszę, niech mi pan odpowie jeszcze słowo. Czy pan mówił Luci?...

— O czym?

— O swych uczuciach względem niej.

Edmund parsknął krótkim, rubasznym śmiechem, w którym jego cynizm ujawnił się w całej pełni. Ale ten śmiech otrzeźwił go natychmiast; odwrócił się zmieszany i zbity z tropu. Czuł, że się zdradził, złość go porwała na Stefcie, kłął w duszy ją i siebie.

Stefcia zbladła. W śmiechu jego odezwała się taka ironja, taki bezwstyd, że nie można było łudzić się. Jego nagłe zamilknięcie dowodziło, że i jemu wybuch ten wydał się zbyt przeźroczyście.

— Och! jakież niski człowiek! — myślała.

Prątnicki podszedł do niej tak blisko, że musiała się cofnąć, i rzekł zdławionym głosem:

— Przed pania zwierzać się nie będę. Proszę mnie nie męczyć pytaniami.

— Ja już nic więcej wiedzieć nie chcę. Niech się pan usunie.

— A jeśli pani chce bróździć między mną a panną Lucyną — mówił rozgorączkowany, zastępując jej drogę — to ja potrafię się zdobyć na odwet..

— Doprawdy?!... Nie wiedziałam...

— To się pani dowie! — wybuchnął.

Krew jej uderzyła do głowy. Mierząc go sztywnym wzrokiem, rzekła chłodno:

— O! proszę! niech się pan nie zapomina!

— Czy ja kocham pannę Lucynę, czy nie, nikomu nic do tego. Ostrzegam!

— Mnie o pana nie chodzi, tylko o Lucie.

— Żeby się nie zakochała we mnie? Cóż pani ma przeciwko temu?

— Pan pyta?

Prątnicki spojrzał uważnie na Stefcie. Wydała mu się śliczną w gniewie. Przysunął się i usiłował wiaść ją za rękę.

— Zazdrość przez ciebie przemawia — szepnął — ty mnie jeszcze kochasz.

Panna Rudecka odskoczyła gwałtownie. Uczuła lód we krwi. Gniew i pogarda rozsadzały jej piersi. Wyrzuciła z siebie ze wstrętem.

— O głupoto! — beczelna głupoto!

— Jak pani śmie!... jak pani śmie! — krzyknął czerwony z gniewu.

— Niech pan wychodzi natychmiast!... Proszę! — wołała Stefcia, wskazując drzwi.

Za oknami rozległ się suchy trzask motoru. Prątnicki spojrzał w okno.

Przed gankiem stał ponsowy samochód z Głębowicz, błyszczący lakierami. Wysiadł z niego Waldemar, oddając korbę palaczowi.

— Niech pan wyjdzie natychmiast! — powtórzyła rozgorączkowaną Stefcia, nic nie słysząc.

Ale Edmund już sam ruszył do drzwi, gotowy do prędkiego wyjścia. Na progu stanął, zaśmiał się szyderczo i syknął zjadliwie:

— Odchodzę, odchodzę! przyjechał obrońca... Jego radzę przyjąć łaskawiej.. Życzę powodzenia!...

Wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Stefcia upadła na krzesło wyczerpana, oddychając mocno. Ścisnęła dłońmi skronie i wybuchnęła płaczem. Niepowstrzymane łzy gradem płynęły z jej oczu.

W teni zerwała się, wybiegła z salonu, dążąc do siebie.

Usłyszała w korytarzu głos ordynata.

XI.

Obiad przeszedł ponuro.

Stefcia miała wypieki na twarzy i ciemne obwódki pod oczyma, zdradzające niedawne łzy.

Lucia rzuciła wzrokiem w stronę matki, uparcie milcząc. Pan Maciej był niespokojny. Waldemar groźny. Tylko pani Idalja, mniej sztywna niż zwykle, rozmawiała z Prątnickim o czymś zabawnym, co jednak nikogo, nie wyłączając jej samej, nie bawiło.

Edmund udawał wesołość, krztusił się własnymi dowcipami, ale, widząc ogólny nastrój, siedział jak złapany. Nawet służba odczuwała chmurne usposobienie państwa: kamerdyner usługiwał prawie bez szelstu, chodząc na palcach; młodszy lokaj, wnosząc półmiski, nie otwierał drzwi, ale je uchylał delikatnie.

Wszyscy doznali ulgi, gdy powstano od stołu. Pani Elzonowska z Lucią pojechały do Szal. Stefcia nigdy tam nie jeździła, odgadując, że hrabina Ćwilecka jej nie lubi.

Razem z paniami pojechał konno Waldemar oglądać folwarki. W pałacu słodkowickim zapanowała względna cisza. Na blaszanym dachu gruchały gołębie, z klombów dochodziły krzykliwe rozmowy turkawek, brodzące po trawnikach pawie odzywały się charakterystycznym wrzaskiem.

Stefcia, zamknięta w swym pokoiku, usłyszała lekkie pukanie do drzwi.

— Proszę.

Wszedł kamerdyner Jacenty.

— Jaśnie pan starszy prosi panienkę do różanej altany, jeśli to panience nie zrobi różnicy.

Stefcia doznała miłego uczucia.

— Proszę powiedzieć panu, że idę natychmiast.

Z przyjemnością myślał o spędzeniu nudnego popołudnia w towarzystwie staruszka.

W altanie pan Maciej siedział na ławce, mając nogi okryte skórą tygrysią. Był zamyślony i ponury. Na widok Stefci twarz mu się rozjaśniła. Wskazując jej ławkę obok siebie, rzekł z miłym uśmiechem:

— Siadź tu, moje dziecko. Przepraszam, żem cię wzywał. Chciałem z tobą trochę pomówić. Może nie chcesz?... Jestem stary nudziarz — co?

Pan Maciej mówił do wszystkich po imieniu: Stefcię prawie zawsze tak nazywał.

7.— Ależ proszę pana z największą przyjemnością — odrzekła dziewczyna, siadając.

Staruszek podniósł blade oczy w górę i wpatrzył się w zieloną siatkę listków różanych na tle błękitnego nieba.

Jakieś wspomnienia z dawnych lat spływały na niego, nadając jego starym oczom dziwną rzewność i cień smutku. Chwilę siedział milczący, przeniesiony w inne czasy. Wreszcie zaczął mówić głosem spokojnym, często przerywając:

— Nic się świat nie zmienia, nic. Zawsze jest młody i pełen życia... Tylko ludzie na nim więdną, rozpadają się w popiół, a na ich miejscu wyrastają nowi, ci najmłodszy, by z czasem także spopieleć. I dziwna rzecz, moje dziecko, że my starzy już zmęczeni życiem, pragnący spoczynku, nie narzekamy jednak na świat. To życie sterało nas, a pozostało miłem. Narzekają młodzi. Zły objaw!... Czy to wpływ ogólnej newrozy, czy wyższego kultu umysłów, czy też przeciwnie skarlówacenie mózgow? Patrzą z pogardą na wszystko, co ich otacza, dążąc do czegoś niezmiernego. Lecz najprędzej to wpływ zdolności analitycznych. Więc postęp. Myśmy tego nie zaznali w tym stopniu, żeby nam życie zmarniało. My mieliśmy żywą wiarę. Dziś to blednie, dziś więcej mamy filozofów, analizujących istotę Boga, więcej ateuszów, niż ludzi głęboko wierzących. A to źle! To grunt, z którego wyrasta tyle nieszcześcia wśród ludzi.

Pan Maciej umilkł i zamyślony patrzył przed siebie, odszukując w owych wspomnieniach młode lata, pełne zapału, wiary, tak różne od dzisiejszej apatii. Stefcia, patrząc na staruszkę, odgadywała jego myśli i z ciekawością pytała siebie, jaką była historia tego starca?

On ją mówił dalej:

— Zmienił się świat. Nie jesteśmy jaskiniowcami. Ludzie wznoszą się bajecznie ponad czasy antedyluwjalne, muszą baczniej spoglądać dookoła siebie! I każda rzecz budzi ich wątpliwość, nie wystarcza im istota rzeczy, chcą atomów, znajdują je i rozczarowują się. Chcą wieczności w życiu, ale na powstawaniu i zaniku świat stoi. Każdy kwiat zwiędnąć musi, to trudno! — lecz żyjąc, umiła nam niejedną chwilę. Terazniejszym ludziom to nie wystarcza, oni chcą analizy nawet w szczęściu. A przecież ten sam kwiat, rozdrobniony na cząsteczki, jest garstką śmiecia; przekonają się o tem, rozczarują, chcą znowu złożyć na nowo, ale złożą nędznie, więc najczęściej rzucają... I tak jest ze wszystkim.

Starzec westchnął żałośnie i poruszył głową.

— Tak jest i z religią dzisiejszą. Nach Canossa gehen wir nicht! Przerażający prąd aluwjalnych objawów, ale zabójczy!...

Pan Maciej umilkł, spuścił głowę na piersi. Dziewczyna siedziała zamyślona. Po chwili podniosła na niego oczy i spytała z żalem:

— Dlaczego pan tak smutnie mówi i młode pokolenie przedstawia w tak złych ramach?

— Nie w złych, dziecko, w nowych.

— Więc pełnych nadziei!

— Gdybyż nie były już spaczony...

— Ale dlaczego?... czem? Zresztą nie wszyscy — mówiła podnosząc się Stefcia.

Pan Maciej spojrział na nią z dobrym uśmiechem.

— Niewiele jest takich zdrojowych kwiatów, jak ty, dziecko, niewiele takich krystalicznych dusz. Jedną taką znałem, ale to już dawno. Może

ciebie to razi, co mówię. Ale i ty nie jesteś wolną od goryczy życia i na ciebie padł cień ogólnej epidemji... analizy... Całość zbadalaś w szczegółach i cierpisz, zawiodłaś się. A co nie kwiat, prawda? Łodyga, prosta łodyga... i trochę śmiecia. Tu rozbiór przydał się. Gorzej byłoby, gdyby nastąpił po niewczasie. Gdyby tak los sprzyjał wszystkim zawsze w porę, byłoby mniej niedoli na ziemi.

— O czym pan mówi? — szepnęła Stefanja z dreszczem trwogi.

Zagadnięty spojrzał na nią badawczo.

— Czy nieszczerza, czy głupia? — pomyślał.

— Moje dziecko, powtarzam, że może ci to niepotrzebnie mówię.

Widzę, że mnie nie rozumiesz.

— Ależ owszem, rozumiem, tylko...

— Tylko co?

— Boję się, czy mnie pan zrozumie.

Uśmiech błysnął na ustach staruszka.

— Przepraszam pana — rzekła cicho dziewczyna, nie chcąc go dotknąć.

— Nic nie szkodzi, moje dziecko, ale zaraz musisz mi się tłumaczyć. Widzisz, jestem starym człowiekiem, lecz mam dobre oczy i bardzo jeszcze świeżą wrażliwość. Zwłaszcza jeśli kto jest mi sympatyczny, odczuwam każdą przykrość, czy też przyjemność, jakiej on doznaje. Otóż w tobie zauważyłem wielką zmianę... domyślasz się zapewne. Widzę, że cię to męczy, nawet szkodzi twemu zdrowiu. I ty doznałaś zawodu, analizując. Przekonałaś się, że on niewart twych myśli, że to nie brylant, ale prosty pomalowany kamyk, prawda?

— Tak, panie — odrzekła wzruszona — ale przyczyną tego nie jest moja własna analiza, lecz okoliczności. W owych czasach brałam go, jakim był, wierząc, że jest właśnie brylantem.

— W jakich czasach? — spytał staruszek z naciskiem.

— W czasach, kiedy kochałam się w nim. To był dziecinny szal.

— A teraz już minął?

— Jest mi najzupełniej obojętny.

— Czy jesteś szczerą ze mną, moje dziecko?

W głosie pana Macieja czuć było nieufność.

— Nie byłabym szczerzą z rodzonym ojcem.

Starzec wziął jej rękę i przysunął do siebie, a gdy ona ze czcią pochyliła mu się do ramienia, pocałował ją w głowę.

Wdzięczna za ten objaw życzliwości, Stefcia gorąco ucałowała raz jeszcze ramię pana Macieja.

A on zaczął wesoło zrzędzić:

— No i patrzcie! Ta panienska wyprowadziła mnie starego w pole. gdyż byłem przekonany, że dawne czasy, o jakich mówiłaś, istnieją jeszcze: że poznajesz go lepiej i cierpisz nad tem, że ideał zaczyna się zacierać i przybiera formy bardzo pospolite. A ty traktujesz go na zimno. Ale czemuż jesteś tak zmieniona, niespokojna, nieledwie mógłbym powiedzieć, że wyglądasz, jakbyś się czegoś obawiała.

Zagadnięta tak obcesowo, zawahała się, czy powiedzieć o Luci. Starzec dopomógł jej, bo rzekł znowu:

— A zwłaszcza od paru dni jesteś nieswoja. Dziś nawet płakałaś. I Lucia jakaś dziwna... Bardzo mnie to zastanawia. A ty nie domyślasz się powodu? Bądź szczerą.

Stefcia postanowiła powiedzieć wszystko.

— Owszem, wiem napewno, co gnębi Lucię. To samo i mnie doprowadza do rozpacz. Wiem od samj Luci, zwierzyła mi się... Właściwie nie powinnam zdradzać...

— Przedemną możesz i powinnaś. Lucia to jeszcze dziecko, trzeba wiedzieć wszystko, co ona myśli, a zwłaszcza, co ją męczy. Więc?

— Lucia jest pod wpływem Prątnickiego.

— Prostu kocha się w nim — poprawił pan Maciej.

— Domyślałem się tego. To źle, a wczesny wiek... i za marny przedmiot miłości... Ale może ci przykrość sprawiam? — dodał, ujrzawszy bladość Stefci.

— Przykro mi ze względu na Lucię. Czeka ją coś podobnego, co i mnie spotkało.

Pan Maciej pomyślał chwilę.

— Tak, po Luci ja poznałem to samo, nawet dziś, gdy była u mnie. Biedna dziewczyna! Oto dzisiejsze pokolenie spaczone od dziecka i w szesnastu latach już pełne goryczy. Lucia zdaje się odgadywać wiele rzeczy. Jej zgnębienie aż nadto jasno o tem świadczy. Ale o nim nic nie wiesz? Bo on wyraźnie zabiega o nią. Ale co tobie jest?...

Stefcia spuściła oczy. Wielka przykrość odbiła się na jej twarzy. Nie uszło to oka pana Macieja.

— Czy wiesz co o nim? — powtórzył natarczywie.

— Zdaje mi się, że tak.

— Więc jego zamiary względem Luci...

— Niczem się nie różnią od tych, jakie miał niegdyś względem mnie.

— Naturalnie! — rzekł starzec i machnął ręką.

— Jemu chodzi o posag.

Zwiesił głowę na piersi i przymknął oczy. Wyszukiwał już w starym mózgu rady na uchronienie wnuczki od zmarnowania pierwszych, wiośnianych uczuć.

— Ja panu opowiem rozmowę moją z Prątnickim — rzekła Stefcia gorączkowo — Pan sam osądzi. Może ja źle zrozumiałam.

Pan Maciej podniósł głowę.

— Rozmawiałaś z nim o tem?

— Tak, wypadkowo.

Powtórzyła całą scenę z Prątnickim aż do przyjazdu ordynata.

Podczas opowiadania mieniła się na twarzy, oczy jej zachodziły łzami, to znów sypały iskry oburzenia.

Pan Maciej słuchał uważnie.

— Jaka podobna do tamtej... — szepnął do siebie parę razy. Gdy skończyła, ozwał się:

— Zrozumiałaś go dobrze, moje dziecko. Niechący wypowiedział się wyraźnie. Ale jakież było zakończenie waszej rozmowy? Musiał coś więcej powiedzieć nad to, co powtórzyłaś. Prawda?

— On delikatnością się nie odznacza — odrzekła wymijająco.

— Domyślałam się. Zapewnie powiedział ci coś przykrego, wychodząc, kiedy zobaczył Waldemara przed oknami. Czy tak?

Wymowne milczenie dziewczyny było potwierdzeniem domysłu pana Macieja.

— Bezczelny! — szepnął z oburzeniem.

W ogrodzie zaskrzypiał żwir pod prędkimi krokami. Do altany wszedł Waldemar, ubrany jak do konnej jazdy. Stał trochę zdziwiony na widok dziadka ze Stefcią, zdjął kapelusz i zawołał z humorem:

— Honny soit qui mal y pense!

Po zamienieniu kilku słów z żartobliwie nastrojonym ordynatem, Stefcia pożegnała panów, wracając do siebie. Chciała uspokoić się. Pan Maciej pozostał w altanie z Waldemarem.

XII.

Słońce spływało ku zachodowi, gdy pan Maciej, prowadzony przez Waldemara, powracał do pałacu.

Klasycznie wyglądała para tych ludzi. Znać było na nich ten sam styl, ale w szczegółach i formie różnice występowały znamienne.

Dziadek przypominał starego orła, patriarchę rodu, zmęczonego lotem życia, o skrzydłach już zwiniętych, może nawet połamanych. Typ patrycjuszowski minionej epoki, tradycyjnie zachowanej i bardzo szanowanej. Wnuk, to młody orzeł, spadkobierca rodzinnego berła i starego gniazda, pełen życia i siły, z rozwiniętymi szeroko skrzydłami i bujnym lotem młodzieńczym. Tradycyjny potomek rodu, patrycjusz wyjęty niby żywcem ze starych pergaminów z życiorysami pradziadów, lub z odwiecznych portretów ich dostojnych postaci, ale już odarty z pleśni wieków; powyższy typ, ale w odmłodzeniu, orzeł tej samej skały, *lecz z bystrzejszym wzrokiem, obejmującym obszerniejsze horyzonty.* W starej, karmazynowej krwi miał świeże wpływy nowoczesnej atmosfery i jaskrawsze barwy zasad. *Nad przodkami górował bystrością* umysłu, bogactwem natury i wrażliwością. Jedynie typowa gwałtowność, charakter stanowczy, trochę feudalny i siła temperamentu nie uległy w nim ogólnej zmianie, chyba w drobnych szczegółach.

Ale tu przyczyną było odmienne tło; zamiast pergaminu zamierzchnych lat, tłem nowoczesnym był elegancki welin.

Patrząc na niego, jak prowadził dziadka, widocznie zirytowany, niemal złowrogi, przedewszystkiem poznawało się w nim Michorowskiego, potomka tych, którzy w chwilach niezadowolenia wyciągali miecze z pochew, a w chwilach gniewu broczyli je krwią.

Po rozmowie z dziadkiem, Waldemar zaledwo zdołał powstrzymać się od gniewu. Gdyby mu było wolno dać folgę oburzeniu wywołałby gwałtowną burzę w pałacu. Ale zmógł się. Szedł krokiem nerwowym, chwilami przystając, aby dorównać miarowym stapaniom pana Macieja. I pejczem uderzał gwałtownie po sztylpach butów.

W oczach gniewne błyski mieszały się z zimną ironją, usta krzywił sarkazm, brwi ściągała groźna zawziętość.

Pan Maciej zaniepokoił się.

— Pamiętasz, Waldy, co mi obiecałeś? — rzekł, patrząc w oczy wnuka. — Gwałtownością narazisz Stefcię. Prątnicki awantury jej nie zrobi, ale dobrą sławę tej dziewczyny może szarpać. Będzie przekonany, że się tobie poskarżyła, i gotów myśleć, Bóg wie co.

— Ależ co znowu! — oburzył się Waldemar. — Przecie potrafię zapanować nad sobą. Zresztą najlepiej będzie, gdy zaraz odjadę.

— To właśnie najgorsze.

— Prawie konieczne. Jestem tak podrażniony, że drobnostka może mnie wyprowadzić z równowagi pomimo mej woli. Niech ten... osioł przy kolacji odezwie się do Luci z czemś niestosownem... nie ręczę za siebie. Wolę go nie widzieć wcale.

— Idalka dziś nie powróci napewno.

— Wszystko jedno — rzucił zły.

Uderzył szpicróżgą po gałęzi, aż grad liści posypał się pod nogi, i cisnął jakieś przekleństwo.

— Co zamierzasz czynić? — spytał pan Maciej.

— Czekać pierwszej sposobności i tego gagatka wyprawić.

— Drażliwa materja. Gdyby był płatny, zapłaciłbyś mu za cały rok i skończone, ale tak!

— Zaproponuję mu przeniesienie się do Głębowicz, lecz w ten sposób, że powinien zrozumieć, czego chcę.

— A jeśli się zgodzi?

— O to jestem spokojny! Zresztą innego sposobu nie widzę bez narażenia jej... Stefci...

Pan Maciej spojrział na niego ukradkiem.

— Jak on się o niej wyraża! — pomyślał.

Wszedłszy do pałacu, Waldemar kazał podawać samochód, sam zaś zeszedł na dół do parterowego salonu, blisko pokoju Stefci. Mrok zapadał szybko, salon ginał w szarych barwach wieczornych, gdzieś niegdzie połyskując złoceniami ram i kryształem pajaków.

Ordynat spojrział na zegarek i zadzwonił.

Nadbiegł młody pokojowiec.

— Niech tu przyjdzie Jacenty — rzekł Waldemar.

— Światła i pospuszczać story! — rzucił krótko kamerdynerowi.

Jacenty spełnił polecenie i chciał odejść.

— Czeka! — zawołał ordynat. — Idź do panny Stefanji i oświadczyć, że pragnę się pożegnać.

Jacenty wyszedł.

Ordynat zaczął chodzić po salonie. Po chwili weszła Stefcia. Na twarzy miała silne rumieńce.

Waldemar pospieszył ku niej.

— Chciałem się z panią pożegnać. Zaraz jadę.

— Jakto? Nie zaczeka pan na kolację?

— Nie, pani, spieszę do domu.

— Otrzymał pan jaką złą wiadomość?

— Dlaczego pani o to pyta?

— Bo widzę, że pan zirytowany.

— Ach tak! pani to zauważyła? Jestem nawet wściekle zły, lecz nie z powodu wieści z Głębowicz. Rozmawiałem z dziadkiem, opowiedział mi wszystko...

Mgła przesłoniła oczy dziewczyny. Niezmierna przykrość odbiła się na jej twarzy.

Była chwila kłopotliwego milczenia.

— Więc nie zostaje pan? Zatem do widzenia — rzekła Stefcia wyciągając rękę.

Waldemar ścisnął ją w swej dłoni i nie puszczając, rzekł dziwnie miękko:

— Niech pani będzie spokojna. Domyślałem się wiele, teraz wiem wszystko: dołożę wszelkich starań, aby się pani więcej nie męczyła.

— Dziękuję panu. Tu głównie chodzi o Lucję.

— Najwięcej o panią. Tamto dzieciństwo prędko przeminie bez poważniejszych następstw. Niech pani nie bierze tego tak tragicznie. Swoją drogą dołożę starań, aby w Słodkowcach zapanowała dawna swoboda.

Stefcię przestraszyły te słowa.

— Ależ ja nie chcę, aby z mego powodu wynikły jakieś nieporozumienia... Nie chcę mu... nie chcę nikomu szkodzić.

Była ogromnie zmieszana, bo Waldemar nie puszczał jej ręki. Chciała ją wysunąć, lecz ujął ją jeszcze mocniej.

— Niech pani mi wierzy i ufa — rzekł stanowczo. — Postąpię jak będzie można najtaktowniej. Ale wyjazd tego pana wszystkim poprawi humory, nie wyłączając zblakanej Luci, a już mnie bez kwestji.

Wesoło spojrział w jej oczy i rzekł:

— Czas jechać. Do widzenia! Niech się pani niczem nie martwi, proszę bardzo.

Skłonił się i wyszedł.

— Jaka szlachetna i śliczna! — szepnął w korytarzu.

Stefcia powróciła do siebie. Wzięła książkę ze stolika i otworzyła, chcąc czytać, lecz myśli plątały się, nie rozumiała ani słowa. W uszach brzmiał jej niski głos Waldemara, na ręce czuła uścisk jego dłoni. Siedziała nieruchoma, w obawie spłoszenia błęgiego spokoju.

Rozległ się łoskot samochodu, głos na ganku i zapadła cisza.

— Pojechał — szepnęła do siebie Stefcia. — Ale jacy to inni ludzie: ten i tamten.

XIII.

Prątnicki miał minę zwycięską, wchodząc do stajni.

Spotkał Lucię, powracającą z cieplarni, widział jej rumieniec i z kilku słów dziewczynki upewnił się, co do jej uczuć. Sam skorzystał, aby ucisnąć rączkę dziewczęcia i szepnąć parę czułych frazesów.

— Jestem na dobrej drodze — powtarzał sobie. — Ta mała kocha się we mnie najwidoczniej.

Podkręcił węża z miną człowieka zadowolonego z siebie i ze swej przyszłości.

— Kasztany, czy gniade? — spytał Benedykt.

— Zaprzęgaj czwórkę karych arabów do żółtego amerykana.

Stangret wytrzeszczył na niego oczy.

— Kare araby?!

— Ogłuchłeś, widzę. Zaprzęgaj prędzej.

Z szorowni wyszedł rządcą Klecz.

— Dokąd pan chce jechać? — spytał Edmunda po niemiecku.

— Do miasta. Muszę być w składzie rolniczym, aby dowiedzieć się o żniwiarkę.

— Żniwiarka naprawiona. Niema pan po co jechać.

— Ordynat sam mi to polecił.

— Może być, ale dawniej. Teraz tylko pošlemy furmankę.

— Muszę jechać — upierał się Prątnicki.

— Ha! jedź pan, ale nie radzę karemi końmi.

— A to dlaczego?

— Tak... Nie radzę... Daleki kurs...

— Do Szal chyba dalszy, a baronowa jeździ niemi zawsze.

Klecz rzucił na niego znaczące spojrzenie.

— Różnica! — rzekł lakonicznie.

Zrozumiał, co Klecz chciał powiedzieć, ale postanowił nie ustępować.

— Czemu nie zaprzęgasz? — krzyknął na Benedykta.



*Pratnicki spotkał Lucię, powracającą z cieplarni.
Skorzystał aby uścisnąć rączkę dziewczęcia i szepnąć
parę czułych frazesów str. 64.*

— Panie, po przyjacielsku radzę panu nie brać tej czwórki — rzekł Klecz. — To ulubione konie ordynata. Może im się stać co złego, potem bieda. Pal je lichy! Niech pan jedzie kasztanami, konie jak szałwy. Albo gniade niech pan weźmie. Podobno baronowa ma dziś jechać do Obronnego. Zadysponuje kare i co wtedy?

— To dla niej założy się gniadą czwórkę — rzekł Prątnicki już zły. Zwrócił się znowu do Benedykta:

— Zaprzęgaj żywo! Rozumiesz!

Stangret wzruszył ramionami i poszedł spełnić rozkaz, mrużąc pod nosem niepoehlebne życzenia dla praktykanta. Klecz machnął ręką.

— Twarda sztuka!... niech go djabli — rzekł do siebie.

Po kilku minutach Edmund siedział w amerykanie i zgarnął lejce czwórki. Następnie, zanim stajenny zdołał się usadowić, trzasnął z bata z ironicznym uśmieszkiem, pożegnał Klecza, puścił konie tęgiego kłusa i zniknął na skrócie drogi.

Rządca i stangret spojrzeli na siebie.

— Żeby się chociaż co złego nie stało — mruknął Klecz.

A Benedykt rzekł, rozkładając ręce:

— Jak pan praktykant znarowi konie, ja nie będę odpowiadał przed ordynatem. Kiedy pan rządca pozwolił, to co ja winien?

— Przecie pan Prątnicki umie jeździć. Co tam Benedykt prawi! — odrzekł Klecz, sam zaniepokojony.

Nieobecność Prątnickiego na obiedzie zadziwiła panią Idalję, a zamuciła Lucję. Dziewczynka nie rozumiała, dlaczego wyjechał dziś, po tak miłym spotkaniu sam na sam. Smutek jej wzmógł się, gdy pani Idalja oznajmiła, że po obiedzie jada do Obronnego, odwiedzić księżną Podhorecką. Gdy Lucia została sama ze Stefcia, zarzuciła jej ręce na szyję, szepcząc z rozkapryszoną miną:

— Takym wolą zostać w domu! Tak mi się nie chce jechać!...

— Przecie dawniej lubiłaś bywać w Obronnem — uśmiechnęła się Stefcia.

— Ach! dawniej! to co innego.

I w oczach jej błysnęło rozmarzenie, tak niedostosowane do tej dziewczęcej postaci, jak niewłaściwą byłaby silna woń róży dla niezapominajki.

Pani Idalja, kończąc ubieranie się, rozkazała zaprzęgać konie do landa. W parę minut potem Jacenty zastukał do jej pokoju.

— Proszę jaśnie pani — stangret mówi — że można jechać tylko gniadą czwórką lub kasztanami.

— Ale ja kazałam zaprzęgać kare — rzekła pani z przyciskiem.

— Stangret powiada, że karych niema.

— Gdzież się podziały?

— Pan praktykant pojechał do miasta.

Pani Idalja zwróciła się gwałtownie na krześle ku Jacentemu i z półprzymrużonych powiek spojrzała na niego bacznie.

— Pan Prątnicki... karą czwórką... do miasta?

— Tak mówi stangret.

— Rządca wiedział od rana, że pojedę. Jakże mógł dać te konie?

— Pan praktykant powiedział, że jaśnie pani pojedzie gniadem.

— To nie może być! — zawołała wzburzona baronowa. — Niech Benedykt przyjdzie do kredensu.

Jacenty wyszedł.

Pani Idalja powstała z krzesła szarpiąc nerwowo rękawiczki.

— Skandal! — wołała do siebie. — Ja dysponuję konie, a mnie powiadają, że koni niema? On za wiele sobie pozwala. Waldy go rozuchwalił. To do niczego niepodobne. Voilà qu'il est ridicule!...

Wzburzenie jej rosło.

Tymczasem przed stajnią zebrała się narada. Jacenty, Benedykt i kilku stajennych mieli miny zakłopotane. Szukali rządcy, ale Klecz wyruszył w pole.

Nie było rady, trzeba iść do pałacu.

Gdy Benedykt z Jacentym weszli w obręb dziedzica, stangret drętwiał z przestachu.

Dokoła gazonu pokojowiec oprowadzał karego wierzchowca z Głębowicz. Przyjechał ordynat..

— No! — zawołał Benedykt — jaśnie pan zawsze przyjeżdża wtedy, jak go się nikt nie spodziewa, ale dziś to już trafił!

Waldemar zastał ciotkę bardzo rozgniewaną. Ledwo raczyła się z nim przywitać.

— Co się stało? — spytał zdziwiony.

— Widzę, że ten twój protegowany ma tu więcej prawa odemnie. A! tego się nie spodziewałam.

Waldemar słuchał spokojnie, chodząc po pokoju. Gdy skończyła parsknął śmiechem.

— Mój protegowany! Paradna jest ciocia. Nie wiem, kto go dotychczas protegował więcej. Z pewnością nie ja.

— Jednak się teraz śmiejesz. Nie obeszło cię to ani trochę.

— Przeciwnie jestem zachwycony tym wypadkiem.

— Voyons! jest bardzo uprzejmy.

— Ależ, ciociu, państwo oboje wyrządziliście mi wielką przysługę: ciocia, że dziś chciała jechać, a ten pan, że właśnie dziś pojechał.

— Nie rozumiem cię.

— Moja ciociu, nie ulega wątpliwości, że ten pan zdobywa tu sobie jakieś prawa, ale to wina cioci — nie moja.

— Powtarzam, że nie rozumiem cię — przerwała pani Idalja, wzruszając ramionami.

— Ciocia widzi jego zabiegi około Luci? Tak czy nie?

— Odbiegasz od przedmiotu.

— Właśnie do niego dążę. Niech mi ciocia odpowie.

— Asystuje Luci. Więc cóż z tego?

— Ale ciocia to widzi i pozwala na to.

Pani Idalja zerwała się z krzesła.

— Ach! mój drogi, nie widzę w tem nic złego, że z sobą flirtują. Cóż to szkodzi?

Sądzę, że dla Luci jeszcze taki flirt zbyteczny — rzekł Waldemar chłodno.

— Przeciwnie. Lucia ma szesnaście lat, niech się wprawia. Dla dziewczyny w tym wieku to nawet konieczne.

— Czyby i to było koniecznem, gdyby się zakochała?

— Chociażby! — W Prątnickim może się nawet kochać.

Waldemar spojrział na nią, nie wierząc własnym uszom.

— Za pozwoleniem. Co znaczy ten dodatek „nawet“ i wogóle to w „Prątnickim“?

— Sądzę, że rozumiesz.

— Niestety nie.

Pani Idalja wybuchnęła:

— Gdyby Prątnicki był z naszej sfery, lecz niestosowny jako partja wówczas inaczejbym się na to zapatrywała, ale tak...

— A tak wolno im się kochać? No to może wolno im będzie pobrać się? — spytał z ironją.

— Drażnisz mnie, mój drogi!

— Ja tylko pytam. Więc jemu wolno z nią flirtować, jej wolno kochać się. Ciocia na to pozwala, on to widzi. No i nie bądźże tu w dobrym humorze. To jest kwintesencja jego dzisiejszej przejażdżki. Pełen dobrych myśli pojechał karemi końmi, a cioci zadysponował gniade, uważając, że przyszła teściowa może ustąpić w takiej drobnostce.

— Waldy, co ty mówisz?

— Nic więcej, tylko prawdę.

— Ależ... Czyżby?... — zastanowiła się.

— Tak, tak... to właśnie! — zawołał Waldemar, podchwytyjąc myśl ciotki, która nagle zbladła.

— On śmiał marzyć o Luci?

— O! dlaczegożby nie? On jest bardzo odważny.

— To niemożliwe!... Nie, nie! Toby było szczytem zuchwalstwa! — mówiła pani Idalja wzburzonym głosem.

— Moja ciociu! On miał twoją protekcję, czegoż potrzeba więcej? Może śmiało powiedzieć: veni, vidi, vici — drwił Waldemar.

Ciotka spojrzała na niego.

— Skąd wiesz o tem, Waldy? — spytała nieufnie.

— Od dziadka, który jest lepszym badaczem od cioci. Zresztą sam widzę dużo.

Pani Elzonowska poruszyła się gwałtownie na krześle.

Waldemar chodził po pokoju. Myśli rozsadały mu głowę. Przede wszystkim jedna: że choćby nawet Prątnicki był innym człowiekiem i kochał Lucię, nie danoby mu jej dlatego, że należy do „niższej“ sfery społecznej.

— Co za barbarzyński przesąd! — mówił sobie w duchu. — Więc ona, Elzonowska, nie może zostać żoną Prątnickiego dla nazwiska. Jakież to dzikie!... I ja sam do tego dopomagam. Dajmy na to, że dla wielu przyczyn. Za Prątnickim nie przemawia nic, prócz dziecinnego zadurzenia się Luci. Lecz gdyby Prątnicki był innym człowiekiem, nie byłoby w Słodkowcach Stefci... I tu także inna sfera... Przekleństwo! — szepnął do siebie.

Baronowa ocknęła się z odrętwienia.

— Powiedz mi, Waldy, dlaczego mówiłeś przed chwilą, że ja i ten... Prątnicki zrobiliśmy ci przysługę — spytała.

Waldemar przesunął ręką po czole, jakby odpędzając od siebie natrętne myśli.

— Bo ja czekam sposobności, żeby uwolnić się od niego.

— Ach! rozumiem! I sposobność znalazłeś. To bardzo dobrze!

— Chyba ciocia nie myśli, że głównym powodem będzie jego spacer dzisiejszy.

— A cóż więcej?

— Jakto co? Czy ciocia życzy sobie, aby on tu nadal pozostał?

— Wobec tego, o czem się dowiedziałam, broń Boże! Ale przecież mu wyraźnie drzwi wskazać nie możesz.

— Dam do zrozumienia w sposób jak najogłędniejszy, że jest tu zbyt czyny.

Wszedł Jacenty, oznajmiając, że Benedykt czeka.

Pani Idalja rzekła do Waldemara po francusku:

— Kazałam mu przyjść wytłómaczyć się. Ale teraz tobie go zostawiam.

Wzruszył ramionami.

— On nic nie winien, tylko rządca. Jaby cioci radził jechać i kwestję końską pozostawić na boku. Winienem jej wdzięczność, ale wysuwać ją na pierwszy plan niema powodu. Więc jedzie ciocia, tak?

Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Jacentego:

— Niech Benedykt zaprzęga kasztany.

Po odejściu kamerdynera, Waldemar spytał:

— Czy z ciocią jedzie tylko Lucia?

— Jedzie z nami Rudecka.

Gniew zadrgał na ustach Waldemara.

— **To dobrze.** Tylko mogłaby ją ciocia nazywać **cokolwiek** mniej urzędownicę.

Baronowa rzuciła na niego krytyczne spojrzenie. Chciała coś odrzec, lecz Waldemar szybko skłonił się jej, dodając:

— Proszę być gotową. Czas jechać.

Wyszedł i mruknął do siebie z gniewem:

— Chciała mnie znowu poczęstować sferą.

XIV.

Błękitna tafia jeziora mieniła się opalowo, zapalała się mnóstwem złotych iskierek, płynąc jaskrawą szarfą. Chwilami pokrywał ją ciemny błękit lub szmaragdowa tęcza, albo stawała nagle nieruchomo, niewytwarzając barw, i odbijała tylko poszarpane obłoki. Jakies zygzaki szły po fali, niby tysiące ogni, wzdymały się, rozświeślały, pozostawiając po sobie zwał piany. Z jednej strony błyszcząca szyba wody zaciemniała się równą linią od bujnej masy drzew parkowych. Ogromne korony wierzb, smukłe olchy, potężne graby, klony i drżące, rozpuszczone włośy brzóz spadały na lustrzany kryształ leżący u ich stóp. Na brzegach szumiały mięsiste tataraki i kępy trzciny o rozwianych kitach. Pojedynczo strzelały w górę na sztywnych łodygach ciemne, podługne słupki stawowej rogózki. Białe szmatki piany drżały u podnóża trzciny; to woda, spadająca gwałtownie w zawilą masę korzeni, szumi, wydaje suchy szelest i pieni się z gniewu.

Lecz i na środkowym szlaku zamajaczyła biała plamka, niby mały skrawek obłoku, spadły na wodę, zwabiony roziskrzoną falą... Oto druga plamka... trzecia... całe mnóstwo spada na płynące złoto i znów wlatuje w górę, unosząc na swej bieli kilka świetlistych iskierek. To nie obłoki — to stado mew, lśniące, pełne świergotu. Mewy cieszą się ciepłem i słoneczną roztoczą, śpiewają radosny hejnał, zanurzając śnieżne pióra w tęczowej topieli. Nad samą wodą sykają smukłe ważki, zwane panienkami, brudząc przezczysty lazur powietrza, kręcą się krzykliwe komary.

Rzeźwe podmuchy poruszają liśćmi drzew, wywołując szумы, tajemniczą gwara przyrody. Czasem zakwili głośniejsza mewa, czasem odezwą się żaby, lub z głośnym pluskiem rzuci się ryba, pozostawiając po sobie szerokie obręcze wody. Zresztą cicho było na jeziorze, tylko park

huczał niezliczoną ilością głosów ptasich. Krzyczały makolągwy, gwizdały wilgi, świstał kos, gruchała synogarlica. Niżej, na gałęziach, klóczyli się z sobą liczne zastępy, całe spóółstwo wróbla, infanterja armji ptasiej.

Waldemar Michorowski zatrzymał się w swym spacerze po krętej uliczce nad wodą. Nagle po przez zielone sklepienie drzew prysnął gorący promyk słoneczny, zamigotał dokoła niego, zadrgał w jego stałych źrenicach i krwawą kroplą rozbłysł na rubinie szpilki w krawacie. Waldemar spojrział w górę.

— Szczególny promień. Ukłół mnie, jak igłą. Gdybym był zabobonny... Ach, cóż znowu!...

Podszedł dalej. Dziwił się, że nie może zebrać myśli; rwały się nasuwając wciąż jedno pytanie.

— Dlaczego jestem taki wrażliwy? Co znaczy ten objaw? Jakiś promyk rozświetlił mnie, jak ten przed chwilą spadły ze słońca... Promyk! Czy ona może być promykiem? Jest również słoneczna, czy jednak równie gorąca?

Zaśmiał się ironicznie.

— Może była, ale ostygła, wyczerpana ogrzewaniem kogo innego.

W wyobraźni mignęły mu postacie Stefci i Prątnickiego. Wzruszył ramionami i rzekł prawie głośno ze śmiechem:

— Ogromnie głupi jestem! Cóż promyk? Skoro jest słoneczny — ogrzać się nim. Po co te rozważania bezcelowe?

Spojrział na jezioro.

— Naprzykład te mewy — myślał — pływając się w blaskach i biorąc na swe skrzydła tyle tęczy, ile się zmieści. Jaki one mają rozum!... Nie należy omijać żadnego promyka, kraść każdą tęczę bezwzględnie — oto jest umiejętność korzystania z życia. Na rozpatrywaniu wszystkiego. badaniu szczegółów marnuje się tylko bezowocnie czas i w rezultacie nie otrzymuje się wyników, bo przedmiot powszednieje, przestaje budzić zajęcie.

— Czy to prawda, czy paradoks? — zastanowił się.

— Więc chcę, aby była prawda. Mogę sobie na to pozwolić.

Za jeziorem, na drodze, obramowanej murem zboża, ujrzał sunące prędko łby i grzbiety końskie, oraz górny kontur żółtego amerykańana. Siedziały w nim dwie ciemne sylwetki, odrzynające się wypukło na tle złotego łanu pszenicy.

Waldemar patrzył chwilę, wreszcie wybuchnął śmiechem:

— O! tam jedzie promienisty! — zawołał wesoło i zawrócił do pałacu.

Kolację spożyto w milczeniu, pan Maciej był apatyczny, Waldemar zimny, Prątnicki niespokojny.

Edmund nie spodziewał się zastać ordynata. Zmieszał się podwójnie, gdy mu powiedziano o wyjeździe pań. Czuł się zazwyczaj swobodniejszym wobec pani Elzonowskiej i Luci. Wszedłszy do sali jadalnej zauważył sztywność obu panów, postanowił więc nadrabiać miną. Opowiadał wesoło o bytności swej w składzie narzędzi rolniczych. Dowcipnie krytykował firmę i panów, z którymi tam rozmawiał. Ale spostrzegł, że opowiadanie jego nie robi wrażenia na obu Michorowskich i zaczął mówić głównie do pana Ksawerego. Zniżonym głosem spytał starego rezydenta:

— Czy panie dziś nie wrócą?

— Chyba nie — odparł pan Ksawery. — Pojechały do Obronnego, tam zawsze nocują.

— Szkoda.

— Dlaczego pan tak żałuje? Niema pan przecie osobistego interesu do żadnej z pań?

— Owszem, mam bardzo pilny.

— Ciekawym jaki, bardzom ciekaw — rzekł pan Ksawery, patrząc na praktykanta żartobliwie.

Edmund odczuł cień lekkiej ironji w głosie rezydenta i pomyślał:

— A temu, co się dzisiaj stało?

— Więc jakiż to interes? — powtórzył pan Ksawery.

Staruszek, zjadłszy ogromnie dużo, był w bardzo dobrem usposobieniu.

Pratnicki pokręcił głową.

O, tego nie mogę powiedzieć nikomu.

— Aż tak! Ho, ho! A o którąż z pań tu chodzi, jeżeli wolno choć oto zapytać?

— Mam osobisty interes do swego ideału — rzekł z zagadkowym uśmiechem zapytany.

— A nie będę niedyskretny, jeżeli zapytam, jakiej natury jest ten interes?

— Pan zbyt ciekawy! Przypuśćmy, że pragnę jej opowiedzieć o mej tęsknocie i ujrzeć rumieniec na jej buzi.

Waldemar mimowoli słyszał wszystko. Wzburzony, chciał wstać i wyrzucić za drzwi Pratnickiego. Ale opanował się, może pod wpływem błagalnego spojrzenia pana Macieja.

— Jaki pan pewny tego rumieńca! — zauważył pan Ksawery. — A gdyby panu nie udało się go wywołać?

— Pan wątpi? Panienci zawsze łase na słodkie słówka i mają rumieńce na zawołanie. Zwłaszcza Stefa do rumieńców skłonna. Już ją znam...

Tu Edmund spostrzegł, że posunął się za daleko, więc umilkł.

Ale ordynat nie mógł dłużej panować nad sobą. Skruszył w palcach cygaro, zasypując nim obrus, i gwałtownie powstał. Przeprosił pana Macieja i wyszedł z sali.

Stary Michorowski powiedział dobranoc obu panom, coś do nich przemówił i wyszedł. Pratnicki, niemile tknięty, stracił humor, a stary rezydent, podając mu rękę, pomyślał:

— Czy nie przegalopowałeś, kawalerze?

Waldemar biegał po swym gabinecie, chcąc się uspokoić. Po godzinie rozkazał Jacentemu prosić Edmunda. Ordynat siedział przy biurku z miną spokojną i obojętną, tak że praktykant, nie widząc niezadowolenia na jego twarzy, odzyskał swobodę.

— Czem mogę służyć? — spytał, podchodząc elastycznie do biurka Waldemar wskazał mu krzesło.

— Proszę, niech pan siada. Chcę z panem pomówić.

Młody człowiek zmieszał się i usiadł w milczeniu.

— Właściwie — rzekł Waldemar — mam wyrazić panu mój zamiar, który powziąłem od pewnego czasu — zamiar dotyczący pana.

— Mnie?

— Tak. Chcę panu zaproponować przeniesienie się na stałe do Głębowicz. Sądzę, że to panu różnicy nie zrobi, a teren pracy tam będzie nawet większy...

Mówił tonem naturalnym i uprzejmie, ale z lodowatym chłodem.

W Prątnickiego jakby nagły grom ugodził. Spodziewał się wszystkiego, prócz przeniesienia do Głębowicz. Nie wiedział, co o tem sądzić. Bezwiednie bąknął:

— Dlaczego, panie ordynacie... tak nagle... Nie jestem przygotowany

— To najmniejsza, kwestja paru mil drogi, przeprowadzka niedaleka.

Edmund jeszcze chciał się bronić.

— Czy pan niezadowolony z mych czynności gospodarczych w Słodkowcach? — zapytał z uniżonością, która obudziła niesmak w Waldemarze?

— Z gospodarczych? Nie. Tylko wogółem jest pan odpowiedniejszy do Głębowicz.

— Odpowiedniejszy?... Dlaczego? z jakich względów?

Michorowski tracił cierpliwość.

— O panie, względy są różne — rzekł, strzasając w popielniczkę popiół z cygara.

Prątnicki zrozumiał. Niechciano go tu. Lecz jaki główny powód? pragnął dowiedzieć się koniecznie. Rzekł po krótkim milczeniu:

— Panie ordynacie, jeśli dzisiejszą swą wycieczką naraziłem się panu, w takim razie przepraszam bardzo. Istotnie popełniłem błąd.

Waldemar podniósł głowę.

— Czy ja panu robiłem wymówki, że mnie pan przeprasza? — spytał.

— Postąpił pan niewłaściwie, lecz to rzecz drobniejsza.

— Przedewszystkiem, nie wiedziałem, że pani baronowa miała dziś jechać — bronił się Prątnicki.

Ordynat skrzywił usta z niesmakiem. Nie lubił wykrętów.

— No, o tem pan wiedział, bo nawet zadysponował pan gniadą czwórkę dla ciotki. Ale powtarzam, to rzecz drobniejsza. Głównie chodzi o to, że nie nadaje się pan do miejscowego otoczenia w Słodkowcach. Pan rozumie?... Nie odpowiada pan właściwym warunkom, traktując je nazbyt przedmiotowo, co znowu nie zgadza się z pewną skalą naszych pojęć.

Teraz łuska spadła z oczu Edmunda. Spostrzeżono jego zamiary i dają mu odprawę. Projekt przeniesienia go do Głębowicz to tylko delikatne wskazanie drogi, którą ma się wycofać.

Jego plany przekreślone zostały ręką ordynata bardzo stanowczo. Prątnicki był zgnębiony, przegrał na całej linii bez możliwości odwrotu. Spojrzał na ordynata.

Waldemar paląc, patrzył przed siebie na marmurowy kałamarz z takim wyrazem twarzy, jakby chciał rzec:

— Czemu nie wychodzisz? Ja już skończyłem.

Edmund czuł, że powinien odejść, ale jeszcze się wahał niepewny, czy to zupełne usunięcie, czy tylko przeniesienie.

Waldemara to wahanie drażniło. Zirytowany wstał i podając mu rękę, rzekł krótko:

— Zatem skończone. Dobranoc panu.

Praktykant zerwał się z krzesła i odpowiedział z fałszywą swobodą:

— Postaram się zadowolić pana ordynata.

— Dziękuję. Będzie to korzystniej dla obu stron.

Uklonili się sobie i Prątnicki wyszedł z podniesioną głową, którą za drzwiami zwiesił smutnie.

— Psia krew! dostałem arbuza — mruknął zły — bo to przecie arbuzy prywatny nie urzędowa dymisja. Ale jak on to delikatnie zrobił, po pańsku. Arystokrata! — dodał ze zjadliwą ironją.

W przedpokoju lokaj chciał mu podać palto, ale Edmund odtrącił go z gniewem.

Idź do diabła!

— Oho! — zawołał służący, zamykając drzwi za nim.

Waldemar wszedł do sypialni pana Macieja. Staruszek leżał w łóżku, czytając dzienniki. Na widok wnuka, odsunął lampę.

— Czemu tak długo nie przychodziłeś?

— Rozmawiałem z Prątnickim. Już skończone — odpowiedział Waldemar, siadając obok łóżka.

— Wymówiłeś mu miejsce?

— W zasadzie tak. Zaproponowałem mu przejazd do Głębowicz.

— I zgodził się?

— To byłoby niepożądane, ale zrozumiał, czego się od niego chce.

— Powiedz prawdę: wywołała to dzisiejsza rozmowa przy kolacji.

Czy tak?

— Tylko przyspieszyła.

— A wywołała głównie dla czego?

— Dziadzią się o to pyta? nie mogłem nigdy znosić jego dowcipów, zwłaszcza takich...

Powstał i zaczął chodzić po pokoju.

Pan Maciej milczał. Światło lampy, padając ukośnie, oświecało jego białe włosy i szerokie brózdy na twarzy. Czoło miał sfałdowane, oczy przymknięte, na zwiedłych ustach osiadł bolesny wyraz. Długo siedział pograżony w głębokiej zadumie, z pochylonemi barkami, jakby gniótł go jakiś ciężar niezmierny.

Na tle dywanu jego starcza postać odrzynała się wypukło; spływały na nią gnębiące wspomnienia z przeszłości, pod ich brzemieniem zginał głowę coraz niżej. Nagle podniósł zmarszczone czoło, spojrzął na wnuka i rzekł z naciskiem:

— Waldemarze, bądź szczery. Tobie głównie o nią chodzi?

Z głębi ciemnego pokoju odezwał się głos przytłumiony, o pięknym, niskim brzmieniu:

— Tak!

— Boże, nie odmawiaj swego zmiłowania! — szepnęły drżące wargi starca.

Zasłoniwszy oczy rękoma, modlił się cicho, powtarzając z przejęciem:

— Za moje winy nie karz go, Panie! Panie! Odpuść mi... Zaniechaj zemsty!...

XV.

Pożegnanie z paniami odbyło się uroczyście. Prątnicki nadrabiał miną, co bolało Lucię. Pani Idalja ze wspaniałością wielkiej damy wyrzekła do niego parę słów, zakrawających na serdeczność. Brzmiało to

trochę fałszywie. Pan Maciej z uprzejmym uśmiechem życzył odjeżdżającemu szczęścia, Waldemar pożegnał go swobodnie, pan Ksawery obojętnie. Nikt nie wyraził żalu z powodu jego wyjazdu.

Pani Elzonowska powiedziała Luci i Stefci, że Edmund ma jakieś inne zamiary i dlatego wyjeżdża.

Lucia płakała całą noc i dzień, przy pożegnaniu miała czerwone oczy. Edmund spoglądał na nią z uśmiechem, jak na swoją ofiarę. Widok spłakanych oczu dziewczynki nie wzruszał go, natomiast pod pokrywką wesołości czuł się wściekle zły, że minęła go taka świetna partja.

Lucia była pewną, że on chce zostać z nią sam na sam i że jej coś powie na pożegnanie. Przypomniała sobie czytane ukradkiem romanse a w nich miłosne schadzki, bileciki i zaklinania. Myślała, że i między nimi nastąpi to samo. Może będą do siebie pisywali? Wprawdzie byłoby trudności, ale to tem lepiej. Chciała się z nim spotkać, wychodziła kilka razy do parku, przekonana, że on już tam czeka na nią. Nie uszło to baczności Stefci; spotkała Lucię w cieniu na ławeczce głośno płaczącą. Usiadła przy niej i utuliła w swych ramionach. Wówczas dziewczynka przyznała się, że wyszła, aby spotkać Edmunda, i teraz płacze po nim, jak po umarłym.

— Dlaczego jak po umarłym? — zapytała nauczycielka. — Czy rozmawiałaś z nim?

Lucia odparła z płaczem:

— Chciałam z nim pomówić, myśląc, że i on tego pragnie. On przechodził tędy aleją, widział mnie, był blisko... Zawołałam: „Panie Edmunde!” a on stanął i spytał: „Czem mogę służyć?” — ale tak ja-koś zimno i z takim dziwnym wymuszonym uśmiechem... Potem uklonił się i poszedł. On mnie nie kocha, on dla mnie umarł!

Stefci zaledwo udało się ją uspokoić.

Pożegnanie Edmunda ze Stefcią i Lucią odbyło się wobec wszystkich. Waldemar przewidując, że Prątnicki może obrazić Stefcię w chwili pożegnania, stał obok niej. Istotnie Edmund miał zamiar w ironiczny sposób życzyć Stefci powodzenia, wiedząc, że ją tem dotknie, lecz obecność ordynata wstrzymała go. Z jednakową obojętnością podał rękę Stefci i Luci. Ani jedno słowo nie zostało wymówione z obu stron. Tylko ręka dziewczynki zadrżała w jego dłoni, na co nawet nie zwrócił uwagi.

Wyszedł na ganek, jak zwycięzca, wsiadł do wolantu z miną bohatera. Do pojazdu odprowadził go Jacenty i pokojowy, zadowoleni z wyjazdu nie lubianego powszechnie praktykanta. Gdy wolant ruszył, Lucia, stojąc w oknie, wybuchnęła głośnym płaczem ku wielkiemu zdumieniu baronowej, która nie posadzała córki o tak żywe uczucia względem człowieka z innej sfery.

Po wyjeździe Prątnickiego zrobiło się raźniej w pałacu. Steficia odetchnęła lżej. Tylko baronowa z początku nudziła się, lecz tęsknota i lzy Luci utwierdziły ją w przekonaniu, że wyjazd praktykanta był koniecznym.

Pewnego dnia, w czasie bytności ordynata, przyjechała konno panna Rita Szeliżanka, a w pół godziny po niej zjawił się hrabia Trestka. Właśnie całe towarzystwo siedziało na werandzie. Rita, na widok swego prześladowcy, skrzywiła się i rzekła z gniewem do Waldemara:

— To jest bajeczne, jak gdyby był moim patronem...

Ordynat wzruszył ramionami: myślał o czem innym.

Trestka ujrzawszy pannę Ritę, udał zdumienie tak artystycznie, że mu binokle spadły z nosa.

— Pani tu? — zawołał. — Co za szczęśliwy traf.

— Doprawdy? Voyons! pan ma talent kompozytorski, jak widzę.

— Dlaczego?

— No, bo przecież wiedziałeś pan, że dziś będę w Słodkowcach, alboś się dowiedział w Obrońnem. Po co tu udawać!

— Nic nie wiedziałem, comme j'aime Dieu! To niby specjalnie dla pani miałem tu przyjechać?

— Zdaje mi się.

— Skandal! — oburzył się Trestka.

Nerwowym ruchem poprawił binokle, rzucając z pod szkieł wesołe spojrzenie na Stefcie, rzekł z dowcipną miną:

— Pani się myli. Ja do Słodkowic przyjeżdżam nietylko dla pani, mais encore...

— Niech się pan nie broni. My rozumiemy. Gdy panna Rita jest u nas, wówczas dąży pan tu głównie dla niej — rzekł Waldemar.

— Ale ja nie to chciałem rzec! — zaprzeczył Trestka.

— Ale myśmy tak zrozumieli, panie.

Trestka przygryzł usta i zamilkł. Panna Rita zerknęła na Stefcie, poczem zbliżyła się do Waldemara.

— Dziękuję panu — szepnęła z uśmiechem.

— Za co mi pani dziękuje? — spytał rozdrażniony ordynat.

— Za to, że pan gentlemanem.

— Muszę nim być za kogoś, niestety.

— To właśnie zasługa.

Po podwieczorku powstał projekt spaceru po parku. Panna Rita wzięła pod rękę Stefcie i wysunęła się naprzód, panowie szli za niemi. Lucia chodziła sama zamyślona, błędząc po uliczkach.

Po kilku wstępnych słowach panna Rita spytała:

— Jak się pani podoba młody Michorowski?

— Owszm... bardzo sympatyczny.

Panna Rita podskoczyła.

— Tylko sympatyczny? Myślałam, że pani oceni go głębiej. Ja mam dla niego cześć. Porównać go naprzykład z Trestką...

— No, tu nie może być porównania.

— Bo wypadłoby ono na niekorzyść Trestki. Tak, ma pani słuszność: to dwóch ludzi nie mających z sobą nic wspólnego, oprócz jednokowej liczby lat. Ordynat ma kolosalne powodzenie w świecie. Kobiety za nim szaleją. Cóż, kiedy jest bajecznie wybredny. Do jego wielbi-cielek i ja się zaliczam, ale również bez wzajemności.

Stefcia spojrzała na nią uśmiechnięta. Przypomniała sobie pierwszy przyjazd panny Rity i jej słowa, wypowiedziane przed gankiem do Waldemara.

Panna Rita mówiła dalej:

— Po cóż mam się ukrywać! Że kocham ordynata, wiedzą wszyscy, począwszy od mej opiekunki księżnej, a skończywszy na nim samym. Ale złudzeń nie mam żadnych. Dawno się ich pozbyłam, a raczej nie miałam wcale. Ta, którą on wybierze, w niczem nie będzie do mnie podobna. On ma gust bardzo subtelny, takie, jak ja mogą zachwycać najwyżej Trestkę. To się nazywa inaczej „pech“ w życiu. Mnie zajmuje pan Waldemar, a ja interesuję tego hrabiczka. Czy to nie jest poprostu

niedołość losu? Bo skoro ja się podobam takiemu Trestce, to widać niewiele więcej jestem warta od niego. A w takim razie on powinien mieć wzajemność. Czy nie mam racji?

— Ale cóż znowu! — zawołała Stefcia. — Pan Trestka nie wart nawet podnieść oczu na nią.

Tyle szczerości było w jej słowach, że panna Rita z życzliwością przypatrywała się jej przez chwilę.

— Pani ma dobry gust! Ja sama wiem, że jestem więcej warta od niego, chociaż znowu nie tak dalece, jak pani mówi. Dobrego gustu dowiodła pani również, odtrącając Prątnickiego. To typ bardzo nie ciekawy i także nie wart pani.

Stefci przykro się zrobiło. Odrzekła z prostotą:

— Nie, pani, ja go nie odtrącałam. To tylko okoliczności złożyły się dla mnie szczęśliwie.

— Ale inicjatywa zerwania od pani wyszła?

— Nie, zerwał mój ojciec.

— Który go zapewne lepiej zna?

— Niewątpliwie.

— Bądź co bądź za usunięcie tego pana ze Słodkowic należy się ordynatowi wdzięczność. A czy pani wie, jaki jest główny powód wyjazdu Prątnickiego? — Domyśla się pani?

— Główną przyczyną była Lucia i zabiegi Prątnickiego — odpowiedziała zagadnięta.

Uśmiech przemknął się po ustach Rity.

— Tak się to mówi. Ale to znaczy, że pani nic nie wie. Prątnicki usunięty jedynie dla pani.

— Dla mnie?!

— Tak, a raczej z powodu pani. On pani dokuczał, co gniewało ordynata a denerwowało pana Macieja. Nie mogli na to pozwolić. Jedna Idalka była wierna, ale kto ją zna, ten wie, że inną być nie potrafi. Ta kobieta ma ciało i kości, lecz wątpię, czy ma krew... chyba tak błękitną, że aż zwodniała. W ostatniej chwili oburzyły ją zamiary tego pana, jednak przedtem bawił ją znakomicie. Wyprawił go stąd głównie pan Waldemar. Mogę panią śmiało zapewnić, że w obu Michorowskich ma pani wielkich, wyjątkowych przyjaciół.

Nacisk na wyrazie „wyjątkowych“ nie podobał się Stefci. Odrzekła żywo:

— Wdzięczną im jestem bardzo, ale chyba i pani Elzonowska mi sprzyja?

— Ona panią bardzo lubi, a Lucia rozkochana w pani.

— To dobra dziewczyna. Biedactwo! ma do mnie trochę żalu za wyjazd Prątnickiego, odgaduje, że rozmawiałam o tem z panem Maciejem.

— Ech! to dziecinada! — zawołała panna Rita — prędko się zaczęło i prędko się skończy.

— Daj Boże! Zawsze mnie to martwi.

Dochodziły do cieplarni. Stary ogrodnik podlewał kwiaty wazonowe, dopomagała mu czereda ogrodniczek. Słońce zaszło za drzewa parku, spływając ognistą kulą coraz niżej, różowa luna oświecała kwiaty. Iśniła na szybach cieplarni.

Stefcia zaczęła pokazywać Ricie ulubione kwiaty, wymieniając nazwy. Ożywiona, uśmiechnięta, podnosiła ciężkie doniczki, wachając

rośliny. Panna Rita, w długiej amazonce, oparta o szyby cieplarni, przyglądała się jej z uwagą. Dziwił ją ogrodnik, który patrzył na Stefcie, jak w tęczę. Stary ten człowiek, od niepamiętnych lat zajmujący stanowisko w Słodkowcach, był wiecznie ponury i najczęściej nie mówił, ale burczał na wszystkich. Tylko Waldemar posiadał łaski, a teraz i Stefcia zdołała je pozyskać.

Panna Rita myślała o Stefcie.

— Czy ona może być porównaną do tych kwiatów cieplarnianych?... Stanowczo nie. Ona to kwiat bujny, pełen życia, ogrzewany słońcem, a nie sztucznym ciepłem. Kwiat wdzięczny, z delikatnym i orzeźwiającym zapachem, niepodobny do wazonowych, sztywnie poprzywiązywanych do palików. My jesteśmy obrazem tych kwiatów — myślała dalej Rita — wzięci w ramy naszej sfery, jak one w wazonach, przymocowani do naszych przesądów, jak one do palików.

— O czym pani tak rozmyśla — zapytała Stefcia.

— Myślę, że pani jest ogromnie różna od tych doniczkowych roślin. Pani przypomina stepy, usiane kwiatami, różne, buńczuczne, a pełne poezji i rzewnej muzyki.

Stefcia zaśmiała się.

— Porównanie zbyt pochlebne dla mnie, ale ładne — rzekła.

— To nie moje porównanie, tylko ordynata. Jeszcze panią mało znałam, kiedy pan Waldemar określił mi ją w ten sposób. A! otóż oni.

Nadeszli panowie. Trestka patrzył na Stefcie z podniesioną głową, Waldemar szedł zamyślony. Rita odezwała się do niego:

— Czy pamięta pan porównanie panny Stefanji do ukwieconego stepu? Ja dziś przyznaję panu słuszność zupełną.

Michorowski spojrzał na pannę Ritę, potem na Stefcie i spytał:

— Dlaczego to pani dziś przyszło na myśl?

— Bo panna Stefanja wśród tych kwiatów przypomina bardziej, niż kiedykolwiek łąkę.

— Nie, zawsze stepy — rzekł Waldemar — bujne, szerokie stepy ukraińskie. Łąka — to ciasne określenie. Pani ma w sobie coś lotniejszego.

Zrobił szeroki ruch ręką.

— Ee! moi państwo, to już za wiele komplementów.

— Pani tak mówi w celu wywołania jeszcze większych — rzekł Waldemar przekornie i poszedł do oranżerii.

Gdy się oddalił, Trestka poprawił dwoma palcami binokle i zawołał z miną znawcy:

— Mnie przyszło na myśl inne porównanie. Oto panna Rita jest jak posąg Pallas Ateny. Tylko brak pani tarczy, hełmu i dzidy. Ale wszystko to posiada pani... moralnie — rzekł z zagadkowym uśmiechem.

— Bardzo mnie to cieszy. To znaczy, że moralną dzidą ranie pana, moralną tarczą bronie się przed panem i... co tam jeszcze moralnego posiadam więcej? Zresztą dość o tem! Teraz pannę Stefanję proszę porównać do jakiej bogini.

— Panna Stefanja jest jak Wenus, która świeżo wyszła z płany morskiej.

— A pan jak Satyr, któremu nie brak złośliwości — odparła Stefcia.

— Doskonale! i rogów niech pani doda — zawołała roześmiana panna Rita. — Pan jest niemożliwy, panie Trestka. Już widzę, że nigdy nie nauczę pana dobrego smaku. Jakże można było porównać mnie do

tej obrzydłej, starej Pallas Ateny? Myślałam, że zostanę Djaną. Pannie Stefie należała się Hebe, bogini młodości, albo Psyche. Wówczas i pan możeby został przynajmniej Hermesem.

— Dziękuję pani za taki zaszczyt.

— Nie podoba się panu? Ha! to trudno! Na Jowisza niema pan kwalifikacji. Ale dokądże poszedł ordynat?

— Rozmawia z ogrodnikiem.

— Jestem — zawołał Michorowski — zaraz będę służył paniom.

Po chwili wszyscy wracali do pałacu.

Tym razem panna Rita szła z Trestką naprzód. Stefcia postępowała obok Waldemara.

Szli wąską uliczką, wysadzoną po obu stronach malwami, delikatny zapach miodowy rozchodził się z płaskich kwiatów, zmieszany z zapachem kwitnących lip i ciepłym powiewem jeziora.

Poprzez masę liści i krzewów fala posyłała gorące oddechy na kwiaty, muskając je leciuchno, jakby kołysząc do snu. Roje komarów i drobnych muszek sypały się na gałęzie i szerokie liście kwiatów. Cisza była wielka i jakaś tęsknota płynąca jakby z poszumu olbrzymich morderczych bełkotania uderzających o brzegi fal jeziora.

Waldemar milczał, towarzyszka jego również, on zamyślony, ona rozbawiona. Nareszcie ona odezwała się pierwsza:

— Dlaczego pan bez humoru?

Zatrzymał na niej przenikliwy wzrok.

— Jestem zdenerwowany, co mi się w ostatnich czasach zdarza często. Przytem drażni mnie Trestka.

Stefcia dopowiedziała sobie w duchu, że drażni go z powodu ciągłego asystowania pannie Ricie. Przypominała sobie, że ta ostatnia kocha się w Waldemarze bez wzajemności.

Uczuła lekkie ukłócie w sercu. Po krótkim wahaniu rzekła:

— Od pana tylko zależy, aby hrabia Trestka przestał go drażnić.

— Odemnie? No tak. Trochę mityguję jego ogródkowe dowcipy, lecz nie zawsze jest to możliwe bez wywołania skandalu. Trestka jest przede wszystkim źle wychowany, albo pozuje na takiego, sądząc, że mu z tem do twarzy. Przytem niesmaczny cynik.

Stefcia nie zrozumiała, co Waldemar przez to rozumie, ale odrzekła, idąc za własną myślą:

— Panna Rita traktuje go dość pobieżnie. Dziwię się, że on, taki skądinąd sprytny, tego nie widzi.

— Panna Rita ma się z kim przekomarzać o konie i to ją bawi — odparł obojętnie.

— Ja myślę, że prędzej nudzi — zauważyła Stefcia.

Waldemar stanął.

— Panno Stefanjo, czy nie moglibyśmy znaleźć czegoś ciekawszego do rozmowy? Trestka, panna Rita i ich uczucia — to temat tak niezabawny.

— Przepraszam pana — rzekła Stefcia chłodno — nie zastanowiłam się, że robię panu przykrość tą rozmową. Ale pan sam rozpoczął.

— Ja mówiłem o Trestce, nie o pannie Ricie.

— Ale to, co pan mówił odnosiło się do niej.

— Ani trochę! — zawołał, podnosząc brwi w górę i zaprzeczając ruchem głowy. Patrzył w oczy Stefci, pełne gniewnych iskerek, uśmiechnął się i rzekł:

— Widzę, że my się z panią nie rozumiemy.

— Być może. Jak zawsze zresztą — odparła rozdrażniona.

— Co pani myślała, mówiąc o panie Ricie? Proszę mi powiedzieć.

— Wybacz pan, ale tak dalece żałuję swych słów, że nie chcę ich powtarzać. Istotnie popełniłam niedyskrecję.

Spojrzał na nią uważnie.

— A rozumiem... Bajecznie! Można pani powinszować zmysłu spostrzegawczego. Więc pani sądziła, że Trestka mnie drażni z powodu zajmowana się panna Rita? I pani mogła myśleć o tem choć przez chwilę?

Stefcia szła prędko, zła na siebie i na niego. Trzymany w ręku płaski kwiat malwy rwała palcami, nie odpowiadając.

Waldemar patrzył na nią wzburzony, lecz, nie doczekawszy się odpowiedzi, wzruszył ramionami i zawołał:

— Pani mnie czasem tak drażni, że nawet nie mogę spokojnie mówić. Dlaczego pani nie odpowiada, panno Stefanjo?

— Nie chcę pana rozdrażnić jeszcze więcej. Zresztą nic już nie mam do powiedzenia.

— To najłatwiejsze! — wybuchnął. — Stanowczo nie można z panią rozmawiać.

— To też niech się pan nie trudzi.

Zmarszczył brwi, usta zadrgały mu gniewem.

— Pani jest uprzejma! — rzekł z ironią.

— Muszę nią być dla zrównoważenia pańskiej uprzejmości.

— Moja jest inna.

— O tak! pod bardziej ostrym kątem.

— Nie, pani, tylko pod innym.

Stanęli pod filarami werandy.

— Co to? Państwo się znów kłóca? — spytała Rita, widząc silne rumieńce Stefci i poruszenie Waldemara. Ale on zaprzeczył.

— Och! nie. Dowodzę tylko panie Stefanji, że kobieta powinna być domyślna i tak łapać wszystko, co się dokoła niej dzieje, jak motyle w siatkę.

— Kobieta powinna być przede wszystkim pikantna — zawyrokował Trestka.

— Jak ja, na przykład. Prawda? — zaśmiała się nerwowo Rita.

Trestka zaczął się rozwodzić o kobietach, a Waldemar spojrzawszy bokiem na Stefcię i pomyślał:

— O! i jej tego nie brak.

W tem zagadnęła panna Rita:

— Kiedyż pan nas zawiezie do Głębowicz? — mamy już dawno obiecać.

— Ja nie oznaczam dnia, to od pań zależy. Bramy głębowickie są otwarte codziennie na przyjęcie gości.

— A zatem walna i stanowcza narada dziś z pańskim dziadkiem i Idalką. Chodźmy.

Panna Rita i Trestka poszli naprzód. Gdy Stefcia wchodziła w drzwi, idący za nią Waldemar rzekł zniżonym głosem:

— Jestem niezmiernie rad, że pani pozna Głębowicze. Panią proszę szczególnie o przyjazd. Wszyscy znają moją siedzibę, prócz pani.

— Dziękuję — odpowiedziała obojętnie.

— Czy pani gniewa się na mnie? — spytał, zastępując jej drogę.

Podniosła na niego oczy.

— Panie ordynacie, proszę mi pozwolić przejść.

— Nie ustąpię, aż mi pani powie, o co proszę: gniewa się pani na mnie?

— Nie.

— Pozwalam sobie wątpić o szczerości pani odpowiedzi. Dotknąłem panią, lecz sam byłem wściekły. Teraz przepraszam. Pani mi nie poda ręki na zgodę?

Panna Rudecka prędko wyciągnęła dłoń, którą on uściskał mocno, pochylając nisko głowę.

Nie zauważyli panny Rity, stojącej na schodach, ale ona widziała ich doskonale.

Poruszyła się nerwowo i zawołała zmienionym głosem:

— Skoro przymierze zawarte, proszę na kolację. Idalka czeka.

Waldemar i Stefcia w milczeniu wstępowali na schody. Rita mówiła nienaturalnym tonem, kładąc nacisk na każdy wyraz:

— Nie powinniśmy tak długo spacerować po parku. Teraz wieczory są zbyt upajające... zwłaszcza ta malwowa uliczka...

— Czy oświadczył się pani hrabia Trestka? — spytał szorstko Waldemar.

Zagadnięta zbladła.

— Nie, ale może... ja mu się oświadczę — odparła prędko i szelszcząc jedwabiami, pobiegła naprzód.

Stefci zaczęły mocno bić pulsa w skroniach.

XVI.

Żniwa. Łany żyta i pszenicy chylą ociężałe głowy. Przeciągły chrzęst słomy znamionuje dojrzałość ziarna. Szum przelatuje po polach, jakby żaloszny dreszcz, przeczucie śmierci... A świat tak piękny! Czysty błękit, złoto słońca, ciepłe powiewy łączą się w całość barwną i upajającą.

Lato! lato w całej pełni, w całej krasie! znojne, wyciskające pot na czołach robotników, pochylonych w pracy, a tak bogate i rozśpiewane. W zbożach krzyczą przepiórki, na łąkach drą się derkacze, odzywają żaby, potężnym chórem zawodzą drobne ptaszęta.

Każdego ranka głośno i wrzaskliwie nad przestrzenią dojrzałych zbóż. Ścięte łany bezmiernie smutne jeżą się krótko przy ziemi. Długie ich włosy, powiązane w snopki, stoją w stożkach niby pomniki na cmentarzu. Zboża, jeszcze nieskoszone, chylą głowy nad pobożowiskiem towarzyszy i dumają żalosznie nad złą dolą, która ich nie minie. Cicho szepcą pacierze przy akompaniamencie organów ptasich. Zdziwione przepiórki wysuwają główki na pustą przestrzeń i wystraszone martwością, cofają się w gęsty las żółtej, słodko szumiącej słomy. Gdy słońce wypływa całą tarczą na błękit nieba, wszystko milknie, inne głosy panoszą się, tłumiąc świergoty i rozpraszając ptasie wiece. Nie można już splewać nad ściętymi snopkami, bo ostry zgrzyt sierpów kładzie koniec marzeniom. Jeszcze większe przerażenie wzbudzają groźne maszyny, sunące na nieszczęsne łany, zdaleka je słyhać. Okropne skrzydła, spiętrzone na grzbietach, hurkot i trzask oznajmia zbliżanie się tych potworów, ciągnionych przez konie. Maszyny wchodzą na łany i rozpoczynają dzieło śmierci. Trzask nie ustaje, żelazne zębiska bez miłosierdzia mordują smukłą pszenicę i dziarskie żyto. Wielkie skrzydła na-

bierają rozmachu, ściętych nieboraków odsuwając masami na bok. Ostre zęby niosą śmierć, one zaś odgarniają trupy i tak bez przerwy.

Drugie potwory, ścinając, wiążą nieszczęsne łodygi w duże snopki i wyrzucają je w górę, jak piłki. Wystraszone ptaszęta, nie chcąc patrzeć na rzeź, frunęły do lasu; przepiórki piechotą uciekały jak najdalej, a nad polem zniszczenia i grozy świeci słońce jasne, złociste, obojętne na to, co się dzieje. Zostają tylko ludzie, pracujący wesoło, ze śpiewami. Nie czują, że taką czynią klęskę.

Po południu, kiedy już słońce pochyliło się na zachód, drogą pomiędzy polami pszenicy, gdzie pracowały żniwiarki i samowiazałki, jechała niewielka grupa jeźdźców. Dwie amazonki i dwaj panowie dążyli ostrym klusem w równej linii. Panna Rita na roslym folblucie, w czarnej amazonce i w cylinderku, wyglądała zwycięsko. Obok niej Trestka, w angielskiej czapeczce, miał na koniu ruchy wężowe. Druga para to Waldemar i Stefcia. „On w eleganckim kostjumie i wysokich, czarnych botfortach z ostrogami, jakie nosili wojskowi w czasach napoleońskich, siedział jak przymurowany do karego wierzchowca, araba czystej krwi. Jechał wybornie i wyglądał na siodle posagowo. Było w nim coś, co przypominało wodza. Stefcia, w granatowej angielskiej sukni i małym kapeluszu, jechała śmiało, a zarazem wdzięcznie na karej arabce Erato, wierzchowce Waldemara.

Ordynat jechał blisko, czuwał nad każdym jej ruchem, często sam powstrzymywał klacz, robiąc Stefcie rozmaite uwagi.

— Pani już chyba jeździła konno? — spytał — bo to na pierwszy debiut nie wygląda.

— Owszem, trochę próbowałam, ale na męskim siodle i na kucu. Na tak pysznym rumaku znajduję się pierwszy raz.

— Więc jest pani stworzona na amazonkę. Ja się na tem znam — zawyrokował Trestka.

Stefcia spojrzała na Waldemara, jakby pytając: „Co ty powiesz, bo z tamtego zdaniem się nie liczę“.

Ordynat popatrzał chwilę w oczy dziewczyny. Zrozumiał nieme pytanie, uśmiechnął się i skinął głową twierdząco.

— Dobrze wyglądam? — spytała uparta Stefcia.

— Caca! — rzekł z uśmiechem.

Na twarzy Stefcie zapaliła się przelotna łuna rumieńca, charakterystyczna u niej. Robiło to wrażenie, jakby twarz zakwitła. Silnie traciła klacz pejczem. Erato z fantazją ruszyła naprzód i z miejsca zaczęła unosić. Suknie Stefcie pobudzały ją, bijąc w oczy. Wzniósł się kłęb kurzu. Panna Rita krzyknęła, Trestka zaczął wołać:

— Niech pani ściąga cugle... mocno... mocno!

Ale Waldemar już puścił swego konia wyciągniętym galopem. Apollo zdawał się ziemi nie dotykać. Za nim ruszyli z kopyta dwaj masztalerze, jadący z tyłu. Lecz Rita wstrzymała ich ręką.

— Jeśli ordynat nie dogoni sam, to i wy nic nie zrobicie, a większy tętent straszy klacz.

Jednak oboje z Trestką i masztalerze popędzili prędzej. Ale Stefcia i Waldemar znikli im z oczu, przesłonieni kurzawą pyłu. Erato, stuliwszy uszy, gnała jak wichur, tuż za nią cwałował Apollo. Waldemar miał oczy utkwione w Stefcie, lecz widząc, że się mocno trzyma i nie traci przytomności, nie wołał na nią, bojąc się spłoszyć klacz. W kilku szalonych skokach zrównał się z Erato i pochwycił cugle, ściągając je



— Głównie chodzi o to, że nie nadaje się Pan do otoczenia
w Słodkowcach... Pan rozumie?! str. 71.

silnie. Wierzchówka, poczuwszy rękę, zwolniła pęd. Wówczas ordynat ją zrzędzić:

— Miałem panią za co chwalić! Ładnie, bardzo ładnie!...

Stefcia oddycha szybko, trochę blada i przestraszona, ale uśmiechnęła się do niego wesoło:

— Powinien pan chwalić, bo zamiast spaść, siedzę na siodle. Nawet nogi ze strzemion wyjęłam.

— Umyślnie?

— Tak, na wszelki wypadek.

— No, wie pani, że nie posadzałem pani, jako nowicjuszki, o tyle przytomności. Brawo! brawo! a ja pędziłem jak warjat. Włosy mi na głowie powstawały na myśl, że pani może spaść.

Stefcia spostrzegła, że był błędy i widocznie przerażony. Chciała mu podać rękę, ale on miał obie zajęte, więc szepnęła gorąco:

— Bardzo panu dziękuję, bardzo... i przepraszam.

— Za co?

— Za... zmęczenie.

— Prędzej za to, że się wystraszyłem jak żak, co mi się nie często zdarza.

— I cóżby mi się stało, gdybym spadła? przesłabym chrzest konnej jazdy.

— Pani jest jeszcze wielki dzieciak...

Nadjechała panna Rita, Trestka i masztalerze.

— Uf mam tremę z powodu pani! — wołał młody hrabia. — Pędziliśmy tak, że ledwo żyję. Jeśli dostanę ataku sercowego, to będzie pani winna, tembardziej, że nie jestem tu potrzebny, jak widzę.

— Panie hrabio, zakończenie psuje efektowną całość — rzekła Stefcia z udaną powagą.

Panna Szeliżanka winszowała jej dzielnego trzymania się na koniu, poczem skręcili na pole do żniwiarzy.

Ogromny pas złotej pszenicy chylił się posłusznie przed żniwiarkami. Samowiązałki sunęły równo, wyrzucając gotowe snopki; dalej widniał rząd przegiętych dziewczyn i kobiet w kraśnych spódnicach i białych koszulach; sierpy migwały w ich burakowych rękach; postępowały rażno naprzód z uznojnemi czołami, lecz pieśnią na ustach. Wielka praca rąk, mechanizm maszyn i bogate łany nadawały polu wygląd bardzo postępowy. Wozy długie, mocne, zaprzężone w rosłe, spasiońskie konie, przeważnie gniadej maści, zabierały gotowe kopy, zwożąc je do stodół po folwarkach i do lokomobil, młócących wśród pól. Fornale, ogromne chłopcy, w białych płóciennych ubiorach i słomkowych kapeluszach, mieli typowy wygląd tubylców.

Gdy konne towarzystwo zbliżało się do samowiązałek, podjechał do nich rządca, również na koniu, młody człowiek i energiczny. Skłonił się z wesołą swobodą. Ordynat przedstawił go paniom.

— Pan Ostrożecki, mój pomocnik, więcej, moja prawa ręka.

— Tylko lewa, panie ordynacie — odrzekł wesoło rządca.

Panie skinęły głowami z uśmiechem.

— A gdzie są panowie praktykanci? — zapytał Waldemar.

— Zostawiłem ich bliżej rezydencji. Ze mną są dwaj ekonomowie z Brzozowa i Romnów.

— A samowiązałki nie psują się? Mechanik dobry?

— Znakomity! jak najlepszy Anglik.

Trestka podsunął konia bliżej i zapytał:

— Chciałbym się dowiedzieć, skąd pan sprowadził te samowłazaki, bo widzę system amerykański a z firmą warszawską.

— To są krajowe, nasza praca i żelazo. Sprowadziłem montera z fabryki Mac-Cormicka i pod jego dyrekcją firma warszawska zrobiła to samo.

— Ale ten nie wygląda na Amerykanina?

— Rodowity Warszawiak, tylko uczeń tamtego.

Trestka kręcił głową.

— No i dobrze działają? Nie psują się co kwadrans?

— Bardzo rzadko. A zresztą zagranicznym zdarza się to również. Ludzie obznajomieni, mechanik dobry i robota idzie pomyślnie.

— Nadzwyczajne rzeczy — mruknął zdziwiony Trestka.

— Gdyby tak wszyscy robili za przykładem pana — rzekła Stefcia. Trestka wybuchnął.

— Toby wszystkie zagraniczne firmy zbankrutowały!

— Bądź pan spokojny — rzekł Waldemar. — Nie jesteśmy tak dalece kulturalni, żeby fabryki amerykańskie bezpośrednio miały się na nas oglądać. Na swe maszyny Ameryka i Anglja mają dosyć własnych konsumentów, nie licząc obcokrajowców.

— Jabym nie ufał maszynom u nas wyrabianym.

— To też je pan zdaleka omija — rzekła panna Rita.

— A ja ufam — mówił Waldemar — patrz pan, czego im brak? Działają dobrze, wyglądają tak samo, jak zagraniczne, bo system jest ich, a że praca naszych rąk i materiał krajowy, to chyba ujmy im nie przynosi.

Wkrótce towarzystwo pożegnało rządcę i zawróciło do Słodkowiec. Waldemar rzekł do Stefci:

— Widziała pani jeden narożnik głębowicki, ale czy pani nie zmęczona? Bo jak na pierwszy spacer, to trochę za daleko.

— Co znowu! nie jestem filigranowa, mogłabym dotrzeć do samych Głębowicz.

— Nie, tam pojedziemy brekiem.

Minęli szereg żniwiarek i zbliżali się do barwnego sznura żniwiarzy z sierpami. Panował wśród nich gorączkowy ruch. Waldemar przeczuł, co to znaczy, bo się uśmiechnął.

W tej chwili parobcy i kobiety podbiegli, trzymając w rękach pokręcane w olbrzymi wieniec kłosa i, składając w miejscowym języku krzykliwe życzenia, otoczyli kołem jadących.

Waldemar dał im kilka sztuk złota. Nastąpiło wielkie całowanie rąk i butów ordynata, który ze śmiechem bronił się od napaści. Stefcię rozrzewniła ta scena. Chociaż moneta stała się ważnym powodem do rozczulań, jednak w serdecznym garnięciu się prostych ludzi do ordynata przebijają jeszcze coś innego. Był on ich panem i ulubieńcem. To rzucało się wszędzie w oczy, począwszy od rządcy; wyższa administracja i cała służba zwracała się do niego z wyjątkowymi oznakami uwielbienia, wychodzącymi poza granice zwykłego szacunku, należącego pracodawcy. Bali się go wprawdzie, ale i czcili prawdziwie.

Panna Szeliżanka myślała to samo i rzekła do Waldemara:

— Pan wśród swych majątków i ludzi robi na mnie wrażenie udzielnego księcia. Aż serce rośnie, gdy się patrzy na porządki i dyscyplinę niemal wojskową. I jak to wszystko jest ujęte w ramy miłości dla pana.

To właśnie najbardziej zastanawia. Nasi ludzie rzadko kochają, gdy się ich trzyma w rękach, a kiedy im wszystko wolno, przestają szanować. U pana inaczej. Jest dyscyplina, wielki posłuch, szacunek i miłość ludu. To fenomenalne! Niech mi pan powie, czemu się to dzieje?

— Bardzo proste — odparł Waldemar — wymagam wiele od ludzi i trzymam ich nawet trochę feudalnie, ale dbam o wszystkie ich potrzeby. Dobrze jedzą, dobrze mieszkają, nie tyranizuję ich i jestem sprawiedliwy. Oto cała umiejętność. Nie gnębię ich sądami, tylko sam wymierzam kary, naturalnie nie cielesne.

Roześmiał się.

— Przytem lud tutejszy jest dobry — dodał.

— Nie wszędzie. To także przywilej pańskich dóbr — odrzekła Rita.

— Widocznie wszyscy Michorowscy trzymali się tego systemu.

— Ale nie wszyscy byli tak lubiani jak pan. Pan Maciej nigdy nie cieszył się taką popularnością, ani też pański ojciec.

— Mamę wspominają zawsze, nazywają aniołem.

— Bo córka ciotki Podhoreckiej nie mogła być inną. Zna pan stosunek włościan w Obrońnem do cioci, na rękach ją noszą. Ale to co innego: ciocia jest kobietą i nie zajmuje się zarządem, ani gospodarstwem, o ludzi natomiast również bardzo dba. U pana ten stosunek idealny bardziej zastanawia.

Trestka zrzucił nerwowo binokle, co znaczyło, że chce mówić.

— Słuchajmy! — zawołali wszyscy ze śmiechem.

Trestka patrzył osowiałym wzrokiem i rzekł, machnąwszy ręką:

— Ja tam jestem zawsze na złej stopie z chłopstwem i ani myślę się starać o zmianę stosunku. Mam dbać o ich chałupy i żołądki, kiedy oni mi wypasają łąki i zboża.

— Niech pan ureguluje serwituty.

— Nie mam czasu. Zresztą przyzwyczailem się już do procesów. Nie ciążą mi.

— Jest się czem chwalić — wzruszyła ramionami panna Rita. — Niema pan czasu! A cóż pan robi, ciekawam?

— Staram się o panią — rzekł zapytany z szorstką otwartością.

Waldemar i Stefcia wybuchnęli śmiechem.

— Czyli wynika z tego, że pani jest bezpośrednią przyczyną ciągłych procesów pana Trestki — powiedział ordynat.

— Na które jednak pan Trestka znajduje czas — wtrąciła się złośliwa Rita.

— Myli się pani! Wszelkie procesy prowadzi mój administrator. Ja w Ożarach tem się nie zajmuję.

— Tylko czem?

— Oborą i młynem parowym.

Panna Rita zaśmiała się.

— A prawda! Przypominam sobie opowiadanie naszego stangreta. Kiedyś niechcący usłyszałam w stajni, że dziedzic ożarowski cały dzień siedzi w młynie i bicze kręci. Musi ich pan mieć ogromny zapas.

Trestka nic nie odpowiedział.

Wjechali na pole słodkowickie, gdzie znowu szeregi żniwiarek i żniwiarzy pod dozorem rządcy Klecza pustoszyły łąny złotej pszenicy.

Zapadał zwolna wieczór.

XVII.

Czerwony brek z szosy wtoczył się na boczną drogę, wysadzaną po bokach topolami. Kara czwórka rwała tęgiego kłusa, migwały w słońcu brązy upręży, dzwoniły bogate rzędy, konie parskwały, wyrzucając łbami. Ranek był orzeźwiający, pełen świeżych powiewów i nasiąkły rosą po nocnym deszczu.

Tu i owdzie na drodze błyszczwały małe lusterka wody. Wysokie przydrożne topole i łany zbóż wykapanie zbierały na liście i kosy mnóstwo złotych promieni. Kurz leżał, przybity wilgocią, w powietrzu nie unosił się najmniejszy pyłek. Cały świat wyglądał jak niepokalanie czysty namiot z błękitnych iluzji, białych muślinów, złotych nici i brylantowych ozdób. Ptaki zwilżając gardelka rosą, zbieraną z liści, śpiewały rozgłośnie.

Skrzyp koników polnych dźwięczał ostro, lecz wesoło.

Wszędzie powietrze, powietrze... powietrze!

Bezmiar — nieskończoność!

Błękit, kryształ bezpylny, rosisty, działał i na dusze ludzkie. W breku nie było cieniów i nieprzyjaznych pyłków, tylko ożywcza rosa wesela, przeźroczystość uśmiechów.

Śpiewały ptaki, konie parskwały, ludzie śmiali się i bawili. Brek potyskiwał w słońcu czerwienią, jaśniały suknie pań, twarze zaróżowił zdrowy rumieniec poranku.

Kara czwórka pędziła, jakby konie miały skrzydła. Brek chwiał się i chuśtał na resorach.

— Panie Waldemarze, pan nas dziś wyrzuci, zanim dojedziemy do Głębowicz — zawołała hrabianka Paula Cwilecka, siedząca po prawej stronie breku, między hrabią Trestką i młodym Wilhelmem Szeligą, bratem panny Rity. Z pod ogromnego kapelusza spojrzała zalotnie na swych sąsiadów, potem na siedzącego naprzeciw barona Weyhera i szczebiotała znowu:

— Który z panów pragnie zastąpić ordynata w powożeniu, niech podniesie dłoń do góry.

— Proszę się nie fatygować, bo ja się zastąpić nie dam — zawołał z kozła Waldemar.

— My pana zrzucimy.

— Ciekawym jak?

— Poprostu zejdzie pan na naszą prośbę.

— Nie, ja nie jestem taki grzeczny.

— Wszystko to przez pannę Ritę. Pan Waldemar pysznie jedzie, tylko pani tam niepotrzebna — wołał Trestka.

Oparł się o poręcz kozła, pochylił głowę, jakby chcący zajrzeć w twarz Ricie. Ale spiorunowała go wzrokiem.

— Siedź pan cicho, kiedy panu dobrze. A nie, to marsz na konie breku.

— Chyba siądę na kolanach pana Wilhelma...

— Pomeście się państwo. Zresztą Wiluś przejdzie na pańskie miejsce.

— Protestuję! Mnie tu dobrze — odparł student, wznosząc oczy na siedzącą naprzeciw Stefcie.

— A co? widzi pani? Panu Wilusiowi tam dobrze, a mnie tu dobrze. Tylko brak pani na vis-à-vis.

— Bardzo ładnie! — oburzyła się Lucia. — To znaczy, że ja nie jestem vis-à-vis.

— Jesteś pani, mais oui! Tylko pannie Ricie nie do twarzy na koźle.

— A jeszcze mniej na vis-à-vis pana! — odcięła się młoda panna.

— Ja państwo pogodzę — wtrąciła się Paula. — Niech pan Trestka odbierze lejce z rąk ordynata i będziecie wprowadzić nie vis-à-vis, lecz à côté...

— Napewno niezadługo leżelibyśmy w rowie — zaśmiała się Rita.

— Voilà! c'est le mot! W rowie — wtrącił baron Weyher, z uśmiechem na wąskich ustach.

Trestka rzucił mu złe spojrzenie.

— Najlepiej niech pan baron powozi w asystencji panny Pauli — odciął się zirytowany.

— Raczej ja w asystencji barona. Omylił się pan.

Trestka machnął ręką, jakby mówiąc: „Mało mnie to obchodzi“.

— No więc dobrze? — spytał głośno.

— Ja nie chcę. Tam na koźle pewnie błoto bryzga. Nie lubię być blisko koni — rzekła hrabianka.

— Ja również nie powożę. Tego sportu nie uprawiam — wysylabizował baron. — Ale może moja sąsiadka i pan Wilhelm?...

Stefcia pokręciła głową.

— Niepotrzebnie o tem rozprawiamy, bo pan ordynat dowiezie nas do miejsca i, jak sam mówi, nie da się zastąpić.

— Dziękuję pani za poparcie — zawołał Waldemar.

— Zresztą my będziemy śpiewali — rzekł Wiluś.

— Doprawdy? — spytała hrabianka Paula, mrużąc oczki.

— To dopiero projekt — wtrąciła Stefcia.

— Ale niebawem w czyn się zamieni. Więc co pani woli?

— Ich liebe dich, czy: Du liebst mich? — ozwał się Trestka.

— Najpewniej: „Wir lieben uns“ — dodała, śmiejąc się Paula.

— My będziemy śpiewali po polsku — rzekła Stefcia.

— Coś, co przypomina Heidelberg albo Sacré Coeur?

— Dlaczego Sacré Coeur?

— No więc może jakiś inny klasztor.

— Ale dlaczego?

Trestka podniósł głowę do góry i, poprawiając binokle, rzekł krzykliwe:

— To dziwne! Ja nie uważam, żeby panna Stefanja traciła zakonnicę.

— Za to on traci bonifratrami! — mruknął Waldemar.

Rita parsknęła śmiechem.

— Qu'est-ce que c'est que „traci“? — zapytał baron.

— C'est le mot dur, monsieur — odrzekła Stefcia z ładnym uśmiechem.

— Ah oui!

Do barona zwrócił się młody Szeliga:

— Dlaczego pan myślał, że panna Stefanja wychowana w klasztorze?

— Bo jest jakaś inna. Est-ce que je sais? Nie umiem tego określić. Może nie przeciętna? Mon Dieu! zawsze nie tak.

— Ja panu pomogę. Jest kryształowa, biała, jak śniegi tatrzańskie. Ale to nie klasztor urobił ją taką, to natura.

— Co?

— Tak, natura!

Student zakreślił szeroki krąg i z błyszczącymi oczyma zawołał:

— Ta natura złota, błękitna otaczała ją od kolebki i stworzyła na podobieństwo swoje. Nie zaćmił jej miejski kurz, nie zbrukał brud moralny. Oddychała kryształem i stała się nim. Wchłonięła w siebie błękit i złoto.

— Jednak „Journal des modes“ musiała przeglądać, bo się wcale ładnie ubiera — przerwał Trestka.

Zaśmiano się.

— Mam wrażenie, że siedzę na cenzurowanem — rzekła Stefcia.

Hrabianka Paula skrzywiła się.

Fi! cenzurowane.... To już nie modne.

Baron pokiwał głową i, gładząc bokobrody, spojrzał uważnie na studenta.

— Pan to ładnie powiedział... o tym kryształ. Oui, c'est très beau! Superfatyw nie bardzo wyszukany, ale poetyczny i wdzięczny. Superbe!...

— Pamięta pan ukwiecone stepy? — szepnęła Rita do Waldemara.

— Step?... A tak! — odrzekł zamyślony.

— Określenie Wilusia podobne do pańskich stepów. Nieprawdaż?... Nie słyszał pan, co mówił Wiluś?

— Słyszałem.

Patrzył na szerokie łąny pszenicy, lśniącej atlasem, rosistej, brinej, i myślał:

— To ona!

Patrzył na lazury nieba bez chmurki, na srebrną toń powietrza i myślał:

— To ona! Tak czysta, taka biała, złota, kryształowa... Dowcipny smarkacz! Ale czego on się nią tak zachwyca? Bo to określenie...

Obejrzał się.

— Rozmawiają ze sobą...

Wtem konie szarpnęły gwałtownie. Ordynat ściągnął lejce, aż kopytami wryły się w ziemię i strzelił z bata z niesłychaną irytacją.

Na breku powstał krzyk.

— Konie ponoszą! — krzyczała hrabianka.

— Waldy, co robisz? — wtórowała Lucia.

Panna Rita patrzyła na Waldemara z pod rzęs i stopniowo twarz jej straciła kolory, usta zaciskały się bólem.

— Niech pan stanie — szepnęła — ja przesiadę się.

— Nie stanę, bo rozhukałem konie. Proszę się nie ruszać.

Rozkazujący ton jego głosu podziałał na nią dziwnie. Doznała nieokreślonego wrażenia. Usta jej zadrgały, na bladą twarz wystąpiło kilka różowych plamek, zdawała się wahać nad czymś, wreszcie spytała swobodnie:

— Nie chce pan, żebym się przesiadła dlatego, że konie rozbiegane, lecz gdyby nie to?...

— Nie śmiałbym się sprzeciwiać.

— Och! rozumiem!...

Zacięła usta i gorączkowo potrząsała batem, wyrwanym z rąk Waldemara.

— Co pani robi? — zdziwił się.

— Chcę, aby nas konie poniosły.

— Jeśli ja nie zechcę, to to nie nastąpi.

— Taki pan pewny?

— Najpewniejszy!

— Ach Boże! gdybym mogła...

— Wybić mnie tym batem. Co?

— Coś na kształt tego.

— Każdy dbałym jest o własne bezpieczeństwo, ja również, więc... może pani przesiadać.

Ściągnął lejce. Czwórka stanęła w miejscu, przyczem konie, nagle zatrzymane, poślizgły się nieco na tylnych nogach.

— Może pani przesiadać — powtórzył z uśmiechem.

Panna Rita popatrzyła mu prosto w oczy.

— Wie pan, że pan jest...

— Nieznośny! Wiem o tem.

— Arogant!

— Spełniłem życzenie pani.

— Och!...

— Trestka zerwał się z ławki.

— Dlaczego stanęliśmy? A! nareszcie namyśliła się pani!.. Któż z pań teraz na koziołek?

— Będziemy ciągnęły węzełki — rzekła Rita.

— Doskonale!

Waldemar skrzywił usta.

Panna Rita rzuciła mu szeptem przez ramię:

— Dostanie pan Lucię. Ja w tem.

Panna Rita wiązała węzełek na chusteczce, poczem wsunęła stuloną dłoń, z której wyglądały trzy jednakowe białe różki, jak listki rozkwitłe, a obracając się do towarzystwa, rzekła:

— Proszę, niech panie ciągną.

— Fi! to taki brzydki zwyczaj — grymasiła hrabianka.

— Bardzo dobry.

Panna Rita różek z ukrytym węzełkiem skierowała najbliższej Luci, pragnąc, aby dziewczynce się dostał.

— Proszę ciągnąć.

Hrabianka chwyciła za różek środkowy, Lucia za ostatni, Stefcia wzięła pierwszy z brzegu.

Rita przygryzła usta i roztworzyła dłoń.

— Pan Szeliga był zły. Stefcia poczerwieniała.

Waldemar rzucił triumfujące spojrzenie na Ritę i zaczął z nadzwyczajną uprzejmością pomagać jej do przejścia na brek. Nastąpiło zamieszanie.

Rita klóciła się z Trestką, a Stefcia stojąc na schódkach, żartowała z Wilhelma, który ją zapewniał, że ciągnięcie węzełków to barbarzyński zabytek.

— Proszę panią — zawołał na nią Waldemar.

Stefcia zręcznie przeszła pomiędzy siedzącymi, jak smukły narcyz, w swej białej muślinowej sukni, świeżej i szumiącej. Głowę strojną w bujne fale ciemno-złotych włosów, zwiniętych w ciężki węzeł na tyle głowy, osłaniał duży ogrodowy kapelusz, przybrany puchem muślinu i pękiem delikatnej seledynowej trawy. Zaróżowiona, roześmiana, z błyszczącymi oczyma, dziewczyna była śliczna w swem pomieszaniu, z jakim prześlizgiwała się przez środek breku.

Waldemar podał jej rękę, ścisnął mocno, a drugą wziął ją powyżej łokcia.

— No... hop!...

Wskoczyła na ławkę, niesiona prawie przez niego, przeszła barjerkę i ze śmiechem usiadła obok ordynata. On zawołał na konie, brek potoczył się rażno naprzód.

— Rasowa! — rzekł z cicha baron Weyher.

— Jak pan mówi? — podchwycił student.

— Rasowa! Pan pewnie powie „natura“?

— Tak, ale wy się na tem nie rozumiecie.

Stefcia doznała jakby uderzenia w serce. Bliskość Waldemara działała na nią potężnie. On był widocznie poruszony. Krew węgierska, której miał w sobie trochę, zagrała w nim, nozdrza zaczęły latać, oczy zabłysły ogniem.

Milczeli oboje. On myślał:

— Co się ze mną dzieje? Mniejszego doznawałem wrażenia w dżungli, gdym czatował na lwy. Co ta dziewczyna ma w sobie?...

Paula z pod koronki kapelusza spoglądała na Stefcie z niechęcią.

W duszy jej nurtowało.

Nie kochała się w Michorowskim, ale rachowała na niego. Drażniło ją, że on nie jej hołdował, lecz podobała mu się ta „cudza“ dziewczyna. Hrabiankę gniewał Wilhelm Szeliga za to, że porównał Stefcie do kryształu i baronu, że nazwał ją rasową, a przedtem powiedział, że jest inna. Pewnie, że inna, bo z innej sfery.

— Za wiele wzbudza zainteresowania ta nauczycielka — myślała panna Ćwilecka.

— A jaka swobodna! jakbyśmy dla niej byli równi. Jest rozzuchwalona! Lucia uważa ją za siostrę. Albo Rita! Traktuje jak koleżankę. Pan Maciej spieszczą jej imię na Stenię, ordynat robi jej honory. Wszystko to nie ma sensu, będzie o sobie myślała Bóg wie co!...

Gniewne rozmyślenia hrabianki przerwała Lucia wołaniem:

— Powozy nas doganiają!

Wszyscy się obejrżeli.

W pewnej odległości za brekiem sunęły dwie czwórki prawie w jednym rzedzie; ponad głowami koni widniały sztywne postacie stangretów i baldachimy parasolek.

— Nie rozumiem, jakim sposobem mogli nas dogonić. Przecie wcześniej wyjechaliśmy — rzekł Trestka.

— Widać karosze pana ordynata zmarniały — wtrąciła ironicznie Rita.

Waldemar odwrócił się rozbawiony.

— Raczy pani przypomnieć sobie, żeśmy stali na drodze dobry kwadrans, zawdzięczając jej przesiadaniu.

— Czy panu źle?

— Mnie? Bajecznie!

— Krzywda się panu dzieje?

— Cóż znowu! ale niech pani nie krzywdzi karych.

Pojazdy zrównały się. Pierwsze lando mieściło w sobie księżnę Podhorecką, pana Macieja i księcia Franciszka z żoną. W drugim powozie jechała pani Elzonowska i hrabiostwo Ćwileccy ze starszą hrabianką Michaliną.

Waldemar zatrzymał konie, stanęli i stangreci.

— Cóż państwo tak wolno jada? — wołał książę Podhorecki.

— Nie spodziewaliśmy się was dogonić — dodał pan Maciej.

Waldemar zgarnął lejce w jedną rękę, drugą z batem oparł na poręczy kozła za plecami Stefci i, wychylony przed nią, zawołał wesolo:

— Mieliśmy na drodze katastrofę.

— Katastrofę? Jaka?

— Zbuntowała nam się panna Rita.

Był rozbawiony, szare oczy śmiały mu się, usta płonęły, z pod nastrożonych wąsów błyskały zęby. Zgrabnie przegięty, pełen szykownej a niedbałej elegancji, miał w sobie coś junackiego. Pyszny w swej postaci magnata pociągał oczy wszystkich.

Przy nim Stefcia biała i różowa, wiotka i dziwnie wdzięczna, również pełna uśmiechów, wyglądała bardzo ładnie. Razem tworzyli parę niesłychaną. Obie księżne przyglądały im się ciekawie, z drugiego powozu pani Elzonowska przez swe typowe szpareczki i hrabina przez lornetkę. Hrabinę dotknęło, że Stefcia siedzi obok ordynata.

Po odezwaniu się Waldemara panna Rita stanęła w breku i, machając rękawiczką, zaczęła wołać:

— Niech państwo nie wierzą. Ordynat jest dziś anormalny, plecie jak w malignie.

— Jakto? Czy nie zrobiła mi pani awantury?...

Rita zaczęła się tłumaczyć, a w tem wycedziła hrabina Cwilecka.

— Kiedyż nareszcie dojedziemy do Głębowicz Szalony kawał.

— Chwytam wiorsty rozpaczliwie i pozostało nam już tylko pięć — odrzekł Waldemar.

— A! to dobrze!

— Więc nie trąćmy czasu. Do widzenia!

— Za pół godziny.

— O ile nie będzie nowego strajku panny Rity — żartował ordynat.

— Panie, bo się zemszczę!

— Byle nie w tej chwili.

— Brek ruszył naprzód, powozy jechały wolniej. Młoda księżna mówiła do męża po cichu:

— Uważałeś jaka to ładna para: Waldy i panna Stefanja? Une très belle fille.

— Widziałem, że są rozpromienieni.

— O czem mówicie? — spytała starsza księżna.

— O młodej parze na kozle breku.

— A tak! — Waldy jest jak odrodzony.

— A ona kwitnie — dodał pan Maciej.

— Dopełniają się wzajemnie.

Inna rozmowa toczyła się w powozie.

Hrabina rzekła z gniewem do pani Idalji:

— Wiesz? To jest natręctwo tej dziewczyny.

— Co? — spytała pani Idalja.

— No, to... to... pakowanie się na kozioł obok ordynata.

— Słyszałaś, co mówiła Rita? Ciągnęli węzłki.

— Już tylko ty jej nie broń. Jest arogantka! Dziwię się, że pozwalasz na jej wybryki.

— Nie widzę żadnych. C'est une noble fille, Lucia ją bardzo kocha.

Pani Idalja była dziś w wyjątkowo dobrym humorze. Spostrzegła to hrabina i już nic więcej nie powiedziała, zaczęła tylko sapać z irytacji.

W breku tymczasem wrzało.

Rozmawiali wszyscy, hrabianka Paula z baronem, panna Rita z Trestką. Lucia i Wiluś śpiewali krakowiaki, zanosząc się od śmiechu. Na koźle Waldemar mówił do Stefci:

— Widzi pani te dwa białe słupy po bokach drogi? To są graniczne. Już jesteśmy na gruntach głębowickich. Nigdy może nie czułem tyle szczęścia z posiadania tych obszarów ziemskich, jak w tej chwili, i to z powodu pani.

— Z mego powodu? Jakim sposobem? — spytała Stefcia zdziwiona.

Waldemar uśmiechnął się.

— A choćby dlatego, że te ukwiecione własne łąny mogą pani pokazać, że panią wiozę do siebie. Czy to samo nie może już dać pewnej dozy zadowolenia?

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Takie niepodobne do pana to, co pan powiedział — rzekła poważnie.

Popatrzał na nią ciekawie.

— A do kogo? — zapytał.

— Choćby do pana Szeligi, bo ja wiem zresztą.

— Niech mi to pani wytłómaczy.

— POCO, kiedy pan sam doskonale to rozumie.

— Przyznam się pani, że niezupełnie.

— Niepodobne to do pana, bo jest zbyt szablonowe.

— O!...

— O!...

— Zresztą pan był nieszczerzy, mówiąc tak...

— Jak mi Bóg miły, skandal! Dlaczego miałem być nieszczerzy? Wilusiowi wolno porównywać panią do kryształów, błękitów, złota, a ja nie mogę wypowiedzieć tego, co czuję? Dlaczego Wiluś może?...

— Bo to Wiluś! — zaśmiała się ubawiona Stefcia z ładnym grymasem ust.

— A ja jestem Waldy...

— A pan jest ordynat Waldemar Michorowski.

Zachnął się zły.

— Ordynat głębowicki, właściciel Słodkowic, Grabonowa, Białoczerkas i czegoś tam jeszcze z przyległościami, niech pani doda dla okragłości — przedrzeźniał ją zirytowany.

— A tak, ordynat, magnat, wielki pan, arystokrata — powtórzyła wesoło Stefcia.

Waldemar wzruszył ramionami. Poczem zaczął mówić wolno, nie patrząc na Stefcię:

— Jak mnie pani drażni! Ale zrozumiałem i powiem pani coś. Uwierzy pani, dobrze, nie — to trudno, ja będę szczerzy. Wszystkie tytuły i godności, jakimi mnie pani obdarzyła, posiadam. Lecz ponieważ obracają się one w dusznej atmosferze, więc często uczuвам brak powietrza. Zawsze wołałem szerokie pola i rwałem się do nich, druzgocąc oszklenie sferowe, któremi barykadują nas od dziecka. Jesteśmy egzotyczni, kochamy się w kameljach, stroimy w tuberozy, nie przypuszczając, że na naszych łąnach rosną bardzo piękne bławatki. Wiemy, że one istnieją, lecz są od nas tak oddalone przesądem, że nasze magnacko-arystokratyczne nogi nie zadają sobie trudu w odszukaniu

Ich, poprostu nie interesują nas. Czasem los zdarzy, że taki bławatek przypadkiem zabłąka się w naszych cieplarniach i wówczas doznajemy różnych wrażeń: zdziwienia, ciekawości, coś na nas wionie swojskiego, obudzi się w naszej krwi ojczysta kropla djabelnie przytłoczona cudzoziemszczyzną. Poczujemy się dziećmi swego kraju i ten, co zawsze czuł pociąg do szerokich pól, teraz poczuje pragnienie. Ojczyste pola staną mu się drogami.

Umilkł na chwilę i mówił znowu:

— Pani jest właśnie dla mnie takim bławatkiem. Pani wśród nas jest niejako typową przedstawicielką rodzinnego kraju. Bo my, jakkolwiek możemy mieć równą i słuszną pretensję do owego przedstawicielstwa, jednak jesteśmy zbyt skosmopolityzowani, by odpowiadać wielkości zadania. Pani jest symbolem naszych złotych niw. Wiluś miał słusność, porównywając panią z naturą, on zauważył to również prędko, jak ja. Na mnie pani od pierwszej chwili zrobiła wrażenie kwiatu, zrodzonego na bujnych polach. Jednocześnie jest pani niezaprzeczenie mimozą.

Podniósł głowę i spojrzał na Stefcie.

— Wypowiedziałem otwarcie, co myślę o pani. I powtarzam, że czuję się szczęśliwszym z posiadania obszarów ziemnych w naszej ojczyźnie, szczęśliwszym nie z powodu, że ziemia ta jest zapładniaczką mej kieszeni, lecz dlatego, że czuję się jej synem, że jest mi drogą. Kochałem ją od dziecka i dbałem o nią, lecz uczucie to dopiero teraz spoteźniało, dzięki pani. Jestem pani za to nieskończenie wdzięczny.

Podał jej dłoń serdecznie i uściśnął. Była chwila, że chciał jej rękę podnieść do ust, lecz powstrzymał się. Na twarzy Stefcia odbiło się wzruszenie, usta jej drżały. Podniosła oczy na niego i spotkała jego szare źrenice, błyszczące ogniem, pełne szlachetnej a wspaniałej dumy i dziwnie miękkie w spojrzeniu, jakim ją ogarniał.

— Czy i teraz pani powie, że jestem nieszczerzy? — spytał cicho.

— O nie! teraz mówi pan inaczej, ziemia pańska może być dumną z takiego syna. Jest pan prawdziwym Michorowskim — odrzekła z żywością.

Zaśmiał się trochę ironicznie.

— Proszę nie chwalić mnie jeszcze, bo może na to nie zasłużyłem. Przecie w moją miłość dla kraju nie wierzą. Nazbyt długo byliśmy de Michorowscy, bym ja się stał odrazu Michorowskim, bez obcych dodatków. Któż mi zaufa, że przekonania, jakie we mnie żyją, są istotnie wkorzenione już w mej duszy, a nie pełzają po niej z pobudek mniej społecznych, a pręcej osobistych?

— Niech pan nie psuje wrażenia analizą, to najgorszy system — przerwała Stefcia. — Wystarczy, że pan to przekonanie posiada, że odczuwa je w całej pełni. To już jest bardzo wiele, jak na pana de Michorowskiego.

Zaśmiali się oboje.

— Ma pani słusność, nie przedstawiamy się gorszymi niż jesteśmy i cieszymy się chwilą jak obecna.

Nachylił do niej głowę i spytał z uśmiechem:

— Czy i pani się cieszy?

Stefcia wesolo błysnęła oczyma.

— Cieszę się — odparła.

— I dobrze pani tu na koziołku?

- Znakomicie!
- Czyliż, że po Wilusiu nie jestem starym nudziarzem. Co?
- Cóż znowu?
- Magnatem, wielkim panem, arystokratą — mówił z wesołą przekorą.
- Tymi pan pozostanie zawsze.
- Dobrze, dobrze! nie chcę być tylko teraz. W tej chwili jestem Michorowskim, wielbię bławatki i jeden z nich bardzo cacy wiozę do swych łąków. To mnie uszczęśliwia.
- Czemu się pani zasepiła — spytał nagle, patrząc na nią uważnie.
- Ja?... Bynajmniej — odparła obojętnie.
- Pani jest jak roślina-czułek, stula listki za byle dotknięciem. Wiem, co pani pomyślała: że jestem magnatem, który dla fantazji zrzuca z siebie magnacką purpurę i ubiera się w bławatek. A że panią tak nazwałem, więc to się nie podobało. Czy tak?
- Jeśli nawet jestem bławatką, to w każdym razie nie takim, w jaki można się ubierać.
- Zwłaszcza magnatowi-arystokracie. Prawda?
- Nikomu!
- Spojrzał na nią przeciągle.
- Mimoza! — szepnął w duchu, a głośno zawołał:
- Skandal! Zaczynamy schodzić z relsów, panno Stefanjo. Nastąpi wykolejenie a Głębowicze już widać. Odłożmy kłótnię na inny raz. Zgoda?
- O ile pan znowu z relsów nie zejdzie...
- Dobrze! obiecuję to pani. Chcę, abyśmy w Głębowiczach byli w zgodzie, chcę panią widzieć wesołą, tak jak obecnie. Ja jestem szalenie wesoły i szczęśliwy.
- Czy dlatego, że dojeżdżamy do Głębowicz? — spytała figlarnie.
- Tak, i że za chwilę będę jadł śniadanie — odrzekł z pasją.
- Stefcia parsknęła śmiechem, Waldemar zaśmiał się również i palnął z bata.
- Ech! jestem na panią taki zły — zawołał, puszczając konie w cwał.
- Brek potoczył się ze zdwojoną szybkością.
- Panie! cóż to znowu? Pan nas roztrzęsie! — wołała panna Rita.
- Au nom de Dieu! wypadniemy — krzyczała hrabianka, chwytając za ramiona Trestkę i Wilhelma.
- Waldemar stanął. Jedną ręką powoził, drugą z batem wparł się pod bok i, potrząsając lejcami, wołał na konie:
- Pędźcie, muzy pędźcie!...
- Konie rwały z kopyta, aż grudki żwiru sypały się gradem z pod kół.
- Panie Waldemarze, czy pan zwarzjował? — krzyczała szarpiąc go za rękaw, panna Szeliżanka.
- Być może.
- Stefcia, Lucia i Wilhelm zanosili się od śmiechu, patrząc na wystraszone miny hrabianki, barona i nieszczęśliwego Trestki, któremu w dodatku spadły binokle z nosa. Szukał ich dokoła siebie klnąc różnemi językami. Nareszcie znalazł i zawołał z niesłychanym zacięciem:
- Psiakrew, są!
- Przecie przemówił po polsku — zaśmiał się Waldemar.

To wzbudziło ogólną wesołość.

Dojeżdżali do kamiennego mostu nad bystrą rzeką. Poza nią wśród mnóstwa drzew, na górze, widniały potężne mury zamku, najeżone basztami i wieżyczkami. Na głównej baszcie w stylu staroświeckim powiewała chorągiew z herbem Michorowskich. Olbrzymie drzewa parku, otaczające zwartą masą zamek, ciągnęły się wzdłuż rzeki. Brek zahuczał na moście jak bęben, głucho zastukały kopyta i konie z kamiennej grobli wpadły w mroczną świerkową aleję. Na końcu wznosiła się wielka murowana brama, wyłożona kamiennymi płytami z żelazną kratą, z herbem na szczycie, szeroko rozwarta. Przed bramą był drugi most kamienny, który zwisał nad fosą, biegnącą wzdłuż wału i muru okalającego park. Głęboki kanał nappełniała świeża woda, przeprowadzona z rzeki. Miało to wygląd forteczny, ale malowniczy, bo drzewa parku i mur z żelazną sztachetką na wierzchu cudownie odbijały w wodzie. Na moście stały słupy z matowemi balonami lamp elektrycznych. Takież wysokie żelazne słupy stróżowały obok bramy i koło budki odźwiernego, która była właściwie piękną grota z płyt kamiennych, tonącą w zwojach bluszczu.

Gdy brek wtoczył się w aleję świerkową, Waldemar usiadł i powstrzymał konie. Jechali wolno. Wszyscy umilkli. Powaga i majestat wiały od ciemnych, strzelistych świerków, stojących podwójnym rzędem, jak stróże odwiecznego zamku ordynacji.

Odczuwało się tu wielkość i potęgę — coś, co zmuszało do pochylenia głowy. Wszyscy doznali podobnego wrażenia. Tylko Waldemar miał wzniesioną głowę. On witał stróżujące świerki, jak swych poddanych.

A one szumiały poważnie i chyliły czuby w powitalnym ukłonie, widząc w nim pana i dziedzica starożytnej siedziby.

Baron Weyher ciekawie patrzył dokoła. Nie widział jeszcze zamku, ale zaimponowała mu już aleja.

Hrabia Trestka spoglądał na wierzchołki świerków, podtrzymując ręką kapelusz.

— Tytany!... tytany!... — mówił szeptem — nigdy nie mogę się im napatrzeć.

Panna Rita i hrabianka siedziały zamyślane, może usiłując odgadnąć, kiedy tu wjedzie ordynat w poszóstnej karecie, mając obok siebie młodą żonę, kto będzie tą wybraną. A myśląc tak, może obie w najgłębszej komórce duszy siebie widziały w tej roli.

Waldemar jechał poważny. Czuł, że jego własność imponuje wszystkim. Doznawał różnych uczuć: dumy i pewnej melancholji.

Mówił sobie w duchu:

— Co mi z tego?

I nagle uczuł tęsknotę... Pierwszy raz pomyślał, że w tym przepychu, w tej wspaniałej rezydencji jest sam, zupełnie sam.

Uśmiechnął się.

— No, przynajmniej nie w tej chwili.

Spojrzał nieznacznie na Stefcie.

Siedziała cicha, jakby przytłoczona majestatem olbrzymich świerków, rzucających na nią cienie.

Trochę przybladła. Ogarniał ją chłód, nurtował w niej nieokreślony niepokój.

— Co ja tu robię?... obok tego magnata... Zabłąkałam się... bławatek w cieplarni — szeptało w jej duszy.

Jak Waldemarowi przed chwilą, tak i jej przyszło na myśl, że w tym przepychu, w tej wspaniałej magnackiej rezydencji jest sama, zupełnie sama.

Wzdrygnęła się.

Waldemar spostrzegł to, i, pochylony do niej, patrzył na nią długo, uważnie.

— Jaka pani wrażliwa — rzekł ze wzruszeniem.

Uśmiechnęła się: zrozumiał ją. Zrobiło jej to przyjemność.

On szepnął:

— Bławatek!

Podniosła na niego zdziwione oczy.

— Czy odgadłem?

— Tak.

Wjechali na most. Panna Rita i hrabianka zawołały razem:

— Ach, jak tu pięknie!

— Niezrównany jest widok tej fosy i mostu.

— A brama i domek strażniczy! I stare to i piękne.

— Niedługo nazwą panie stary cylinder ordynata niezrównanym — zżymał się Trestka.

Hrabianka parsknęła śmiechem, Rita wzruszyła ramionami.

Brek minał wyniosły krzyż w ogrodzeniu ze skalnych odłamów i bramę. Kopyta koni zatętniały na kamiennych płytach. Odźwierny salutował przyjeżdżających.

Wjechali na dużą przestrzeń wyżwirowaną i gładką, jak plac mustry. Na środku stała smukła kolumna kamienna ze stopniami w kwadrat. Na niej płaskorzeźba, przedstawiająca popiersie przodka Michorowskich, założyciela zamku z XV wieku. Medaljon otaczały oznaki wojskowe rzeźbione w kamieniu, napisy i daty. Obok pomnika słupy z elektrycznymi lampami. Plac równoległy z podłużnym gmachem zamku okalały z dwóch stron potężne drzewa parkowe, idące w nieskończoną głąb. Z prawej strony wysuwa się olbrzymia okrągła baszta ze strzelnicami i galerją, dalej wieża kaplicy. Przy wjeździe pod sklepioną bramą czworoboku zamkowego stały po dwu stronach krótkie armaty, moździerze, zabytki odległych lat. Przypominało to zamek obronny, jakim był w istocie przed wiekami.

— Co za gmach! — mówił baron Weyher. — Ależ pan mógłby się nie obawiać napadów tatarskich.

— Niejeden taki napad odparł ten zamek w czasach wojen z pogaństwem — odrzekł ordynat w zamyśleniu — ale wówczas inaczej wyglądał. Miał zwodzone mosty, na tym placu stały cekhauzy wojskowe, mustrowały się chorągwie husarskie i pancerne; tu odbywały się turnieje, a w czasie oblężenia żołnierze biwakowali.

Stefcia pod wrażeniem potężnych murów i ich tradycji czuła się dziwnie małą. Bujna wyobraźnia przedstawiała jej przeszłość, jak na jawie. Widziała rycerstwo, walczące o pierścień na turniejach, i wojewodzianki Michorowskie w kontusikach i wieńcach na głowie z długimi kosami, rozdające nagrody zwycięzcom. Widziała hetmanów, sprawujących skrzydlate chorągwie, i wymarsz wojsk na obronę ojczyzny. Słyszała dźwięk kopiji husarskich, szum skrzydeł i buńczuków, i nabożną pieśń żołnierską:

„Bogurodzica-dziewica,
Twego Syna gospodzina
Matko zwolena Maryja,
Bogiem sławiona Maryja!
Zyszczy nam, spuści nam!“

Stefcia przymknęła oczy pod wpływem wizji z przeszłości. Ocucił ją turkot kół na kamiennej posadzce. Akustyka sklepionych murów bramy potęgowała grzmot jadącego breku.

Konie szły stępą. Cała czwórka, pochylając głowy i wygięte szyje, uderzała z góry kopytami jakby drażniąc się i lubując stukiem o tafle kamienne.

Stefcia na widok wewnętrznego dziedzińca wydała okrzyk zdumienia.

Waldemar zatoczył ręką koło, i wskazując jej środkowy gmach zamku z tarasem, dywanem kwiatów i srebrnym pióropuszem wodotrysku, rzekł serdecznie zniżonym głosem:

— Jestem szczęśliwy, że przywiozłem panią, symbol pól i łąk, do tego gniazda, nie sfery i przesądów, nie do egzotycznej cieplarni, lecz pod ojczystą strzechę Michorowskich, gdzie bławatek będzie się czuł swobodnym i wesołym...

Tyle brzmiało pocziwych nut w jego głosie, tak serdecznie płynęły jego słowa, że Stefcia spojrzała mu w oczy z wdzięcznością.

— Pan jest bardzo dobry — szepnęła.

— Chciałbym nim być — odrzekł równie cicho.

Jechali obok klombów dywanowych i piramidalnych krzewów. Wionoło na nich zapachem róż i charakterystyczną wonią wykwinnych roślin i kwiatów cieplarnianych.

Wyniosłe mury zamku, wspaniała gra kolorów otoczenia, słoneczne blaski, rozsiewane hojnie dokoła, składały się na całość imponującą.

Wszyscy się rozweselili. Z szumem i gwarnie brek podjechał pod marmurowe filary ganku. Kilku służących w czarnej liberji z ponsowem zbiegło ze schodów. Kamerdyner wysoki, postawny, z siwymi bokobrodami na wygolonej twarzy, w liberji od innych wspanialszej, schodził powoli, jakby czując swą godność starego sługi, który obecnego ordynata widział jeszcze w kolebce.

XVIII.

Głębowicze, odwieczna siedziba Michorowskich, mogła zajmować pierwszorzędne miejsce wśród najwspanialszych rezydencji kraju. Staroświecka powaga i przepych, cechy jej główne, uwydatniały magnacką potęgę. Lecz trochę ciężki styl feudalny łagodziły nowożytne freski komfortu, z wielkim smakiem i umiejętnością wplecione w stare ramy zamierzchłych czasów.

Wyglądało to jak delikatny haft na ciężkiej brokateli i tworzyło całość wspaniałą.

Gmach zamkowy był potężny. Środkowy korpus ogromny, poprzerynany szeregami wysokich okien, kilkopiętrowy, stanowił silne oparcie dla bocznych skrzydeł, ozdobionych wieżyczkami, i wysokiej okrągłej baszty, na której powiewała chorągiew Michorowskich. Na

wieży umieszczono obserwatorium meteorologiczne. Dwie boczne odnogi zamku niezbyt długie, zamykała niby kłama trzecia poprzeczna, którą nazywano „nad arkadami“ z powodu wysokich sklepień, w bramie. Tu na parterze znajdowała się starożytna sala sejmikowa, a na pierwszym piętrze — zbrojownia.

Wewnętrzny dziedziniec otaczały krużganki proste i narożne, zdobne w murowane filary i poręcze. Wielki gazon kwiatowy okrężał nisko strzyżony żywopłot. Tam, wśród karłowatych piramidalnych krzewów, rozrzuconych pojedynczo na trawniku, wśród kwiatowego dywanu, stał wodotrysk z zielonego marmuru z basenem, napełnionym wodą i mitologiczną grupą na skale. Grupa przedstawiała Neptuna i Nimfę, owiniętą węzem. Z paszczy węża i ze skały, w którą Neptun uderzał trójzębem, wytryskiwały długie sznury wody, spadające do basenu rozwianą kaskadą. Na prawym narożniku zamkowego korpusu wznosił się taras nieduży, sięgający pierwszego piętra, z żelazną poręczą, oplecioną różami. Cały ten ogród wiszący ozdabiała drzewa pomarańcz, cedrów i mirtów. Portyk, wsparty na ośmiu kamiennych filarach, miał na szczycie herb Michorowskich. Schody i posadzka z jasnych kamiennych płyt. Nad drzwiami widniał napis z wypukłych liter: „Gość w dom, Bóg w dom“. Gmach zamkowy od strony rzeki otaczały pyszne tarasy na sklepionych arkadach kamiennych i marmurowych, sięgające drugiego piętra. Głębowicze słynęły ze swych tarasów i gustownych urządzeń. Parter zamkowy zdobiła długa weranda z białego marmuru, opleciona bluszczem, z alabastrowymi posągami bogów greckich. W jednym załomie murów świecił rżniętymi szybami ścian wyniosły półokrągły ogród zimowy.

Z tarasów roztaczały się piękne widoki parku i angielskich ogrodów; więc: słynna dolina róż, groty układane ze skał, jedna z czerwonej gliny, druga biała, w kształcie świątyni greckiej; biały pawilon letni, mieszczący w sobie akwarjum, plac tenisowy z ładną altaną, gdzie podczas gry stawiano chłodniki; wreszcie wspaniałe wiadukty zielone do spacerów i grupy drzew egzotycznych na pluszowych trawnikach, i wijące się wstęgi ulic.

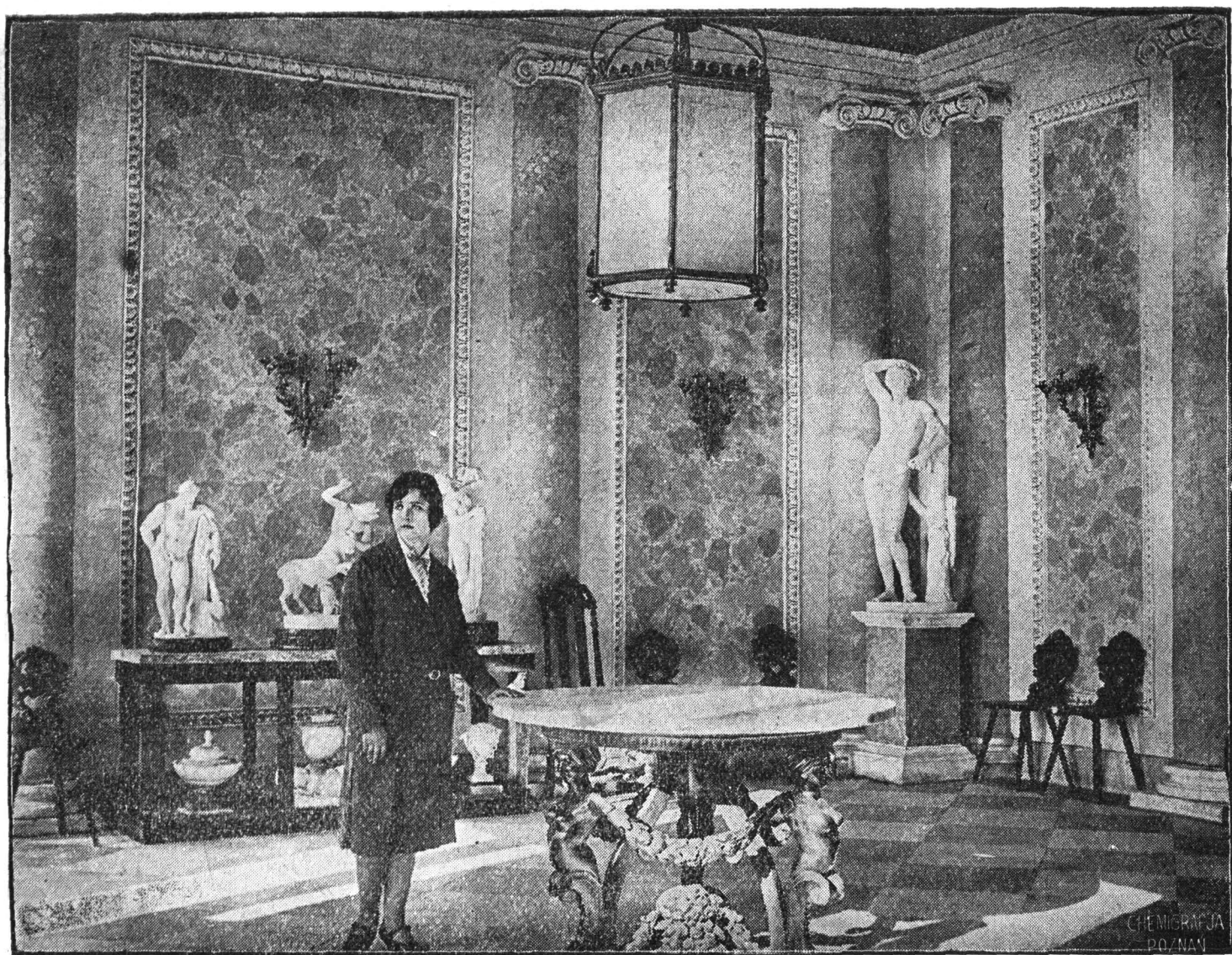
Mnóstwo kwiatów, posągów, altanek, tuneli zielonych. Sadzawki w kępach irysów z białą łabędzi, fontanny, marmurowe ławki i mostki. Na górze, usypanej umyślnie, stał wysoki biały marmurowy słup z rzeźbioną figurą Matki Boskiej Łaskawej, otoczony cyprysami. Stok góry zamkowej do rzeki wykładały niezmiernie szerokie białe marmurowe schody, zakończone dość wąską platformą, tworzącą przystań. Tu na brzegach wznosiły się potężne dwie syreny, również z marmuru. Schody i łodzie na rzece obok przystani były jednym z piękniejszych widoków parku. Wszędzie stały gęste słupy elektryczne.

Wspaniałość księżęca i niewysłowiony czar porywały wzrok, pobudzały zmysły.

Czuło się tu miliony i silną kochającą rękę, która kierowała wszystkim, nie żałując wkładu na utrzymanie starej siedziby pradziadów.

Waldemar kochał Głębowicze, czuł do nich przywiązanie synowskie, a typowy poważny ton, panujący tu wszechwładnie, pomimo nowoczesnych dodatków, był jego chluba.

Zamek, park, zwierzyńiec utrzymywał tak samo wzorowo, jak i budynki gospodarskie. Stajnie głębowickie Waldemar wprost pieścił, czyniąc z nich istne pałace.



— Stawała często przed jakimś obrazem, posągiem str. 100.

Ale do ozdób zamku i parku nie dodawał już nic nowego, siły swe i zdolności kierując na działalność pożyteczniejszą. Prócz stajni, do jego namiętności należała jeszcze zbrojownia i zwierzyńiec.

Charakterystycznym był w zamku pokój sypialny ordynata odróżniający się od ogólnego przepychu spartańska prostotą. Niezbyt duży, zawierał sprzęty konieczne i wyłącznie dębowe. Nie miał firanek, dywanów, ani rzeczy ozdobnych. Łóżko dębowe okrywała wielka skóra białego niedźwiedzia, upolowanego przez ordynata w podróży na północ. Nad łóżkiem wisiała ulubiona broń w kilku odmianach, a naprzeciw duży portret matki, Elżbiety Januszowej, w ciężkich bogatych ramach, w głowach zaś łóżka — pamiątkowy krucyfiks żelazny z XVI wieku. Ten magnat i milioner osobiście posiadał skromne wymagania.

Pan Maciej, chodząc po Głębowiczach, cieszył się, z uśmiechem przypominał sobie, jak wszyscy z powątpiewaniem patrzyli na ulepszenia, wprowadzane przez młodego ordynata, krytykowali go, nie wierząc, aby taki magnat i hulaka mógł coś dobrego sprawić. Wiedzieli, że skończył Halle, lecz niektórzy nawet w to niebardzo wierzyli, dopiero po dłuższym czasie, widząc jego energję i świetne wyniki, zrozumieli, że ten hulaka potrafi być dzielnym obywatelem kraju i sumiennym pracownikiem.

Na przepych i znakomite urządzenie głębowickie goście spoglądali z podziwem, ale różnym: pan Maciej i księżna Podhorecka z dumą, Trestka z zazdrością, księżę Podhorecki z żalem.

— Miałem i ja kiedyś wiele, teraz mam tylko długi — myślał.

Baron Weyher na równi ze Stefcia pierwszy raz zwiedzał Głębowicze, chodził więc trochę odurzony, mrużąc pod wąsem:

— Drugi Wersal! drugi Wersal!

Hrabina Ćwilecka i panna Paula rozmarzyły się z panią Idalją, przebiegały ciepłarnie, głośząc zachwyty nad każdym kwiatkiem. Pannę Ritę trudno było wyciągnąć ze stajni: mówiła, że choć raz chce się uraczyć kołmi głębowickimi. Tylko hrabia Ćwilecki z panną Michaliną spacerowali sennie po parku bez marzeń i zachwyków. Stefcia towarzyszył Wilhelm Szeliga. Lucia biegła sama widocznie czemś podniecona.

Waldemar dla wszystkich gości miał czas, przyjmował ich po królewsku, dając zupełną swobodę.

Nikt nie czuł się tu skrepowanym, każdy szedł, dokąd chciał, rozmawiał, z kim chciał, i zabawa szła wybornie. Ale z Lucią Stefcia miała kłopot. Nie mogła jej zatrzymać przy sobie, widziała w dziewczynce jakieś wzburzenie.

Przepych Głębowicz działał na Lucię dziwnie, jakkolwiek znała go już dawniej i od dziecka przywykła do zbytku. Słodkowce posiadały również wspaniałe urządzenie jednak inne. Mniej tam było stylu, mniej powagi i wielkości magnackiej, jaka tu wyzierała z każdego zakątka.

Na Lucię to robiło wrażenie. Dziewczynka, rozgorączkowana, podbiegła do Stefcia i, biorąc jej rękę, rzekła z naciskiem:

— Mam, pani coś powiedzieć, ale tylko pani.

Wilhelm Szeliga, trochę zły, odszedł na stronę. Lucia podprowadziła Stefcia na koniec alei do wielkiego wodotrysku, skąd szeroki widok padał na zamek z tarasami, na trawniki, dywany, posągi i widną z daleka oszkloną pomarańczarnię. Tam Lucia stanęła, zakreśliła ręką w powietrzu wielkie koło i rzekła uroczyście:

— Wspaniale! Prawda?

Stefcia, trochę zdziwiona, spojrzała na nią.

— Wspaniale? — powtórzyła dziewczynka.

— Bardzo! — odparła Stefcia, czując się samą pod wpływem majestatu płynącego z zamku.

Lucia z rumieńcami na twarzy mocno ścisnęła rękę Stefci i zaczęła mówić przyciszonym głosem:

— Widzi pani, może i ja kiedyś będę miała taki zamek, takie salony, park i tarasy. Będę miała przepych, wspaniałą rezydencję, bogactwa i tytuły. Takie życie przeznaczone dla mnie, takie a nie inne!

— Dlaczego to mówisz, Luciu? — spytała Stefcia, niemile tknięta wybuchem dziewczynki.

— Ja pani powiem! Oto przyszło mi na myśl, że tylko w naszej sferze mogę mieć to wszystko, ten cały przepych. A ja go tak lubię! Gdybym wyszła za Edmunda, nie miałabym setnej części tego, prawda? Jakiś tam skromny dworek o kilku pokojach, otoczony jaśminem, z nasturcją na klombach. Nie posiadałabym salonów, ani sali portretowej... Bo cóż Prątniccy?? Czy oni mogli mieć jakich przodków? Jak to dobrze. Żem się urodziła w naszej sferze!

— O zapewne! — odrzekła Stefcia z goryczą. — To też Opatrzność czuwała nad nim i nad tobą.

— Nad nim?... chyba tylko nademną? Dla niego byłoby łaską Opatrzności, gdyby się ze mną ożenił.

— Moja Luciu, nie sądź wszystkich miarą swych pieniędzy i sfery.

— Jakto?... więc ja nie byłabym dla niego świetną partją?

— Byłabyś bezwątowania, ale właśnie ta świetna partja stałaby się jego nieszczęściem, gniotłaby go, dusiła. Ty, wychowana w zbytkach, nie chciałabyś samego dobrobytu, on nie miałby za co otoczyć cię przepychem, używałby na to twych pieniędzy, co miłem nie jest; zresztą i one nie wystarczyłyby na zaspokojenie twych wymagań.

— Alez moja sfera, parantela — czy to nic nie znaczy, nie wystarczy?

— Nie wiem, mnie by to nie wystarczyło! Ale to zależy od osobistych poglądów. Może Prątnicki byłby zadowolony.

— Napewno więcej odemnie!

— A gdybyś go prawdziwie kochała?

— To nic nie znaczy. Ja miałabym tylko miłość, on wszystko. On zawsze wygrałby, jabym przegrała.

Stefcia zawołała z żalem:

— Ach. Luciu! przypomnij sobie, coś mówiła przed miesiącem: że jedynym twym pragnieniem zostać żoną Edmunda. Wiem, że to było dzieciństwo, że on nie wart prawdziwego uczucia, bo sam go nie posiada, ale jakże różne są twe zapatrywania w tak krótkim czasie. A gdyby on miał wszelkie zalety, zasługiwał na szacunek i miłość twoją, czy i wówczas on by wygrał? Powiedz!

— Pani mnie nie rozumie. Ja mówię o partji i o sferze.

— Więc osobista wartość człowieka nic nie znaczy, tylko pieniądze i sfera?... O moja Luciu! tak jesteś jeszcze młoda, a już masz spaczona pojęcia.

— To nie są spaczona, tylko nasze — odrzekła Lucia z dąsem.

— Winszuję! jeśli już teraz tak myślisz; co będzie potem?

— Nigdy więcej nie popełnię takiego głupstwa, żeby się zakochać w człowieku nie z naszej sfery.

— O tak, powinnaś tego sobie raz na zawsze zabronić, bo takie głupstwa często źle się kończą.

Tyle smutku i żalu brzmiało w głosie Stefci, że Lucia spojrzała na nią badawczo. Nagle zarzuciła jej ręce na szyję i zawołała przymilnie:

— Niech się pani tylko nie gniewa, moja dobra panno Steniu!

— Ja się na ciebie, Luciu, nie gniewam, ale mi przykro.

— Za pana Edmunda?...

— Nie za Edmunda, tylko, że ty jesteś przesiąknięta podobnymi zasadami.

— To Głębowicze tak na mnie wpłynęły. Szczęśliwy Waldy!...

Z głębi alei dało się słyszeć wołanie.

— Mama mnie woła. Biegnę! — krzyknęła dziewczynka i pędem wpadła w mroczną głąb.

Stefcia poszła w stronę zamku. Całe towarzystwo znajdowało się w parku, ale ona chciała pozostać samą. Idąc pomiędzy krzewami róż, wchłaniała śliczny zapach, z rozkoszą zatapiając głowę w masie aksamitnych kwiatów. Czuli się upojoną barwami i wonią. Rozdrażnienie po rozmowie z Lucią zastąpiła teraz ociężałość prawie senna. Gmach zamkowy przytłaczał ją; ogromne mury, wieżyce i baszta z rozwianą chorągwią robiły na niej wrażenie ciężaru, który ją gniótl. Doznała niemal fizycznej potrzeby stracenia z oczu wyniosłych ścian. Postanowiła wejść do środka, przekonana, że nie zastanie tam nikogo.

Szybko przebiegła tarasy, werandę i zaraz w pierwszym salonie spotkała starego kamerdynera. Powitał ją ukłonem. Stefcia spytała go, które dy iść do gościnnych pokoi.

Stary sługa wskazał ręką rząd salonów i rzekł z uszanowaniem:

— Na lewym skrzydle, drugie piętro. Może hrabianka każe się zaprowadzić?

Spojrzeła na niego z szeroko otwartymi oczyma.

— Co znaczy ten tytuł? Bierze mnie widać za kogo innego.

Kamerdyner stał w pozie wyczekującej.

— Mylicie się Andrzeju, ja nie jestem hrabianką — rzekła z wesołym uśmiechem.

Teraz stary sługa otworzył szeroko oczy, ale natychmiast zapanowawszy nad zdziwieniem, rzekł z nowym ukłonem:

— Przepraszam jaśnie panią.

Stefcia lekko wzruszyła ramionami i poszła w głąb zamku, myśląc:

— Zanadto są tu przyzwyczajeni do tytułów.

Mijała salony, wspaniałe gabinety. Przeszła zieloną salę bilardową, białą salę balową ze sklepieniami, zdobną w malowidła i rzeźby w stylu odrodzenia, następnie okrągłą karmazynową salę posłuchalną, aż znalazła się w ogromnej sieni zamkowej. Stąd biegło w różne strony kilka korytarzy i wiodły szerokie schody z białego marmuru, zakończone na wysokości pierwszego piętra galerją, wspartą na filarach. Schody wyściełał karmazynowy dywan, ale główną ich ozdobą była żelazna, rzeźbiona balustrada, osłaniająca również i galerję. Wyniosłe ściany sieni, wyłożone płytami z szarego granitu, miały sufit sklepiony, wysokości trzeciego piętra. Równoległe z drugim piętrem otaczał sieni dokola wąski balkon żelazny z poręczą w kształcie ukośnej kraty. Wychodziło nań kilkoro drzwi z wewnętrznych pokoi. Pośrodku sieni naprzeciw klatki

schodowej stała okrągła grupa drzew egzotycznych. Wśród nich basen z białego marmuru z tryskającą wysoko fontanną.

Kuliste drzewa cieplarniane zdobiły schody i galerje, elektryczne lampy mieściły się u szczytu sklepień. Posadzka z tafli kamiennych tworzyła bardzo piękne wzory.

Stefcia zatrzymała się długo w tej sieni, podziwiając jej piękność. Zainteresował ją wielki zegar z kurantem, w kształcie wysokiej a wąskiej szafki, ozdobiony popiersiem brązowym króla Zygmunta Augusta. Jako antyk wiekowy, nadawał otoczeniu ton staroświecki.

Na piętrze rozpoczął się nowy szereg salonów. Stefcia wśród tych bogactw straciła zupełnie kierunek. Nie mogła odgadnąć czy jest w głównym korpusie zamkowym, czy na którym skrzydle. Idąc, spoglądała na makaty, kobierce i gobeliny. Migły jej przed oczyma bogate ramy obrazów, wielkie żyrandole z brązu, z malachitu lub całe z weneckiego kryształu, zwieszające się ze wspaniałych sufitów płaskich i sklepionych, zdobnych w malowidła i rzeźby. Postać jej odbijała się w ogromnych zwierciadłach lub całych ścianach lustrzanych, w których szeregi sal przybierały rozmiary nieskończone.

Stawała często przed jakimś obrazem, posągami, albo grupą roślin, szczególnie cudownych palm wachlarzowych i. przebiegając szkliste posadzki, miękkie dywany, szła coraz dalej w głąb zamku. W końcu zaczął ją ogarniać lęk. Zbłądziła, ale jak wyjść z tego labiryntu, nie miała pojęcia. Nareszcie weszła do sali bardzo długiej ze sklepionym sufitem, zdobnej w płaskorzeźby i posadzkę dębową. Szeregi okien, ocienionych głębokimi niszami, niewiele dawały światła tak, że sala była mroczna i dziwnie surowa w tonie. Pod ścianami i na środku stały sofya, kryte złotogłównem. Staroświecki kominek przykrywała bogata wschodnia epona. Jakaś powaga zdawała się chodzić po tej olbrzymiej sali. Stefcia spojrziała w górę i dreszcz ją przeniknął. Ze wszystkich ścian spoglądało na nią mnóstwo wyrazistych oczu: sala była zawieszona portretami. Przodkowie Michorowskich naturalnej wielkości stali tu oprawni w mahoniowe ramy, okute brązem. Patrzały na Stefcię poważne twarze dawnych wojewodów, hetmanów i senatorów. Przybrani byli w złote ryngrafy, w aksamitne delje, złotogłów, w sobole i gronostaje lub zakuci całkowicie w srebrne blachy. Innych zdobiły fraki, peruki z koronkami, żabotami, lub świetne mundury wojskowe. Wszyscy mieli typowe, trochę wydatne usta, wyraziste rysy i oczy szare, przenikliwe, z wyrazem zuchwalstwa, energii i odrobiny szyderstwa. Mrok, panujący w sali, nadawał martwym postaciom pozory życia. Skąpe światło, dochodzące z zewnątrz, pełzało po karmazynach i bogatych futrach szat, po woskowych rękach i twarzach. Stefcia miała wrażenie, że postacie te poruszają się, że martwe szare oczy spoglądają na nią zdziwione, a usta mówią:

— Czego chcesz? Skąd się wzięłaś?

Wstrząsnęła się.

Już drugi raz doznała podobnego wrażenia, drugi raz portrety Michorowskich przerażały ją wymową martwych oczu.

Zabłąkała się w tej sali i jest sama pod przegierzem tyłu spojrzeń. Chciała wyjść, odwróciła głowę w stronę drzwi, i nagle wzrok jej padł na wielki portret w pełnym oświetleniu, przedstawiający wyniosłą postać kobiecą. W ciężkiej aksamitnej sukni, ozdobionej brabanckimi koronkami, w perłach, stała młoda jeszcze kobieta, z głową spuszczoną na

piersi i smutkiem w czarnych oczach. Bujne czarne włosy ocieniały ładny ował twarzy, wąskie usta wyrażały ból, niedający się ukryć nawet na portrecie. Strój i uczesanie znamionowało niedawną epokę. Stefcie zaciekawiała ta postać. Podeszła bliżej, chciała koniecznie wiedzieć kogo portret przedstawia.

Na ciemnym tle obrazu, z boku widniał wyraźnie malowany herb z mitrą książęcą, pod nim napis: Gabryela z książąt de Bourbon Maciejowa Michorowska, ordynatowa głębowicka. Potem następowała data urodzenia i śmierci.

Więc to jest babka Waldemara, żona pana Macieja? księżniczka Bourbon? Ale dlaczego tak beznadziejnie smutna? Nawet na portrecie widać, że to nieszczęśliwa kobieta. Stefcia podeszła bliżej, wpatrzona w postać babki Waldemara. I dwie te kobiety — jedna malowana, w aksamitach, druga żywa, w białym muślinie — patrzyły sobie w oczy, jakby się rozumiejąc.

Głębokie czarne źrenice Michorowskiej ogarniały dziewczynę żalonym spojrzeniem, jakieś westchnienia szły od niej i beznadziejność i pełna goryczy melancholja. Oczy te zdawały się mówić: „Zmęczyło mnie życie, nie zaznałam szczęścia ani odrobiny, tylko wiele bólu i zgrzyoty... Nic nie pomogły bogactwa, nic tytuły, nic dostojęństwa... byłam kobietą nieszczęśliwą.

Stefcia czytała w jej smutnej twarzy skargę. Dlaczego ta kobieta cierpiała?... czego brakło w jej życiu?... jaka chmura złożyła w jej oczy tyle posępnych cieni?

I w tej sali, pełnej uwiecznionych w portretach postaci, przedstawiała typ najbardziej zboląły.

Stygmat cichego dramatu piętnował jej czoło, perły, rozsypane na jej piersiach, świeciły jak lzy spadłe z bezbrzeżnie smutnych oczu. Wszystkie postacie kobiece na portretach miały uśmiechnięte twarze, klejnoty i kwiaty w dłoniach. Barwne stroje polskie, kontusiki mieszały się tu z obcisłymi sukniami z początku XIX stulecia lub z balonami krynolin. Głowy, jedne w staroświeckich kornetach, w perukach, inne zdobne w koki i pukle, w klejnotach, piórach i kwiatkach. Ona jedna odbijała nawet strojem: jej ciemna, aksamitna suknia, ciężkie koronki i sznury pereł miały ton poważny, pełen majestatu. Ani kwiatka przy niej, nic tchnącego wesołością i życiem. Białą arystokratyczną rękę, ozdobioną kilkoma pierścieniami, opierała o poręcz fotelu, druga zwiśla na sukni ruchem apatycznym.

Stefcia spojrzała po sali, lęk coraz większy a niepojęty wypełzał z mrocznych kątów i sunął do niej groźny, nieubłagany. Oczy portretów biczowały ją ostrym wzrokiem. Miała wrażenie, że ją wypędzają z sali, że gniewają się na nią za wtargnięcie do przybytku ich pośmiertnej chwały, że mówią do niej:

— Ruszaj stąd, dziewczyno. Tu miejsce nie dla ciebie, to nie twój świat. Idź. bo cię zgniemy wielkością!...

Stefcia zadrżała. Działo się z nią coś niezwykłego... Jakieś niewypowiedziane słowa falowały na jej ustach, niedokończone myśli, tętna zupełnie nowe napełniały jej mózg i serce. Uczuć podobnych nie znała dotąd: była to fala obca, ale silna, dopominająca się o zrozumienie. Czula, że błądzi w jakiejś abstrakcji, jeszcze przysłoniętej mgłą, ale już powodującej niewytlómaczony lęk. Szczupła twarz Stefcie zbladła, fioletkowe oczy świeciły mocno podniecone wrażeniem i wewnętrzną go-

rażką. Spojrzała raz jeszcze na martwe twarze i, podnosząc ręce do głowy, szepnęła:

— Idę, wyjdę stąd... nie wrócę... nie!

Utkwiła palające źrenice w zbolącej twarzy babki Waldemara i szepnęła znowu:

— Idę, pani... idę...

Ale oczy Michorowskiej spoglądały na nią łagodnie. Smutne, pełne żalu i gorzkości, zdawały się mówić:

— Biedne dziecko... spiesz... żal mi cię, polny kwiatku... ale... uciekaj do swoich!

— Boże! Boże! — jęknęła dziewczyna, uniesiona wizją.

Każdy nerw dygotał w niej, wrodzona wrażliwość znalazła silną podniecie. Pochłonięta halucynacją zmysłów, wpatrzona w portret, nie słyszała kroków w sąsiednim salonie.

Nagle w osłonach ciemnej kotary stanęła przed nią wytworna postać Waldemara. W rękę niósł pęk żółtych herbacianych róż.

— Ach! — krzyknęła Stefcia, cofając się w tył.

Widok jego w tej sali, przy tym portrecie, sprawił na niej silne wrażenie.

— Co pani?... co pani?... — zawołał przybyły, porywając jej ręce w swe gorące dłonie. Róże rzucił na sofę i pochylony patrzył na Stefcie badawczo.

— Przestraszyłem panią?... Panno Stefanjo, czemu pani taka zmieniona? Co się stało?...

Dziewczyna odzyskała swobodę. Przy nim nie czuła obawy. Wyciągając ręce z jego dłoni, rzekła:

— Będzie się pan ze mnie śmiał, ale istotnie przestraszyło mnie nagłe ukazanie się pana.

— Wzięła mnie pani za jakiegoś pradziadka, wyskakującego ze ścian, czy tak?

— Pradziadka?... Nie!

— A ja pani szukałem po całym zamku. Andrzej wprowadził mnie na ślad.

— Ja zbłądziłam, zaszłam do tej sali zupełnie wypadkowo.

— I rozmawiała pani z memi przodkami?

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Pan jest jasnowidzący!

— Więc odgadłem?

— Po części. Ja tylko odpowiadałam, oni mówili do mnie.

— Co mówili?

— Nakazywali mi wyjść stąd — rzekła z przymuszonym uśmiechem.

— Panno Stefanjo!...

Ten wykrzyk zdziwił Stefcie. Brzmiało w nim pytanie i żal. Prędko powtórzyła:

— Gniewali się na mnie za wtargnięcie do ich przybytku. Tylko ta pani miała dla mnie lepsze spojrzenie.

Wskazała na portret.

Waldemar odwrócił głowę, popatrzał i rzekł poważnie:

— To moja babka, Maciejowa Michorowska, bardzo dobra i bardzo nieszczęśliwa kobieta... może właśnie dlatego nieszczęśliwa, że dobra.

— Dlaczego? — spytała Stefcia.

— Och! to smutna historia. Nie chciałbym pani zasmucać.

— Proszę, niech mi pan opowie jej dzieje — szepnęła z prośbą.

Waldemar przepalał ją wzrokiem. Postąpił parę kroków i, biorąc róże z sofy, rzekł stłumionym głosem:

— Rwałem je, myśląc o pani, i niosłem dla niej... Mój ulubiony kolor... Proszę.

Podał jej rozkwitły, woniejący pęk, ogarniając postać dziewczyny gorącym spojrzeniem.

— Czy pani lubi smutne historie? — dodał prędko, chcąc przywrócić jej swobodę, bo spostrzegł, że biorąc kwiaty, zmieszala się.

— O tak! lubię... Dziękuję panu za róże. Śliczne!

— Więc opowiem pani historię babki, ale uprzedzam, że smutna, bo babka miała wiele cierpień w życiu.

— Wyjdźmy stąd — rzekła Stefcia — będą nas szukali.

— Wszyscy grają w tenisa i są zadowoleni. Nie widzę racji przeskadzać.

— Ale Lucia sama. Może mnie potrzebować.

Co do Luci mogę panią zapewnić, że się dobrze bawi z Wilusiem Szeligą. Pozostaniemy tu.

— Nie, nie! Trzeba iść.

Podbiegła do drzwi. Waldemar zastąpił jej drogę i rzekł energicznie:

— W tej sali panują prawa feudalne! Nie puszczę pani. Historię babki trzeba wysłuchać przed jej portretem... Jest pani w tej chwili moją wasalką.

Stefcia komicznym ruchem załamała rękę.

— Suwerenie, zlituj się! uwolnij mnie! — zawołała wesoło.

— O nie! żadnej łaski. Jest pani w mej mocy, nikt cię nie zwolni, gdy ja nie zechcę. Mam za sobą całe szeregi popleczników.

Wskazał na portrety.

— Ależ oni mnie nie chcą, wypędzają!...

Waldemar pochylił się do niej i rzekł z naciskiem:

— Gdy ja zechcę, oni zechcieć muszą!

Stefcia zaczęła tracić pewność siebie. Postanowiła wyjść koniecznie.

Lecz w tej chwili zaszło coś dziwnego. Oto w parku rozległ się krzyk, głos wpadł do sali i akustyczne ściany powtórzyły go kilkakrotnie. Zdawało się, jakby portrety przemówiły. Na Stefci, rozstrojonej do najwyższego stopnia, głos ten, po słowach Waldemara, zrobił wrażenie wprost piorunujące. Rzuciła się naprzód z okrzykiem przestraszenia.

Waldemar chwycił ją za rękę powyżej łokcia i przysuwając do siebie, szepnął:

— Nie bój się... Przy mnie nic ci nie grozi...

Trzymał ją mocno, splecioną z silnie bijącym sercem.

— Nie obawiaj się, jestem przy tobie — powtórzył stłumionym głosem.

Oczy jego piekły, ponsowe usta drżały, w skroniach biły tętna.

Chwila ciszy... pierwszego upojenia!...

Niewidzialne dreszcze łączyły ich z sobą, zlewając się w jeden prąd, pełen czaru.

Waldemar nie przerywał go ani poruszeniem, ani słowem. Chciał go wyzyskać do ostatka... rozplomieniała go bliskość Stefci, rozczulała

jej słabość. Czuł, że ją ta chwila męczy, ale, że biedaczka jednocześnie boji się poruszyć, by nie uleciała spłoszona. To go rozrzewniło.

Stefcia była jak nieprzytomna. Pierwszy raz w życiu zadrgał w jej duszy jakiś nowy dźwięk. Doznała obawy przed tym, do którego już miała ufność zupełną. Szarpała się i rzekła przerywanym głosem:

— Chodźmy stąd... już chodźmy!

— A moja historia — spytał.

— Opowie mi ją pan innym razem.

— O nie! drugi raz nieprędko może nastąpić podobna chwila, trzeba z niej korzystać.

Podprowadził wahającą się Stefcie do małej kanapki naprzeciw portretu i rzekł z uśmiechem, już spokojny i pewny siebie:

— Niech pani spocznie tu... ja obok. O tak. A teraz proszę słuchać dziejów babki.

Dziewczyna nie znalazła siły sprzeciwić mu się. Jego stanowczość imponowała jej. Usiadła na kanapce. W białej sukni z pękiem żółtych róż w rękę tworzyła bardzo ładną plamę na ciemnej materji. Waldemar zaczął mówić dźwięcznym barytonem, chociaż dzisiaj nieco stłumionym w brzmieniu:

— Babka moja była ofiarą nieszczęśliwej miłości... kochała człowieka, z którym nie pozwolono jej połączyć się.

Słuchającą przeszedł leciuchny dreszcz. Podniosła oczy na twarz portretu z wyrazem głębokiego współczucia.

Waldemar mówił dalej:

— Była księżniczką z rodziny starożytnej, noszącej w swym herbie koronę królewską. Miała wielu znakomitych starających się. Odrzuciła wszystkich, kochając ubogiego chłopca, sekretarza w dobrach jej ojca. Kochali się wzajemnie pierwszą miłością, tak potężną, że mogłaby wszystko zwalczyć. On milczał, przeczuwając, że mu jej nie dadzą. Cierpiał skrycie. Ale ona, młoda, wypieszczona przez ludzi i warunki życia, naginające się zawsze do jej woli, nawet kapryśsu, nie chciała milczeć. Wyznała rodzicom miłość do młodego Gwidona, prosząc o ich błogosławieństwo. Spotkał ją zawód. Ojciec, książę de Bourbon, człowiek poglądów bardzo rojalistycznych, przesiąknięty feudalizmem, ambitny i dumny, odtrącił wyznanie córki. Młodziutką Gabrjelę wywiózł do Paryża, a Gwidona pozbawił posady. Biedny chłopak, kochając gorąco, przytem również ambitny, nie zniósł tak straszego ciosu: wkrótce zakończył życie samobójstwem, pożegnawszy się listownie z Gabrjelą. Księżniczka, pogrążona w bezgranicznej rozpacz, chciała wstąpić do klasztoru, ale tyran ojciec nie pozwolił na to. Musiała się bawić, musiała znosić hołdy licznych konkurentów, lecz opierała się stanowczo rozkazom ojca, który zmuszał ją do zamążpójścia. Tak przeszło kilka lat. Tymczasem dziadek mój, Maciej, przechodził mniej więcej to samo. Będąc ułanem, gdzieś na balu poznał i pokochał młodą osobę, córkę obywatelską. Nosila ona imię pani.

Waldemar spojrział w oczy Stefcie z jakimś rzewnym uśmiechem.

Ona drgnęła i przybladła. Spostrzegł to. Delikatnie ujął jej rękę.

— Co pani jest, panno Stefanjo?

Wysunęła rękę z jego dłoni i, zanurzając twarz w różach, rzekła:

— Nic... nic... niech pan mówi dalej.

— Teraz następuje okres najsmutniejszy. Muszę tu obwinić mego dziadka. Kochał swoją Stenię bardzo, ale...

— Stenię? — zawołała Stefcia.

— Tak spieszczał jej imię i na jej pamiątkę panią tak samo nazywa. Pani podobno jest portretem tamtej. Ona była również pierwszej młodości, również wiośniana, tchnąca życiem i promieniejącą urodą. Posiadała świeżość uczuć, głęboką wiarę, miłość do świata i ludzi. Pokochała dziadka z całej duszy. Zaręczyli się, ale nieszczęście, stugłowe fatum stanęło na ich drodze. Tu właśnie muszę oskarżać dziadka. Nie miał dość stanowczości, aby zwalczyć przesady i zastarzałe pojęcia swej rodziny. Nie pozwolono mu pojąć za żonę tej, którą kochał, która ze wszech miar zasługiwała na to, która wreszcie była może więcej warta od niejednej protegowanej przez jego sferę i rodzinę. On chciał wprawdzie przełamać zaporę, dzielącą go od szczęścia, ale walczył za krótko. Zagrożony wydziedziczeniem, pod groźbą niebłogosławieństwa uległ złej sile, nie mając odwagi stawić jej czoła do końca. Bardzo zacny i prawy, nie posiadał jednak dostatecznej siły i woli. Brakło mu hartu, za słaby, zanadto ulegający wpływowi miał charakter. Nie potrafił powiedzieć nieodwołalnie: „Ja chcę!” — miłość swą pozostawił w sercu, nie ujawniając jej w czynach. Fanatyzm sferowy spaczył jego najdroższe uczucia, złamał dane słowo, może go nawet chwilowo przekonał; zaręczyny zostały zerwane, życie i serce biednej kobiety stargane na zawsze. Zaraz potem wysłano mego dziadka za granicę, aby tam zapomniał... Jakie szyderstwo! jaka ironja!... W Paryżu dziadek poznał Gabriellę de Bourbon i tak prababka moja, zaprzyjaźniona z domem księstwa, ułożyła z ojcem Gabrieli to małżeństwo. Księżniczka zmęczona życiem, poddała się woli ojca. Dziadek powodowany już nie wiem czem, zgodził się również. Ślub odbył się w Rzymie, lecz młoda para kroku tego żałowała całe życie. Byli bardzo nieszczęśliwi. Oboje mieli serca wystygłe, gorycz płynęła w ich żyłach. Oboje wyrzucali sobie chwilę zaślubin, dręczyli swe sumienia. Ona kochała do zgonu pamięć człowieka, który z jej powodu zginął, on stale nosił w sercu miłość dla tamtej i żal, że zwichnął jej szczęście. Nie było spokoju ani harmonji. Złośliwe fatum rzuciło na nich ciężką chmurę, wszelkie promyki światła, płynącego ze świata, rozjaśnić jej nie mogły. Pozostali w cieniu do końca. Ona niedługo żyła. Smutek, ciągła walka, nieskończona wewnętrzna rozterka, podkopywały wiatły organizm. Wkrótce rozwinęła się choroba sercowa i suchoty. Zmarła na południu w dość młodym wieku. Wówczas dziadek oddał ordynację memu ojcu, sam zamieszkał w Słodkowcach, dokąd w kilkanaście lat potem sprowadził owdowiałą ciotkę Idalję z malutką Lucią.

Waldemar umilkł. Siedział z pochyloną głową i głęboką zmarszczką pomiędzy brwiami. Nagle wyprostował się, przeciągnął dłoń po czole i rzekł z westchnieniem:

Teraz na innej planecie może znalazła spokój, daremnie szukany na ziemi.

— Czy ją pan pamięta? — spytała glucho Stefcia.

— Była moją chrzestną matką, pamiętam ją trochę. Dużo opowiadała mi o niej babka Podhorecka, która bardzo ją kochała.

Spojrzał uważnie na Stefcię, na jej rozpalone usta, wilgotne oczy i rzekł dziwnie łagodnym głosem:

— Zmęczyłem panią... prawda? Taką pani widocznie przejęta nawet wzruszona.

Podniosła na niego oczy.

— Żal mi ludzi, którzy się tak strasznie męczą, tak cierpią.

— O tak! żal zawiedzionej nadziei i największego bogactwa na świecie — uczuć.

— Pan to pojmuje? — spytała Stefcia.

Zmarszczył brwi.

— A pani wątpi?

— Myślałam, że... w pańskiej sferze nie nazywa się miłości bogactwem... że się jej nie ceni...

— Jednak dziadek Maciej cenił i pojmował miłość i moja babka również.

— I oboje zmarnowali ją — dokończyła Stefcia.

— To znowu co innego. Brakło im sił do zbudowania dla swej miłości odpowiednich podstaw. Nie umieli ustawić jej na takim piedestale, z którego nikt straciłby jej nie potrafił. Niech pani wierzy jednak, że są wśród nas inni, o! być może gorsi od dziadka pod każdym względem, ale więcej energiczni, nawet uparci. Gdy ci zechcą dopiąć celu złamią wszystko, pójdą przebojem, ale dopną go. Do takich ja się zaliczam. Mam tysiące wad, lecz posiadam niezłomną odporność na wszelkie złe siły. Przytem, jak wszyscy Michorowscy, jestem trochę egoistą, więc szczęścia nie pozwoliłbym sobie wydrzeć za nic i nikomu. Zgnieśćby mnie nie zdołali: jabym zgniółł tych, co by się ważyli stanąć ze mną do podobnej walki. Nie zastraszyłaby mnie groza wydziedziczenia, ani przekleństwo. Jestem bezwzględny, dobrze! ale czuję w sobie potrzebę szczęścia innego, niż posiadam, i gdybym do niego dążył, nikt nie śmiałby stawić mi zapory!

Ordynat mówił z pałającymi oczyma, z rozdętymi nozdrzami i zmarszczoną brwią. Jego szare źrenice zdawały się wtórować słowom, była od nich wielka siła temperamentu, energia i woła, nie znająca dla siebie żadnych granic.

Stefcia z odrzuconą głową i rozchylonemi nieco ustami wpatrywała się z podziwem w jego męskie, wyraziste rysy. Imponował jej. Czowała, że to, co mówi, jest zaledwie cząstką tego, co potrafi. Przeciwności mogą się o niego odbijać, jak o skałę. Przeszedł ją instynktownie dreszcz, mimowoli odsunęła się lekko.

On ochłonał, popatrzał na nią i, ubawiony wyrazem jej twarzy, powiedział z uśmiechem:

— Pani boji się mnie. Czyż jestem taki straszny? Mogę zresztą ~~nim~~ być, ale nie dla pani. Trochę mnie pani dotknęła zapytaniem, czy pojmuję głębię uczuć, — odpowiem z szorstką otwartością: nie pojmowałem, lecz... zaczynam pojmować!...

Stefcia wstała, zwróciła się do swego towarzysza i rzekła prędko:

— Dziękuję panu za opowiedzenie mi tej smutnej historii. Chodźmy już... Okropnie długo siedzieliśmy... w tej feudalnej sali.

— Podziękowania nie poprze uściśnienie ręki? — spytał wyciągając dłoń.

Żywym ruchem podała mu swoją.

Ujął ją silnie, pochylił się i przycisnął do niej gorące usta. Stefcia zdrętwiała, płomienie uderzyły jej na twarz, w głowie zaszumiało wirem. Pocałunek ten palił ją, czuła na sobie oczy Waldemara.

Prędko wyrwała rękę, podążając w stronę drzwi. Chciała uciec z tej sali i z pod jego wzroku.

On szedł za nią.

XIX.

Całe towarzystwo zgrupowane było na tarasie. Tennis z powodu braku kostjumów niebardzo się udawał. Zamyślano o nowej zabawie. Stefcia i Waldemar przyszli w porę: oglądano się za nimi. Żółte róże w ręku Stefcia zrobiły wrażenie; patrzano trochę podejrzliwie.

— Gdzieście państwo byli? Panna Stefania wygląda jak corso kwiatowe — rzekł ironicznie Trestka. Zaczepiona zaśmiała się.

— Ale co? Ładne róże, prawda?

A Waldemar powiedział:

— Przypomina się bajka o zaczarowanym dworze królewskim: wyglądacie państwo wszyscy jak pośnięci.

— A pan wkracza pomiędzy nas jak triumfator na zwycięskim rydwaniu — podchwyciła Rita, mrużąc oczy.

— Przy którym nie brakuje nawet branki — dodał Trestka.

— Ach! więc to milczenie jest rodzajem hołdu dla nas.

— Och nie! tak dalece zachwyceni nie jesteśmy, ja przynajmniej — zaśmiała się nerwowo Rita.

Waldemar spojrział na nią z ironicznym uśmiechem.

— Widzę, że tennis nie był zabawnym.

— Czy wszyscy państwo już grali? — spytała Stefcia.

— Ja nie grałem. Rozpocznijmy na nowo — rzekł Wiluś Szeliga.

— Ja z wami także — zawołała podbiegająca Lucia.

Waldemar zwrócił się do Stefcia:

— Mówiła mi pani kiedyś, że nie uprawia tego sportu.

— Cóż znowu? Panna Stefania gra po mistrzowsku!

— Złapałem więc panią na kłamstwie! A! Ładnie!

— A może pani nie chciała grać wyłącznie z panem? — wtrącił Szeliga.

— Ani jedno, ani drugie — odrzekła Stefcia. — Tennisa nauczyłam się dopiero w Słodkowcach i wówczas, gdy mi go pan proponował, nie umiałabym utrzymać rakietu.

— No, to pani nie może grać jeszcze po mistrzowsku! — zawyrokował krzykliwie Trestka.

— To też jest to jedynie zdanie Luci.

Zgodzili się wszyscy jeszcze na jedną partję.

— Pozwoli pani służyć sobie za partnera? — zapytał Waldemar.

Stefcia skłoniła głowę.

Wiluś Szeliga zmarszczył się. Rita zagryzła usta.

Gracze stanęli po bokach siatki, Stefcia z ordynatem i panna Rita z Wilusem.

Partja zapowiadała się dobrze z powodu udziału ordynata i panny Rity. Wiluś wypróbowany w grze, tylko Stefcia niepewna. Trestka drażnił się z nią, dowodząc, że będą ją dopiero uczyli, i zbierał zdania, kto wygra. Powstały zakłady.

Stefcia żartowała z Trestki, bawił ją Wiluś w roli pokrzywdzonego bohatera. Waldemar tłumaczył jej główne zasady gry, twierdząc, że muszą wygrać. Stanęli w wyzywających postawach. Stefcia widząc, że suknia jej zawadza, podpięła ją zręcznie z obu stron i, świecąc lakierami pantofelków, podniosła rakiet w górę, wołając:

— Zaczynamy?

— Vogue la galère! — rzuciła panna Rita. — Muszę wygrać! — dodała, patrząc bystro na stojącego naprzeciw ordynata.

Waldemar skłonił się z uśmiechem trochę szyderczym.

Wyglądało to, jakby przyjął walkę.

Partja się zaczęła. Rita grała gorączkowo i z irytacją. Gniewał ją spokój Waldemara, który wszystkie jej ciosy odbijał zreźnie prawie mechanicznie, z zimną krwią. Rzucane przez nią piłki zdawał się lekceważyć, mimo to nigdy nie chybił, a całą uwagę zwróconą miał na grę Stefci. Czuwał nad każdym jej ruchem. Wiluś, zły, nie ukrywał swego humoru, grał impetycznie. Lecz towarzystwo przyglądało się głównie Stefci. Dziewczyna podniecona, wesoła, grała z życiem. Ruchy miała swobodne, wdzięczne już z natury. Czasem podskakiwała w górę, biegnąc jak strzała do piłki, czasem wydawała przeciągły okrzyk, gdy dobrze trafiła.

Waldemar robił jej uwagi, które ją aż zniecierpliwily.

— Niech mnie pan nie poprawia, ja i sama umiem grać.

— Oto wdzięczność niewieścia za dobre chęci — zaśmiał się ordynat.

— Pani już wygrała. Teraz na mnie kolej.

— Mój panie! co ta za konszachty? — zawołała panna Rita. — Ot, ma pan!

Cisnęła piłkę z taką siłą, że ta potoczyła się na brzeg placu. Stefcia krzyknęła, podbiegła pędem i w samą porę odbiła piłkę pod nogi Wilusia.

— Uratowałam pana! — zawołała chwytając prędko powietrze.

— Dziękuję! — Pani bajecznie przyczyni się do naszego zwycięstwa — rzekł znacząco.

Panna Rita zagryzła wargi i obrzuciła Stefcię niechętnem spojrzeniem.

— Byłam pewna, że pan przegra, ale to jeszcze nie koniec!

— Czekam nowego ataku — rzucił ordynat.

— Ryzykuje pani za wiele — wtrącił Trestka — tam grają kolosalne siły i mają wenę: przypuszczam porażkę na całej linii.

— Niech pan będzie cicho. Qui ne risque rien, n'a rien!

— Mais qui risque trop, aussi n'a rien — odrzekł Trestka zły.

— O czem państwo mówią? — spytał ordynat.

— Niewinniątko!...

— Panie ordynacie, piłka! piłka — krzyknęła Stefcia.

Waldemar cofnął się, przegiął zgrabnie i z siłą odbił nadlatującą piłkę — wprost na pannę Ritę.

— Wiluś trzymaj! — krzyknęła ona z kolei.

Ale już było zapóźno: wygrała Stefcia i Waldemar.

— Brawo, panno Stefanjo! Możemy sobie podziękować i równszować, triumfujemy! — wołał ordynat.

Trestka popatrzył na Ritę.

— A co, nie mówiłem? To ciekawa gra.

— Nudny pan jest. Mogłam wygrać. To przez Wilusia wszystko.

— Moja droga, ty gapiłaś się, a ja miałem za ciebie grać — odciął się zaperzony student.

— Prawda! tembarziej, że gapiłeś się i ty.

— Voilà c'est le mot — zaśmiał się baron Weyher.

Całe towarzystwo rozbawione tenisem, poszło w stronę doliny róż, skąd szły upajające zapachy i śliczny widok uderzał oczy. Wejście do doliny zamykała gotycka brama z żelaznej rzeźbionej kraty, opleciona różami. Taka sama krata, opięta różami, otaczała całą dolinę. Każde przesło zakończyły rzeźbione wazy pełne róż, w ten sposób rosnących.

W dolinie były altany, tunele, piramidy pnących sztamowych róż, które w festonach spływały powodzią kwiatów. Na trawnikach stały olbrzymie plecione kosze z białego drutu, napelnione różami, całe gaje, zacisza i gąszcze. Wśród nich bieleły posągi bóstw mitologicznych, wazony alabastrowe i z marmuru na wysokich słupach. Kaskady róż spływały w marmurowe baseny, wśród tej grzywy kwiatów były cienkie strumienie wodotrysków. Gdzieś tam świeciły białe żelazne ławeczki wyginane w tył i takie same fotele; w jednej kępie róż stały dwa małe foteliki z różowego marmuru, jak bombonierki. Karłowate niskopienne róże zdobiły obie strony uliczek, tworząc dywany, wiły się w basenie na trawnikach i oplatały posągi. Wszędzie róże i róże, jak wonny pachnący ocean. Dolina miała urok cudownego snu. Chciało się tarzać w różach.

— Bajeczne! bajeczne! — mówił zdumiony baron Weyher, nie wierząc własnym oczom.

Panowie rzucali na panie różami, rozpoczęło się małe corso.

— Do Głębowicz chyba zjeżdża mnóstwo zwiedzających. To Wersal krajowy — rzekł baron Weyher.

— O tak! dość dużo! — odrzekł Waldemar. — Jest nawet stary lokaj, spełniający rolę cicerona.

— Czy to się odbywa tylko w nieobecności pana?

— Nie zawsze. Często spotykam osoby zwiedzające w parku, zwierzyńcu lub w fabrykach. Jedynie zamek jest wówczas wyłączony. Zresztą okolica zna go już dobrze. Raz przyjmowałem owocami kilka pań z sąsiedztwa w różanej altanie i naturalnie oprowadziłem je po zamku, gdyż były ciekawe palmiarni.

— Jakto! z sąsiedztwa? Któż to taki — spytała hrabianka Paula.

— Obywatelki z okolicznych dworów.

— Ach tak!... — skrzywiła usta ironicznie. — Musiały być piękne?

— ? wykształcone i dystyngowane także.

— Och!

Po tym wykrzykniku hrabianka odeszła w inną stronę.

— Co to za głosy dziecinne? — spytała Stefcia, kiedy mijali żelazną kratę, ogradzającą park.

— To z ochronki — odrzekł Waldemar.

Otworzył żelazną furtkę i Stefcia stanęła zdumiona. Na wielkiej przestrzeni ogrodu, na zielonej murawie, pośród klombów kwitnących krzewów, bawiło się około dwieście dzieci, od niemowląt do dwunastu i czternastu lat — dziewczynki w różowych kretonowych sukienkach, chłopcy w granatowych bluzkach. W oddali widniał duży piętrowy budynek z czerwonym dachem, otoczony kwiatami, z tablicą na froncie. Na niej czerniał napis: „Ochrona Opieki Świętej Elżbiety“.

Na rozległych trawnikach stały słupy z drabinami do gimnastyki, oraz inne podobne przyrządy. Dzieci miały dla siebie ogródki, wózki i małe osiołki; mniejsze bawiły się w piasku. Stefcia i jeszcze kilka osób lubowało się widokiem tej sielanki, gdy w tem pośród dzieci zapanował ruch i krzyk. Wszystkie biegły do furtki, wyciągając rączki i przepychając się jedno przez drugie.

— Pan oldynat! pan oldynat! pan... pan..

Maleństwa przy ziemi wrzeszczały;

— Pan dobj! pan dobj!

— No! cicho, dzieciaki! — wołał roześmiany Waldemar — nie hałasować, przywitać się z paniami! Cóż to u was słyhać, co?

Zaczął się powitanie z gośćmi i różne opowieści o wydarzeniach niezwykłych.

— Osiołek lozblikał się Antosiewi i wywłócił wózek! — wołała, śmiejąc się jakaś dziewczynka.

— Marynią rozdarła sukienkę Zosi i pani ochroniarka kazała jej klęczeć

— Micio Zielak nos sobie zbil...

— Jak one pana kochają, to jednak coś bajecznego! — mówił Weyher.

— Czy to dzieci służbowe? — spytała Ćwilecka.

— Tak pani, dzieci służby dworskiej, trochę biedaków ze wsi i bardzo dużo zupełnych sierót, nawet podrzutków. Uczą się tu i bawią do czasu pójścia do szkoły.

Waldemar zwrócił się do dzieci:

— Gdzie jest pani ochroniarka?

— W ochronce. Uczy starsze dzieci.

— A Stefcia Gołabkówna? Nie widzę jej.

— Ot biegnie Stefcia! — zawołało kilka głosów.

Jakaś mała figurka toczyła się jak kula. Dziewczynka różowa, z warkoczykiem złotych włosów dopadła do ordynata i, chwytając go za nogi, zaczęła się piąć na ręce, wołając przeraźliwie:

— Pan dobli! Na lece, na lece!

Wszyscy zaczęli się śmiać prócz hrabiny Ćwileckiej i pani Idalji, które wzruszyły ramionami.

Waldemar podniósł dziecko do góry, pohuśtał i pocałował w czoło, poczem oddał Stefcii.

— To pani imienniczka, a moja faworytka. Liczy zaledwo trzy wiosny życia. W ochronce jest od paru miesięcy. Kochamy się bardzo. No! idź do pani — rzekł do dziewczynki.

Dziecko, trzymając się za szyję ordynata, spojrzało zachmurzone, ale zaraz wyciągnęło rączki.

— Ładna pani, pani dobla!

— Chrzcii panią mojem imieniem — rzekł cicho Waldemar.

Stefcia pochwyciła dziewczynkę i ucałowała.

Nadeszły dozorcynie z powitaniem.

Waldemar pokazał gościom wewnętrzny gmach ochrony i przedstawił ochroniarkę, starszą już, inteligentną kobietę, której, za przykładem księżnej, wszyscy podali ręce.

Zwiedzono jeszcze szkołę i kaplicę obok, poczem całe towarzystwo powróciło do parku.

Waldemar zaprojektował przejażdżkę łodzią. Zgodzono się chętnie. Dzień był piękny i do obiadu pozostało jeszcze parę godzin. Poszli w stronę przystani.

Park oświetlony popołudniowem słońcem, wyglądał jak morze zieloności, jasnych drgających plam, pełen cieni, bujnych traw, żółtych zwirowych uliczek, wijących się kręto i szerszych dróg powozowych. Pełno życia, śmiechu w naturze i pomiędzy ludźmi. Wszyscy szli razem i stanęli na marmurowych płytach przystani. Baron Weyher oglądał schody z ciekawością i kręcił głową.

— Bajeczne! — mówił. — Cała góra ujęta w marmur. A dekoracja!... Coś podobnego widzi się tylko zagranicą.

Pan Maciej rozglądał się za czemś i nagle szybko podszedł na brzeg przystani. Stał przy ponsowej łodzi w kształcie gondoli weneckiej, z nałożonym srebrnym napisem: „Stefanja“.

— Odświeżona... zupełnie nowa! — szepnął zdumiony, patrząc na przepyszne adamaszki baldachimu.

Twarz mu drgnęła, poruszył ustami i ze skupieniem patrzył na błyszczący w słońcu srebrny napis. Staruszek ciężko westchnął.

Ale i wszyscy dojrzeli wspaniałą łódź. Panna Rita rzekła do Trestki:

— Widział pan kiedy tę gondolę?

— Tak, w starej szacie... teraz odnowiona...

— Hm...

Hrabianka Paula zaszczebiotała szeptem:

— Czy to imię tej... comment donc! w której się kochał pan Maciej

— Tak, na jej cześć zbudowana, ale to już dawno.

— Ordynat odnowił ją. Dobry pomysł — rzekł Trestka.

— Szanuje widać les vieilles histoires swego dziada — odrzknęła hrabianka z ironicznym półuśmiechem.

— Albo własne, pensez bien, comtesse!

Hrabianka popatrzyła na Trestkę pytająco: miał bardzo ciekawą minę. Spojrzała na pannę Ritę i zdumiona podniosła brwi.

— Czy to możliwe?

Nikt jej nie odpowiedział.

Waldemar podszedł do dziadka. Pan Maciej spojrzał mu w oczy badawczo.

— Mógłbym ci podziękować, Waldy, za odnowienie, gdyby...

— Gdyby co, dziadziu?

— Gdybyś to zrobił tylko dla tradycji — rzekł prędko i odszedł w inną stronę.

Trochę szatański błysk zaświecił w oczach Waldemara, gdy patrzył za odchodzącym dziadkiem.

— Którą łodzią jedziemy? — pytał książę Podhorecki.

— Panie Michorowski, pan decyduje — wołała panna Rita.

— Wybór łodzi zależy wyłącznie od pań.

— Więc jedźmy tą błękitną.

Waldemar skinął na wiosłarzy, a ci, poubierani w pasiaste koszule, podprowadzili natychmiast błękitną łódź pod kamienne schodki. Biały maszt łopotał, poruszony wiatrem, fala cicho pluskała, kołysząc łódkę; zagięty jej dziób rytmicznym ruchem zdawał się kłaniać towarzystwu.

Jednakże dla wszystkich za mało było miejsca w błękitnej; ordynat skinął, aby podprowadzono ponsową gondolę. Sam usadowił w niej księżną babkę i pana Macieja, poczem spytał:

— Kto tu siada więcej?

— Ja pierwsza — rzekła hrabina Ćwilecka, podnosząc dumnie głowę. — Paula, vous aussi.

— Oh! non, maman! Ja wolę kolor błękitny! — zaśmiała się figlar- nie hrabianka.

— Więc ja z mamą — rzekła panna Michalina i lekliwie weszła do łodzi.

Waldemar wprowadził jeszcze parę osób.

— Panie Trestka, pan wiosłuje. Tak?

— Nie tego, ale mogę ryzykować.

— Więc dodam panu wiosłarza. Proszę kierować błękitną.

— A pan?

— Ja prowadzę gondolę.

— Wioślarz niepotrzebny, ja panu pomogę — zawołała Stefcia. Wskoczyła prędka do błękitnej łodzi, biorąc wiosła.

— Pan steruje, ja będę wiosłowała, bo nie znam drogi, a są tu podobno jakieś zakręty.

— Ja również nie znam drogi. Przytem nic nie widzę, taki blask.

— Skandal! możemy sobie powinszować — rzekła panna Rita — ci państwo potopią nas. Une belle chance!... Wiluś, bierz wiosła od tego pana, bo grozi nam katastrofa.

— Ani myślę ustępować. Panno Stefanjo, jazda!

Stefcia poruszyła wiosłami, łódź zachybotła się mocniej i brzeg powoli zaczął się oddalać.

— Płyniemy jak na Grand Canale. Patrzcie państwo: czy ordynat nie wygląda na gondoliera? — rzekła hrabianka Paula.

Trestka wzruszył ramionami.

— Chyba dlatego tylko, że stoi na cyplu łodzi, bo zresztą cóż więcej?...

— A śmiała postawa, a pewność ruchów, a malowniczość pozy?

— A rozmarzenie w oczach? — dorzuciła panna Rita.

— Już tego pani nie widzi — zaproponował Trestka.

— Przeczuwam!...

— Co to! Muzyka? — zawołała Stefcia.

Wszyscy podnieśli głowy.

Od zwierzyńca dolatywały ciche dźwięki strun i nagle buchnął grzmot instrumentów. Odezwała się orkiestra szumną fanfara, sunąc po falach dźwiękliwe. Masa tonów zgodnym i wspaniałym hejnałem płynęła ponad lśniąca woda, bijąc w burty ponsowej i błękitnej łodzi.

Wszystkie twarze uśmiechnęły się, oczy błyszczały wesoło. Chwilę trwała cisza, poczem pytania i wykrzykniki rozległy się jednocześnie:

— Nowa niespodzianka ordynata!

— To głębowicka orkiestra.

Stefcia, rozpromieniona zdwojila pęd łódki. W oczach jej błyskały skry.

— Kocham muzykę, ale dla jej miłości nie myślę tonać. Panno Stefanjo, co pani robi? Wypadniemy — krzyczał Trestka.

— Nic, nic, panie hrabio. Ja płynę w takt.

— Bylebyśmy się nie wywrócili w takt. To byłoby mniej zabawne.

Baron Weyher musnął z zadowoleniem swe żółte baczki i rzekł słodko:

— Hrabianka dobrze mówiła, że płyniemy jak na Grand Canale. Oui, c'est très beau, jak spacer dożów.

— Ale gdzież jest doża — spytała Stefcia.

— Tylko ordynat może być takim nowoczesnym dożą — rzekła panna Rita.

Trestka zachnął się.

— Tylko ordynat! zawsze tylko ordynat. Dziwię się, że mu pani dotąd piedestału nie postawiła.

Składałabym mu hekatombę, gdyby chciał, ale... nie chce.



Waldemar ordynat Michorowski w stroju wieczorowym.

— Osobliwa szczerłość!

— Co oni grają? — spytał Wiluś.

— Powitalną fanfarę dla nas.

— Przedtem, ale teraz coś z motywów ludowych. Wcale ładnie grają.

— Jest ich przecie dwudziestu, to nie byle pozytywka. Mogliby koncerty dawać.

— A wszystko młodzi chłopcy w strojach narodowych. To już inowacja ordynata, dawniej podobno muzykanci chodzili we frakach i byli przeważnie cudoziemcami.

— Ordynat wiele wprowadził nowości — zauważył baron.

— O tak! Głębowicze są nie do poznania — potwierdziła panna Rita. — Nie mówię o rezydencji, lecz o całym wogóle urządzeniu. Organizacja majątku znakomita. Ordynat ma już wielkie zasługi obywatelskie, choć taki młody.

— Zasługi obywatelskie, polegające na urządzeniu orkiestry włościańskiej? — wtrącił złośliwie Trestka.

Stefcia rozgniewała się.

— A chociażby nawet! To zasługa, że popiera sztukę na miejscu, w kraju, zamiast szukać obcych cudaków we frakach.

— Doprawdy ... Voyons! myślałem, że pani pasjami lubi fraki — szydził Trestka.

— Jeśli to miał być dowcip, to się panu nie udał — odcięła się Stefcia.

Trestka spojrział na nią obrażony.

— Dobrze! ale co właściwie widzą panie tak krańcowo obywatelskiego w ordynacie.

Panna Rita o mało nie podskoczyła.

— Co? pan się pyta? Więc chyba pan nie zna Głębowicz i ich urządzeń. Ale niechże pan zajrzy do wewnętrznej administracji, do fabryk, do tej samej szkoły i ochronki, którą pan dziś zwiedzał. Już nie mówię o gospodarstwie rolnem. Czyż pan nie widzi, jakie tam wszystko kulturalne, postępowe?

— Pardon! to robią pieniądze. Proszę mi dać miliony ordynata, a dokażę tego samego.

— O panie! gdybyś pan miał te majątki, zrobiłbyś z nich jaką Szwabję lub drugą Brazylję, gdzie byłby stek włóczęgów z całego świata. Miliony przegrałbyś pan w bakarata. Co tu mówić! właśnie zasługą ordynata jest popieranie przemysłu w kraju. On podtrzymuje dobrobyt, dając zarobek tysiącom ludzi. W jego fabrykach i dobrach niema ani jednego cudzoziemca, a mimo to kultura i postęp kwitną, jest ogólne zadowolenie tych mas ludzkich nienasyconych nigdy, według opinii publicznej. A niech pan policzy szkoły zakładane przez ordynata, jego dbałość o oświatę ludu, a szpitale, a ochronki dla dzieci i starców, a warsztaty dla uczących się rzemieślników? Gdzie pan to więcej znajdzie u naszych magnatów? A rolnictwo? Niech pan zobaczy gospodarstwa włościańskie w dobrach ordynata, czy tam już socha ma zastosowanie? Włościanie tu są ludźmi stosunkowo ucywilizowanymi, w przyszłości analfabetów wśród nich nie będzie, bo staraniem ordynata dzieci się mają gdzie uczyć. On młodzież włościańską i ze swej służby wysyła do niższych szkół agronomicznych w kraju, sam przyjmuje na praktykę inteligentnych, młodych rolników i urabia ich na swoją modłę.

Mając mnóstwo wyręczyli, zarządza osobiście majątkami, wnikając wszędzie, nie uchyla się przy tym od szranków szeroko społecznych; on jest inicjatorem nowego Towarzystwa Rolniczego, a w bliskiej przyszłości zostanie prezesem, bo już dziś ma głosy za sobą. I to nie są zasługi obywatelskie? to jeszcze mało? A przecież ordynat ma zaledwie 32 lata, to zupełnie młody człowiek. Który w jego wieku zdołał już tyle zrobić, niech mi pan powie? Który z was pieniądze zatrzymuje w kraju, zamiast wzbogacać niemi zagranicę?

— Dużo ich wydał i ordynat, pochłoneła Halla, Bonn i pięć lat bąblerki po całym świecie. Napęczniały niemi wszelkie kluby i jedwabne sakiewki de beautés européennes i nietylko européennes. Ordynat miał wene i w Moulin rouge.

— Mój panie!...

— No cóż? Panny Luci niema z nami, a panna Stefanja się nie zgorszy. Czy pani bardzo niewinna?

— Raczy pan mną nie interesować się — odparła zagniewana.

— Bałbym się, choćbym chciał. Ja nie mam wny.

— Vous êtes détestable! — zawołała hrabina Paula.

— I o tem wiem!

— Pan mówi, że ordynat dużo puścił pieniędzy? Puszczal, bo miał z czego. Niektórzy robią to samo, nie mając. Używał życia w całej pełni, ale u takiego człowieka, jak on, nastąpił przesyt prędko. Inny na jego miejscu grzązłby do końca i zapychał banknotami świat cały — niedaleko szukając, pan pierwszy.

— Pod żadnym względem rywalizować z ordynatem nie mam pretensji.

— Bardzo rozsądnie z pańskiej strony.

Hrabianka Paula i Stefcia roześmiały się.

— Jednak na tej błękitnej kwitną komplementy — rzekła Stefcia.

— Ponieważ są tu dziś wszyscy w wyjątkowych humorach — odparł Trestka, poprawiając binokle. — Pani imienniczka ciszej się zachowuje...

— Moja imienniczka?...

— Tak, gondola Stefanja, ale daleko od nas odplynęli.

— Marnie wiosłujecie, państwo, skoro pan Waldemar sam jeden prześcignął was — zaśmiała się Rita.

— Nic dziwnego: ultra uniwersalny!

Stefcia pilniej zaczęła wiosłować. Pochylona nad gryfami, zamysłiła się głęboko. Całodzienne wrażenia, począwszy od rozmowy na breku, wirowały w jej głowie, nabrzmiałe pewnym niepokojem. Starła się zagłuszyć w sobie scenę w sali portretowej, lecz nie mogła. Mimo-woli czuła, że było to coś więcej nad zwykłą rozmowę i że swoboda jej w obcowaniu z Waldemarem ulegnie zmianie. To ją przerażało. Bała się zagłębiać w analizę niepochwytnej nuty, której dźwięk zaczynała słyszeć. Potem gondola...

Stefcia doskonale zauważyła zachowanie się panny Rity, doszły jej uszu słowa Trestki i porozumiewawcze uśmiechy, połączone ze spoglądaniem na nią i na Waldemara. Z kilku podchwyconych szczegółów rozmowy ogólnej i z zachowania się ordynata doszła do wniosku, że gondola odnowiona została na jej cześć. Jej miłość własną napawała pewną dumą uprzejmość ordynata, była mu za nią wdzięczną, ale uczucia te zagłuszała obawa opinii całego towarzystwa. Grzeczności Wal-

demara, okazywane jej, miały swój właściwy styl klasyczny, nawet nie rycerski, ale miękki, w dobrym smaku. Jego zainteresowanie się nią nie raziło jaskrawo, tylko dla osobiście interesowanych było wyraźne, dla Stefci już konieczne. Lecz większość towarzystwa brała tę kwestję przedmiotowo, co uwypuklało delikatnie efekty hołdów ordynata, czyniąc je bardziej widocznymi. Waldemar wzbudzał w Stefci podziw. Uprzykrzony dawniej magnat, dziś wesoły towarzysz imponował jej. Przestraszał ją trochę swą energią i pewnym akcentem feudalizmu, pozostałym w krwi jego po zamierzonych czasach. Ale wzbudzał w niej zarazem nieograniczoną ufność i jakiś pociąg drażniący. Czuli się swobodniejszą w jego towarzystwie; on był jej obrońcą przed pociskami własnej sfery, nawet sprzymierzeńcem. Waldemar od pamiętnej sceny, gdy grała sonatę Beethovena, nie nadużywał jej zaufania nawet słowem. W sali portretowej przestraszył ją znowu. Zwykle w obcowaniu z nią sam na sam, co zresztą nieczęsto się zdarzało, dziwnie poważniał i tę Stefcię drażniło.

Dziewczyna pogrążona w myślach, nie zauważyła, że i całe towarzystwo na łódce siedziało cicho.

Wszyscy zasłuchani w grzmiącą orkiestrę, spoglądali na złoto-srebrne fale rzeki, ścigając oczyma gondole, również poważną i milczącą.

Muzyka, chociaż wesoła, spadała na tych ludzi smutną nutą, budziła pragnienie, tęsknoty. Szumem swych skrzydeł zdmuchiwała uśmiechy z młodych twarzy. Każdy przadł złote nici marzeń na kołowrotku własnej imaginacji, umyślnie cierpiąc na daltonizm, by nie ujrzeć szarej przędzy rzeczywistości. Świetność spaceru, bogata natura, ckałająca rzekę i ów delikatny pyłek czaru, wsiąkły w nastrój chwili, działał na zmysły, podniecał, dla wielu był ciężkiem brzemieniem niedoścignionych ideałów.

Gdyby konwenanse nie grały w gronie tych ludzi pierwszorzędnej roli, niejedno ciche westchnienie spłynęłoby w łyskliwą toń. Ale byli to wszystko ludzie z jedwabnego świata, może nie zawsze czysto jedwabni, lecz wypolerowani tak, że ani supelek wewnętrznej natury, ani włókienka istotnej prawdy nie uwydatniało się szczerze z poza atlasowej powierzchni. Każdy udawał zasłuchanego w muzyce lub patrzył w obłoki, jakby licząc plamiące je mewy. Nikt nie wyjawiłby swych urojeń, nawet panna Rita, zwykle uważana za mało jedwabną.

Stefcia stosowała się do ogólnej metody, choć może ona była bliżej złotej rzeczywistości.

Przybyli do brzegu. Przystań, wyłożona płytami kamiennymi, miała po obu stronach schodów dwa wykute z kamienia odyńce, z potężnymi kłami.

Cały zastęp służby zwierzynieckiej wysypał się na spotkanie. Wszyscy młodzi chłopcy, przystojni, poubierani w ciemno-zielone kurtki. Na piersiach mieli pendenty z żółtej skóry, podtrzymujące krótkie szpady oraz rewolwery w olstrach, pasy i noże myśliwskie w oprawie rogowej, kołnierze haftowane w złote świerki i ciemno-zielone czapki z rogami jelenia i głową dzika, nad skórzanym daszkiem, również haftowane złotem; z ramion spadały złote sznury; z prawej strony na piersiach każdy miał wypolerowaną blachę z herbem Michorowskich i mitrą książęcą.

Towarzystwo powiększyło się: Waldemar przedstawił gościom trzech praktykantów głębowickich.

Wszyscy robiegli się po szerokich ulicach zwierzyńca, ubawieni spacerem w lesie, utrzymanym wzorowo i pełnym zwierzyny. Po zielonych polankach śmigwały bure sarny na nogach, jak sprężyny, ogromne sztuki jeleni z lasem rogów na głowach sunęły poważnie, bez obawy: płamiste daniela skubały trawę, grupując się w większym cieniu. Często zatętniał ciężki bieg łosia, łomot gałęzi i głuche rechotanie zwiastowało bliskość odyńców. Ze wszystkich kępin trawy, z krzaków sypały się zające; szare kuropatwy, wystraszone gwarem, wlatywały w górę z właściwym furknieniem.

Świat zwierząt na ziemi zagłuszały górne sfery ptaków, najrozmaitsze krzyki, kwilenia i świsty brzmiały wśród rozłożystych koron drzewnych, niby druga orkiestra. Rozspiewany las poprawił humor całego towarzystwa. I znowu szły barwne rozmowy, wyprzedzały się dowcipy, głośne wybuchy śmiechu płoszyły czworonożnych mieszkańców kniej.

Na jednej polance stało kilka słupów z białymi tarczami, na których wymalowane czerwone i niebieskie kółka służyły do strzałów amatorskich. Trestka i baron Weyher natychmiast zabrali się do tego: jeden gorączkowo, drugi z flegmą. Łowczy dostarczył im flowerów i rozpoczęli strzelanie. Baron dowodził, że mu to przypomina tir aux pigeons w Monte-Carlo, tylko jest mniej zabawne. Za przykładem panów poszły i panie. Pierwsza hrabianka Paula chybiła trzy razy do czerwonego asa: próbował Wiluś Szeliga — nie trafił, próbował Trestka i baron Weyher, również bez skutku. Trestka krzyczał, że cel za mały i złe flowery, zawsze i wszędzie wynajdywał błędy. Niepowodzenie rozgorączkowało wszystkich. Podszedł książę Podhorecki z Cwileckim i walili w nieszczęsną tablicę, aż drzazgi się z niej sypały, lecz czerwony as świecił nieporuszony.

Wreszcie panna Rita chwyciła flower i zaczęła mierzyć, ale Trestka szepnął szyderczo:

— Mierzy pani do niezwykniętego. Wszelkie zabiegi na nic. Rządę zaniechać.

Odwróciła się zdziwiona.

— Jakto! Co pan mówi?...

— Że ten as tak samo trudny do zdobycia, jak jego właściciel — odrzekł Trestka z wybuchem szczerości.

— Panie! proszę raz zleść z tych swoich alegorji. Mam ich dosyć!

— Czyż nie powiedziałem wyraźnie?

— Aż nadto!

Bystro spojrzała dokoła i, oddając flower Stefci, rzekła z ironicznym uśmiechem:

— Proszę, niech pani jeszcze spróbuje tego niedoścignionego celu.

W tej chwili zbliżył się Waldemar.

— Pani umie strzelać? — zapytał.

— Umiem.

— A to ciekawym!

Stefcia, która słyszała krótką rozmowę panny Rity z Trestką, wzięła flower spokojnie i, odstąpiwszy kilka kroków, wymierzyła w środek niebieskiego kółka, na czwartej tablicy z rzędu.

— Ależ nie tak! pani mierzy zupełnie w inną stronę — krzyczał Trestka.

— Bo ja mierzę do niebieskiej tarczy.

Strza! huknął. Stefcia drgnęła, podniosła głowę i, bystro patrząc poprzez dym, zawołała:

— A co, panie Trestka, trafione?...

— Parfaitement! w sam środek. Co prawda, duże koło to nie czerwony as! Czemu pani nie strzelała do asa? O to chodziło.

— Nie chciałam — odparła krótko.

— Bała się pani kompromitacji? — zapytała z intencją Rita.

Stefcia zapłoneła.

— Nie narażałam się na nią.

Waldemar śledził ich nieznacznie. Zrozumiał wszystko.

— Teraz ja, va banque! rzekła panna Rita.

Huknął drugi strzał.

— Trafione napewno! — zawołała.

Trestka zrewidował tablicę.

— Ani trochę! Mówiłem, że to nie dla pani cel. Trzeba było słuchać.

Młoda panna zacięła wargi.

— A więc jeszcze raz panna Stefanja! Koniecznie!

— Ja panią zastąpię! — podchwycił Waldemar.

Nim kto zdołał zaprzeczyć, chwycił flower, przymierzył i wypalił. Tablica zadygotała, rozszczepiła się na dwoje i spadła w trawę z prebitym na wylot asem.

Waldemar zwrócił się do Stefci z miną zupełnie obojętną, jakby nie rozumiejąc o co im głównie chodziło.

— Strzelałem w pani imieniu — rzekł z lekkim ukłonem.

Stefcia pokręciła głową.

— Nie chciałabym być pańskim przeciwnikiem w pojedynku. Strzela pan, jak Nemrod.

— A ja przeciwnie! — rzekł Trestka. — Jak mi życie obrzydnie, to pana wyzwę. Przynajmniej odrazu buch na tamtą stronę.

— Trzymaj się pan tej — pewniejsza! — zaśmiał się Waldemar.

Panna Rita bez słowa odeszła w głąb lasu.

Na obiad nie chciano wracać do zamku. Ordynat urządził nową niespodziankę. Gdy całe towarzystwo szło w stronę rzeki, bo Trestka głosował za łapaniem ryb, nagle zabrzmiał głośny, melodyjny dźwięk trąb. Zatrzymali się wszyscy zdumieni.

— Co to znaczy? co to za sygnał?

— Zaproszenie na obiad! — oświadczył Waldemar. — Służę państwu.

I podał ramię księżnej Podhoreckiej.

Pośród rozłożystych dębów, w cieniu, na polance, towarzystwo ujrzało długi stół zastawiony do obiadu. Naokoło wysokie słupy, strojne w dębowe wieńce i chorągiewki z barwami Michorowskich, pozawieszane w poprzek polanki, tworzyły rodzaj sklepienia nad stołem; białna stołowa tkanina w herby i desenie, przedstawiające sceny myśliwskie. Srebra, kryształy, porcelana, wszystko z myśliwskimi inicjałami. Krzesła z rogów łosi. Kosze z owocami na stole miały podstawy z rogów jeleni. Przez baldachim z wieńców i liści słońce rzucało drgające plamy na bogactwo stołu, nadając mu wygląd jeszcze świetniejszy. Zamiast lokajów stał szereg strzelców zwierzynieckich, przeznaczonych do obsługi, w strojnej liberji, z pistoletami i nożami. Dowodził nimi główny kamerdyner zamkowy. Między drzewami przeświecała altana płócienna, przeznaczona dla służby i kucharzy.

— Zobaczysz pan coś podobnego do sławnych polowań głębowickich — mówił książę Podhorecki do barona. — Ordynat ma pyszne leśniczówki, ale co za knieje. Powiadam panu, zwierzyna na tysiące się liczy.

Obiad trwał długo. Pomysł Waldemara okazał się doskonałym, wesołość panowała niezmacona. Nietylko młodzież, ale nawet pani Idalja i hrabina Cwilecka wyszły ze swej majestatycznej oprawy, były wesołe i naturalniejsze, niż zwykle. Waldemar celował w dowcipnej rozmowie, Trestka najgłośniej krzyczał. Wznoszono toasty, przy których straż leśna wykonywała huczne fanfary na trąbach. Orkiestra w przerwach między toastami grała ciągle i las brzmiał gwarem, roznosząc echo zabawy aż na fale rzeki złoconej słońcem.

Stefcia z początku była trochę sztywna: praktykanci Waldemara przypomnieli jej Prątnickiego i minione przykrości. Ale Wiluś Szeliga, prowadząc ją do obiadu, prędko rozproszył niemiłe wspomnienia. Przytem ci panowie w niczem osobiście nie mogli przypominać Prątnickiego: mieli bledszą urodę, ale klasyczniejsze obejście i zupełnie zastosowane do towarzystwa. Stefcia z przyjemnością zauważyła, że Waldemar jest z nimi swobodny i wesoły, jak z Wilusiem lub Trestką, bez różnicy, co sprawiało, że i oni zwracali się do ordynata z uszanowaniem, lecz bez cienia uniżoności. Stosunek ten, prawie przyjacielski, pomiędzy zwierzchnikiem i podwładnymi akcentował poglądy Waldemara dalekie od przesadów jego sfery. Stefcia zauważyła jeszcze coś innego, co ją dziwiło i gniewało. Widziała, że jest przedmiotem cichej uwagi całej służby. Począwszy od kamerdynera i łowczego, wszyscy przyglądali się jej badawczo i z szacunkiem, obsługiwano ją uprzedzająco, a gdy Waldemar wznosił jej zdrowie, fanfara na trąbach zagrzmiała głośniejsz z wyraźnem staraniem. Praktykanci spoglądali na nią, jak ludzie dobrze wychowani, bez natarczywości, ale ciekawie, przenosząc wzrok z niej na ordynata. Stefcię to zaniepokoiło, już zaczynała tracić swobodę.

Wyjaśnienie nastąpiło niebawem.

Waldemar, obnosząc wino, podszedł do niej. Odsunęła kieliszek.

— Ja już dziękuję.

Pochylił się nad nią i szepnął z uśmiechem:

— Teraz wzniosę toast na cześć młodości i szczęścia, uosobienia pani. Taki toast wypić trzeba do dna.

— Dobrze, ale nie chcę być uosobieniem nietrzeźwości — rzekła sucho.

— Umie się pani bronić od tego — powiedział porywczo i odszedł ze zmarszczoną brwią.

Wiluś siedzący obok, rzekł do niej z ciekawą miną:

— Czy pani wie, za kogo ją tu niektórzy biorą w Głębowiczach?

— Za kogo? — spytała zdziwiona.

— Za hrabiankę Barską, domniemaną narzeczoną ordynata.

— Taaak!?

Stefcia zeszywniała. Przypomniał jej się tytuł nadany przez kamerdynera w zamku. To tłumaczyło zachowanie się służby.

Przeszedł ją leciuchny dreszcz, ognie uderzyły do głowy. Powtarzała w myśli:

— Hrabianka Barska... narzeczonej ordynata. Nigdy o niej nie słyszałam. Jaka ona jest? jak wygląda?...

— Dlaczego pan powiedział „domniemana“? — spytała głośno.

— Bo nie rzeczywista — odrzekł student, wzruszając ramionami.
— Chca ordynata ożenić z Barską, ale on się nie spieszy, chociaż to jedna z najpierwszych partji w kraju. Domniemana narzeczona czeka z upragnieniem, lecz wątpię, czy skutecznie, bo ordynat grymasi.

— A dlaczego mnie biorą za nią? Czy jestem podobna?..

— Nikt jej w Głębowiczach nie widział, ja również, ale służba zapewne wie coś o projektach matrymonjalnych względem ordynata i odgaduje, że pani jest ową wybraną, ponieważ panią widzą po raz pierwszy i...

Zawahał się.

— I co? — podchwyciła śmiało Stefcia.

Wiluś spojrział na nią z ukosa.

— Nic! poprostu przeczuwają w pani przyszłą ordynatową.

Stefcia zmarszczyła brwi. Zrozumiała, że Wiluś nie dopowiedział swej myśli, że chciał wytknąć zachowanie się ordynata względem niej.

— Muszę ich rozczarować co do siebie — rzekła oschle.

Było jej przykro. Ukrywała wrazenie, nadrabiając wesołością, ale jej się nie udawało. Rozmawiała, dowcipkowała, lecz już jak zwarzona. Gdyby Wiluś lepiej uważał, spostrzegłby w niej zmianę, wywołaną swemi słowami. Ale on tego nie widział. Bawił Stefcię w czasie obiadu i nie odstępował potem, gdy w łunie zachodu wracali łodziami do zamku.

Długo jeszcze park, oświetlone tarasy i zamek dźwięczały życiem. Przy wspaniałej kolacji, błyszczącej od starożytnych sreber, kryształów i porcelany saskiej, ponowiły się toasty i szumne fanfary orkiestry. Pyszna stylowa sala jadalna, wyłożona mahoniem, z bronzami, z sufitem sklepionym, zdobnym w płaskorzeźby, tonęła w srebrnobieli lamp elektrycznych, rozbrzmiewała gwarem błyskotliwych rozmów; płynęły upajające tony muzyki. Urok tej książęcej wystawności działał na wszystkich, przebiegał prądem we krwi, zapalał mózgi, drażnił, porywał...

Zegar na wieży zamkowej wydzwaniał północ, gdy powozy i brek wtoczyły się znowu w aleję świerkową. Jechali w takim samym porządku, jak rano, bo ordynat odprowadzał gości do Słodkowic, gdzie mieli nocować. Tylko Lucię pani Elznonowska zabrała do powozu, bojąc się dla niej nocnego chłodu. Jej miejsce na breku zajęła panna Michalina.

Hrabianka Paula prowadziła cichą rozmowę z baronem. Panna Rita drażniła Trestkę, mówiąc, że będzie spała. Stefcia siedziała obok ordynata, bo Waldemar tak stanowczo podał jej rękę, że nie mogła na to nie przystać z obawy zwrócenia uwagi.

Gdy brek wjechał w aleję, masy czarnych świerków poruszyły się głuchym poszumem, nocny wiatr wypełzwał w zbite korony, huczac niemi lekliwie. Łoskot ostrych gałęzi przeszedł z brzegu w brzeg, niby groźny pomruk. Stefcia, otulona płaszczem, podniosła głowę do góry, patrząc na oświetlone srebrem czuby grzmiących tytanów. Waldemar nachylił się do niej.

— Moje świerki mówią pani do widzenia — rzekł miękko, lecz z akcentem.

— Groźnie szumią — szepnęła.

— To są moje druchy, a więc i pani także. One do nas przemawiają i ja je rozumiem. Podobały się pani Głębowicze?

— Śliczne.

— Twoje! — wyszeptały bezpamiętne usta jego.

Grzmot kopyt na kamiennym moście zgłuszył ciche słowa i realnym swym dźwiękiem ocucił Stefcie, której serce na chwilę zamarło.

Brek wpadł między srebrne zboża, malowane księżycem, znowu pełne gwaru i rozmowy.

XX.

W gabinecie Waldemara, wybitym ciemno-karmazynową skórą, snuły się błękitne pasemka dymu, roznosząc woń dobrych cygar. Kilku zebranych panów gawędziło wesoło. Jedni siedzieli, inni przechodzili z miejsca na miejsce, jeden leżał rozciągnięty na karmazynowym szezlongu.

Był to Trestka. Leżąc na wznak, ręce podsunał pod głowę i pykając z cygara, patrzył uparcie w sufit na wymalowaną scenę powitania Odysseusza z Nauzykaa.

Waldemar siedział na poręczy fotelu w niedbalej pozie i przysłuchiwał się wesołym żartom towarzyszy. Sam trochę mroczny, nieczęsto mówił, jednak nie krępował wesołości, a każde z rzadkich jego słów było jakby podnieta. Do niego zwracali się głównie, on wyglądał na arbitra wśród tej wytwornej młodzieży. Zjechała tu cała śmietanka arystokracji bliższej i dalszej, wszystko panicze, napiętnowani cechą zagraniczną. Jedni w stylu wiedeńskich jokey-clubistów lub modernizowani na sposób paryski, inni nosili poważny ton synów Brytanji. Wśród nich Waldemar przedstawiał typ najczęściej patrycjuszowski. Chociaż Zachód polakierował go na ogólną modłę międzynarodowej elegancji, jednak nie zdołał go przekształcić zupełnie. Pozostał najmniej egzotycznym. Młody ordynat nie odznaczał się wybitną pięknoscią, ale posiadał wydatny typ, zwracał uwagę, przykuwał oczy.

Był jednym z tych magnatów, którzy, nie nosząc swego majestatu przed sobą, mają go bezwiednie w sobie. Nie myśląc o tem, był zawsze i wszędzie panem i ta jego pańskość, noszona z pewną niedbałością, zwracała na niego oczy. Wyróżniał się i wszystko mu uchodziło; żył, jak chciał, mówił, co chciał, nie stosując się do ogólnych przepisów, tylko do własnej etyki. Ale ta nie zawiodła go nigdy. Jego subtelność i przeczuwanie estetyczne nie dozwalało szrankom, zakreślonym przez jego swobodę czynów, wejść w niezgodę z ich regułą.

I owa estetyka stała się tak dalece nim samym, że wyłączała wszelkie wahania. Nie mógł jej przekroczyć bez skrzywdzenia samego siebie. Odznaczała go przytem znamienna wypukłość charakteru, co go czyniło odrębnym. Umysłowo stał bardzo wysoko, inteligencją wznosił się nad poziom swego otoczenia, ale własna opinja mało go obchodziła, nie dbał o to, co o nim powiedzą. Posiadał niesłychanie żywy temperament, rzutkość i szaloną energję, lecz nie łączył z tem rubasznej krewkości, przeciwnie, miał wyraz trochę znudzony, w niedbanych ruchach pewną apatyczność.

Jego stalowe źrenice miały wielką różnorodność wyrazu: ironji, dowcipu. czasami błyskały w nim zimne połyski stali, często wybuchowe ognie, lub płomyki łagodności i wzruszeń. Nie umiały być rysiemi, ani nazbyt kobiecemi w wyrazie. Męskość jego zyskiwała na tem, nie tracąc nic z uroku. Jego stanowczość, raz okazana, była niezłomną, ale sam z sobą odbywał walki bardzo uporczywe. Wiedział, czego chce

i do czego dąży, lecz nie zawsze miał pewność, czy racjonalnie chce i czy dobrą obiera drogę.

Filozofował, analizował, każdą rzecz przefiltrowywał przez swe zdolności umysłowe, lecz gdy w końcu powiedział sobie — „eureka!“ zdanie jego wychodziło skryształizowane, z cechą wyłączną. Ale nie zawsze potrafił być drobiazgowym krytykiem samego siebie: zdarzały się wypadki, że żądania swe rzucał ze śmiałością i bezwzględnością energią. Gwałtowność rodowa w połączeniu z jakąś dozą feudalizmu brała wówczas górę nad filozofem. Potrafił wybuchać dziko, jak wszyscy Michorowscy. Tylko przodkowie jego nie znali samoosobowej krytyki, nie analizowali swych czynów. On, jeśli dał się unieść chwili zbyt popędliwie, za to potem przeprowadzał ją przez wszystkie tory swych filozoficznych, etycznych i estetycznych poglądów i nie zawsze czuł się zadowolony; wówczas wpadał w groźne rozdrażnienie, ale młoda, żywa natura i energia nie pozwalały mu długo nurtować się w sobie.

Rozdrażnienie mijało, pozostawiając odrobinę niesmaku, a samoosobowy krytycyzm jego wzmagał się. Człowiek ten był pewnym siebie i swych czynów, ale niezrozumiały, bo nie każdą myśl wypuszczał w świat, nie każdą uważał za doskonałą.

Po przyjęciu w Głębowiczach, Waldemar odprowadził swych gości do Słodkowic i tam przenocował. Rano zerwało się w nim tysiące pytań i wątpliwości, na które nie mógł znaleźć odpowiedzi, pożegnał się i wyjechał. Szalała w nim burza. Zły, wściekły na siebie, nie mógł sobie darować postępowania ze Stefcją. Scena w sali portretowej i słowa jego na breku dręczyły go, jak gorzki wyrzut. Obawiał się trochę spotkania ze Stefcją, myślał, że ona po tem co od niego słyszała, przywita go albo nadasana, albo z triumfalnym uśmiechem, tak częstym u panien w podobnych warunkach. Nie chciał jej gniewu, lecz stokrój więcej obawiał się tego uśmiechu może przeczuwając, że stałby się on zaporą rzucającą na Stefcję wielki cień. A tego instynktownie dopuścić nie chciał. Na breku po jego znaczącem słowie, ona siedziała cicha, przytłoczona, mówiła mało i z przymusem, nie do niego zresztą, bo i on zamilkł.

Na szczęście panna Rita, zamiast spać, rozgadała się na dobre i, podtrzymując rozmowę, zamaskowała niezwykle usposobienie jego i Stefci.

Waldemar, po niespanej nocy, doszedł do przekonania, które sformułował w ten sposób:

— Wczoraj rozważała, dziś zrozumiała i okaże mi to.

Na tę myśl zaciskał zęby z jakąś złością.

— Niechże nie próbuje, bo chybi.

I czuł, że samem posądzeniem krzywdzi Stefcję, jednak napadał na nią z zajadłością.

Był rozdrażniony, przywitał ją chłodno, bez cienia życzliwości, a choć czuł jej zdziwiony wzrok na sobie, pozostał sztywnym aż do wyjazdu. Wyjazd przyspieszył umyślnie: chciał uciec od jej widoku, bo czuł, że się na niej zawiódł, że mylnie ją sądził, i że jest względem niej winnym.

Taktowna dziewczyna nie okazała mu nic z tego, co przypuszczał, nie dojrzał w niej triumfu, ani gniewu, jedynie trochę zdziwienia z powodu jego chłodu. To go wzruszyło najniepotrzebniej, jak sam myślał, i przechyliło szalę na korzyść Stefci.

— Co ona ci zawiniła, że postępujesz z nią jak z pierwszą lepszą?
— powtarzał sobie, wracając do Głębowicz.

I wciśnięty w kąt powozu przeprowadzał z goryczą własną krytykę. Przypomniawszy wczorajszy ranek, jak jechał z nią razem na koźle breku, słyszał w myśli słowa, jej śmiech. Widział ją przed sobą, porównywał wczorajszą do dzisiejszej i burzył się coraz bardziej.

Pogoda dopomagała mu do czarnych myśli. Wczorajszy świetlisty poranek znikł. Powietrze było szare, nabrzmięte deszczem, wiszącym w chmurach. Na ziemię padał drobniutki mokry pył. Świat cały stał w jakiejś melancholijnej, ponurej ciszy. Drzewa, szumiące wczoraj, dziś milczały skupione w sobie; łany zbóż, wczoraj wesołe i wyjaśnione, stały cicho pod ciężarem wilgotnej szarzyzny dnia. Czasem na przydrożnych topolach zakrzyczały ptaki, ale i one milkły na odgłos kopyt końskich, stukających po bitym gościńcu. Powóz na gumach sunął cicho, lecz Waldemara gniewał nawet tupot koni. Miał jednak tyle przytomności, że nie robił o to awantury stangretowi. Monologował w myśl:

— Stefcia była wczoraj zastosowana do pogody, a pogoda do niej, i ja ją zmaciałem pogodę Stefci... Cóż ona mogła innego o mnie pomyśleć nad to, że byłem pijany? Piłem przecie dosyć szampana. Bał a scena w sali portretowej?... Róże mogły się tłumaczyć uprzejmością gospodarza względem gościa, chociaż to już wykręt... ale pocałowanie ręki i niektóre słowa — zbyt uczynne. Najgorszy brek... Z taką dziewczyną trzeba się liczyć, bo bardzo łatwo można stracić w jej oczach, Mimoza! gotowa mnie posądzić o instynkta godne Prątnickiego, tylko w innym kierunku... A do diabła! co ja u licha narobiłem!...

Waldemar nie mógł z sobą dojść do ładu.

W Głębowiczach rozdrażnienie mijało a przychodziła rozwaga.

Snuł się po parku, po zwierzyńcu, gdzie już sprzątnięto ślady wczorajszej uczty.

I wszędzie wspominał Stefcię.

Tu grał z nią w tenisa. — „Jak ładnie miała podpiętą suknię!“ — tu z nią rozmawiał, na tej uliczce rwał dla niej róże, a przedtem widział ją zdaleka, jak zanurzała swą jasną twarz w masie aksamitnych kwiatów, i chciał te kwiaty zerwać własnymi rękoma. Potem spacer po rzece. Rozgniewała go, wskakując tak prędko w błękitną łódź i wiosłując z Trestką. A strzelanie w zwierzyńcu?... Ten przestrelony przez niego as... Poszedł w tę stronę i z oburzeniem zobaczył, że tablicę już zabrano, stał tylko słup mokry od deszczu. Waldemar w pierwszej chwili chciał wołać strzelca zwierzyńckiego i spytać, dlaczego tablicę usunęli bez jego wiedzy. Ale się pomiarkował. „Po co ten nieporządek? Dobrze, że zabrane“... Najdłużej przebył w sali portretowej! Usiadł na kanapce i, wpatrując się w portret babki, myślał:

— Poco jej opowiedziałem tę historję... Nabije sobie głowę romantyzmem, a to się na nic nie zdało. Idylle, marzenia, wszystko to oklepne paradoksy! Istnieje tylko pożądanie! jedyna prawda z nagromadzenia pojedynczych głupstw pod nazwą miłości. W pożądanie wierzę i ono mnie popycha do niej, nic więcej. A że jest czysta jak kryształ i taka jasna, to tem lepiej. Każdy woli pióra łabędzie, niż kawki.

Dojrzał na posadzce kilka zielonych i żółtych listków róży, pozostałych po wczorajszym bukietcie Stefci. Podniósł je z chciwością i nagle przypomniał scenę, jak się ona przestraszyła głosu z zewnątrz i chciała uciekać, a on jej nie puścił. Trzymał wtedy jej rękę, schowane w swych

dłoniach, i przyciągnął ku sobie. Patrzała na niego wylękła, taka jakaś mimowolnie poddana, oczy mrużyła tak rozkosznie... Wprawdzie trwało to zaledwie chwilę, ale co to było !...

Waldemar zgniótł listki w dłoni.

— Pożądanie! I to pożądanie — rzekł z ironicznym uśmiechem, zdrażając do drzwi. W progu stanął i spojrzął na zmięte listki, rzucone na posadźce.

— Łowczy utrzymuje większy porządek w zwierzyńcu, niż kamerdyner w zamku, ale ten widać szanuje pamiątki...

I wyszedł, wzruszając ramionami.

Przez kilka następnych dni nie mógł się uspokoić; do jednego tylko doszedł wniosku: że jeżeli pożądanie jest dominującym uczuciem w składniku miłości, to Stefcia nie zalicza się do wyznawczyń tej teorii. Więc budzi się w niej coś innego? jakieś uczucie bardziej duchowe?... Może odżywa... obudził je Prątnicki...

Na wspomnienie tego nazwiska Waldemar zaciskał zęby. ten objaw niepokoił go. Wiedział, że Stefcia Prątnickiego nie kochała, lecz ogarniał go niesmak na samo połączenie ich nazwisk; przeczuwał, że wzbudza w Stefci uczucia silniejsze od zwykłej sympatji, i nie zdawał sobie sprawy, dlaczego czuł się dumnym, oraz jaki to był rodzaj dumy.

W wielu podobnych wypadkach w życiu odczuwał jedynie triumf, ale dumę i jakieś wewnętrzne zadowolenie odnajdywał pierwszy raz i dziwił się.

Dlaczego ta dziewczyna wywiera wrażenie zupełnie odmienne od znanych dotychczas? Dlaczego pociąga nieprzepartą siłą, staje mu się upragnioną, niemal drogą?... Ona, którą przed paru miesiącami chłostał często cynicznym dowcipem, prześladował, drażnił... Za co? dlaczego?!...

Zrobiła na nim wrażenie od pierwszej chwili, gdy ją zobaczył obok ciotki, w landzie, jadącą z kolei. Zachwycił go od razu, przesiadł się do nich i zaczął ją badać.

Ale natychmiast zauważył, że ona to spostrzega i że ją to gniewa... Zdziwił się.

Młoda, ładna panna, nie lubiąca uporczywego wzroku młodego mężczyzny, wprawiała go w zdumienie, jak nowe zjawisko.

Życie przyzwyczało go do czego innego. Kobiety aż nadto okazywały mu względów, i to kobiety wysokich sfer, magnatki. A ta dziewczyna ze szlacheckiego domu, taka ładna i dziwnie wytworna, z niechęcią a nawet obrzą w oczach przyjmowała jego hołdy. Wprawdzie wzrok jego, skierowany na nią, miał sporą dozę ironji i nieufności, bo tak spoglądał na wszystkie panny świeżo poznane, przeczuwając w nich tysiące wadeczek bardzo pospolitych. Na każdą nową spoglądając, myślał:

— Już ja się tobą nie zajmę.

Stefcia nie wzbudziła podobnej myśli, przeciwnie — zajęła go od razu, interesowała coraz więcej. I wiedziony jakaś nieuzasadnioną złością, mścił się na niej, sam sobie robiąc na przekór. Ale potem coś zaczęło się zmieniać. Po pamiętnym obiedzie, kiedy Stefcia cofnęła mu swą rękę, Waldemar zastanowił się:

— Po co ja ją dręcę?

Umyślnie długo nie przyjeżdżał do Słodkowic, pragnąc zapomnieć o niej. Chciał wyrzucić z myśli jej drobną twarz, przyćmioną smutkiem. On wywoływał na niej ten wyraz, on nie dawał spokoju tej dziewczynie-

nie tak delikatnej i wytwornej, on ją dręczył, jakby przez złość, że mu się podoba. Po tygodniu uczuł pragnienie ujrzenia jej. Przyjechał do Słodkowic razem z całą gromadą gości i tam przyzwyczajenie wzięło znowu górę. Przechodząc koło jej okna, rzucił w nie figlarne spojrzenie i napotkał jej twarz zaciekawioną; ale na jego widok cofnęła się nagle jakby przerażona i aż zbladła. Coś w nim zadrgało żalem.

— Ona się mnie poprostu boi.

Zobaczył ją potem rozbawioną. Tańczyła z Lucią pełna życia i swobody, taki ładny miała uśmiech!... Więc tylko przed nim ukrywa wesołość, on ją paraliżuje?...

I zmienił się.

Odtąd nie pomijał sposobności, aby zrobić jej przyjemność, co w jego warunkach było dość łatwym. Z rozkoszą zauważył, że i Stefcia zaczyna się przeistaczać. Poweselała, lubiła jego rozmowę, nie unikała go, jak dawniej, i w jego towarzystwie przestała tracić swobodę. Waldemar widział te zmiany i cieszył się, lecz od jakiegoś czasu ogarnął go niepokój.

— Za wiele o niej myślę!

Pobył jej w Głębowiczach dopełniał miary. Waldemar rozumiał, że zadaleko zaszedł. Cofać się nie mógł, zabraniała mu tego własna etyka, iść naprzód jeszcze nie chciał. Takt Stefci ujął go ze względu na nią, zdenerwował ze względu na siebie.

— Jest pewna, żem był pijany, i chce być wyrozumiała.

To go drażniło niesłychanie.

Tak przebył kilka dni, do Słodkowic nie jechał, ale czuł, że pomimo chęci Stefcia nie schodzi mu z myśli. Aż pewnego dnia zjechali do Głębowicz koledzy. Waldemara, bliżsi i dalsi znajomi, na miesięczny „jour fix“ męski. Jechali z ochotą, ciągnęła ich wesoła swoboda, panująca w tej magnackiej rezydencji. Każdy mógł się tu czuć, jak u siebie, co niektórym sprawiało zadowolenie ambicji i jakąś rozkosz fizyczną. Książęca atmosfera przepychu, płynąca z każdego kąta, uprzejmość ordynata, liczna wygalowana służba, znakomite cygara i wytworna kuchnia, dodawały uroku zawsze oczekiwanym zebraniom.

Tym razem wiodła wszystkich świeża wiadomość, interesująca bardzo wysokie sfery towarzyskie: hrabianka Barska odmówiła ręki księciu Lignickiemu.

Fakt sprawił wrażenie. Pewna liczba hrabianek i księżniczek liczyła na widoki, jakie się dla nich otwierały. Wielu dawniej odepchniętych konkurentów hrabianki: na nowo miało zamiar rozpocząć kampanję. Ale przedewszystkiem: trzeba się było dowiedzieć, co na to mówi Michorowski, jaka jest jego opinia?

Wszyscy wiedzieli, że odmowa hrabianki nastąpiła z jego przyczyny — nie bezpośrednio, lecz w nawiasach.

Barscy liczyli na ordynata, uważając go za pierwszą partję w kraju. Hrabianka, delikatnie pomijając świetność przyszłego z nim związku, kochała go po swojemu. Nikt nie śmiał posuwać naprzód swych starań bez wybadania poglądu ordynata. Każdy z możliwych pretendentów do ręki hrabianki, jadąc do Głębowicz, zachowywał dobrze udaną obojętność: każdy mniej więcej chciał mówić miną: „Cóż mnie obchodzi hrabianka Barska i jej wybór?“ Ale jednocześnie każdy oczekiwał zdania ordynata. Wiedziano, że jeśli on ujawni swe zamiary względem hrabianki, nie pozostanie im nic więcej nad wycofanie się od brzegu.

Jeden Trestka był w tej sprawie neutralnym, ale za to krytycznym widzem.

Ordynat wiadomości przyjął obojętnie: wiedział już o tem. Mówił, jak o rzeczy niewielkiego znaczenia, i prędko przeszedł do innego tematu. To wywołało zdziwienie i niepokój. Trestka, który się doskonale bawił, rzekł do jednego z panów:

— Ordynat widocznie uważa odmowę hrabianki za konieczną. Wiedział zapewne o rezultacie starań księcia, może nawet są po słowie?...

Trestka kłamał z satysfakcją.

Wszystkich dziwiło niezwykle usposobienie ordynata i jego wyraźne zdenerwowanie, nie wiedzieli, jak mają to rozumieć.

Czy przeczuł ich zamiary względem hrabianki?... Tylko Trestka domyślał się istotnego powodu — odgadywał w tem Stefcie.

Ale pomimo wszystkiego bawiono się dobrze. Przed kolacją grano w bilard, potem sławne wina głębowickie jeszcze więcej rozochociły gości.

W gabinecie i przytykającej doń fajczarni wrzało życiem. Waldemar zapraszał na polowania jesienne.

Trestka, usłyszawszy to, zerwał się ze szeszlengu.

— Czy i w Słodkowcach będą obławy — spytał poprawiając binokle.

— Zapewne! Cóż panu na tem zależy — zdziwił się Waldemar.

Kilku panów parsknęło śmiechem.

— Trestka jest bajeczny! Chodzi mu o to, czy, goniąc dziki, nie będzie pozbawiony widoku panny Szeliżanki, bez której on jest zerem, a w Słodkowcach prędzej się to może zdarzyć.

Waldemar wzruszył ramionami.

— Spotkasz ją pan w Głębowiczach, bo na polowaniach będą obecne panie. Zresztą, nim to nastąpi, zmieniają się może warunki, zdobędziesz pan większe prawa.

— A to jakim sposobem?

— No! zostaniesz narzeczonym.

Trestka popatrzał zdziwiony, po chwili dopiero odrzekł:

— Wątpię, by to nastąpić mogło.

Młody hrabia Brochwicz, kolega z Halli i osobisty przyjaciel Waldemara, uśmiechnął się i rzekł dowcipnie:

— Mamy przed sobą wystawę. O ile słyszałem, panna Rita wystawia swe folbluty. Strzeż się pan, by twoje perszerony ich nie prześcignęły, bo wówczas...

— We sto koni jej nie dogoni — dokończył Waldemar.

Odpowiedziano śmiechem. Brochwicz mówił dalej:

— Tak. Wówczas możesz powiedzieć: tout est fini! a nawet powinieneś omijać złoty medal, najwyżej możesz mieć list pochwalny.

— Ja swoich koni nie prowadzę.

— Bardzo praktycznie!

Baron Weyher musnął żółte faworyty.

— A propos wystawy — rzekł, cedząc słowa — czy ordynat będzie miał stajnię?

— Za parę dni właśnie jadę w tej sprawie. Na wystawę prowadzę dziesięć zarodowych klaczy.

— Czy muzy?

— O nie! tylko tej samej rasy i kare. Czwórka nie rozrywam. Będzie i Apollo.

— Ten chyba jako ozdoba?
 — Dekoracja, która może się stać przyczyną choroby panny Rity
 — podchwycił Brochwicz.
 — Słyszałem, że i baronowa Elzonowska wybiera się na wystawę z dziadkiem pańskim i panną Lucią — rzekł młody Żnin.
 — Tak, jadą z całym domem.
 — Ach! więc będzie i panna Rudecka! — zawołał Brochwicz. — Wiluś Szeliga naopowiadał mi o niej cuda. Bardzom jej ciekaw. Czy istotnie ładna?
 Trestka rzucił ukośne spojrzenie na ordynata.
 — Bardzo ładna i bardzo nieprzystępna — rzekł serjo.
 — To zaleta!
 — Przeciwnie, to wada! — odezwał się Żnin.
 — Nieprzystępność jest wadą mężatek, nie panien.
 — Brochwicz! czyś ty trzeźwy?
 — Najzupełniej!
 — Bo wiesz, że dowodzisz niesłychanie!
 Trestka potrząsnął głową.
 — W zasadzie ma słuszność. Zbyt wielka cnota była dobrą w katakumbach rzymskich. Dziś zarówno mężatkom jak i pannom nie jest w niej do twarzy.
 — Mówisz na podstawie własnych krzywd, ale panna Rita zalicza się do ultra postępowych.
 — Widać nie w każdym kierunku.
 Brochwicz przerwał:
 — Moi panowie, sąd o panie Ricie zostawmy wyłącznie Trestce. Chodzi nam obecnie o pannę Rudecką... jakie ona ma imię?... Stefanja, zdaje mi się.
 — Tak, urocza Stefcia!
 — O niej najwięcej powiedzieć nam może ordynat, jako częsty gość w Słodkowcach... a może i praktyk?... Waldy! jakiego jest rodzaju cnota uroczej Stefci: katakumbowa czy współczesna? Wartoby zanotować. Ale... co tobie jest?..
 Waldemar był blady, widocznie wzburzony. Jego ściągnięte brwi, rozdęte nozdrza i ironicznie skrzywione usta miały w sobie coś złowrogiego. Skierował na Brochwicza zimne stalowe oczy i odrzekł krótko:
 — Do panny Stefanji Rudeckiej podobna rozmowa nie może mieć zastosowania.
 Ton jego głosu zabrzmiał szorstko. Nastąpiło milczenie trochę przykre.
 Brochwicz poczerwieniał i spuścił oczy. Trestka zerwał binokle, potem zaczął je starannie na nowo wkładać. Miał przytem minę mówiącą: „Byłem na śladzie, teraz jestem w domu!”
 Weyher, gładząc faworyty, patrzył na Waldemara wzrokiem pełnym uznania i szacunku, a nawet szepnął cicho:
 — Gentleman!
 Inni rzucali na siebie zdziwione spojrzenia.
 Waldemar milczał, paląc cygaro. Dał im czas do rekolekcji.
 Pierwszy odezwał się Brochwicz:
 — Wybacz nam, Waldy. Mówiliśmy nieoględnie, przyznaję, lecz jesteśmy wytłomaczeni, gdyż prócz Trestki i barona nikt z nas nie zna panny Rudeckiej.

Grzeczność kolegi ujęła Waldemara. Odrzekł z uśmiechem:

— Ja też chciałam jedynie zaznaczyć, że trzeba się liczyć z dowcipami o nieznannej osobie, zwłaszcza o młodej paninie.

Drugi cios.

Ale przez głowę Waldemara przeleciała błyskawiczna myśl, trochę gorzka:

— Ogromnie dotychczas oszczędzałem znane mi ze słyszenia panny, a ich moralizuję... Jestem dureń!...

Nie przedłużał już milczenia, rozpoczął nową rozmowę.

Wesoły nastrój powrócił prędko.

Pod koniec wieczoru książę Zaniecki podniósł powtórnie kwestję małżeństwa hrabianki Barskiej. On był najwięcej interesowany, a zachowanie się Waldemara pogłębiło jego nadzieje. Postanowił upewnić się i po jakimś wstępie zapytał:

— Nie wiecie panowie, czy Barscy będą na wystawie, czy też jada zagranicę?

— Będą na wystawie — odpowiedział ktoś z gości.

A Waldemar rzekł:

— Tylko Lignicki czmychnął do Rzymu, zapewne dla odbycia żałoby, w rzeczywistości dla znalezienia nowej partji w świecie czarnym, któremu hołduje.

— Ciekawe, coby nastąpiło, gdyby się ożenił z Barską. Ona, przeciwnie, należy do białych.

— Możeby sam zbiegał, albo polakierował ją na czarno — zaśmiał się Brochwicz. — A że Melanja jest śniada i nie do twarzy jej w czarnym, więc wycofała się z tego za pośrednictwem kosza.

— Na wystawie rozpocznie się nowy turniej. Do jej pierścienia przygotujcie panowie kopje — rzekł Waldemar trochę ironicznie.

Wszystkie oczy spoczęły na nim. Zapanowała chwila ciszy.

Waldemar popatrzył na nich zdziwiony.

— Cóż mnie tak oglądacie?

A Trestka palnął na głos:

— Oni mają un presentiment, że w tej gonitwie trafią na przeszkodę.

— Jaką mianowicie?

— W osobie pańskiej, którego kopja ma szanse zwycięstwa.

Waldemar wzruszył ramionami, puścił kłęb dymu i odrzekł objętym:

— W takim razie jesteście plus royalistes que le roi. Posądzacie mnie o zamiary, jakich nie mam.

Słowa te zrobiły wrażenie.

Książę Zaniecki miał ochotę dziękować Waldemarowi, ale zdołał powstrzymać wybuch wdzięczności. Uważał, że dla utrzymania się w tonie prawdziwego lorda należy zachować zimną krew zawsze i wszędzie.

Ale Brochwicz miał więcej polskiej krwi w sobie, a przynajmniej nie starał się jej przebarwiać, zawołał przeto z całą szczerością:

— No! jeżeli ty, Waldy, wycofujesz się z turnieju, nastąpi prawdziwa i ostra walka, do której i ja się zapisuję. Niech co chce będzie!

— Brawo Brochwicz! — zawołał Trestka.

— Ale ty, Waldy, naucz mnie, jak się to zdobywa laury u panien, bo co prawda, niebardzo wiem

— Spytaj o to Trestkę. On prowadzi kampanję od trzech lat. Ja się na tem nie znam.

Brochwicz komicznym ruchem załamał ręce.

— On się na tem nie zna! Słyszeliście?

Trestka zabrał głos:

— Nietrafnie ordynat wysyła pana do mnie na studja, bo chociaż prowadzę kampanję od trzech lat, ale bez rezultatów, panu zaś głównie chodzi o finał, czy tak?

— Zapewne, byle pomyślny.

— Nie wątpimy.

Książę Zaniecki obrzucił Brochwicza szyderczym spojrzeniem.

— Słuchaj-no Jurek — rzekł Waldemar — na co ci czyjeś rady? Zaczynaj samodzielnie i niebawem dojdiesz do finału, ba! nawet do epilogu.

— Tak mówisz? Ha, to trudno, trzeba się zdobyć na odwagę!

Waldemar podniósł brwi.

— Uprzedzam cię, że jeśli z takim wykrzyknikiem będziesz się zbliżał do Barskiej, to lepiej odrazu zamów sleeping i ruszaj za Lignickim do Rzymu, a dla odmiany obróć oczy na Kwirynał.

Brochwicz uklonił się z udaną powagą.

— Pojadę tam, ale w podróż poślubną.

— Jesteś nieoceniony!

— Phy, ale czy hrabianka postawi nad tem swoje accent grave, to kwestja — szydził Trestka.

— Wypijmy za pomyślność sprawy! — zawołał Waldemar — szampana!

Zaczęto wznosić toasty, wesołość buchała już niezmacona, wino płynęło. Przy dźwiękach kieliszków rozbrzmiewał pełen życia, tryskający młodością i weselem Gaudeamus!

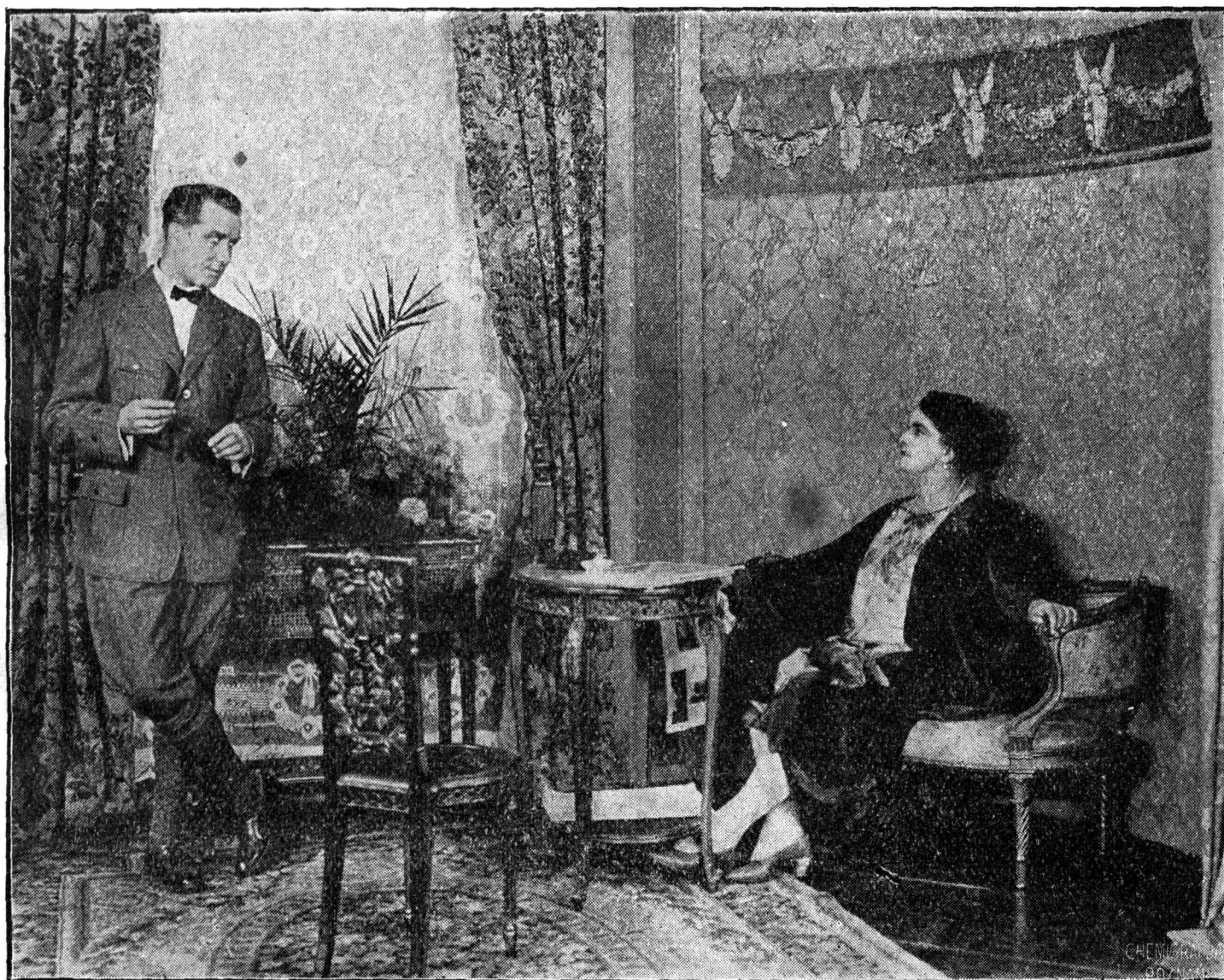
XXI.

Wrzesień pierwszego dnia ozłocił świat cudną pogodą. Słońce zalewało pola, błękit nieba miał tony czyste, ale już trochę bledsze w kolorycie.

Rżyska żółciały, napiętrzone stertami. Leciuchny pierwszy odcień jesieni bujał w powietrzu. Umilkły przepiórki, zbożowe terkotki, w trawach i ugorach ćwierkały koniki polne.

Gniada czwórka ze Słodkowic rwała pomiędzy polami, ciągnąc za sobą strojne lando i strojne postacie siedzących w nim kobiet. Pani Elzonowska, Stefcia i Lucia jechały do kościoła.

Niedzielne tłumy pobożnych sunęły bokiem drogi w barwnych strojach, rozweselone pomyślnem ukończeniem zbiorów, hałaśliwe. Pani Idalja razem z pogodą była słoneczna. Wesoło zagadywała siedzącą obok Stefcie, często spoglądając na nią z prawdziwym upodobaniem. Stefcia wyglądała niesłychanie. Szaro-niebieski jedwabny płaszczyk otulał ją miękkimi zwojami, czyniąc jej jasną pleć bardziej przejrzystą. Rozmawiała z ozywieniem, oczy jej błyszczały, jednak dostrzegało się w nich tęsknotę; wyraz dawniej nieznany malował się w twarzy. Czasami ciemne, gęste brwi zsuwała niecierpliwie, jakby przed natrętą myślą, której odepchnąć nie mogła. Ale ten niepokój nadawał jej twarzy



— Co Cię tak dziwi, Waldy? — Troskliwość cioci względem panny Stefanji. Coś niesłychanego! str. 139.

nowego uroku, co z wesołym ożywieniem tworzyło połączenie szczególne i śliczne.

W kościele zebrało się dużo okolicznej inteligencji, wiele osób z tych niższych sfer, z którymi Słodkowce nie zawierały bliższych stosunków. Wszyscy po zamianie ukłonów z panią Idalją i Lucją spoglądali na nie z tem mimowolnym uszanowaniem, jakie nakazuje sobie starożytność rodu i wysokie stanowisko społeczne. Na innych wywierał wrażenie nawet wspaniały zaprzęg i mitry księżące na okularach koni i że panie te są mieszkankami pałacu.

Panny i młodzież patrzyły głównie na Stefcie, robiąc przytem rozmaite uwagi. Mężczyźni przypatrywali się jej urodzie i wszyscy musieli przyznać, że jest ładna, bardzo wytworna i zupełnie pałacowa. Panie zaczęły ją cicho krytykować; jeden z panów szepnął: „sznytowa dziewczyna“ i przymiotnik ten zyskał uznanie w kółku męskim. Wiedzieli o Stefcie, że jest córka zamożnego obywatela z Królestwa. Objawiał ich Wiluś Szeliga, który w czasie wakacji włóczył się po okolicy. Ze słów jego odgadli, że student kochał się w pannie Rudeckiej, śledzono ją z tem większym zaciekawieniem. Przed samem rozpoczęciem sumy zrobił się ruch przed zakrystją i wszedł Waldemar.

Wrażenie wzrosło. Oderwane od Stefcie spojrzenia spoczęły na ordynacie. Był on rzadkim gościem w tym kościele. Pani Idalja, na jego widok podniosła brwi, zdziwiona, Stefcia oblała się gwałtownym rumieńcem. Nieprzewidziane ujrzenie jego wstrząsnęło nią silnie. Od owego ranka, kiedy był dla niej tak chłodnym, nie widziała go wcale. Upłynął miesiąc, on nie przyjeżdżał. Teraz nagle zjawił się w kościele, w którym prawie nie był. Może przeczuł, że i one są tutaj?

Waldemar podszedł do stalli, powitał panie i zajął miejsce obok Stefcie, siedzącej z brzegu.

Pani Idalja pochyliła głowę w tył i spytała szeptem:

— Waldy, czy jedziesz z Głębowicz?

— Nie, byłem w Słodkowcach — brzmiała odpowiedź.

— Tiens! — więc wiedziałeś, że tu jesteśmy?

— Wiedziałem.

— Dobrze zrobiłeś, Waldy! — wtrąciła szeptem Lucia.

Waldemar wyprostował się i teraz dopiero zauważył pełne ławki naprzeciw. Na gęste ukłony odpowiedział długim skinieniem głowy. Do Stefcie nie mówił nic; parę razy spojrzął bokiem na jej ładny profil, schylony nad książką. I żywe kolory na twarzy. Wiedział, że on je wywołał, spostrzegł wrażenie, jakie zrobił na niej wejściem do kościoła. Był zadowolony i podniecony, czuł dziwną ulgę, że ją ma przy sobie. Z rozkoszą śledził każde jej poruszenie i oddech; nie patrząc, wiedział, jak ubrana.

I wszysiko mu się podobało, wszystko miało dla niego urok. Po dłuższem niewidzeniu znalazł ją jeszcze ładniejszą i bardziej upragnioną. Zaczynał ją po swojemu analizować, ale predko spostrzegł, że wobec niej na nic się to nie zdało, i uległ wrażeniu.

A Stefcia dopiero teraz odczuła, że, pomimo starań, nie zdołała o nim zapomnieć, że ta nieokreślona tęsknota, jakiej nie mogła zrozumieć, była za nim.

Świadomość tego sprawiała jej ból i nieznaną rozkosz.

Słowa modlitwy mieszała z myślami, nic nie odczuwając silniej nad to, że on siedzi obok, że po miesiącu rozłączenia znowu są razem i tak

blisko. Ostrożnie spojrzała na jego rękę, opartą o pulpit ławki. Widziała końce rękawów palta i brzeżek mankietów. Kiedy dawał pieniądze na tacę, błysnął na jego palcu ogromny brylant. Stefcia musiała więc użyć całego wysiłku pamięci, ażeby przypomnieć sobie, że ten brylant widziała zawsze u niego. Narazie była pewną, że jest to pierścionek zaręczynowy. Słyszała o odmowie hrabianki Barskiej Lignickiemu, potem Waldemar wyjechał z Głębowicz. W Słodkowcach komentowano ten wyjazd, łącząc go bezpośrednio z hrabianką. Pani Idalja twierdziła, że teraz nastąpią zaręczyny. Pan Maciej wątpił, ale stanowczo nie przeczył. Tylko panna Rita śmiała się z urojeń Słodkowickich, a Trestka dowodził głośno, że hrabiance Barskiej „ordynackie niebezpieczeństwo“ nie grozi ani trochę. Ta para miała pewniki niezbite.

W tem Lucia pociągnęła Stefcie za rękę.

— Czego oni tak na nas patrzą? Czy my dzicy?

Zapytana podniosła oczy na ławki. Wszyscy spoglądali na Waldemara, przenosząc wzrok z niego na nią.

Ogarnął ją niesmak.

— Jacy niedelikatni! — pomyślała.

Lucia z kclei zaczęła Waldemara:

— Waldv nie pozwalasz się modlić.

— Komu?... tobie?...

— Tym państwu naprzeciw.

Waldemar nic nie odpowiedział.

I on zauważył uporczywy wzrok przeciwległych ławek, ale już do tego przywykł; natomiast myślał, patrząc na modlącą się Stefcie:

— Czy ona się modli naprawdę?...

Był pewnym, że ona jest pod wrażeniem jego obecności; to go upajało, nie chciał się rozczarowywać. Jednocześnie wzruszał go widok jej pobożnego skupienia.

Stefcia po pierwszym wstrząśnieniu, ochłonawszy, zatopiała się w modlitwie. Nigdy może nie miała tak szczerego natchnienia. W duszy jej śpiewał jakiś sonet radosny. Zrywały się w niej nieznane uczucia, ogarniał ją spokój, słodycz zalewała serce. Dziękując Bogu za tę chwilę, pragnęła przedłużyć ją do nieskończoności. On siedział przy niej, dotykał jej ramieniem, czuła wzrok jego na sobie i była szczęśliwą. Jej spokój wewnętrzny odmalował się na twarzy niebywałym wyrazem. Waldemar patrzył na nią z czułością nieznaną sobie dotąd. Odgadywał, że jest szczęśliwą, że jej modlitwa płynie ze szczęścia i wierzył, że modli się szczerze. Był poruszony, uwidoczniało się to we wzroku, jakim ją ogarniał.

— Taka kobieta, gdy się modli, jest aniołem — powtarzał w myśl.

Wobec niej pesymizm jego ginał, cynik i filozof przeistaczał się, skrywał za ścianę bardziej idealną. Ta dziewczyna wchodziła mu do duszy wolno, ale stale, wsiąkała w jego istotę, pobudziła pragnienia.

Oboje siedzieli w milczeniu, ale tak on, jak i ona, odczuwali się wzajemnie.

Gdy ksiądz odszedł od ołtarza, pani Idalja powstała pierwsza. Na cmentarzu spotkali całe towarzystwo.

Pani Idalja, w świetnym usposobieniu, witała się uprzejmie, łaskawa i promieniejąca. Waldemar witał panie. Otoczyli go starsi i młodzi mężczyźni. Każdy chciał zamienić choć parę słów z ordynatem, jeden przed drugim pragnął okazać, że jest na lepszej stopie z tym świetnym przedstawicielem magnaterii.

Pani Elzonowska raczyła zapytać kilka pań, dlaczego tak rzadko odwiedzają Słodkowce. Nie robiła tego w formie zaprosin, ale przez grzeczność.

Stefcia spojrzała na nią zdziwiona; nie często zdarzała się dumnej pani podobny humor. Kilka panien, zawiedzionych obojętnością Waldemara, podeszło do Stefci i Luci. Posypały się liczne pytania i lakoniczne odpowiedzi. Lucia milczała jakby zalekniona. Na dany znak przez Waldemara podjechało lando ze Słodkowic i amerykański głębownik, zaprzężony w cztery muzy.

Waldemar usiadł z paniami na przednim siedzeniu obok Luci. Jeszcze trochę ukłonów — i pojechali. Za nimi potoczył się ponsowy amerykański.

Skoro tylko lando ruszyło, Lucia, korzystając z rozmowy matki z Waldemarem, rzekła do Stefci po francusku:

— Ach nareszcie! Ja się ich instynktownie boję!...

— Teraz ja powtórzę twoje zapytanie, czy oni dzicy? — odrzekła Stefcia z bladym uśmiechem.

— Ach! nie dzicy, ale jacyś inni, nie nasza sfera...

— Zawczasie ci, Luciu, zdecydować o tem — rzekł ostro Waldemar.

Lucia zmieszana się, spojrzała z przestraszeniem na matkę, zwiesiła głowę i szepnęła:

— Przepraszam.

Pani Idalja spytała niecierpliwie:

— Czy długo bawiłeś, Waldy, w Orzelsku, u Barskich?

— Nie byłem tam wcale.

Pani Idalja zrobiła wielkie oczy. Ogromne zdziwienie odmalowało się na jej twarzy.

— Voyons! nie byłeś u Barskich? Gdzie byłeś tak długo?

— Skąd takie przypuszczenie? Ja w Orzelsku?... Jestem w Komitecie organizacyjnym wystawy i w tej sprawie jeździłem do W.. przytem musiałem się zająć umieszczeniem koni, które prowadzę.

— Więc chyba nie wiesz, co zaszło u Barskich?

Waldemar uśmiechnął się ubawiony.

— Owszem wiem od początku do końca.

— Do jakiego końca?

— Ciocia mówi o odmowie hrabianki Lignickiemu? A więc znam tę sprawę od początku starań księcia do końca, jaki mu ofiarowano.

— I cóż na to mówisz?

— Nic. Życzę hrabiance Melanji nowego zwycięstwa i narzeczonego.

— Którym będzie?

— O! tak dalece nie przewiduję. Do startu staną legjony, ale kto otrzyma palmę... pewno i hrabianka jeszcze nie wie, cóż mówić o mnie — drwił z komiczną miną.

Pani Idalja wybuchnęła:

— Wiesz równie dobrze, jak ona i my wszyscy, kto najprędzej otrzyma ową palmę.

— Niestety! nie jestem domyślny.

— Ach, Waldy! irytujesz mnie. Voilà que tu es ridicule! Otrzymanie jej od ciebie zależy.

— Ale ja nie będę się o nią starał — odrzekł dobitnie, już podrażniony.

— Dlaczego?

— Pozwoli ciocia, ale to już wyłącznie moja rzecz.

Kwestja rozstrzygnęła się. Pani Idalja spochmurniała, jak noc
W tem zawołała Lucia:

— Bardzo się z tego cieszę. Nie cierpię tej Melanji Barskiej.

— Lucia, soyez tranquille — zgromiła matka .

Biednej Luci nic się dziś nie udawało.

Waldemar zaczął inną rozmowę. Mówił o przyszłej wystawie, urządzenie jej porównywał do wystaw zagranicznych, wygłaszając zdania bardzo trafne i oryginalne. Stefci nie narzucał się, ale zrećcznie wciągał ją w rozmowę, tak, że właściwie oboje tylko mówili. Lucia siedziała nadasana, pani Idalja ponura. Tak dojechali do Słodkowic.

Do pana Macieja, siedzącego w swym gabinecie, wpadła pani Idalja i ze wzburzeniem zapytała:

— Czy papo rozmawiał z Waldemarem. Czy papo wie o wszystkim?

Starzec spojrział na nią zdziwiony.

— Widziałem go zaledwie chwilę, bo, dowiedziawszy się, iż jesteście w kościele, pojechał za wami, nawet koni nie zmienił.

— Więc papo nic nie wie?...

— Co się stało? Na Boga, mów!...

— Och! niechże się papo nie przejmuję. Jest źle, ale nic nie grozi temu... temu benjaminkowi. Niech sobie papo wyobrazi, że on nie był w Orzelsku i z całą bezczelnością dowodzi mi, że nie myśli zupełnie o hrabiance. N'est-il pas fou?

Pan Maciej uśmiechnął się.

— Moja Idalko, nie pojmuję twego wzburzenia. Dawno wiedziałem, że Barska nie dla niego. Nawet mówiłem ci o tem.

— Ależ dlaczego? gdzie znajdzie odpowiedniejszą partję, nazwisko, posag?

— Przepraszam cię! Waldemar może pozwolić sobie na wybór żony dowolny, bez oglądania się na posag i partję — a co do nazwiska, to tych mamy więcej w kraju, nawet lepszych!...

— A cóż on może mieć przeciw samej Melanji? Panna piękna, kształcona zagranicą, une fille très gentille!...

— Widocznie on ma inne zapatrywania. Zresztą może jej wszystkie zalety uznawać, ale... nie jest ona w jego stylu.

— Niechże papa na niego wpłynie.

Pan Maciej rzucił się na fotelu.

— O nie! tego nie żądaj, tego się nie spodziewaj! oboje z twoją matką byliśmy nieszczęśliwi dzięki podobnym wpływom. Nie, ja będę je odnawiał.

— Przesada! La majesté de la bagatelle! — sarknęła pani Idalja. — Do czego to podobne! Melanja odrzuca najlepszą partję dla niego, a on grymasi. Będzie żałował po niewczasie, jak mu odbija, co możliwe, bo to dumna dziewczyna!

Baronowa wyszła z gabinetu.

Pan Maciej patrząc na nią, szepnął:

— Przesada, że ja i Gabryela byliśmy nieszczęśliwi; przesada, że zbrodnią jest zabić lub nakazać miłość; przesada, że drogę do szczęścia trzeba samemu torować, chcąc mieć lekką starość. Wszystko przesada! Udzież smutna prawda?...

Starzec opuścił głowę na piersi.

XXII.

Na drugi dzień pan Maciej wstał w usposobieniu niezwykłym. Rozmyślał. Waldemar zastanawiał go coraz więcej. Miesiąc spowodował w nim różnicę znamionną. Pani Idalja tłumaczyła ojcu, że powodem tego jest hrabianka Melanja, że Waldemar, jak zwykle, żartuje i nie chce wyznać, ale widocznie kocha się w Barskiej.

Pan Maciej stanowczo nie uwierzył. On jeden spostrzegł, że Waldemar walczy, że przechodzi jakąś chwilę przełomową i trzeba mu zostawić swobodę, niczem nie rozdrażniać. Wiedział, że są natury nawet szczerze, które w pewnych okresach życia zamykają się w sobie, nie pozwalając nikomu zedrzeć osłaniającej powłoki, że podrażnione mogą zdziałać coś na przekór sobie, zniweczyć to, co się dopiero wykłuyało, i zerwać osobiste szczęście. W tym wypadku pan Maciej miał poważne obawy, bo znał wnuka i jego gwałtowność. Z przenikliwością starych ludzi przeczuwał coś, co go napełniało przerażeniem. Podczas długiej nieobecności Waldemara dawne obawy znikły, teraz powróciły spotęgowane.

Po bardzo delikatnej rozmowie z Waldemarem pan Maciej doszedł do podejrzeń, przed którymi instynktownie bronił się; ukochany wnuk zaciężył mu jakoś, niedopowiedziane słowa wisiały im obu na ustach, ale nie mogli jeszcze i nie chcieli się porozumieć. Waldemar odjechał przed wieczorem, nie obiecując być prędko z powrotem. Pana Macieja bolało to, lecz nie wstrzymywał go. Nie wspomniał nawet, że na drugi dzień imieniny Stefcia, choć przed miesiącem byłby to napewno powiedział.

Pierwszy raz wyjazd wnuka sprawił mu ulgę, ale całą noc nie spał, a rano wstał rozstrojony nerwowo, z silnym bólem głowy. O dziesiątej kazał służącemu prosić do siebie Stefcie.

Weszła smutna i miała zapłakane oczy. Biała, gładka suknia czyniła ją bledszą niż zwykle, tylko usta pałały gorącym ponsem, a oczy z załez świeciły nienaturalnie. Ucałowała serdecznie ramię pana Macieja. Starzec wzruszył się, ścisnął jej głowę i posadził naprzeciw siebie.

— Czego płakałaś, dziecko? — zapytał, trzymając jej ręce.

Stefcia zagryzła wargi, zaczęła prędko mrugać powiekami, bo ją piekły nowe łzy.

— Czego płakałaś?

— Bo smutno mi... Ten dzień... zawsze... przepędzałam w domu — odpowiedziała cicho.

— Czy tylko ten powód?...

Spojrzała na niego bystro.

— Tylko ten... nic więcej! — zawołała prędko.

Pan Maciej cofnął się, puścił jej ręce i opadł na fotel. Jej okrzyk „nic więcej“ zdradził ją w oczach podejrzliwego starca. Czuł, że poza tęsknotą do rodziny jest jeszcze coś, czego nie chciał nazwać. Patrzył na nią uparcie i szepnął do siebie:

— Stenia... druga Stenia...

— Kto? — zapytała dziewczyna z nagłym poruszeniem.

Pan Maciej pokiwał głową.

— Nie znasz jej, dziecko. Kiedyś, kiedyś, była taka Stenia, podobna do ciebie, ale... to już dawno.

Stefcia przypominała sobie historję Waldemara w sali portretowej w Głębowiczach. Żał ścisnął jej serce i spuściła oczy.

Pan Maciej wziął ze stolika pudeleczeko oprawne w zamsz, otworzył je i z białego aksamitu zdjął miniaturę w formie dużego medaljonu z gustowną emalją na złocie.

Miniatura przedstawiała młodego człowieka w mundurze ułanów polskich, z gwiazdą na piersiach i orderem virtuti militari. Pan Maciej pokazując ją Stefci, rzekł wzruszony:

— Jest to moja podobizna z czasów, kiedy byłem najszcześniejszym... kochałem taką, jak ty, Stenię, myślałem, że ona i świat cały do mnie należą... Ha! minęła młodość!... Ale... co ci jest dziecko?...

Stefcia, spojrzawszy na portrecik, drgnęła.

— Ja to gdzieś widziałam... ja to znam!

Starzec zatrzymał na niej uważny wzrok.

— Widziałas tę miniaturę? Gdzie, jakim sposobem? Chyba się mylisz, dziecko! A może... Idalka ci pokazywała?

— Nie, nie... ale widziałam napewno.

— Może taki sam portret mój spotkałaś w jakim bardzo starym piśmie? To możliwe! dawniej byłem człowiekiem, trochę interesującym ogół.

Stefcia kręciła głową z powątpiewaniem.

— Może być — rzekła wreszcie bez przekonania.

Pan Maciej podał jej miniaturę.

— Przygotowałem to dla ciebie na upominek imieninowy. Sądziłem, że będziesz rada z dawnej podobizny człowieka bardzo ci życzącego.

Stefcia pochyliła się do niego serdecznie.

— Dziękuję bardzo. To dla mnie będzie wielką pamiątką. Czy zasłużyłam na nią? To jak relikwie rodzinne.

— Miałem takich kilka egzemplarzy, rozdałem członkom rodziny i mam dla siebie jeden. Ten ostatni przeznaczyłem dla ciebie, dziecko... Tyś taka do niej podobna, do mojej Steni. Pokażę ci jeszcze kiedy i jej miniaturę... mam jedną tylko i to moje relikwie.

Starzec wzruszony, ścisnął głowę Stefci i rzekł dziwnie miękko:

— Baw się dobrze, dziecko. Dziś twoje święto, nie płacz i bądź szczęśliwa. Tyś jeszcze taka młoda.

Wróciwszy do siebie, Stefcia przyglądała się miniaturze z nieokreślonym wrażeniem. Twarz przypominała Waldemara. Zmienił ją tylko ubiór i sposób noszenia włosów. Zresztą były to te same rysy.

Stefcia starała się przypomnieć sobie, gdzie i kiedy widziała już podobny medaljon. Wspomnienie mętne łączyło się uparcie z jej dzieciństwem w pierwszych latach.

Patrząc na miniaturę, utonęła w niej wzrokiem. Podobieństwo Waldemara wydało jej się wybitniejszym. Szepnęła:

— Czy znowu nie przyjedzie tak długo? Dlaczego wczoraj odjechał, dlaczego zmieniony?...

Stefcia myślała o nim ciągle, nie chcąc przyznać sama przed sobą, że przykry był dla niej wyjazd jego w przeddzień jej imienin.

Broniła się przed tą goryczą, chciała być wesołą i nie mogła. Dławił ją żal, czuła pustkę dokoła siebie.

Przed obiadem Lucia namówiła ją na pieszy spacer. Poszły do lasu za ogrodem. Tam Stefcia przypomniła sobie spotkanie z Waldemarem w maju, jego docinki i szyderstwo. Przypomniła swój gniew, ostre odpowiedzi i niechęć, jaką wówczas czuła do sztychającego magnata. Bała

się go, wzbudzał w niej paniczny strach. Zaciekawiał ją, drażnił, imponował jej zawsze i to ją gniewało, że źle czy dobrze, lecz musiała o nim myśleć.

Dziś uczucia zmieniły się: instynktowny lęk przed nim nie zniknął, nawet wzmacnił się, lecz w innym kierunku. Uczuć dzisiejszych nie chciała nazwać po imieniu, zamykając przed niemi oczy.

Lucia, widząc jej zamyślenie, odbiegła opodal. W jej młodej główce powstawały domysły, których nie miała przed kim wynurzyć, matki obawiając się, przed dziadkiem nie chcąc.

Podejrzenia swe trzymała w tajemnicy, bojąc się zdradzić. Nie uszła jej uwagi zmiana stosunku Waldemara do Stefcia. Lucia widziała, że się tu zmieniło wszystko, i zrozumiała kierunek. Waldemar zdumiewał ją. Stefcie zaczęła badać. I ona uległa zmianie. Jej dawna wesołość stała się mniej bujną. Lucię to zastanowiło. Tak idąc, każda zajęta swemi myślami, znalazły się na drodze leśnej. Lucia szła prędko, wkrótce wyprzedziła Stefcie. Nagle na skrócie drogi stanęła zdziwiona. Naprzeciw niej jechała czwórka rozpędzonych koni. Lucia poznała zaprzęg głębowicki i orientując się, momentalnie skoczyła w bok do lasu. Zgadła, że Waldemar wiedział o imieninach Stefcia i że przyjeżdża głównie do niej; chciała z boku zobaczyć ich powitanie.

Stefcia nie zauważyła manewru dziewczynki, ale nie widząc jej przed sobą, zawołała na nią, Lucia nie odpowiedziała. W tem zatętniał głośny bieg koni i z załamu drogi wypadła na nią strojna, brzęcząca czwórka dobrze znanych karych arabów. Amerykanem powoził sam Waldemar, stangret siedział z tyłu.

Stefcia zatrzęsła się. Ognie uderzyły jej do głowy. Stała jak wryta, całą siłą woli nakazując sobie spokój. Waldemar spostrzegł ją. Błyskawica zaświeciła mu w oczach. Gwałtownie wstrzymał konie, uniósł kapelusz z głowy. Zeskakując z amerykana, zawołał na stangreta:

— Jedź na skraj lasu. Tam staniesz.

Stefcia oprzytomniała, widząc ordynata przed sobą.

Uścisnął silnie jej rękę. Przez chwilę trwała cisza. On rzekł niskim głosem:

— Jak to dobrze. Spotkałem panią znowu w tym borcu.

— Jak w maju. Teraz jesień!

— Można w zimie stworzyć sobie maj.

Stefcia milczała.

— Zapomniałem, ujrawszy panią, o jedynym celu mej podróży. Dziś pani święto... Pospolitych życzeń nie znoszę... ponieważ jednak szablon trzeba zachować...

Stefcia przerwała:

— Nie, po co? Dość, że pan przyjechał. To dowodzi pamięci, to wystarcza... Dziękuję!...

Podniósł do ust jej rękę z wytwornym pochyleniem głowy. Gorące dotknięcie jego ust sprawiło na niej wrażenie prądu elektrycznego. Mówiącego wyrazu jego oczu nie zniosła — spuściła powieki.

Szli obok siebie w milczeniu, poczem on rzekł znowu:

— Imieniny są dla mnie najnieznośniejszym dniem w roku. Nie lubię biletów, które są konwencjonalnym, ale często fałszywym godłem. Sam rozsyłam je rzadko. Do osób, które mnie bliżej obchodzą, zjawiam się osobiście — dodał z lekkim skinieniem głowy w jej stronę.

Różowy obłok wionął na twarz Stefci.

On mówił dalej:

— Nie umiem składać życzeń „wszelkich pomyślności, szczęścia“. Podobne frazesy nie sprawiają mi ulgi wówczas, gdy naprawdę chciałbym komuś nieba przychylić, nieba według mego pojęcia, jakie może nie istnieje na ziemi. Ale do tego nie potrzeba koniecznie imienin. Wyrażanie uczuć jest jak opłatek, którym się łamią tylko w wigilję. Imieniny to jako odpust, wszyscy się zbiegają do solenizanta, ale najczęściej chodzi o ten pospolity acte de présence, co jest według mnie najgłupsza instytucją na świecie.

Stefcia uśmiechnęła się.

— Jednak i pan został dziś członkiem tej znienawidzonej instytucji. Waldemar zmarszczył brwi.

— Nie, pani. Mój przyjazd dzisiejszy można postawić w nawiasy jedynie obok zdania, wypowiedzianego przezemnie wpierv. Do osób dla mnie obojętnych przyjeżdżam zaproszony na bal, ale nigdy w dzień. Stefcia zmieszała się, zaczęła wołać głośno:

— Luciu! Luciu!

Waldemar zapytał ze zdziwieniem:

— Pani nie jest samą?

— Jestem z Lucią, ale gdzieś mi się podziała.

W tem zaszleściły gałęzie i Lucja z rozpędem wybiegła z krzaków. Twarz miała rozognioną i błyszczące oczy.

— Gdzie biegałaś tak długo? — spytała Stefcia.

— Zapędziłam się za orzechami. Jakie mnóstwo.

— Gdzież one są? Nazbierałaś, skoro takie mnóstwo? — pytał Waldemar, patrząc badawczo na dziewczynkę.

Lucja spuściła oczy.

— Nie zbierałam, jadłam tylko. Zresztą daleko biegałam.

— Dziwna rzecz, nie widać na tobie śladów tej dalekiej podróży po krzakach.

Stefcia zaśmiała się.

— I niewiele zużyłaś na to czasu, bo znikłaś mi przed samym przyjazdem pana. Oj ty!... Ale czemu się nie witasz?

— Zaaferowana orzechami — rzekł z dziwnym uśmiechem Waldemar.

Lucja czerwona powitała Waldemara trochę nieśmiało. Zrozumiała, że odgadł cel jej wyprawy, i zlekła się.

Teraz miała już pewność, że Waldemar jest zajęty Stefcią. Z ukrycia swego widziała ich doskonale. Słów dosłyszeć nie mogła, zaledwo kilka wyrazów, ale pocałunek, złożony przez Waldemara na ręce Stefci, wydał jej się dokumentem bardzo ważnym.

— Waldy, czy przyjechałeś konno, czy powozem? — zagadnęła po chwili z naiwną miną.

— Amerykanem. Może to już czas wracać?

Stracił ochotę do rozmowy przy Lucji. Spojrzał na zegarek: dochodziła druga.

Lucja zawołała, że czas na obiad. Zwrócili się w stronę powrotną. Gdy zrównali się z końmi, Waldemar zaproponował przejażdżkę. Usadowił Stefcię i Lucję na przednim siedzeniu, sam stanął za niemi, stanęła odsyłając piechotą do Słodkowic.

— Niech pani powozi — rzekł i oddał lejce Stefci.

Dziewczyna rozbawiła się, ranne smutki pierzchły. Ze śmiechem zgarnęła lejce karej czwórki i ruszyła klusem. On stał pochylony nad nią, drażnił konie trzaskaniem z bata, dawał jej wskazówki, napawał się jej bliskością, pochłaniał oczyma jej włosy. Niby poprawiając lejce, skierował konie na inną drogę, mijając Słodkowce. Stefcia spostrzegła to.

— Jedziemy w inną stronę! — zawołała.

— To właśnie dobrze. Poco się mamy spieszyć?

— Ale ja głodna jestem — żaliła się Lucia — z obiadem czekają!

Stefcia nic nie mówiąc, skreśliła lejce. Rozhukana czwórka zawróciła na miejscu i zaczęła się plątać.

— Co pani robi! — krzyknął Waldemar, chwytając lejce.

Szarpnął i zrównał konie, lecz w tej samej chwili orczyk uderzył dyszlową klacz w nogę. Rzuciła się gwałtownie i cała czwórka zaczęła ponosić.

— Cicho, Luciu! — wołała Stefcia, bo dziewczynka płakała głośno.

Waldemar ściągnął lejce z taką siłą, aż konie stawały dęba, ale nie mógł wstrzymać odrazu. Amerykan chwiał się na obie strony, kamyki żwiru ze świstem wylatywały z pod kół.

Stefcia chwyciła za lejce, wyciągnięte jak struny.

— Niech pani puści, proszę się mnie trzymać!

— Lucia, nie krzycz, bo straszysz konie, nic złego niema — uspokajał Waldemar.

Jego pewność podziałała na Stefcie. Konie zaczęły istotnie zwalniać, piana leciała kawałami z ich boków. Stefcia podniosła wzrok i z podziwem patrzyła na męską postać Waldemara, na jego siłę i spokój, z jakim wstrzymywał ponoszącą czwórkę. Stał wyprostowany, równy, jakby nie przeszkadzał mu żaden wysiłek fizyczny. Tylko lejce wpiły mu się w dłonie, aż pękały rękawiczki, na skroniach wystąpiło mu kilka kropel potu, brwi miał zmarszczone i rozdęte nozdrza.

Nagle na zapatrzoną Stefcie spłynęło z góry jego spojrzenie; spokojne, ale zabójcze. Przejęło ją dreszczem.

Patrzyli na siebie. On uśmiechnął się lekko, więcej oczyma, niż ustami, i z poufałą serdecznością pochylając się, szepnął:

— Nie boji się pani?...

Głos jego miał tony pieściwe.

— Nie — odrzekła cicho.

Gdyby mogła być zupełnie szczerą, powiedziała mu, że było jej dobrze jak nigdy. Bojąc się, aby on z jej oczu nie wyczytał tej spowiedzi duchowej, spuściła powieki zaróżowiona, szczęśliwa.

Jeszcze trochę wysiłku i spienione konie zwolniły. Gęsta para buchała z nich na kształt dymów, rozdęte chrapy wyrzucały, wulkaniczne oddechy, ziejąc strumieniami piany, oczy sypały iskry. Czarne grzbiety miały wygląd aksamitu zlanego wodą. Niespokojne i podniecone szalonym biegiem gryzły wędzidła, rzucając łbami. Miały pozór poskromionych, lecz wściekłych tytanów.

Gorąca arabska krew kipiała w nich, sieć żyłek jak splątane sznurki wiła się na ich ciałach; uderzały w ziemię kopytami z dziką żądliwością i znać było, że tylko uległy potężnej sile i woli człowieka, lecz byle odrobina swobody a znowu zerwą się z szarą i hukiem pruć powietrze, jak stado centaurów.

Waldemar przeczuł to i miał się na baczności, trzymał silnie wodze w rękę, a gdy Stefcia prosiła go, aby jej oddał lejce, poruszył przecząco głową.

— Ależ pan zmęczony, proszę odpocząć, ja pojedę wolno — prosiła Stefcia.

— Nie, pani, jeszcze nie czas, muszę je uspokoić, aż będą jak baranki. Teraz nie pani im, ale one pani podyktowałyby warunki.

— Będę silnie trzymała, zobaczy pan.

Pochylił się nad nią z uśmiechem.

— Niech się „dzidzi“ nie upiera.

Stefcia oniemiała.

— Waldy, po jakimu ty nazywasz pannę Stefanję? — zawołała oburzona Lucia.

— To po australsku, stosowane z powodzeniem w Honolulu — zauważyła ironicznie Stefcia.

— W każdym razie ta nazwa ze złośliwością nie licuje — odpowiedział rozdrażniony Waldemar.

Stefcia zagryzła wargi.

— Pokłóćcie się państwo! już tak dawno nie słyszałam tego — wołała Lucia.

— Siedź tam cicho, mała, i uważaj, abyś nie wypadła, bo puszczam konie.

Stefcia spojrzała na niego z prośbą w oczach i szepnęła:

— Nie, nie, one takie rozhukane. Znowu poniosą.

Waldemar popatrzał na nią długo z pod lekko zmrużonych powiek.

— A „dzidzi“... będzie grzeczne? — zapytał przeciągle.

Zaśmiała się.

— Będę, tylko proszę o lejce.

Stefcia znowu powoziła, a Waldemar, patrząc na nią, rozcierał zmęczone dłonie.

Rozpędzony Amerykan wpadł w bramę pałacową, gdy pani Idalja siedziała z ojcem w otwartym oknie jego gabinetu. Mając słaby wzrok, nie poznała jadących.

— Papo! ktoś jedzie do nas.

Pan Maciej wyjrzał i zdziwił się.

— Waldemar jedzie!

— Aież jakieś panie także.

— Lucia i Stefcia, nawet ona powozi. Widocznie spotkał je i zabrał.

Konie stanęły. Stangret zjawił się jak z pod ziemi. Wszyscy troje wyskoczyli ze śmiechem. Panny pobiegły do siebie. Waldemar wszedł do gabinetu. Po pierwszych przywitaniach pan Maciej zapytał:

— Gdzieżeście tak pomęczyli konie? — Jak z wody wyjęte.

— Trochę się nam rozhulały muzy.

— Co? nosiły! — krzyknęła pani Idalja.

— Niech się ciocia nie boi, wszystko dobrze. Najlepszy dowód, żeśmy cali.

— Lucia musiała się przestraszyć.

— To też krzyczała jak najęta.

— A czy wiesz, że mamy dziś solenizantkę? — spytał pan Maciej, patrząc na swe buty.

— Dlatego przyjechałem — odrzekł Waldemar nieco szorstko.

— I na wiązanie nakarmiłeś ją strachem — śmiała się baronowa. Pan Maciej pochylił głowę. Niespodziewany przyjazd wnuka i jego słowa zaniepokoiły go. Pani Idalja podchwyciła:

— A propos chciałabym dziś zrobić jaką przyjemność Stefci, żeby ją trochę zabawić. Cóż tak na mnie patrzysz, Waldy?

W przechadzce swej zatrzymał się na środku pokoju i stał, patrząc ze zdumieniem na ciotkę.

— Co cię tak dziwi, Waldy? — powtórzyła.

— Troskliwość cioci względem panny Stefanji. Coś niesłychanego! Mówił, wzruszając ramionami, ale widocznie zrobiły mu przyjemność słowa ciotki. Ożywił się znacznie.

— Tiens! ja ją bardzo lubię — mówiła baronowa. — Ona ma w sobie coś takiego, co mimowoli bierze. Miałam dziś prawdziwy kłopot, co jej ofiarować, no i wybrałam sześć tomów Heinego en luxe. Chyba dosyć, prawda?

— A czy wszystkie kartki były w tych tomach?

— Co ty pleciesz, Waldy?

— O nic! w ciocinych tomach to się zdarza perjodycznie. Autorowie w postaci pojedynczych kartek wychodzą sobie na świat Boży, niby na willegjaturę. Sam widziałem kiedyś, jak się Bourget bił z Szekspirem na dywanach w buduarze cioci. Rochefoucauld, Dickens, Zola podróżują sobie razem pod konsole, kanapy, aż je lokaj w końcu pakuje do kosza i w przykładowej zgodzie idą na całopalenie.

Pan Maciej zaczął się śmiać, ale baronowa obrazila się.

— Zawsze jesteś nieznośny! — rzekła wstając.

Waldemar podskoczył i zatrzymał ją, mówiąc ze śmiechem:

— Ciociu, no już dobrze! Nie moja wina, że autorzy cioci są tak żywego temperamentu. Mniejsza o nich! Radźmy teraz nad rozrywką dla panny Stefanji.

— Radź sobie sam — rzekła nachmurzona.

Waldemar porwał ją wpół i określił parę razy w tempie walca.

— Voyons, Waldy, tu est fou! Co cię wprowadziło w taki humor?

— Sześć tomów Heinego en luxe i ciocia... która jest dziś cudowna!

Pani Idalja śmiała się, ale jej ojciec sposepniał. Zrozumiał, czem nielubiona zwykle ciotka ujęła Waldemara. Siadano do stołu, gdy lokaj oznajmił pannę Ritę. Wbiegła roztrzpiotana, wesola i, nie uważając na nikogo, rzuciła się do Stefci z życzeniami. Bez ceremonji ucałowała ją serdecznie.

— Całe snopy życzeń wiozłam dla pani — wołała wstrząsając rękoma Stefci.

— Ja myślałem, że pani przynajmniej z jakim anglikiem wystąpi? Co tam same życzenia! — żartował ordynat.

— A pan może swego Apolla ofiarował? — zagadnęła z komicznym zaciekawieniem.

— Ja? Cóż ja? — tłumaczył się, wzruszając ramionami.

— Nie ofiarował pan Apolla? To wstyd, panie!

— Apolla nie, ale cztery muzy miałam dziś w ręku — śmiała się solenizantka.

— Które tak były zachwycone, że aż ponosiły.

— Niech pan nie żartuje.

— Jestem jak na sanskryckim kazaniu — wołała Rita.

Stefcia opowiedziała jej przygodę rannego spaceru.

— A gdzie jest pani „attaché“? — spytał Waldemar.

Panna Rita rozejrzała się.

— Trestka? Jakto, niema go tu jeszcze?

Wszyscy się zaśmiali.

Podczas obiadu Rita mówiła do Stefci:

— Moja ciocia przysyła pani pełno życzeń. Nawet Dobrzysia śle pani ukłony, choć ją mało zna.

— Chyba wcale. Któż to taki? — pytała Stefcia.

— Dama do towarzystwa cioci.

— Ach, prawda! Zapomniałam.

— Bajeczna Dobrzysia z bajeczną twarzą, bo ma wąsy i brodę — żartował Waldemar.

— Niech pan nie kpi, to wielka pańska przyjaciółka, wiecznie panu chce swatać.

— Z taką samą z wąsami?

— Nie, ale z Bar...ską.

Waldemar ściągnął brwi, lecz odpowiedział ze śmiechem:

— Przedstawię jej innego kandydata.

Panna Rita parsknęła krótkim śmiechem i zaczęła znowu trzepać:

— Dla pana nie wiozę nic od księżnej, bo nie wiedziałam, że go tu zastanę.

— Dziś obowiązkowo.

— Przecież pan jest nieprzyjacielem wszelkich „szopek imiennich“?

— Są okoliczności, w których to określenie nie ma zastosowania.

— A! za... pewne!...

Obiad przeszedł wesoło. Pod koniec zjawił się nieodzowny Trestka, powitany żartami i wybuchem wesołości.

Grano w tenisa. Stefcia z Trestką przegrali partję przeciw Waldemarowi i pannie Ricie.

Wówczas partnerzy zmienili się. Waldemar stanął obok Stefci, mówiąc coś do niej z zajęciem. Trestka, patrząc na nich, szepnął do sąsiadki:

— Załuję, że nie mam aparatu. Zdjąłbym ich w obecnym stadjum.

— Następne może być ciekawsze — brzmiała głucha odpowiedź.

— Nie sędzę.

— Dlaczego?

— Ça n'ira pas plus haut.

Panna Rita roześmiała się głośno.

— To dowodzi, że nie znasz pan ordynata. Ale ja go znam i... wiele przeczuwam.

W tem ordynat zawołał:

— Zaczynajmy! Co tam spiskujecie?

— Odzwierciedlamy was — rzekł Trestka.

— Pod każdym względem — dodała Rita.

Waldemar pokazywał Stefci uszkodzoną rakieta, nie słyszeli więc ostatnich słów. Trestka podszedł bliżej do panny Rity i spytał poważnie:

— Pani mówi: pod każdym względem? Tam panuje obopólna harmonja. Czy mogę to wziąć za nadzieję?...

Zaśmiała się ironicznie.

— Pan przecież nie wierzy w stałość tamtej harmonji.

- Dla pani gotówem uwierzyć, a nawet dopomóc
- Obejdę się bez tego!
- Więc żadnej nadziei?...
- Nudny pan jesteś. Proszę ciskać piłkę. Plac tenisowy nie nadaje się do podobnych rozczulań.

Trestka odstąpił z nową nadzieją, ale chmurny. Na ordynata rzucił złe spojrzenie, jakby mówiąc: „To przez ciebie“.

Wieczorem zebrali się wszyscy w małym saloniku pani Idalji na poufnej rozmowie. Pan Maciej opowiadał kilka wydarzeń wybitniejszych ze swej młodości, spędzonej w wojsku polskim. Nie poruszał osobistej historii... Zaledwie kilku słowami napomknął o tem, co się wówczas w jego sercu działo.

Wszyscy słuchali w skupieniu. Jakiś cichy patryjarchalny nastrój zapanował w gronie tych ludzi, nie częsty gość w pałacu.

Słuchając dziejów starca, każdy myślał o sobie, co go czeka w życiu? jakie koleje zjedzą się, aby utworzyć tę sieć, po której stapać będzie? jakie struny zadźwięczą na utworzenie tonów jego istnienia? Czy przeznaczone im są świeże poranki, tchnące szczęściem i majową wonią, czy smętniejsze wieczory z bladym księżycem spokoju, czy upalne dni walk, lub chłosty zimnych wichrów losu. Uroczysty nastrój spłynął tu niespodziany a silny. Biały starzec panował nad pochylonemi głowami słuchaczy. Słowa jego wbijały się do ich dusz, znajdując oddźwięk w sercach. Jakieś oddalone echa walk, wielkich myśli, patriotycznych zapalów, tragedji wzniecały dreszcze niepokoju i w oczy ciskały iskry.

Ci ludzie nie mieli teraz nazwisk, tytułów, ale jednakową krew, kipiącą warem. Łączył ich serdeczny prąd miłości dla ojczyzny, jej dziejowe dramaty napelniały dusze smutkiem. Wszyscy obecnie byli dziećmi swego kraju, którego rany bolały ich, jak własne — więcej: jak rany konającej matki. Etykieta znikła, kryjąc się w bogatych oponach i rzeźbach ścian. Na miejsce jej sfrunął cichy anioł pokoju, łącząc tych ludzi, jakby w jedną rodzinę, skupioną pod skrzydłami siwego starca; poruszał im jedne tętna w piersi, napelniał jedną nadzieją i myślami niemal jednakiemi, bo wszyscy, choć może w odmienny sposób odczuwali te same pragnienia, ten sam głód szczęścia. Pod natłokiem pokrewnych uczuć zdawali się zmieniać powierzchownie.

Pani Idalja, surowa zwolenniczka etykiety, nie uważała, że Lucia siedzi na dywanie z głową opartą na kolanach Stefci, że Stefcia, zasłuchana, ma rozluźnione włosy, a Waldemar, siedząc blisko niej, zamyślony, bawi się kwiatkiem, wypadłym z włosów dziewczyny. Nie widziała, że panna Rita oparła łokcie na stoliku, chowając w dłoniach bladą twarz, że Trestka podniósł głowę do góry w niebywały sposób i, zagłębiony w fotelu, szukał na suficie gwiazd nadziei, skąpiionych mu na ziemi.

Spokój i różność chwili, tak dalekiej od codziennej, przyćmił w nich magnackie piętno, wielkość usunął razem z etykietą w bogactwo otoczenia.

Wśród przepychu zebrana gromadka przypominała szczęśliwą rodzinę, zebraną w skromnym dworku szlacheckim, wśród bielonych ścian i zapachu rezedy, płynącego z doniczek u okna, gdzie w takie ciche wieczory stary ojciec opowiada baśnie przy akompaniamencie ćwierkania świerszczów i szumu starych grusz nad strzechą słomianą. Jedy-

nie raził wykwiłt ubiorów. Tylko grupa Stefcia i Lucii nie psuła harmonji. Obie w białych, gładkich sukniach, z kwiatami we włosach, mogły się nadawać do wyniosłych ścian pałacu, jak i do niskich wiejskiego dworku.

W tem zaszeleściła aksamitna kotara i w tę cichą grupę ludzi wpadł nagle służbowy głos kamerdynera, jak huczne udęczenie w trąby tam, gdzie melodyjnie dźwięczała fujarka:

— Proszę jaśnie państwa, kolacja podana!

Cichy obraz wiejskiego dworku zniknął, wygalonowany kamerdyner przypomniiał pałac, obudził wielkość magnacką. Etykieta wypełzła na widownię. Pierwsza pani Idalja ocknęła się i podała jej rękę. Wstała, elegancko zgarniając suknię i wzrokiem krytycznym obrzuciła niedbale pozy wszystkich.

— Moi państwo, obudźcie się, idziemy do stołu! — zawołała z lekką ironją.

Pan Maciej podniósł się z westchnieniem, żalując minionej chwili. Lucia, pod wzrokiem matki, zerwała się zaróżowiona, Stefcia poprawiała włosy. Trestka nerwowo nasadzał binokle. Wstając, spojrzał boleśnie na Ritę. Ona, odjawszy ręce od twarzy, rzuciła powłóczyście oczyma na Waldemara.

Gdy wszedł kamerdyner, Waldemar zmiął kwiatek w rękę i mruknął przez zęby:

— Niech cię diabli!...

Teraz był zły na panią Idalję, a gdy powtórzyła: „Obudźcie się państwo“ — zacisnął usta i szepnął:

— Wściekła baba!

W ten sposób witał powracającą etykieta w osobie pani Idalji.

Po kolacji nikt nie miał ochoty na weselszą zabawę. Panna Rita i Trestka odjechali wkrótce. Nawet Waldemar nie chciał nocować. Pojechał do domu w usposobieniu mrocznem, ale z przebłyskami jutrzeńki w duszy.

XXIII.

Nad wielkiem jeziorem w Słodkowcach zaczynała się rozciągać niewyraźna przedza świtu. Woda leżała we śnie, milcząca, przybita ciszą w naturze. Gęsta mgła łączyła mleczną powierzchnię jeziora z takim samym kolorytem nieba. Nigdzie głosu, żaden oddech nie znamionował życia. Słaba pomroka ranna wchłaniała w siebie coraz więcej jasnych pasem. Poczynający się dzień w zaraniu zapowiadał pogodę. Niewidoczną była jeszcze, ale wyczuła. O słońcu, że się ma ukazać, szemrało coś w białej mgle. Niewidoczni poprzednicy różanej jutrzeńki wirowali wśród szarych pasem; gdzie przeszły z radosną nowiną, tam robiło się jaśniej. Gdy w locie dotknęły wody, fala leciuchno błysnęła zmatowionem srebrem. Złoto, drogie kamienie miały przyjść potem, tymczasem spokojne błyski srebra zapowiadały przyszłe bogactwo fali. Moment dokonywanego aktu w naturze, mistyczna chwila budzenia się poranku roztaczała poważną ciszę.

Ożywić naturę mogły tylko głosy, złane z nią, spojone nierozdzielnie: rozgwały ptasie i brzęczące korowody owadów. Ale rojne te gminy trwały jeszcze w uspieniu. Zaledwie gdzieniegdzie wśród gałęzi

zatrzepotały skrzydła budzącego się ptaszka, gdzieś gdzie lekkie bzyknięcie świadczyło, że powstający brzask wypełniał w zaciszne skrytki kory na drzewach, w zwinięte listki i w małe norki na piasku lub w trawie. Czasem wśród drzew zakwilił cichy głos, jakby obudzony ptak poziewał, strzepując resztę snu z powiek. Ale zwolna tych kwileń i bzykań było coraz więcej. Świat się ocknął, w nieruchomem powietrzu zadrgało coś, zakręciło się; wionęło. To wstająca jutrzeńka wysłała lekkie podmuchy różanych piersi na rozpędzenie mglistych pasem, szarych włókien, snujących się nad wodą, powtulanych w kępy drzew. Żwawe, rzeźkie oddechy spełniały swe zadanie. Jak dzwonek sygnaturki kościelnej porusza pobożnych, nagłąc do modlitwy, tak tu i tam kręcące się prądy rozsuwały czystą jasność dnia, budziły rozmarzone snem ptaki, motyle, nieprzejrzaną mgłą muszek i komarów. Szare wysłańcy świtu, uciekając przed wysłańcami dnia, przypadały do ziemi, wsiakały w trawę i drzewa, zamieniając się w gęstą wilgoć, jakby w lży żalu za tak krótkim panowaniem. Lekkie podmuchy rozpanoszyły się wszzechwładnie. W przejrzystem powietrzu nad wodą igrały swobodnie różne, wesole. Jednolitość nieba i wody znikła, przedzielał ją teraz duży szmat żółtego ugoru za jeziorem i widna z daleka czarna aksamitka lasu.

Woda marszczyła się w drobniutką łuskę srebrną, coraz bardziej szlifowaną, coraz jaśniejszą, aż nagle sypnęły na nią cudne, różowe perły urjańskie i potop mieniących się opali. Niebo powitało jutrzeńkę rumianą, złocistą, młodą i wyspaną, świeżą i uśmiechniętą. Świat stanął, jak w złotej koronie. Delikatny róż rozbłysł na drgających listkach drzew, przesunął się na posępnych czubach świerków, załśnił atłasem na żółtym ugorze, czarną wstęgę lasu owinał różowo-błękitną niepochwytą iluzją. Śliczna jutrzeńka szła w górę nieba, rozsypując dokoła snopy promieni z boskich oczu. Świeciła, mieniła się, kąpała w wodzie, kraszac ją swym rumieńcem.

Świat zdumiał się! Chwilę stał oniemiały z zachwyty, poczem zerwał się dokoła głośny szum pochwalny.

Drzewa poruszyły czubami, zakołysały się liście, sypią roje różnobarwnych motyli. Zaintonowało kilka donośnych głosów ptasich i wnet zagrzmiała cała lutnia hucznie, wesole, triumfująco!

Wrzask ptaków, brzęk muszek i komarów, plusk wystrojonej fali — wszystko krzyczało, podając sobie wzajemnie wieść radosną:

-- Różowa pani na niebie... prowadzi słońce... Dzień, dzień! pogoda, radość!

I hymny, przepojone szczęściem, leciały ku niebu wysoko, a musiano je tam słyszeć, bo jasny strop nieba stawał się coraz błękitniejszym. Niebo uśmiechało się do ziemi, a ziemia, śpiewając, słała również swe uśmiechy.

Nagle po opalowej fali popłynęła rzeka roztopionego złota, złotem zaświeciły drzewa, złoto sypało się w powietrzu.

Wzeszło słońce! — piękne, majestatyczne, szczerozłote! Wrzawa powstała jeszcze większa, lutnia ptasia rozigrała się. Szczebioty, śmiechy, świsty, fruwanie, napełniły przestwory powietrzne, bijąc w złoty pył, którym przesiakły, jak w kastaniety. Wołania rwały się w górę.

— „Słońce, słońce, król nasz! Dzwonimy mu, śpiewajmy, niech świeci, niech grzeje, niech złoci. Król! król!“

A wspaniała, oślepiająca blaskiem tarcza królewskiego majestatu wznosiła się w górę poważnie, wolno, rozrzucając na ziemię miliardy iskier i błogosławiąc.

Urbi et orbi.

Stefcia spuściła głowę na piersi. Uśmiech radosny znikł z jej twarzy. Jakby na przekorę roześmianej naturze, dziewczyna posmutniała.

Siedziała na kamiennej ławeczce nad brzegiem jeziora, wtulona w zwoje brzoź. W nocy spać nie mogła i jeszcze przed świtem, w zupełnej północy, wyszła cicho z pałacu i przybiegła tu, na brzeg jeziora. Myślała o słońcu, czy wzejdzie.

Jej wieczór imieninowy zostawił coś niezatartego w jej duszy i myślach. Odczuwała, że jasność ta wschodzi w nią z innej, równie rozbudzonej światłości. Wiedziała, że jest świt, lecz jakiego dnia? Czy wzejdzie słońce, czy chmurny połysk stali? Ogarnęło ją zamyślenie i trwoga. Powoli mroki znikły i jej twarz jaśniała, w oczach coraz więcej błyszczało iskier, w duszy nadziei. Nieruchoma, zapatrzona i zasluchana w głosy natury od samego ich poczęcia, wchłaniała w siebie tyle barw, tyle złota, ile ich brała fala i kryształ powietrza. Aż rozjaśniła się promiennie, uroczyście.

Słońce wzeszło.

Razem z lutnią ptasią i ona wznosiła pieśni, choć milczące ale równie piękne. Natura powtarzała to, co się działo w jej duszy.

— Słońce, słońce! Czy dla mnie?

Znak zapytania zawisnął chmurą na świetlnym obrazie. Słońce wzeszło, brzmiały hymny radosne...

Ale czy dla niej?... czy dla niej?...

XXIV.

Wystawa! Magiczne słowo, ściągające do środowisk ludzkich — jeszcze więcej ludzi, do zbiorników cywilizacji, wyczynów kultury — jeszcze więcej dowodów pomysłowości ludzkiej i genialnych zdobyczy wiedzy. Rojne ulice wielkiego miasta wypełniły się podwójnie, w hotelach brakło mieszkań, w ogrodach, restauracjach, cukierniach — wszędzie brzmiał niezwykle gwar. Na dworcu kolejowym ruch ześrodkowywał się. Co chwila wpadały pod halę pociągi, wypełnione publiką. Głównie jednak znać było zwiększenie przyjezdnych w I i II klasie. Trzecia pozostała jednakowo pełna, bez różnicy. Czasem wysiadł ktoś z zielonego wagonu, dążący również na wystawę, jakiś skromny wystawca, lub kupiec inwentarza, mający dużo pieniędzy, a mało wymagań. Takich, którzyby jechali na wystawę dla przyjemności, tu się nie spotykało: do nich należały niebieskie i żółte bilety. Niezwykły, świąteczny charakter przybrało miasto. Dopomagała do tego śliczna pogoda. Wrzesień całe swe złoto jesienne sypał na strojne ulice, ogrody i przybrany we flagi plac wystawowy, — ciskał gorące, jasne smugi na twarze i stroje zebranych tłumów.

Środkiem głównej ulicy jechało wspaniałe lando, zaprzężone w cztery czarne, piękne araby. Uprząż lśniła od lakierów i nabijanych bronzów. Stangret i lokaj w pysznej liberji wyglądali typowo. W głębi, na ciemnokarmazynowych poduszkach landa, siedział Waldemar, wytworny, ubrany z pełną smaku elegancją. Często zdejmował kapelusz



Lucyna baronówna Elzonowska w stroju balowym.

na powitanie znajomych lub oddawał ukłony. Strojny zaprząg i strojna postać właściciela robiły wrażenie; na chodnikach rozlegały się pytania i odpowiedzi uświadomionych:

— Czyje to konie?... Kto to jedzie?..

— To z Głębowicz. Ordynat Michorowski.

— Ten magnat? On ma najwspanialszą stajnię na wystawie.

Waldemar jechał na kolej, gdzie miał spotkać dziadka i panie ze Słodkowic. Na dworcu była już panna Rita, Trestka i Wiluś. Ten gorączkowo chodził po peronie w oczekiwaniu pociągu.

Trestka żartował z niego, że opuścił kursa i tu przyjechał nie na wystawę, ale dla tego pociągu, jaki ma nadejść, i że z tęsknoty jest nieprzytomny.

Student odcinał się Trestce, jak umiał, lecz nie przeczył. Waldemar gryzł wasy. Drażniło go to. Ale gdy po danym sygnale wyszedł na peron i zobaczył Wilusia, który stał na samym brzegu asfaltu, wychylony naprzód i wpatrzony w zbliżający się pociąg, nie wytrzymał i przechodząc koło niego, rzekł z pewną ironją:

— Szkoda, że pan z bukietem nie wystąpił.

Student spojrział na niego żałośnie, spuścił oczy i poczerwieniał.

Pociąg wpadł pod halę dworca. Waldemar szedł wolno i przeglądał okna pierwszej klasy. W jednym błysnęła twarzyczka Luci, potem ukazali się: pan Maciej i pani Idalja. Waldemar zaniepokojony wskoczył do środka, zanim jeszcze pociąg stanął, Stefcia, pochylona nad ławką, zawiązywała jakąś paczkę. Ordynat szybko podszedł do niej, podał sobie ręce w milczeniu. Spojrział głęboko w jej oczy i przycisnął do ust jej rękę. Stefcia oblała się rumieńcem, jak ogniem. Ten cichy hold jego wstrząsnął nią. Lucia, widząc to, już się nie zdziwiła. Panna Rita, Trestka i Wiluś weszli równocześnie. Zaczęły się przywitania i głośna urywana rozmowa.

Niedługo potem po głównej ulicy toczyło się znowu lando ordynata, wiozące pana Macieja, baronową, Lucię i Wilusia Szeligę. W drugim powozie parokonnym, także z Głębowicz, jechała panna Rita ze Stefcia, Waldemar i Trestka. Rita mówiła:

— Wie pan? moje konie robią wene. Pańskich nie prześcignęły, ale jednak są na wysokości..

— Moich koni, czy aspiracji pani?

— Złośliwy! Do pańskiej stajni jeszcze nie dorosłam.

— Zabawne zestawienie!

— A ja jestem szczęśliwy, że żadnej szkapy nie przyprowadził — rzekł krzykliwie Trestka.

— Tak, to zwiększa pańskie szanse — zauważył z uśmiechem Waldemar.

— Właśnie o to mi chodziło.

Panna Rita utkwiała w nich obu ostry wzrok, który jednak nie miał własności zabójczych, bo się panowie tylko uśmiechnęli, zamiast przstraszyć.

— O co to panu chodziło? i o jakich to szansach pan mówi, panie ordynacie?

Waldemar zrobił komicznie poważną minę.

— Ja mówiłem o wyścigu hipicznym, łaskawa pani sportsmenko.

— Jakto?

— Bo każdy z nas może wyścig przegrać, a kto koni nie posiada, ten ma zawsze szansę wygrania przez to samo, że nie będzie grał.

— Paradoks! A pan?

Trestka był zaskoczony.

— Ja? Ja mniej więcej to samo, co ordynat.

— Mój kochany panie, pozwól sobie na większą odwagę — zaśmiał się Waldemar.

Panna Rita wzruszyła ramionami i zawołała do Stefci:

— Co pani sądzi o tych oto panach?

— Że są w jakimś konflikcie z panią i że się państwo wzajemnie nie rozumiecie.

-- Ech! nie powiedziała pani tego, czego chciałam.

W hotelu zebrało się już całe towarzystwo. Po powitaniach i przebraniu się, wszyscy zeszli do dolnej sali restauracyjnej na śniadanie.

Było osób do dwudziestu. Dość ładna, lecz nie europejska sala przybrała natychmiast wygląd bardziej zachodni. Księżna Podhorecka i Maciej Michorowski nadawali główny ton zebraniu. Waldemar uświetniał je; zresztą wszystkie twarze rozpromienione, brzydsze lub piękniejsze, ale przeważnie rasowe, miały pewną cechę wyłączną. Gustowne uczesania i stroje pań, przy mniej lub więcej wytwornych postaciach męskich, tworzyły całość zupełnie cywilizowaną i bardzo estetyczną. Ale w mieście tem nie wszyscy byli oswojeni z towarzystwem tego pokroju, zwłaszcza tak licznem: kilka osób, siedzących przy stolikach, po wejściu i rozlokowaniu się patrycjatu, cichaczem wyszło do drugiej sali.

Wesołość zapanowała niezmacona, lecz utrzymana w tonie zastosowanym do stylowych postaci głównych: księżnej i pana Macieja.

Nie przeszkadzało to młodym bawić się z bujną swobodą. Sala, trochę za ciasna i za mało wykwintna, nieźle się jednak nadawała do utworzenia całości przygodnie wystarczającej. Kieliszki były z mienniejszego kryształu, choć restaurator powyciągał, co miał najlepszego, ale wina lały się dobre, a szkło, byle napełnione klasycznie i przy ożywionej temperaturze, dźwięczy zawsze jednakowo.

XXV.

Wszystkie pawilony wystawy brzmiały życiem.

Mijały się z sobą rozmaite światy, różne sfery jedną pchane myślą: obejrzenia co najciekawsze. Ścierały się dysputy, największe tłumy dążyły na główny plac do rotundy drobnego przemysłu, ubranej w wieńce i chorągiewki, a przy wejściu w cieplarniane rośliny. Tam panowała zupełna rzeczpospolita. W dziale wyrobów wełnianych i hafciarskich aż mieniło się od jasnych sukien kobiecych. Płeć piękna otaczała gromadnie drewniane lalki, na których pozawieszano trofea jednego z pierwszych magazynów strojów damskich. W jakimś kącie przyjezdny kupiec sprzedawał jaskrawe hafty wschodnie. Tam znowu piętrzyły się koszyki, koszyczki, bombonierki z gładkiej i malowanej słomy. Dział stolarski miał kilka pysznych okazów, ozdobionych wypalaniem i ręczną malaturą.

Wszędzie gwar, huk ludzkiej fali, tysiące krzyżujących się rozmów. Często zwiększały hałas próbne pasaże na licznie tu wystawionych fortepianach. To amatorzy, próbując instrumentów, wygrywali przygodne

marsze ku uciesze tłumów. Tam znowu brzęczy pianola, lub cicho piszcza skrzypce. Szum, zamieszanie, istna wieża Babel.

W innych działach ciszej. Pawilon pszczelarski w kształcie ula, pawilon rybołówstwa, kwiaciarstwa i jedwabnictwa, wszystkie rojne i gwarne, ale z cechą wyłączną. Tam dążyło więcej starszych pań, gospodyń wiejskich. W dziale drobiu, ponad głosy ludzkie, wzbijały się liczne gęgania, gdakania, wrzaski perliczek, przeciągłe krzyki pawi, przy akompaniamencie trzepotania skrzydeł. Z dalszych klatek dochodziły monotonne, poważne chrapania i piskliwe głosiki trzody chlewniej. W pewnym oddaleniu, widne z daleka, piętrzyły się kolorowe maszyny krajowych fabryk. Głuchy turkot potężnych motorów ściągnął specjalistów: płynęły tam przeważnie męskie kapelusze, rozmowy prowadzone cichsze, fachowe, jakby te olbrzymie maszyny i ruch pasów przytłaczał ludzi mimowoli.

Tam, pomiędzy innymi, siedł Waldemar Michorowski, prowadząc panny, którym objaśniał poszczególne działy. Panna Rita, Stefcia i Lucia niosły wiązanki kwiatów, ofiarowane przez ordynata w dziale kwiaciar skim. Stefcia dostała pęk żółtych złocieni.

Weszły i zatrzymały się oszołomione ogromem jakiejś potęgi. Ogromne lokomobile i motory przykuwały wzrok do siebie. Wszystko było w ruchu choć szybkim, jednak z tą charakterystyczną ciszą dobrego mechanizmu. Stefcia i Rita nie prędko wyszły z pod furkających pasów: obie lubiły ten rodzaj wytwórczości ludzkiej, ogarniało je wrażenie siły. Maszyny imponowały jakby żywe jakieś twory. Waldemar objaśniał.

Mówił dobrze, ściśle i ze znajomością rzeczy. Dysputował trochę z Trestką i ze specjalistą firmowym. Pokazywał, jakich systemów maszyny ma w Głębowiczach. Stefcia była zachwycona, ale Lucia zaczęła nudzić:

— Chodźmy już stąd. Ciągle mi się zdaje, że mi jaki pas zleci na głowę i że rozedrę suknie o te żelastwa.

Przeszli do działu powozów i uprząży. Luci tu się więcej podobało.

— Waldy, kup do Słodkowic karete — zawołała.

— Do Słodkowic? Przecież są dwie.

— Tak, ale twoje, a ja chcę żeby mama miała swoją.

— Ma swoje lando i powóz. Jak będziesz wychodziła za męża, to ci karete angielską zafunduję.

— Taką, jak w Głębowiczach?

— Taką samą.

Stefcia i panna Rita oglądały damskie siodła. Jedno podobało się najwięcej: całe z jasnego zamszu, uzdeczki, naczolniki i pejcz nabijane srebrem, czaprak z błękitnego aksamitu, z wyhaftowanym srebrnym szlakiem.

Panna Rita spytała o cenę. Była bardzo wygórowana, ale Waldemar osadził przeciwnie i siodło kupił.

— Czy to dla przyszłej ordynatowej? — spytała Rita — bo ma pan pyszne siodła damskie w Głębowiczach...

— To przeznaczam do Słodkowic.

— Dla kogo?

— Dla panny Stefanji.

— Ależ ja prawie nie umiem jeździć! — broniła się Stefcia.

— Będziemy się uczyli.

Rita zaśmiała się nerwowo.

— Pan jest dziś un vrai chevalier de la générosité! Ofiarował pan Łuci karete, pannie Stefanji siodło, niechże pan i o mnie raczy pamiętać. Polecam się łaskawym względom.

— Dla pani wolę zaraz coś ofiarować — odpowiedział zaatakowany wesoło.

— Ciekawam!

Ordynat odszedł w inną stronę i po chwili wrócił z piękną pejcą wytwornej roboty, z rączką oplecioną srebrnym drutem.

— Służę pani — rzekł, oddając ją z ukłonem pannie Ricie.

— Dziękuję! Czy to na pana?

— Ha! jeśli zawinię względem pani.

— Zawinił pan, ale, niestety, prawo kary nie należy do mnie.

Obeszli jeszcze kilka ciekawych działów. Byli w psiarni głębowickiej, obsługiwanej przez rój psiarczyków w ciemno-żółtych kurtkach, w palonych butach i pasach. Na głowach mieli płaskie brązowe czapeczki. Panował tam skowyt, harkot, piskliwe ujadanie szczeniąt i moc głosów, po których znawcy odróżniają gatunki. Odznaczały się pięknnością jamniki, psy gończe i charty. Wielki dog ordynata, Pandur, chodził swobodnie w ozdobnej, oksydowanym srebrem okutej obroży. Gdy weszła Stefcia, pies pobiegł w twich skokach i poufale wsparł się na niej potężnymi łapami.

— Jak on panią poznał — szepnął wzruszony tą sceną Waldemar.

— O! bo my jesteśmy w przyjaźni!

— Chodźmy do koni! — zawołała panna Rita.

W stajniach spotkali znajomych panów. Konie ordynata miały powodzenie. Przed stajnią starszy stajenny trzymał za uzdę Apolla, otoczonego gromadką znawców. Objasnienia dawał główny koniuszy głębowicki z pomocą kilku masztalerzy, inni panowie oglądali klacze, przeprowadzane przez stajennych w ciemno-ponsowych kurtkach i białych pantalonach; ci mieli czarne buty z nakolennikami, wysokie kaszkiety ze złotym lampasem i mitrą nad paskiem. Dalej stały konie panny Rity, a wśród nich główną uwagę zwracał rosły folblut angiik Buckingham. Rita mówiła, że na tego konia liczy najwięcej. Istotnie dorównywał on pięknnością folblutom ordynata.

Panie, słysząc specjalną rozmowę przy stajniach, cofnęły się. Do Waldemara podszedł jakiś wysoki po sportsmeńsku ubrany pan i, zdejmując kapelusz, przemówił grzecznie:

— Panie ordynacie, chcieliśmy zapytać pana o tego ogiera Apolla. Wszak to czysta rasa?

— Pełna krew, importowany wprost z Arabji jako źrebak. Ale.. wybaczy pan, że teraz mówić o tem nie mogę: jesteśmy z paniami.

--A... przepraszam, bardzo przepraszam!

— Bliższych szczegółów udzieli panom mój koniuszy i przedstawi papiery Apolla. Ale koń nie jest na sprzedaż.

Sportsman dotknął kapelusza i cofnął się z ukłonem. Ordynat i panie obejrzeni jeszcze kilka stajen; dochodzili do obór.

— Czy bydlą panie nie są ciekawe? — zapytał Waldemar.

— O nie! — zawołała Rita — wracajmy do Idalki. Zemdlity ją pewnie te wędliny.

Pani Idalja była ekspertką wędlin i serów, uproszoną przez komitet wraz z innymi paniami. Hrabina Cwilecka prowadziła ekspertyzę koni-

fitur i win, młoda księżna Podhorecka najrozmaitszych wódek, miódów i nalewek. Wszystkie siedziały w obszernym pawilonie wytworów wiejskich, ładnie udekorowanym. Towarzyszyło paniom kilku mężczyzn. Baronowa próbowała wędlin, podawanych jej na talerzykach z kartkami producentów i wygłaszała swe zdania.

Dużo przytem było żartów, ale czysto spiżarnianej rozmowy. Hrabina Ćwilecka z pod oka patrzyła na Stefcie i na złocienie w jej ręku. Gniewał ją ordynat, towarzyszący tej „nieciekawej trójce“ — liczyła w to pannę Ritę i Lucię.

Pani Idalja, ujrawszy ich, rzekła:

— Pewnie się lepiej od nas bawicie, bo ja już jestem horriblement fatiguée.

— Niech panie zmieniają wędliny na konfitury, a wujeneczka niech od nalewek przejdzie do serów — żartował Waldemar.

— Dobra rada! a potem ty nas będziesz cucił, bo po takiej zmianie rozchorowałabym się napewno.

— Jakże panie znajdują owe produkty?

— Są przeważnie wyborne. Zwłaszcza wędliny zasługują na uznanie.

— To dowodzi, że dobrych gospodyń u nas nie brakuje. Ma to dla kraju utylitarne znaczenie.

Jeden z panów zwrócił się do Waldemara:

— O ile się nie mylę, i pan, panie ordynacie, jest ekspertem.

— Tak, panie: narzędzi rolniczych, bydła i koni.

— I jak pan opinuje?

— Że maszyny i kultywatory nasze robią olbrzymie postępy. Wprawdzie nie doścignęły jeszcze zagranicy, ale to wada nieustalonego systemu, brak intensywności w wykonaniu. Wina ta ciąży i na obywatelach, odbiorcach. Zanadto wierzymy w zagranicę: co zagraniczne, zyskuje uznanie, a co nasze, najczęściej ironiczny śmiech. Ale śmiać się łatwo, trudniej działać.

— Więc pan przeciwny jest maszynom zagranicznym? — spytał ktoś z grupy panów.

— Bezwarunkowo, ale w naszym kraju. My powinniśmy przede wszystkim dbać o to, aby własną glebę uprawiać własnymi narzędziami. Im większy będziemy kładli nacisk, tem ten nacisk da lepsze wyniki. Wówczas nasze fabryki zrozumieją, że trzeba postępować, bo jest dla kogo. Zwiększy się zdolność producentów, gdy się konsumcja rozszerzy. Lecz nie prędko to nastąpi, mamy bowiem zbyt wielu starowierców Zachodu, którzy są ślepi i głusi na nasz postęp.

Wtrąciła się hrabina Ćwilecka:

— Zapomina pan, że zagranica daje nam to, czego w kraju znaleźć nie możemy, każdy zaś woli zagraniczne jedwabie, niż miejscowe drelichy.

— Dobrze! ale niech pani stale kupuje drelichy i rozszerzy ich wytwórczość — mówię w przenośni — a z czasem dojdziemy do jedwabów. Jest to w naszej mocy.

— To też pan stosuje u siebie swoje poglądy, słyszałam — odrzekła z ironją.

— Tak, stosuję i dobrze na tem wychodzę, a majątki moje choć mają wygląd zupełnie europejski, lecz przedewszystkiem nasz własny.

i tem się cieszę najwięcej. To jawny dowód, że przy dobrych chęciach rezultaty być muszą.

— Jednak dawniej zagranicą pan nie pogardzał, częściej przebywając tam, niż tu.

— Nie przeczę! Nietylko przebywałem, ale i hulałem tam. Lecz gdyby nie te lata, nie miałbym dziś obecnego poglądu.

Hrabina umilkła zaczerwieniona z gniewu. Nie wiedziała już co odpowiedzieć. A panna Rita utkwiała w niej złośliwo-szydercze spojrzenie, które hrabinę ubezwładniło zupełnie.

— Dzięki swym podróżom, znam główne źródła cywilizacji zachodniej i śmiało twierdzę, że powinniśmy iść z nią w zawody, badać pilnie dodatnie strony i stosować je u nas, bo nauka i wynalazki są dla wszystkich. Nie powinniśmy tylko oddawać obcym pieniędzy, malować się ich farbami, bo to co innego i to zabija naszą indywidualność. Wytwarzajmy u siebie nie surogaty, ale rzeczy doskonałe, a przekonamy się, że i u nas głów ani rąk nie zabraknie. Będzie nam brakowało jedynie wytrwałości i patriotyzmu, tego zaś nauczyć się możemy w pogładowych lekcjach od Niemców i Anglików. Wiele punktów cywilizacji z trudnością da się u nas zastosować, lecz motorem do tego kultura i zawsze kultura. Gdy ona stanie się postulatem całego narodu, osiągnięcie celu już niedalekie.

Trestka obudził się z zamyślenia.

— Ordynat ma rację. Póty będziemy pogrążeni w ciemnościach, aż elektryczność u nas stanie się jak zapalki.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Waldemar zawołał:

— Brawo, panie Trestka! jesteśmy więc skazani na długie ciemności. Ale domyślam się, mówiłeś pan pod przerośnią do oświaty i kultury naszej. Nie świecimy elektrycznie, ale i nie zapalkowo; jedynie w pewnych okolicach lud nasz poprzestaje na owem mdłym światełku.

— Żle się wyraziłem. Mniejsza o to! Właściwie chciałem powiedzieć co innego: i to o postulatach. Gdyby wszystkie postulaty miały doprowadzać do celu, musiałbym dostać złoty medal za swoją oborę, a tymczasem przeczuwam, że czeka mnie najwyżej list pochwalny, i to wątpliwe.

— Owszem, osiągnąć pan może złoty medal, ale później. Hodowlę prowadzi pan zaledwo od paru lat. To za mało!

Stefcia szepnęła cicho do Rity:

— Pan Trestka ma inne ważniejsze postulaty i również czeka złotej nagrody.

— Dostanie, jak zawsze, grochową.

Trestka zauważył ruch Stefci i, domyśliwszy się treści jej słów, kiwnął zabawnie głową w jej stronę.

— Wiem, co tam pani przeciw mnie knuje, ale to już przestaje być mojem dążeniem.

— Bardzo szczęśliwie, jak dla mnie. Ale i medalu za oborę pan nie dostanie. Ja w tem!

— Szczęściem nie pani jest ekspertem, tylko ordynat.

— A propos! jak pan znajduje hodowlę bydła i koni? — spytał znowu Waldemara jeden z panów.

— Znakomicie! Wśród bydła i koni są okazy najróżnorodniejszych ras. Odznaczają się doskonałością linii i świetnem utrzymaniem. Tu widoczna intensywność chowu.

— A dlaczego pan nie ma obory głębowickiej?

— Miałem na poprzedniej wystawie w M.

— Pańska obora dostała wówczas złoty medal, pamiętam. Dziś za konie i zboże dostanie pan znowu medale, a ja pracowałem nad swoją oborą i nic — narzekał Trestka.

— Cierpliwości, panie!

— E! pan też niewiele jej zużył, nie siedzi pan wieki w Głębowiczach?

— Ale ma miliony i energję — podchwyciła panna Rita.

Waldemar z uśmiechem ukłonił się jej.

— Za ostatnie dziękuję.

— Za energję?... To każdy wie!

— Tegoroczna wystawa ma jednak okazowe działy — odezwał się książę Giersztorf, starszy człowiek, mocno już posiwiały.

Waldemar poruszył głową.

— O tak! bardzo pocieszający fakt i obiecujący — rzekł z żywością. — Niektóre działy dowodzą, że nasz krajowy przemysł ma wielkie dane do rozwoju, nawet szybkiego. Zdolność w narodzie jest, nie zbywa na dobrych chęciach i pomysłowości. Tylko, jak zawsze, brak szerszej kultury ekonomicznej, głównie u niższorzędnych producentów, oraz inicjatywy, płynącej z wyższych sfer. Potrzebna solidarność, a wyniki na przyszłość zapowiadają się bardzo dobrze. Nasze towarzystwo rolnicze powinno się zająć owym rozwojem z pomocą obywateli, zachować moralną i ekonomiczną jedność, uświadamiać włościan. Lecz, aby utrzymać podobny system, pożądanem byłoby jak najmniej akcji starowierców zachodu, obracających się do nas plecami i zapatrzonych w genjusz obcych narodów. Oni brózdzą, zawiele mają cudzych blasków w oczach, aby patrzeć na szarzyznę swego kraju.

Książę zatarł ręce.

— Zawsze to samo mówię. Jest to punkt najważniejszy. Nie może być solidarności tam, gdzie nie wszyscy są ożywieni jednym duchem patriotycznym. Zwłaszcza między nami zdarzają się najczęściej zachodowcy, całkiem egzotyczni. Ci na nasz kraj nie mogą mieć dodatniego wpływu, raczej ujemny, zarażający innych obywateli. Prezes hrabia Moręski jest owiany tym samym duchem. Zresztą człowiek to bardzo wiekowy. Towarzystwo wasze rozwinęłoby skrzydła wówczas dopiero, gdyby berło oddało w twoje ręce, panie ordynacie. Tak dzielnych ludzi, jak ty, mało mamy w kraju.

I książę z uznaniem podał rękę Michorowskiemu.

On skłonił się, ścisnął dłoń księcia, którego bardzo wysoko cenił.

— Wdzięczny jestem księciu za jego opinię o mnie, ale hrabia Moręski mógłby jeszcze wiele dobrego zdziałać. To człowiek zdolny, tylko poddający się wpływom. Gdyby nie te wpływy, wszystko poszłoby inaczej. Książę mógłby się podjąć tego zadania.

— Ja jestem za stary. Gdybym miał takiego syna, jak pan wówczas...

Dalszą rozmowę przerwało wejście koniuszego z Głębowicz. Był to postawny szlachcic, strojny jak na paradę. Mundur miał szamowany złotem i złote sznury na ramieniu, błyszczące botforty aż za kolana z ostrogami, zamszowe białe rękawice i wysoką czapkę z białym pióropuszem. Wszedł, ukłonił się po wojskowemu i sprężystym krokiem zbliżył się do Waldemara.

— Proszę pana ordynata, przyszli do naszych stajen panowie eksperci.

— Idę natychmiast. Czy kapy z koni pozdejmovane?

— Wszystko w porządku.

— Dobrze! Proszę, niech Badowicz idzie, ja zaraz na niego idę.

Koniuszy uklonił się i wyszedł z pawilonu również majestatycznie, jak wszedł.

— No! złoty medalik brzęknie w pańskiej stajni — zawołał Trestka.

— Któż może wiedzieć? Ale jestem dość pewny swych koni.

Trestka pokiwał żałośnie głową.

— On może być pewny!

Po odejściu ordynata, książę Giersztorf zwrócił się do pań:

— Przeszkodził mi paniom w ekspertyzie, ale z ordynatem rozmawia się tak ciekawie, że chyba i panie nie są zbyt poszkodowane.

— Odetchnęłyśmy, zawdzięczając panom — rzekła uprzejmie baronowa Elzonowska.

Książę zacięrał ręce.

— Ale ordynat! — mówił, kręcąc głową. — Gdyby nam więcej takich, lecz.

Książę machnął ręką w sposób wiele mówiący.

XXVI.

Na wielkim placu popisowym, w środku wystawy, zebrały się tłumy publiki. Miał być wyścig hipiczny. Dokoła barjery, otaczającej hipodrom, falował gęsty wianek strojów męskich i kobiecych. Poza tym ruchomym i barwnym pasem wznosiły się trybuny, udekorowane w festony i chorągiewki. Bliżej wysunięte łoże błyszcząły świetnymi ubiorami pań, szumiące z lekka gwarem rozmów, przeważnie prowadzonych w językach cudzoziemskich. Zebrała się tu sama arystokracja — wyborowe towarzystwo, strojne, rozbawione, z pewną odrębną cechą, znamionującą wysokie sfery.

Z pod koronkowych obszyć wysuwały się białe ręce w eleganckich rękawiczkach lub obnażone i pokryte klejnotami. W uszach świeciły brylanty, na piersiach połyskiwały złote łańcuchy. Pyszne kapelusze wznosiły się dumnie na pysznych uczesaniach. Oczy błyszcząły, uśmiechały się usta. Pełno było cichych rozmów i błyskotliwych dowcipów. Strojne, pachnące i rozbawione łoże w ogólnym zarysie miały wygląd piękny i spokojniejszy; zagłuszał je huk na innych trybunach i ruchoma fala publiki pieszej. Wyścig się rozpoczął.

Od stajen zbliżały się do startu eleganckie sylwetki jeźdźców na rasowych koniach. Skupiał ich przed sobą książę Giersztorf, ubrany w cylinder i długie palto z polami. Trzymał on kartę z wyliczeniem nazwisk jeżdzących panów, oraz ich wierzchowców i według spisu puszczal na tor. Wyjeżdżali po czterech. Konie szły z wdziękiem, brały przeszkody z mniejszym lub większym powodzeniem, ogólnie jednakże dobrze. Czasem odsunęła się deska z przeszkody, zaczepiona kopytami, ale nim drugi jeździec nadjechał, stajenni naprawili barjerkę. Orkiestra na osobnej estradzie ożywiała i tak już szeroko płynące humory.

W jednej z większych łoż znajdowało się towarzystwo ze Słodkowic, księżna Podhorecka i Rita, strojna, świetna, ale niespokojna. Na

jej koniu miał jechać Wiluś. Panna Rita była, jak w gorączce. Siedziała obok Stefci i zaczęła jej się żalić:

— Czy tylko Wiluś weźmie przeszkodę?

— Chciałby napewno, zależy to od konia — odparła Stefcia.

— Dużo zależy! zwłaszcza, że Wiluś niezbyt świetny jeździec. Przytem i Buckingham ma swe narowy.

— Czemuż nie jeździ kto inny? Naprzykład pan...

— Trestka zapewne? O, dziękuję! Znarowiłby mi konia. Zresztą... nie chciałam. A Wiluś uparł się. Nauczyłam go tylko, jak ma postępować z Buckinghamem.

— Uważajcie panie, ordynat wyjeżdża! — zawołał, wychylając się z następnej łoży, baron Weyher.

Stefcia zwróciła oczy na tor i całą postacią podała się naprzód. Wyglądała ślicznie w kremowej sukni i strojnym białym kapeluszu. Nie miał na sobie żadnych błyskotek, tylko wpięła do stanika parę herbacianych róż. W innych łożach siedzące panie przyglądały jej się natarczywie. Niektóre dziwił poufały stosunek jej z panną Ritą, serdeczność pana Macieja, Luci i nawet zwykle mało przystępnej pani Idalji. Ta młoda dziewczyna z nazwiskiem nie „z towarzystwa“, a wesola, rozmowna, dowcipkująca śmiało z Trestką, który miał sławę zagorzałego sferowca, zaciekawiała, nawet gniewała. Była dobrze ubrana, ładną i nie razila niczem, prócz nazwiskiem, lecz to wystarczyło, by spoglądać na nią z ukosa. Ale Stefcia nie dręczyła się tem. Miała poparcie w licznych gronie z okolicy Słodkowic, a że wiele z tych osób uważano powszechnie za najpierwsze w wysokich sferach, więc czuła się swobodną, pomimo nieprzychylnych spojrzeń innych. Teraz, kiedy wychylona z łoży spoglądała na tor, nikt na nią nie patrzył. Każdy był zajęty tem samem.

Od startu ruszyło czterech jeźdźców: Waldemar, Trestka, młody Żnin i Brochwicz. Wszyscy na koniach ordynata, on sam na Apollu. W obcisłym ubraniu i żółtych sztylpach, w białych rękawiczkach, miał w swej postawie dużo klasycznej dzielności przy pewnem zaniedbaniu. Siedział jak przymurowany na koniu, z zimną krwią i wielką pewnością siebie. Spokojnie normował rozgorączkowanego wierzchowca. Był wspaniały. Trestka siedział i jechał pretensjonalnie, klnąc i wciąż majstrując koło binokli. Żnin miał minę znudzoną. Brochwicz najwięcej zbliżał się podobieństwem do Waldemara, tylko tamten go przewyższał. Bieg się rozpoczął. Chociaż wszyscy czterej równocześnie ruszyli, Apollo natychmiast wysunął się naprzód. Brał przeszkody z fantazją, bez trudu, jak piłka podrzucona w górę przez rakieta. Przejeżdżając w cwale naprzeciw łoż, Waldemar zręcznym ruchem uniósł w górę kapelusz. Odpowiedziało mu gorączkowe powiewanie chusteczkami zachwyconych pań. Stefcia ani drgnęła, tylko na twarzy jej wykwitły silne kolory i oczy pociemniały od wewnętrznego wrażenia.

Podobał się ten świetny jeździec. Cała jej dusza rwała się do niego, tysiące słów wyrывało się na tor, ale usta milczały. Siedząc bez poruszenia, mówiła: „Nie można“. Tym jeźdźcem był Waldemar Michorowski, ordynat głębowicki, pan z panów, magnat jeden z najpierwszych w kraju, noszący starożytnie nazwisko, opromienione mitrą książęcą w herbie, w aureoli nieprzejrzanych szeregów hetmanów, senatorów, kanclerzy i wojewodów. A ona Rudecka — ze starej i dobrej szlacheckiej rodziny, z rodziny bez skazy, ale tylko Rudecka. Budził się w niej

bunt, zadawała sobie pytanie, dlaczego i ona nie może okazywać mu swych uwielbień, jak panie z arystokracji. Na trybunach, zajmowanych przez inteligencję, nie arystokrację, panował również zapał, wzbudzony ukazaniem się ordynata, a nawet i w tłumie, okalającym hipodrom. Ale Stefcia czuła, że będąc tam, szczerzej mogłaby objawiać swe zachwyty. Tu — nie wolno jej...

Konie obiegiły tor dwa razy. Wszystkie przeszkody wzięto dobrze, przed ostatnim biegiem Waldemar dał rozkaz podwyższenia barjerek. Przebiegając koło startu, porozumiał się z towarzyszami. Żnin i Brochwicz przyjęli zmianę, tylko Trestka zląkł się.

— Czy pan jest pewny Salamandry? — zapytał ordynat.

— Jej — tak! ale skoro pan siebie nie pewny...

Konie się rozniosły. Trestka wstydził się pozostać, lecz nie ufał sobie.

Podwyższone barjery zrobiły wrażenie w lożach. Pan Maciej obawiał się wyraźnie. Stefcia drżała, panna Rita była wprost zaciwyciona.

Ruszyli. Waldemar jechał na czele.

Pierwszy skok... Dobrze! Apollo przez mgnienie oka zawisł w powietrzu, spadł lekko na ziemię i pomknął rażno.

Druga przeszkoda... Dobrze!

Trzecia, czwarta... Doskonale!

Apollo szarżował dzielnie, pierwszy dopadł do startu.

Książę Giersztorf wieszował, z łóż brzmiały brawa. Wszystkie konie ordynata popisały się dobrze, ale najlepszym jeźdźcem był sam ordynat: potrafił kierować wierzchowcem swobodnie i zręcznie. Apollo fruwał nad barjerami lekko, bez wysiłku. Żnin i Brochwicz przesadzali sztywniej. Trestka na Salamandrze, ślicznej gniadej wierzchowce ze Słodkowic, jadący na końcu, zaczepiał o każdą barjerę, gdyż ścigał nadmiernie cugle, widocznie bojąc się. Rasowa klacz cierpiała nad swem upokorzeniem, szła wdzięcznie, płynnie i czuła się na siłach zawisnięcia w powietrzu. Ale obawa jeźdźca udzielała się i jej. Ściągnięta w pysku, traciła pewność siebie, gorączkowała się, za każdym uderzeniem kopyt w deski barjerek drżała nerwowo, zdwajając pęł. Przed nową przeszkodą wznosiła głowę do góry, jakby z dumą i zapowiedzią, że teraz już weźmie, że się wyzbyła lęku, że okaże swe zdolności. Ale Trestka, przestraszony widoczną determinacją klaczy, ścigał gwałtownie cugle, zaciskał kolana i kopyta uderzały w deski. Tak dopadł do startu.

— Szlachetne zwierzę, ale słaby jeździec! — odezwał się dość głośno książę Giersztorf.

Waldemar zły, podsunął się do Trestki i rzekł z wymówką:

— Panie, trzeba mi było uprzedzić, że pan się obawia. Ostatniego biegu mógł pan nie próbować.

— Ale ba! wszyscyście lecieli na złamanie karku, ja sam cofnąć się miałem? Ta pańska szkapa warta kuli w łeb. Myślałem, że mnie diabli wezmą. Ja te uderzenia dotąd czuję w głowie.

Wtracił się książę „starter“:

— Klacz dobra, tylko pan nie nadaje się do arabów, panie hrabio. Nie trzeba się było afiszować. Mógł pan zresztą jechać na folblucie, może angielska krew prędzej pasowałaby do pańskiej gorączki. A tak wyszło fiasko!

Trestka zrzucił binokle.

— Nie mam weny, c'est sur! To mnie pociesza, że pewno nikt na mnie uwagi nie zwrócił. Byli lepsi!

— A panna Szeliżanka — zapytał Brochwicz.

— Ech! może nawet nie widziała, że jeżdżę.

Na drodze do stajen konie musiały iść wolno, gdyż tłumy publiki cisnęły się, by lepiej widzieć wracających jeźdźców. Jakaś młoda osoba, niezłe ubrana i przystojna, patrzyła chciwie na ordynata i w chwili, kiedy koń jego przechodził obok, zawołała dość głośno:

— Jaki dzielny i jaki piękny!

Waldemar, chociaż zamyślony, usłyszał i spojrzął na nią z rozstąpieniem; widząc zachwycony wzrok, utkwiony w siebie, uśmiechnął się, zrobił mimowolny ruch ręką do kapelusza, co nieznaną panią zachwyciło jeszcze więcej. A on spoważniał. Przyszło mu na myśl: czy też Stefcia widziała go dobrze i czy jej się podobał. Poczem szepnął do siebie w duchu:

— Zaczyna interesować mnie własne powodzenie? Nadzwyczajny objaw!

I lekko wzruszył ramionami.

Rozpoczął się nowy bieg. Teraz pomiędzy innymi jechał Wiluś na Buckinghamie. Zniżono barjery do dawnej wysokości. Panna Rita, stojąc w łoży, niespokojna, drżąca, cisnęła przez zęby:

— Buckingham wiałby wyższą przeszkodę, ale nie z Wilusiem. Byłoby tak, jak z Trestką.

Cały czas stała wychylona, przed każdym skokiem koni krzywiła twarz, jakby doznając fizycznego bólu. Ale bieg udał się. Wiluś przesadził i jechał śmiało, z dobrą miną, rzucając ukośne spojrzenia na łożę, w której siedziała Stefcia. Walczył pod jej sztandarem.

Gdy bieg się skończył, Rita odetchnęła.

— A co! Wiluś a de la chance! Trochę mi żal wyższych przeszkód, ale taką wysokość mogły brać jedynie konie ordynata, znakomicie trenowane. Weźmie złoty medal, bez kwestji.

— A pani? — spytała Stefcia.

Wtem obok ich łoży jakiś młody głos kobiecy przemówił po francusku. Jednocześnie rozległ się wesoły, kokieterystyczny śmiech.

Stefcia spojrzała w tę stronę.

Młoda panna, wysoka, śniada, bardzo piękna brunetka, ubrana strojnie, szła obok łoż w towarzystwie starszego pana i dwóch młodszych. W jednym z nich Stefcia poznała księcia Zanieckiego. Panna Rita wychyliła się także i z pospiechem odrzuciła w tył swą pyszną figurę, zagryzając wargi.

— To Barska z ojcem — szepnęła do Stefci.

Obie cofnęły się w głąb łoży. Hrabianka wstępowała na schody.

Pani Idalja witała pierwsza z wielkim wylaniem czułości, księżna Podhorecka uprzejmie, lecz poważnie, Lucja chłodno. Kilku panów z następnych łoż podniosło się, idąc z powitaniem i szablonowym uśmiechem na ustach. Hrabianka triumfowała. Panna Rita nachyliła się do Stefci i, udając, że nic nie widzi i nie słyszy, mówiła:

— Widzi pani ten tłum?... o! widzi pani?... Niech się pani nie ogląda... A co, dobrze idą konie?... Proszę słuchać, jak się rozczuła Idalka... jak dla własnego syna... Piękne konie!... Niech się nią nacieszy, ale nic z tego! Ach, ta wystawa!...

Stefcia słuchała ubawiona i, wpadając w ten sam ton, odpowiadała również bez sensu. Obie panny miały wygląd bardzo zainteresowany... wystawą.

Ale hrabianka, witając się, podeszła już zbyt blisko. Udawać dłużej było niepodobieństwem, zwłaszcza, że hrabia Barski zawołał głośno:

— Ah! mademoiselle Marguerite! Bonjour! zachwycąłem się Buckinghamem. Pyszny koń!

Panna Rita doskonale udała zdziwienie.

— Gdzież hrabia był? Nie widziałam go w łóżach!

— Byliśmy w łoży przy trybunie sędziów. Jest i Melanja. Otóż i ona.

Podczas powitania dwóch pań hrabia patrzył z ukosa na Stefcie, nie wiedząc kto to, i jak wypada się wobec niej zachować. Ale wyba-
wiła go z kłopotu panna Rita:

— Hrabia Barski... panna Rudecka.

Forma prezentacji sprawiła, że hrabia przywitał Stefcie, jak osobę „z towarzystwa” — nawet podobała mu się, ale w głowę zachodził, skąd ona jest. Zmarszczył brwi i przebiegał myślą Niesieckiego, szukając nazwiska Rudeckich. Hrabiankę i Stefcie panna Rita poznała również w sposób nie wzbudzający podejrzania. Hrabianka była wesoła, lecz jakby zaskoczona. Nie szperając w Niesieckim, jak ojciec, na równi z nim myślała, kto to być może. Ją przedewszystkiem uroda Stefci dotknęła niemile.

Rozmowa zaczęła się lekka, uprzejma, z obopólnym zaciekawieniem, lecz małą dozą sympatji. Zbliżenie się panów od startu zmieniło to, hrabianka skierowała ku nim całą swą postać, humor, dowcip. Ordynat miał powodzenie. Winszowano mu gorliwie, co go jednak nie wzruszało. Z konieczności znalazł się w orszaku hrabianki, wciąż przez nią zaczepiany. Trestka usiadł obok Stefci i Rity.

— Wszyscy chwalą ordynata, mogłyby choć panie mnie pochwalić — rzekł niby żartem, ale kwaśno.

Panna Rita wzruszyła ramionami. Stefcia zaczęła mu dowodzić, że gdyby nie nieszczęsna trema, wszystko byłoby inaczej.

— Ale wyglądał pan nieźle — zakończyła z komiczną powagą.

— Nieźle! dziękuję za łaskę, nie wysadziła się pani na komplement.

— Bo też nie miałam go na myśli.

— Ale za to pani robiła wene. Buckingham mógłby o tem coś powiedzieć, a nawet i Apollo.

— A pańska Salamandra? — podchwyciła żywo Stefcia.

— Salamandra nie darmo nosi swą nazwę: żaden płomień jej nie wzruszy.

— Tylko dobry jeździec.

— Sapristi! pani zaczyna być gorzką. Zawsze jednak jest pani szczerą, a to wolę od fałszywych pochwał, jakimi witała mnie hrabianka Paula, mrugając na tego osła Weyhera. Do diabła! przecież nie potrzebuję jej protekcji.

— Staje się pan niemożliwym, panie hrabio.

— Pardon! otworzyłem swój codzienny słownik, zapominając o obecności pań. Pardon!

Hrabia Barski śledził rozmawiających i, unatruwszy chwilę, spytał Zanieckiego poruszeniem brwi, wskazując na Stefcie:

— Qui est ça?...

— Nauczycielka i dame de compagnie małej Elzonowskiej, mademoiselle Stéphanie Rudecka.

Hrabia nasrożył się. Wielkie, okrągłe jego oczy zbieleły z oburzenia.

— Nauczycielka?... A cóż znowu ta Rita? Czy to szykana?...

Zaniecki z porozumiewawczym uśmiechem szepnął do hrabiego:

— Jest bardzo poważana. On l'accepte très bien, szczególnie starszy Michorowski i ordynat.

Barski rzucił na Zanieckiego bystre, niespokojne spojrzenie. Dumne usta magnata skrzywił ironiczny grymas.

— Ja uważam, że wszyscy. Que c'est ridicule! I skąd ona jest?...

— Córka jakiegoś obywatela z Królestwa.

— Ach! więc szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie? Minęły te czasy, a w rzeczywistości nigdy nie istniały.

— Mais elle n'est pas mal?

— Qui pas mal. Tylko ta Rita...

Hrabia skrzywił się, nie dopowiedziawszy myśli, że panna Rita popełniła wielko błąd w prezentacji. Bo można mieć wśród siebie wiele osób „innych“, zwłaszcza w miejscu publicznym, ale trzeba zawsze wiedzieć, kto kim jest. Hrabia zrobił ruch ręką, jakby mówiąc:

— Nie można zresztą tego wymagać od Szeligów.

I wielką swą głowę barską triumfalnie wznosił do góry.

XXVII.

Bezpośrednio po wyścigu odbyło się wręczanie nagród. Przed ładnym pawilonem wysoki dygnitarz miasta wygłaszał nazwiska nagrodzonych wystawców, poczem z odpowiednim przemówieniem rozdawał nagrody. Orkiestra wykonywała huczną fanfarę, jakby akompanjament. Konie ordynata otrzymały złoty medal, ofiarowany właścicielowi z nadzwyczajną uprzejmością, z całą serją miłych słów i uśmiechów. Wysoki dostojnik umiał odpowiednio falować swą postacią i doborem słów. Panna Rita dostała srebrny medal, ocukrzony dobrem frazowaniem i uśmiechami już więcej zalotnymi. Skromniejsi wystawcy dostawali nagrody w mniej wytwornych ramach, grzecznie, ale bez naddatków.

Wieczorem, po koncercie i odwiezieniu pań, w wesołej restauracji Hofmana zebrała się pewna część panów z magnaterji.

Oświetlona sala pełna była dymu z cygar i zapachu win.

Orkiestra cygańska grała skoczne, dzikie melodje. Brzęk kaskadetów, targanych przez namiętne dłonie smagłych Hiszpanek, mieszał się z krzykliwemi głosami cygańskich śpiewaczek. Barwne stroje, gorejące oczy, wycięte staniki kobiet, dowcipy, śmiechy nadawały temu zbiorowisku ludzi wygląd przedpiekła.

W jednym z gabinetów siedział przy fortepianie Brochwicz i z nadzwyczajną gestykulacją wygrywał „Małgorzatkę“. Trząsał głową i rozwichrzoną czupryną; śmiały mu się ładne, ciemne oczy, białe zęby błyskały wesoło.

Nagle obejrzał się i zawołał:

— Trestka do chóru!

Młody hrabia podszedł powoli, stanął przy fortepianie, umocował binokle i, wpatrzony w jeden kąt sali, zrobił taki ruch szyją, jakby sobie poprawiał w gardle jakąś ukrytą maszynę.

- Brochwicz roześmiał się.
- No? aparat gotów?
- No! no! zaczynaj — burknął uroczysty Trestka.
„Małgorzatko, godna uwielbienia,
Małgorzatko, nie bądź-że z kamienia!
Małgorzatko, mej miłości wierz...”
- Ha! ha! ha! — wybuchnął śmiech ogólny.
- Cóż znowu? — obejrzał się obrażony Brochwicz.
- Dla kogo pan to śpiewa, panie Trestka? — posypały się pytania.
Trestka zaperzył się.
- Jaktó? śpiewam Małgorzatkę, nie słyszycie panowie?....
- Brawo, panie, brawo! Nie mógł Jurek dobrać dla pana stosowniejszego śpiewu.
- Albo co? — zdziwił się Brochwicz. Nagle wybuchnął śmiechem.
- Ach prawda! Bajecznie! Dalej; Trestka, śpiewajmy.
Zaczął nucić:
- Małgorzatko — Margeritko — Ritko...
- Czyś się wściekł? — huknął Trestka.
- Śpiewałeś pan przecie mniej więcej to samo.
Trestka zakręcił się na pięcie.
- Sapristi! — zawołał zły i poszedł w kąt sali, w który się przed chwilą wpatrywał.
- Powarjowali — mruknął Wiluś Szeliga.
Śmiech trwał jeszcze.
- Gdzież ordynat? Obiecał przecie być — zapytał Żnin.
- Spóźnia się. Ha! każdy ma swoją Małgorzatkę — zadeklamował Brochwicz.
- Daj pan spokój, bo jak usłyszysz... — obejrzał się Żnin.
- Natrze wam uszu za siebie i za mnie — mruknął Trestka, ale go nie dosłyszano.
- Jednak przyznacie, że ta Stefcia ma w sobie djablaka. W niej coś poprostu goreje — rzekł Brochwicz.
- Żnin podniósł palec na wysokość twarzy i, kiwając nim, jakby komuś groził, rzekł z przyciskiem:
- To esencjonalna dziewczyna, tylko nie bardzo pozwala badać temperaturę swych gorejących oczu.
- Ale może pozwoliłaby ją podnieść — mruknął baron Weyher.
- W każdym razie nie panu — sarknął Wiluś.
- No!... i nie panu także.
- Do tej chemii ma najwięcej zdolności ordynat.
- I szansę, proszę dodać.
- Moi panowie — dodał Brochwicz — uwagi o panie Stefanji radzę zakończyć przed wejściem Michorowskiego, inaczej bowiem w tym gabinecie temperatura może się podnieść do takiej skali, że zostaniemy zwęgleni.
- Czyż ordynat aż tak jest podniecony? — spytał Zaniecki.
- Il l'adore! przytem jej duma bierze go na munsztuk. To królewiatko w skórze szlacheckiej.
- Mimo to nie widzę dla nich dość wyraźnej sytuacji.
- Michorowski ją sobie sam znajdzie, bez pańskiej pomocy, pomaluje na jaki zechce kolor.
- A la Pompadour. Prawda?

— Nie. prędzej à la chapelle!

Młody książę Giersztorf oburzył się.

— Cóż znowu! o ile znam pannę Rudecką, ona nie zostanie kochanką ordynata, a znowu Michorowski z nią się nie ożeni.

— O ile go pan zna? — podchwycił Brochwicz, podnosząc brwi.

— Na pierwsze się zgadzam, ale drugie już podlega kwestji. Michorowski jest jak ogniotrwała kasa, sztucznie zamknięta. Otworzyć ją bez jego własnej pomocy nie zdołamy, tembardziej zajrzeć, co on w sobie nosi.

— Jeżeli jest jak ogniotrwała kasa, to powinien wytrzymać pożar oczu Stefci — rzekł Trestka.

— Ona go przepali! — mruknął Brochwicz. — Niebiańsko cnotliwa, ale w oczach nosi diabła, i to z rodziny niebezpieczniejszej, bo z temperamentu. Kokieteryjny djabł nie znalazłby u ordynata poparcia, nawet oddźwięku.

Żnin podniósł głowę i pokiwał nią w sposób twierdzący, mówiąc z przekonaniem:

— O! temperament Stefci ma, a że królewiątka, to lepiej. Największa właśnie rozkosz zdjąć ową koronę. Taka detronizacja na szampańskie własności! Gdybym wiedział, że mi się uda, chciałbym zostać bodaj paziem. Czasem skromne posady wynoszą bardzo wysoko... Cóż mnie pan tak zjada oczyma? — spytał, spostrzegłszy wściekłą minę Wilusia.

— Czekam, kiedy pan skończy swą tyradę o panie Stefanji — odrzekł szorstko student.

— A cóż to panu przeszkadza? Ej, panie Wilhelmie! masz pan minę, jakbyś był moim współzawodnikiem w owej obiecanej posadzie. Niech się pan tak nie unosi, bo gotowiśmy sądzić, że się pan kocha w panie Stefanji.

Brochwicz podniósł ramiona.

— Odkrył Amerykę! — zawołał z dowcipną miną. — Pyszny pan jesteś! Zapleśniałe prawdy bierzesz za swój wynalazek i jeszcze zastrzegasz czas przyszły.

Żnin rozśmiał się.

— Ach tak! brawo, panie Wilhelmie! Trzeba jednak przyznać, że pan ma dobry gust. Jeśli i szanse będą równe...

— Cicho!... Ordynat!... — szepnął Trestka.

Wilus zaśmiał się ironicznie.

— Szukajcie panowie nowego tematu do żartów, ten już traci kurs.

Waldemar wszedł prędkim, elastycznym krokiem i rozejrzał się bystro dokoła.

— Cóż, dobrze się bawicie? — spytał wesóło.

— Nieźle! — zawołał Brochwicz.

— Cóż Trestka siedzi, jak zgalwanizowany?

— Obrażony na ekspertów, którzy za jego krowięta i wółęta nie obdarzyli go złotym medalem — wołał Brochwicz.

Ale Żnin mu przerwał:

— Nie, powód jest inny. Hrabia Trestka przed chwilą śpiewał „Małgorzatkę“ i treść tego utworu pobudziła go do rozmyślań.

— Pan śpiewał „Małgorzatkę“ — spytał z uśmiechem Michorowski. — Bardzo trafnie!

Trestka utkwiał w nim z bicze oczy.

— A pan co robił tak długo? — zapytał.

— Ja?... byłem na wystawie. Zachorowała Salamandra. Weterynarz mówi, że z przepracowania — dodał Waldemar, śmiejąc się.

Brochwicz klasnął w dłonie.

— Ależ naturalnie! Trestka obudził w niej chorobę nerwową: dostanie hysterji niewątpliwie. Patrząc na nich, jak biegali w wyścigu, żalowałem, że nie jestem w skórze tej klaczy: z irytacji zrobiłbym ruch, któryby wyniósł Trestkę ponad barjery, ba! nawet ponad hipodrom, a dla osłodzenia mu tej zniewagi cisnąłbym go w łóżę panny Rity.

— No, Jurek! daj mu spokój! — rzekł Waldemar. — Muszę waszą uwagę zwrócić na pewien fakt z dnia dzisiejszego, który mnie oburzył. Ale co to! nie macie wina?...

— Prawda! nie pomyśleliśmy jeszcze o tem.

— Hej, służba! — zawołał ordynat.

Zwrócił się do towarzyszy:

— Będziecie co jeść?

Spojrzeli po sobie.

— Chyba nie, jesteśmy po kolacji.

— Ja jem ostrygi — rzekł Brochwicz.

— No, ostrygi można i homary.

— Ostrygi, homary i szampan! — rzekł Waldemar lokajowi.

Brochwicz pociągnął Michorowskiego za rękaw i szepnął:

— Waldy, przyjrzyj się tej bandzie cyganek. Pikantne co?... szczególnie ta w cekinach: oczy ma, jak Wezuwjust! A Hiszpanki? mnia, mnia! No, Hofman popisał się, frontowe okazy!

Waldemar spojrział przez półotwarte drzwi i lekko wzruszył ramionami.

— Fertyczne papugi — rzekł, częstując towarzyszy cygarami.

Brochwicz rozgniewał się.

— Djabło jesteś lakoniczny!

Wszedł książę Zaniecki ojciec, hrabia Morykonl, zięć księżnej Podhoreckiej, i książę Franciszek Podhorecki. Za nimi majestatycznym krokiem wtoczył się hrabia Barski.

Wniesiono szapana, kilku panów podeszło do stołu. Ordynat wypił kielich wina i rzucił się na fotel. Palił cygaro w milczeniu.

Muzyka grała w sali dziko i hucznie.

— Wracam do swego — rzekł ordynat — czy uważaliście panowie dziś, w czasie rozdawania nagród, jeden fakt? Co was uderzyło?

— Układna mina gubernatora, gdy ci wręczał medale, i zdziwione oczy Trestki, gdy mu nic nie dano — rzekł Brochwicz.

— Hrabia Trestka dostał pochwalny liścik, o ile wiem — wtrącił książę Zaniecki.

— Ho! ho! ho!

Waldemar puścił kłab dymu.

— Nie żartujcie! Ale fanfary nie zdziwiły was?...

Książę Giersztorf odwrócił się od stołu.

— Fanfary! Owszem! trochę zanadto wyróżniały wystawców z tytułami.

— Ależ to skandaliczne! — zawołał Waldemar i zerwał się z krzesła. — Taka rzecz tolerowaną być nie może. Jest to drobnostka, ale już świadczy o stronniczości. Słyszeliście panowie? Ile razy otrzymał nagrodę ktoś z naszej sfery lub nawet z plutokracji, orkiestra głużyła



Stefanja Rudecka.

wszystko, fanfary grały długo i dobrze. Gdy zaś ktoś z przemysłowców, tych skromniejszych, z drobnych obywateli, lub ktoś z mniej znanych wystawców z Warszawy, fanfary ledwo raczyły się odzywać, a zauważyłem, że parę razy milczały zupełnie. To wstyd! to wina organizacji! Cóż u diabła! kto słyszał robić takie różnice? Albo się jest wystawcą, albo się nim nie jest! Skoro się kto odznaczył i dostaje nagrodę, fanfara powinna zagrać tak samo Michorowskiemu, jak i każdemu panu Dziurdzialskiemu czy Łapciakiewiczowi. Ci wszyscy panowie pokrzywdzeni w tym względzie nie będą się skarżyli, bo to niby drobnostka, ale będą szemrali, a dowcipniejsi wezmą nas na zęby. Wiedzą, że w komitecie organizacyjnym jest najwięcej członków z naszej sfery, a to wygląda na lekceważenie i dla wystawców nie może być zachęcającym. Mówiłem o tem prezesowi, ale...

Waldemar podniósł brwi.

— A co, nie prawda? — rzekł młody książę Giersztorf — hrabia Mortęski, zacny skądinąd staruszek, ale widzi na metr przed sobą, a słyszy na kilka uncji. Mój ojciec zna go dobrze.

Michorowski wzruszył ramionami.

— To prawda! i przytem hrabia patrzy w naszą sferę jak w lustro, nie uważając na ramy.

— Jakto? — spytało parę głosów.

— Bardzo proste: hrabia popiera wystawców z arystokracji nie oglądając się na innych, których jest więcej, z ziemiaństwa, z przemysłowców, z mieszczan i nawet z włościan. My jesteśmy lustrem — dobrze, ale to są nasze ramy: bez nich i lustro mniej warte. Bez tych mas nie byłoby nas! A tymczasem zamiast ich zachęcić do postępu, to się ich na wystawach dla tego celu zorganizowanych, wprost zraża. Taki przykład, fakt, jak z tym włościaninem z Lubelskiego. Że on nie dostał srebrnego medalu za swe pszczelnictwo, to jest niesprawiedliwość krzyżująca, to prawie rozbój! List pochwalny tam, gdzie jak na włościański produkt i pomysłowość mógł być złoty medal! To nie zachęca, to odstręcza i tem samem zmniejsza postęp.

Michorowski podszedł do stołu, strzepnął popiół z cygara i wypił znówu kielich szampana.

— Ostrygi wyborne! Nie skosztuje pan? — spytał Zaniecki.

— Dziękuję!

— Waldy, zjedz homara... mówię ci, zjedz homara! — nalegał Brochwicz.

— Ja polecam ostryżki — mówił pan Świrko, stary kawaler i pieczeniarsz.

Włóczył się za arystokracją i nigdy nie opuszczał sposobności, aby się dobrze najeść i napić.

— Ja polecam ostryżki — mówił schylony nad talerzem — tłusćki, smaczne, miłutkie, prawdziwe pieczoszki. Niech pan ordynat raczy spróbować jedną... o tę, tę figlarke. Jaka apetyczna, co? Po niej przyjdzie ochota na wszystkie.

— A dajcież mi spokój z ostrygami! — odrzekł niecierpliwie Waldemar.

— Jemu coś się stało! On skapcaniał! — wołał podchmielony Brochwicz.

Książę Zaniecki, który nie pił za dużo wina, ale za to mocno niepokoił się synem i jego rozmarzonymi oczyma, podszedł do spacerującego Waldemara.

— Pan ma słuszość, zblażniliśmy się. Ale mówiłem panu już dawniej, że Mortęski to mumja — dodał ciszej. — On wierzy tylko w wyższe sfery, sam obracając się w najwyższych.

— Więc czerpie swą potęgę z obowiązujących uniformów? Ha!... strój wprawdzie błyszczący z daleka, ale to nie zaszczyt.

Zbliżył się do nich hrabia Barski.

Słówek, panowie! — rzekł z miną, jakby zapowiadał zbombardowanie świata. — Słuchałem, co mówił ordynat, i dziwię się. Jednak pewne odróżnienie między patrycjatem a plebsem być musi. Mówię o fanfarach, to wielki, według mnie, takt dyrektora orkiestry.

— Osiół — zmełł w zębach Waldemar.

— Co zaś do wystawców, wszyscy zostali ocenieni dobrze: nie można zbyt wysuwać naprzód drobniejszych producentów bez zaćmienia większych.

— Więc hrabia nie znajduje miejsca dla prostej sprawiedliwości, dla bezstronnego sądu? — wybuchnął ordynat. —

— Więc na cóż jest ustanowiona ekspertyza? Wywieśmy na wystawie wielki szyld, opiewający naszą chwałę i zasługi, a na wytwory niższych producentów nie zwracajmy uwagi. Zróbmy już świętostwo zupełne, kiedy się do tego dąży.

Hrabia Barski wznosił głowę jeszcze wyżej. Zaokrąglone oburzeniem oczy magnata zwróciły spojrzenie na twarz Waldemara. Rzekł tonem mentorskim:

— Za pozwoleniem! szyld my już mamy, nie potrzebujemy go wywieszać. Naszym szyldem jest nasza sfera i ona powinna kierować naszymi. Na wystawie dajemy pole wszystkim producentom, możemy ich oceniać i nagradzać ale... w miarę.

— Głupstwo! — mruknął Waldemar.

— Przyznam się hrabiemu, że niezupełnie rozumiem — rzekł młody Giersztorf. — Czy to ma znaczyć, że musimy liczyć się z postępem niższych mas, aby nie dopuścić zrównania z nami?

— Hrabia widocznie ma na myśli owe ramy lustrzane, jakie porównałem do tych mas — rzekł z pyszną miną Michorowski. One — według mniemania hrabiego — rozszerzając się, mogą nas kiedyś zdruzgotać. Obawy przedwczesne, ale słuszne, bo w kulturze wieków my będziemy się zwać, oni rozrastać, aż nastąpi kataklizm, przypominający potop. Zaleją nas te masy, jeśli nie będziemy mieli Noego, któryby dość wcześnie pomyślał o arce. Ale i tu jeszcze w interesie naszym leży uświadamiać masy, szerzyć postęp, zachęcając bodaj w drobnostkach. Przez to zasłużymy na wdzięczność potomków naszych, bo lepiej być zatopionym w czystej bieżącej wodzie, niż w brudnej kałuży. Postępując wedle programu hrabiego, nie zyskiwalibyśmy zwolenników, lecz wrogów, co już dla nas najmniej pożądane, nawet niebezpieczne.

Hrabia patrzył zdumiony, z miną pyszałka, który widzi, że jego dzieło toczy robak. Namyślał się nad wyborem stosownej broni do zmiżdżenia zuchwałego przeciwnika.

Giersztorf uśmiechał się, zupełnie zadowolony. Świrko raczył się ostrzygami i mówił, wywijając palcem:

— Tak, tak! doskonale! człowiek, co tak potrafi mówić, powinien lubić ostrygi... te pieszczotki, te figlarki.

— Pozostają zatem dwie alternatywy — rzekł znowu ordynat — albo dopomagać do wzrostu niższym producentom i rządzić się sprawiedliwością, albo nie urządzać wcale wystaw.

— Warunek za silny! — wtrącił hrabia Morykoni, podnosząc brwi i pocierając dłoń o dłoń, jakby coś w nich wałkował.

— Połowiczność tu nie możliwa! — zaprzeczył ordynat. — System hrabiego Barskiego doprowadziłby sam przez się do unicestwienia wystaw. Bez wytworów i udziału tych mas nasze wystawy przypominałyby karnawał, na który zjechalibyśmy się z końmi i inwentarzem dla własnego użytku. Zabaw byłoby bez liku, ale nic nadto. A nagrody? Zapewne, sypałyby się. Gdybym wystawił swoje stare palto i zdeptane kalosze, dostałbym złoty medal napewno.

Brochwicz i Trestka zaczęli się śmiać, poczem odezwał się Trestka:

— Podoba mi się ten system. Jeśli tak łatwo można otrzymać złoty medal, może wówczas i ja nie wyszedłbym z kwitkiem.

— Pan masz list pochwalny za oborę.

— Zdaje mi się, że zawdzięczam go głównie łaskawemu ekspertowi.

— Nie, panie! gdybyś nie zasługiwał, nie miałbyś nic, ale że ci się należał list pochwalny, więc go masz. Gdyby mi ofiarowano złoty medal za konie i bydło niesłusznie, wykazałbym to, ale gdyby mi urządzono taką kabałę, jak temu włościaninowi z Lubelskiego, tobym nauczył ekspertów lepszemu sądu.

— Ekspertkami pszczelnictwa były panie.

— Byli i panowie! Może w tem tkwi cały błąd: flirt przeszkodził sprawiedliwości.

— Ostry pan! — rzekł śmiejąc się książę Zaniecki.

— Ale bo tak jest! Każdy zrozumie, kto zechce, że o wiele słuszniej należała się wyższa nagroda owemu włościaninowi, niż mnie i wielu innym. Ja mam pieniądze, wykształcenie i znajomość najnowszej kultury, mogę działać intensywnie, on zaś tylko własną pracą, oszczędnością i pomysłowością. To różnica! i winna być usprawiedliwiona bez oglądania się na herby, nazwiska i stanowiska.

Barski dotknął ręką szyi, jakby w przewidywaniu apopleksji i rzekł zdumionym szeptem:

— I to mówi Michorowski?... magnat?...

Hrabia miał minę tak zabawną w swym obrażonym patosie, że Waldemar uśmiechnął się pod wąsem i, zapalając cygaro, mruknął do siebie:

Ten sam, tylko na szczęście nie zidjociał razem z tobą.

Hrabia milczał, wpity oczyma w ordynata, wreszcie wybuchnął:

— To są zdania niesłychane! barbarzyńskie! to bluźnierstwo w ustach arystokraty!...

Waldemar zaczął się głośno śmiać. Podniósł ręce do góry i, udając wzniosłość hrabiego, zawołał:

— Hrabio, litości! twe słowa nas czynią barbarzyńcami. W imieniu arystokracji protestuję!

Hrabia wstał, uroczyście ale zdumiony, z rozszerzonymi oczyma.

— Co?... jak?... vraiment?...

Waldemar śmiał się, nie przestając chodzić. Brochwicz szepnął mu na ucho:

— Spójrz! Barskiego napadł magnacki szal. To chwila osłupienia, zaraz się wścieknie.

Starszy książę Zaniecki dotknął ramienia Barskiego i rzekł spokojnie:

— Zaniechajmy dyskusji! Może kochany hrabia pozwoli wina?

I pociągnął zaperzonego magnata do stołu.

Na widok pełnych kielichów Barski się uspokoił. Ordynat stanął i spoglądał na niego, poczem z ironicznym wyrazem ust pokiwał głową.

— Wszystko się u nas na tem kończy — rzekł z bladym uśmiechem.

Kielichy krążyły gęsto. Brochwicz trącił w ramię Michorowskiego i Żnina.

— Patrzcie na Wilusia! szepnął z zabawną miną.

Student stał w półotwartych drzwiach, pochylony naprzód, i zjadał oczyma śpiewające cyganki. Twarz mu zbladła, oczy miał zamglone. Widok pięknych szansonistek pochłaniał go; przypatrywał się z ciekawością nowicjusza i, przyparty do drzwi, z wyciągniętą szyją, wyglądał jak kot, zaczajony na myszy.

Waldemar uśmiechnął się.

— Konfiturki, co? Ładny ogródek chwastów!

Ale Wiluś nie słyszał.

Brochwicz cicho podsunął się do chłopca i wypchnął go leko za próg.

Wiluś oszołomiony, znalazł się na środku sali.

Dwie cyganki cisnęły nań kwiatami, jedna zaczęła tańczyć ezardasza.

Wiluś miał minę zupełnie ogłupiałą.

— Ha! ha! — zaśmiał się basem hrabia Barski. Wtórował mu dystygowanym dyszkantem Morykoni.

Waldemar skrzywił się.

— No, Jurek! głupstwa robisz. Do czego to podobne!

Brochwicz zanosił się od śmiechu.

— Ależ patrzcie tylko na niego: opędza się jak od much. Nie wiedziałem, że z niego taki skowronek.

Trestka wprowadził Wilusia z powrotem do gabinetu.

Chłopak był więcej oburzony, niż zły, ale patrzył na Brochwicza chmurnie: miał już w głowie kilka kieliszków wina.

— Patrzcie! Trestka w roli niańki! — wołał Brochwicz. — Nie dziwnego, przyszły szwagierek...

— Dajcie mu spokój! Ty, Jurek, jesteś dziś zupełny warjat — mówił Michorowski.

— Ja chciałem tylko wprowadzić średniowiecznego trubadura do lamparciej jaskini, bo mu się widocznie podobała.

— I chybiłeś, dzięki interwencji pana Trestki, no i gołęxim instynktom jego pupila — zaśmiał się Żnin.

— Tak! Trestka bajecznie zna swoje obowiązki — zapewniał Brochwicz.

Książę Giersztorf podniósł do góry kielich z szampanem.

— Panowie toast na cześć dzisiejszych zdobywców nagród, ordynata w pierwszym rzędzie!

— Nie można pić: brak panny Rity, która jest również nagrodzona.

— Zdrowie panny Rity! W pańskie ręce! — zawołał Waldemar do Trestki.

— No i za mój list pochwalny wypijcie

— Ależ koniecznie!

Toasty wznoszono coraz nowe. Na sali muzyka grzmiała. Dzikie, namiętne tony czardasza zakipiały w nerwach. Brochwicz wstał i otworzył drzwi szeroko.

Waldemar chodził po gabinecie z rękoma w kieszeniach, ruchy miał niedbałe, trochę gorączkowe. Czardasz zaczął wirować po mózgach, wino robiło swoje, Michorowski był trzeźwy, lecz i na niego uderzały niespokojne prądy z buchającej gwarem sali. Wiał z niego żar, jak z huty. Niebieski dymek z cygar unosił się, przesłaniając lekką mgłą światła lamp elektrycznych. Do gabinetu wpływał strumień zapachu trunków, zmiętych kwiatów, dusznych perfum. Na sali zaczynały się zabawy. Hałaśliwe śmiechy, szepty, śpiew cyganek znalazły echo w gabinecie. Kilka głów odwróciło się do sali, kilku panów podeszło do drzwi. Waldemar stanął i patrzył.

— Szkic do bachanalji — mruknął przez zęby.

Czarnowłose wulkaniczne Hiszpanki potrzasały kastanietami, ciskając płomienie z czarnych, jak węgle, oczu.

Namiętne tony śpiewu szły po sali, drażniąc nerwy. Przedpiekle to budziło wstret, ale postacie barwnych, jak motyle, kobiet, nęciły pięknnością i plastyką ruchów. Śpiew, muzyka, szmery, idące stamtąd, dźwięk kastanietów i mdły zapach rozgorączkowanej sali odurzały. Szare źrenice Michorowskiego zaiskrzyły się, błysnął z nich ogień, czoło pociemniało namiętą falą. Zagrały mu nozdrza, po twarzy przeleciał prąd, jak burza. Stał prosty, dumny, ale gorąca krew grała już w nim, kipiąc jak war. Uczuł silne tętna w żyłach i dziwny ból w skroniach. Postąpił krok naprzód. Ironja się w nim odezwała, ale prąd, idący z sali porywał silniej. Nagle, niby puch jakiś delikatny, niby włókienka błękitnej mgły, przesunęła się przed nim jasna twarzyczka Stefci i jej duże ciemnofioletkowe oczy, pysznie ocienione, migotliwe, jak gwiazdy wśród nocy. Wstrząsnął się... widzenie uleciało. Ale teraz już ironja zapanowała wszechwładnie. Twarz jego zmieniła wyraz. Spojrzał na salę obojętnie, odwrócił się i wzruszył ramionami.

— Zamknij, Jurek, tę budę — rzekł z niechęcią.

— Co znowu? Tak pięknie śpiewają, takie ładne te cyganki!

Brochwicz marudził, lecz Trestka zatrzaskała drzwi z miną bardzo zadowoloną.

— Świętoszki! — sarknął chłopak zły i rzucił się na kanapę.

Michorowski powiódł okiem po wszystkich. Świrko drzemał na krześle, trzymając jeszcze w ręce skorupkę ostrygi. Giersztorf i Żnin mieli miny podniecone, nawet hrabia Morykoni i Barski wpatrzeni byli w drzwi w osłupieniu, jakby im kto nagle złoty obraz zamazał sadzą. Książę Zaniecki przyprowadzał do porządku niezbyt przytomnego syna, zakłopotany, spotniały.

— Popili się, czy co? — mruknął do siebie ordynat. Jeszcze raz spojrzął na dziwne miny Barskiego i własnego wujaszka i uczuł niesmak w ustach.

— Świństwo — rzekł głośno.

Podszedł do kanapy, gdzie rozprawiał Brochwicz z Trestką.

— Jurek! — zawołał ordynat.

Chłopak zerwał się, ale usiadł znowu i z miłutkim uśmiechem wskazał ordynatowi miejsce przy sobie.

— Na rozkazy... ale pozwól, że nie stanę, bo nie mogę.

— Zwarjowałeś, Jurek!

— Jak Boga kocham, nie mogę! W głowie mi się trochę kręci. Mój drogi, jeżeli Świrko może spać, to już mnie choć na zawrot głowy pozwól.

— Jedź do domu.

— Ani myślę! Albo mi tu źle? Opowiem wam zaraz historję, którą sobie właśnie przypomniałem.

— Cóż to za historja — podchwycił Trestka.

Brochwicz rozparł się na kanapie.

— Znacie tego poliszynela? — spytał, kładąc ręce pod głowę i wyciągając nogi.

— Kogo mianowicie?...

— Barona Z.

— Ach! tego, co kupił brylanty aktorce?

— To wy już o tem wiecie?

— Ba! oddawna.

— Od paru dni — poprawił Waldemar — bo się to stało na wystawie. Dobrze jednak, że wśród nas baron Z. nie ma przyjaciół: za tytuł, jaki mu ofiarowałeś, mógłbyś wpaść w kabałę.

— Ktoby się tam za nim ujął. Ale jak to uważacie?

— Uważam, że mimo wszystko dobrześ go określił — rzekł Waldemar — baron popełnił głupstwo podwójne — raz, że kupił brylanty za bajeczną cenę i, nie znając się, przegalopował, a powtóre — nie było dla kogo.

— Przeciwnie — rzekł Żnin — szykowna facetka i piękna, jak odaliska... jak Wenus.

— Wenus w skórze prostej awanturnicy, ogródkowej szansonistki! słaby gust! — drwił Michorowski.

— Mój drogi! nie każdy może sobie pozwolić na królowny — rzekł Brochwicz.

— Cóż to znaczy?

— Nic... to, że baron Z. wolał szansonistkę, niż królownę.

— Tyś już tego pijany! — powiedział ostro ordynat.

— Bo sami powiedzcie, czego napadacie na biednego barona za to, że mu się podobała taka właśnie a nie inna? — żalił się płaczliwym głosem Brochwicz.

— Sam go przecie nazwałeś poliszynelem.

— Brochwicz jest niepoczytalny — zawyrokował Trestka.

— Owszem, wiem, co mówię: baron swoim czynem...

— Dowiódł stopnia swego umysłowego rozwinięcia — dokończył Waldemar. — On ma rozmiękczenie mózgu, skompromitował kółko arystokracji, z której pochodzi. Przyjechał, porobił znajomości i raz, dwa, trzy — kupił brylanty pierwszej spotkanej baletniczce. Jedyńą ma zasługę, że będą miały o czem rozprawiać tutejsze dewotki, mocno zgorzzone jego czynem, o którym jednak wiedzą, jak o każdej nowinie... A stanowią one tu osobną, dość liczną kolonję.

— Aaa! — ziewnął szeroko Brochwicz. — Waldy, teraz wszystko krytykujesz. Dawniej byłeś towarzyszem co się zowie... w Paryżu, pamiętasz? Teraz z ciebie filister.

— Jurek, zaśpiewaj nam co — zaprojektował Trestka.

— Małgorzatę z tobą do chóru. Chcesz?...

— Dajże pokój!

— Śpiewam! — zawołał Brochwicz.

Zerwał się z kanapy, dopadł do fortepianu i uderzył parę silnych akordów.

Pan Świrko poruszył głową.

— Tłu... Tłuściutkie kochaneczki... milutkie — szeptał, budząc się.

— Ten się uraczył — rzekł ordynat i klasnął w dłonie.

Wszedł lokaj. Michorowski rzucił mu banknot i kazał sobie podać palto.

— Cóż ty płacisz? Wychodzisz? A my? — wołał zdziwiony Brochwicz.

— Paradny jesteś, Jurek! Dobranoc panom.

— Ja idę z ordynatem — rzekł młody Giersztorf

— I ja także! i ja! — zawołało kilka głosów.

— No to i ja z wami. Czas rzucić tę budę! — krzyknął Brochwicz.

Trestka podniósł się także, pociągając za sobą zaspanego Wilusia. Po chwili gabinet opustoszał.

Kiedy przechodzili przez salę, jedna z Hiszpanek zastąpiła drogę Michorowskiemu i, uderzając w kastaniety, zagrała mu przed oczyma ogniem czarnych źrenic.

Ordynat odsunął się szorstko.

— Idź precz! — cisnął przez zęby i krzyknął do lokaja:

— Otwieraj drzwi i pilnuj porządku!

Na ulicy stały landa i karety. W najętych stangreci prawie wszyscy spali, kiwając się na koźle. Ale Brunon z Głębowicz czuwał. Waldemar pożegnał obecnych i rzucił się zdenerwowany na poduszki landa. Obok niego usiadł Brochwicz.

Gdy konie ruszyły, po długim milczeniu odezwał się Brochwicz:

— Tyś się bajecznie zmienił, Waldy.

— Zmieniłem się — jak echo odparł Waldemar.

XXVIII.

Nazajutrz pani Idalja ze Stefcia i Lucią powracały z wystawy landem Waldemara. On sam siedział na przodzie, obok Luci. Gdy wysiedli w hotelu, szwajcar podał Stefcia zaadresowaną kopertę. Na widok jej dziewczyna krzyknęła radośnie:

— Od ojca!

Rozpieczętowała list, przebiegając go szybko oczyma.

— Ojciec mój jest w hotelu Europejskim... Był tu, ale że mnie nie zastał... — zająknęła się i spojrzała błagalnie na panią Idalję.

— Pani mi pozwoli pojechać do ojca?

— Owszem, ale na noc pani wróci.

— O tak!

— Spodziewam się, że ojciec pani nas odwiedzi...

— Mój powóz zawiezie panią na miejsce — rzekł Waldemar.

— Dziękuję panu! pojedę doróżką.

Stefcia pożegnała pana Macieja i Lucię.

— Czy stanowczo nie chce pani jechać memi końmi? — zapytał Waldemar.

— Stanowczo! Wolę doróżkę — odpowiedziała z uśmiechem.

— Bardzo taktowna dziewczyna — rzekła baronowa do ojca, po wyjściu Stefci. — Ale Waldy czasem galopuje się.

— Jemu wypadło zaproponować, a jej odmówić. Są siebie warci — odrzekł pan Maciej.

Waldemar odprowadził Stefcię do doróżki.

— Panno Stefanjo, co się z panią dzieje? — zapytał, patrząc na jej gorące rumieńce i podniecenie.

— Jadę na spotkanie ojca — odparła.

— Dobrze! ale ja już od kilku dni nie poznaję pani. Wystawa dziwnie na panią działa.

Stefcia przygryzła usta.

— Żle czy dobrze?

— Przedewszystkiem odmiennie. Pani się czemś kłopoce, jakiś niepokój panią dręczy...

Podniosła na niego zdumione oczy.

— Więc przeczułem? Tak? jakiś niepokój?...

Nic nie odpowiedziałwszy szybko zbiegła ze schodów.

Ściskając jej rękę na pożegnanie, szepnął serdecznie:

— Proszę być wesołą i... ufać mi.

— W czym? — zapytała dumnie.

Waldemar zmarszczył brwi, iskry zamigotały w jego oczach.

— Pani wie, tylko pani nie chce zrozumieć — rzekł z przyciskiem.

Stefcia odetchnęła w doróżce. On odgadł, zrozumiał to, czego się bała najwięcej, co już w niej istniało, a co chciała ukrywać nawet przed sobą.

Ogarniało ją uczucie szczęścia, jakby błądziła wśród łąki, pełnej kwiecia, woni, szczęścia i błękitów. Wiedząc, że błądzi, nie szukała jednak innych dróg. Zaczarowany ogród kwitł przed nią, pachniał, pociągał i była pod jego urokiem. Z zamkniętymi oczyma, w upojeniu słuchała cudnej nuty, nie myśląc o całości harmonji, nie przewidując rozdzźwięków. Dawniej lubiła życie, teraz kochała je. Rozwinęła się, jak biały kwiat, pod wpływem słońca, ciepło jego promieni wchłaniając w siebie. Często wstrząsał ją dreszcz, jakby wśród tej złotej pogody wionął na nią nagle nieprzyjemny prąd, dotknął i zniknął, a złote promienie ogrzewały, błękit czarował. Oczy dziewczyny nabrały dziwnego blasku, stały się wymowne aż do zbytniej szczerości. Cała postać odzwierciedlała wewnętrzny stan duszy. Usta gorzały żywym koralem, jakieś namiętne drgania nieświadomie błądziły po nich, potęgując ich czar. Miała w sobie pewien niepokój, aby nie być odczuta i te obawy w połączeniu z rozpromienieniem oczu nadawały jej wygląd podniecony i śliczny.

— Stefcia! — wykrzyknął radośnie pan Rudecki, zrywając się na widok wchodzącej córki.

— Ojczuś!...

Po długich powitaniach, Stefcia wypytywała ojca o matkę, młodsze rodzeństwo, dom i sąsiadów. Pan Rudecki przyglądał się jej z uradowaniem, ale badał. Wreszcie rzekł:

— A jakże tam tobie, dziewczeczko? Listy pisujesz wesołe. Dobrze ci?

Stefcia zarzuciła ręce na szyję ojca, kryjąc twarz.

Bardzo mi dobrze, ojczusiu! Lucia miła dziewczynka, kochamy się z sobą.

— No, a pani Elzonowska? A ten wasz ukochany dziadek, którym się tak zachwycasz... Jakże on się nazywa? Zawsze zapominam.

— Pan Maciej.

— Aha! pan Maciej Michorowski... Więc on cię tak lubi?

— O, dziadzio najlepszy! ale i wszyscy oni nie tacy, za jakich często ich biorą.

— Bo prawdziwa arystokracja.

— Tak! to są magnaci pod każdym względem — zawołała Stefcia z zapalem.

Pan Rudecki odsunął się trochę i z uśmiechem spoglądał na córkę.

— Patrzcie! jaka zawojowana! Czarodzieje jacyś ci państwo. Ale niech im Bóg szczęści, że się na tobie poznali. Wyglądasz ślicznie, jeszcze wyładniałaś. Zachwycam się tobą na wyścigu hipicznym.

— Jakto! ojczuś już wtedy był?!...

— Byłem! Przyjechałem wczoraj rano, ale mając pilne interesa, w żaden sposób nie mogłem się z tobą wcześniej zobaczyć, a do tej łązy, gdzie siedziałaś, nie chciałem iść. Witałem cię z daleka, ale nie dostrzegłaś mnie w tłumie.

— A gdzie ojczuś siedział?

— Ja przechodziłem tylko przez plac wystawowy, siadać nie miałem czasu. Zatrzymałem się dopiero ujrzawszy ciebie. Byłaś bardzo zajęta wyścigiem.

Stefcia zaróżowiła się mocno.

Trafiłem właśnie na punkt kulminacyjny: biegały konie z majątków ordynata. Ładne ma widać stajnie! A na tym pięknym arabie podobno jeździł sam ordynat.

— A tak, pan Waldemar na Apollu.

— O! dzielny koń, ale i dzielny jeździec. Czy on często w Słodkowcach?

— Dosyć.

Pan Rudecki trochę się zamyślił. Stefcia pochyliła głowę, zakłopotana i nagle onieśmielona. Ojciec nieznacznie spojrział na nią kilka razy. Następnie zapytał:

— Powiedz mi, dziecko: jak to było z Edmundem Prątnickim? W liściach niewiele o tem pisałaś.

— Ach, ojczusiu! to takie przykre! Poczco wspominać?

— Jednak jak to było?

Stefcia opowiedziała po krótku. Mówiąc, mimowoli zapalała się. Pan Rudecki nie spuszczał z niej oczu.

— Więc głównie pan ordynat przyczynił się do uwolnienia ciebie od obecności tego błazna?...

— Tak, ponieważ nie odpowiadał jego wymaganiom.

Pan Rudecki uśmiechnął się: argument Stefci nie trafił mu do przekonania. Nurtowała w nim uparta myśl, czy Prątnicki okazałby się niegodnym Michorowskiemu, gdyby Stefcia nie była w to zamieszana, i miał co do tego pewne wątpliwości. Niemniej musiał być wdzięcznym ordynatowi.

Spacerował po pokoju szybkim krokiem, rozmawiając z córką o rzeczach zwykłych, a ciągle przyglądał jej się z uwagą. Stefcię drażnił uporczywy wzrok ojca. Wyraz jego twarzy zastanowił ją, odbierając

swobodę. Wkradło się pomiędzy nich przykre uczucie. Wreszcie pan Rudecki przerwał swą przechadzkę i, siadając obok córki, wziął jej rękę. Zaczął mówić powoli:

— Stefciu, czy wiesz, jakie ja mam polecenie od mamy względem ciebie?...

— Polecenie od mamy? — Jakie — spytała.

— Żeby cię już zabrać do domu. Tęskno nam bez ciebie, dziecko. Stefcia znieruchomiała, ognie zalały jej twarz, poczem przybladła nagle. Usta jej otworzyły się, jakby do krzyku. Szeroko otwarte źrenice utkwiała w twarzy ojca niemal z przerażeniem.

— Ja... do domu?... Ojczusiu!...

— Przyjechałem po ciebie — powtórzył pan Rudecki.

Dziewczyna spuściła głowę. Oczy jej patrzyły na ojca zdumione, wylękłe, aż zakryły się powiekami. Na zbladłą nagle twarz padły sinawe cienie od rzęs niezmiernie długich.

— To niemożliwe! — wyjąknęła.

— Dlaczego?...

— Bo... z panią Elzonowską jest umowa... na rok. Nie można jej łamać... Ja... dałem słowo.

— Wierzę, że ona chciałaby cię mieć jeszcze dłużej, ale i nam się coś należy.

Stefcia gwałtownym ruchem przytuliła się do ojca.

— Ja wiem, ja wiem, ale, ojczusiu, to niemożliwe! Co oniby pomyśleli?... Nie, nie, tak niemożna. Ojczusiu! przecie ja was bardzo kocham, po dawnemu, ale... wracać teraz?... niepodobna!... trzeba dobrać do końca.

Mówiła gorączkowo, odrywając się od piersi ojca i patrząc mu w oczy z błaganiem. Pan Rudecki tulił ją do siebie, ale twarz jego oblekła się wielkim niepokojem, podejrzenia nabierały pozorów prawdy.

— Biedna mama zmartwi się bardzo, ona cię tak serdecznie kocha — rzekł z nietajonym smutkiem.

Stefcia zerwała się. Twarz miała w ogniu, oczy pałające, zaszkłone łzami. Zrobiła rękoma ruch, jakby się chciała chwycić za głowę rozpaczliwie. Zaciśnęła usta nerwowo. Pan Rudecki patrzył na nią z podziwem.

— Dziecko, co tobie?...

— Nic, ojczusiu, nic!... tylko chciałam powiedzieć, że jeśli to dla was... konieczne, to ja powrócę, ale...

— Stefciu!...

Rudecki chwycił ją w ramiona.

— Dziecko moje! kochane, dobre... ja żartowałem. Zostaniesz na miejscu... nie można zrywać umowy, masz słuszność, daliśmy słowo. Chciałem tylko zobaczyć, czy...

Zająknął się.

— Czy kochasz nas zawsze.

— Ojczusiu! tyś wątpił? — krzyknęła z oczyma pełnymi łez. Ale w jej wykrzykniku brzmiało już trochę triumfalnej nuty.

Zaczęła ojca z pieśczołą ścisnąć za szyję, całować w twarz, w oczy, tulić się do niego z widoczną wdzięcznością, nie umiając ukryć rozradowania. Poczula żal do ojca, że go wywołał. Serce jej zabiło obawą, że mu sprawiła wielką przykrość, serdecznością chciała zagłuszyć niemłą chwilę.

Ale pan Rudecki, jakkolwiek odgadł wiele, udawał, że nie widział nic.

Po długich rozezuleniach Stefcia wpadła w doskonały humor, dokażując po dawnemu. Opowiedziała kilka wesołych zdarzeń z teraźniejszego życia, mówiła o wycieczce do Głębowicz, o dowcipach Trestki, śmiała się, żartowała, aż i pan Rudecki rozruszał się. Ale patrząc na nią, gdy mówiła o arystokracji, myślał w duszy z niepokojem:

— Zasmakowała w nich, ten świat ją porywa... Dziwni ludzie, że umieją tak wpływać... Czy ludzie, czy jeden człowiek?...

XXIX.

Przez dwa dni Stefcia prawie ciągle przebywała z ojcem. Razem chodzili, razem jadali obiady. Wieczorem Stefcia wracała do hotelu, wpadając w objęcia Luci, która, kwaśna i bez humoru, żaliła się na nudy.

— Już ja bez ciebie nie mogę, tak mi tęskno!

Lucia nazywała już Stefcię po imieniu. Węzły przyjaźni między nauczycielką i uczennicą w ostatnich czasach mocno się zacieśniły.

Pewnego dnia pan Rudecki złożył wizytę pani Elzonowskiej i panu Maciejowi. Podobał się bardzo. Umiał zachować odpowiednią powagę przy wielkiej grzeczności i pewnego rodzaju atencji. Był eleganckim, obyty w wyższym towarzystwie i miał pewność siebie zupełnie w dobrym guście. Zrobił korzystne wrażenie. Pani Idalja znalazła go „jeszcze lepiej“, niż przy pierwszym widzeniu w Warszawie, i przyjmowała nadzwyczaj uprzejmie. Pan Maciej dojrzał w nim wiele sympatycznych stron, a trzeźwy, wesoły umysł obywatela podziwiał na staruszkę jak najlepiej. Pan Rudecki jeszcze się za kimś oglądał, lecz Waldemara nie było podczas tej wizyty. Ale pan Maciej, jakby odgadując myśli swego gościa, razem z panią Elzonowską zaprosił go na drugi dzień na obiad.

— Będzie zebrane nasze kółko najbliższe i mój wnuk. Chciałbym, aby go pan poznał.

Stefcię uradowało powodzenie ojca.

Obiad nie zachwiał, przeciwnie — wzmocnił wrażenie.

Oprócz miejscowych osób, był Waldemar, księżna, panna Rita z bratem i nieodzowny Trestka.

Pan Rudecki wyszedł z próby zwycięsko. Przy stole nie obniżył swej opinii żadnym szczegółem, nawet wobec argusowych oczek pani Idalji. Z Waldemarem przywitali się typowo, z niezupełnie ukrytem zaciekawieniem i wielką dozą wzajemnych grzeczności w dobrym stylu. Tylko pani Idalja zmarszczyła się na Waldemara za jego powitalny ukłon: z większym szacunkiem nie kłaniał się żadnemu ze starszych panów własnej sfery, a niektórym ze znacznie mniejszym. Pan Rudecki przez wszystkich był mile przyjęty, nawet Trestka, przekonany do Stefci, powitał go bez fanfaronady.

Wykwintne towarzystwo i dobra rozmowa rozbudziły w panu Rudeckim światowca. Zaczynał lepiej pojmować córkę, zrozumiał, że ta sfera, ma w sobie jakiś magnes, mimowoli pociągający natury estetyczne; że poza tem, coby się o nich dało powiedzieć, nęca wzrok, jak drogie kamienie.

Z ordynatem pan Rudecki rozmawiał dużo o koniach, wyścigach, trochę o uniwersytetach w Bonn i w Hali, wreszcie o wystawie. Ordynat

umiał kierować rozmową. Prowadzono ją ogólnie i z ożywieniem. Czasem okraszał ją dowcipem dobrego gatunku, czasem odrobiną ironji, mającej wyłączny styl.

Niekiedy Trestka wyreczał ordynata w dowcipach, ale on miał humor inny, więc w klasyczny nastrój wplatał nieco burszowską nutę, która jednak nie psuła całości.

Szlachcic-obywatel wśród magnatów nie raził, zyskiwał sobie ich sympatję i nie miał wyglądu intruza.

Jego natomiast zaciekawiał najbardziej Waldemar. Młody ordynat imponował mu i przyciągał go zarazem. Rudecki był pod wrażeniem jego wielkopańskiej postaci, szlachetnej i ujmującej w obejściu. Ale przestraszał go ze względu na córkę. Lękał się o nią, bo towarzystwo świetnego magnata uważał za niebezpieczne dla Stefci. Czuł, że niemożliwym byłoby, aby dziewczyna pozostała obojętna, aby jej nie porwał dziwny urok otaczający ordynata. Sam łatwo zauważył skłonność Waldemara do Stefci, niby meznaczną, ale dość silną, aby upoić ją czarem. Stary obywatel zastanowił się, przypomniał sobie rozmowę ze Stefcią w hotelu i teraz, widząc ją rozpromienioną, jak nigdy, myślał z goryczą w duszy:

— Ona już jest w upojeniu, już jest pod jego urokiem.

Poczem straszna myśl przeszła mu mózg, bo nagle przybladł i spojrzał na ordynata prawie z nienawiścią. Wzrok jego miał w sobie grozę.

— Czy ty staniesz się niedolą jej życia? — pomyślał.

XXX.

Na raut do hrabiego Mortęskiego ordynat przyjechał późno. Obaj z Brochwiczem namawiali panią Idalję, aby jechała również, lecz baronowa uparła się: była trochę niezdrowa. Księżna Franciszka chciała matkować pannom, ale i Stefci odmówiła; została w hotelu. Waldemar zły, wzruszył ramionami. Brochwicz machnął ręką i rzekł z komiczną miną:

— Baby się rozkaprysiły. Jedźmy sami.

W pałacu hrabiego, począwszy od przedsiönka, zaczęto napastować ordynata. Wszedł do sali otoczony frakami panów, poczem znalazł się w barwnym tłumie strojów kobiecych. Bawił się bez zwykłego humoru, ale nie przestał być głównym pulsem zebrania. Książę Giersztorf rozpytywał ordynata o filantropijną działalność Towarzystwa. Prezes Mortęski zarzucał mu zbytnią krańcowość w przeprowadzeniu reform w Głębowiczach.

— Pan sieje kulturę zbyt obficie — mówił stary hrabia, trzęsąc się wemi klaczkami włosów.

— Tego nigdy za wiele! — bronił się ordynat. — Zresztą niech Głębowicze będą rozsądnikiem idei kulturalnej na szerszy okręg.

Hrabia złościł się. Giersztorf pytał o program dalszych działań.

— Dlaczego pan Towarzystwa nie popycha silniej? Wy tu zaczynacie spać.

Ordynat śmiał się ubawiony.

— Ależ książę! ja nie jestem premierem w instytucji.

— A inicjatywa? inicjatywa?

— Daję ją.

Mortęski pokiwał palcami.

— Wybujala! wybujala!... za górna.

— Nic to, panie prezesie, polecim! mamy siłę — drażnił się Waldemar.

Hrabia i książe nie dawali spokoju ordynatowi, aż uwolnił go od nich Brochwicz.

— Zabieram Michorowskiego z tej sesji na inną, mianowicie do dam — rzekł energicznie.

— Niewiele on o nie dba! — odparł Giersztorf.

— Ale one o niego dbają. Tam jest zawsze premierem.

— Dokończymy rozmowy potem — powiedział wesoło Waldemar. Odchodząc, Brochwicz mu szepnął w ucho:

— Obaj ci staruszkowie niewiele już wskórają u pań, dlatego nudzą innych. Ale, ale! spotkasz znajomą.

— Ja?... Kogo?...

— Zobaczysz!... Błękitne niebo Italji, Corso rzymskie ba! nawet ogrody Florencji, Ateny, Korfu... — deklamował Brochwicz.

— Co ty pleciesz?...

Brochwicz znikł. Waldemar zdziwiony poszedł dalej. W jakimś gabinecie przysunęła się do niego z wyciągniętym nagiem ramieniem wysoka szatynka.

Spojrzał badawczo i drgnął.

— Wera?!

— Tak, to ja. Pan mnie poznał?

— Co pani tu robi?...

— Jestem przejazdem z mężem. Wstąpiłam na raut do hrabiego. Jedziemy do Petersburga.

Waldemar patrzył na nią z niechęcią i ciekawością. Lekka łuna przemknęła mu przez twarz.

Margrabina schwyciła go za rękę, piwne powłóczyście źrenice, zmysłowe i gorące, przysunęła do jego oczu. Z wąskich ust wypadły namiętne słowa:

— Mój zawsze! Kocham cię!...

Odstąpił krok w tył, usta mu zadrżały irytacją.

— Wero! nie jesteśmy w Palazzo Silva. Zastanów się!

— Zapomniałeś o mnie? Zapomniałeś!...

Gniew błysnął mu w oczach.

— Margrabino, proszę się uspokoić — rzekł z naciskiem.

Wyprostowała się dumnie, zimne spojrzenie przesunęła po jego postaci.

— Ja jestem spokojna, tylko chcę panu coś powiedzieć. Więcej się w tym czasie nie zobaczymy: jutro jadę.

— Słucham — rzekł oschle.

Wsunęła rękę pod jego ramię i weszła z nim do narożnego gabinetu, zamykając drzwi.

Ordynat patrzył na nią z pod rzęs. Ironiczny uśmiezek drgał mu na ustach, oczy zaświeciły humorem. Margrabina stanęła tuż przy nim, dotykając go piersią. Obnażone, pachnące ramiona gwałtownie zarzucała mu na szyję, wargi wpiła w jego usta, szepejąc:

— Kocham cię zawsze, pragnę cię! Przyjeżdżaj do Rzymu, jestem twoja... twoja... bierz mnie!...

Odsunął ją od siebie trochę szorstko.

— Wero, nie przypominaj minionych dni. One już są poza teraźniejszością.

— Zaśniedziałeś w tym kraju. Przyjeżdżaj do Palazzo Silva, tam u nas, pamiętasz?... paljowy buduar..

Ogarniała go coraz mocniej ramionami, cisnęła się do niego z palącą siłą pożądania, twarz mu zalewając ognistym oddechem.

— Wero, to już cztery lata: powinnaś zapomnieć o mnie i o paljowym buduarze — rzekł znudzony.

— Więc niech ci się przypomni! — patrz, czym nie ta sama? Kocham cię jednakowo, pragnę cię i marzę o tobie. Patrz!...

Odchyliła głowę, i mrużąc podłużne oczy, zalotnie błysnęła ustami, ukazując szereg białych zębów.

— Stroj... jesteś — rzekł ordynat. — Jakże się miewa książę Tolledo?

Margrabina zeszywniała, usta jej zwarły się.

— POCO o niego pytasz?...

— Przypomniał mi się paljowy buduar... Wspomnienia stamtąd i do niego należą.

Wera oderwała ramiona od jego szyi i odeszła parę kroków. Waldemar najspokojniej otworzył cygarniczkę i, stojąc obok wysmukłej lampy, przyćmionej czerwonym jedwabiem, spytał żartobliwie:

— Pozwolisz zapalić?

— Proszę — rzuciła gniewnie.

Zapalając, ordynat patrzył na nią, jak odwrócona białymi plecami do niego rwała chusteczkę koronkową w zębach. Piękna była i wspólnie zbudowana. Michorowski uprzytomnił sobie chwile, spędzone z tą kobietą w zbyt kownym pudełku paljowego buduaru, i wzdrygnął się, nie z rozkoszy, lecz z dziwnego wstępu. Usiadł na niskim foteliku, założył swobodnie nogę na nogę i, puszczając kłęb dymu, spytał znowu:

— Czy wywiad już skończony?

Wera żywo podbiegła, ale zatrzymała się, spuściła głowę i rwąc chustkę, patrzyła mu w oczy z pod zsuniętych brwi. Jej postać gięła się kokieteryjnie, rozchylone usta drżały.

Ordynat badał ją wzrokiem. Nareszcie rzekł, strzepując popiół cygara:

— Widzę, że oduczylaś się tupać nóżką. A wiesz, że do tej pozy to było odpowiednie. Teraz zanadto wyglądasz po pensjonarsku.

Wera upadła na otomanę obok lampy, ręce podłożyła pod głowę i zaczęła się cicho śmiać. Ciężka materja sukni spłynęła na dywan, odsłaniając wytwornie przybrane stopy, złożone z wdziękiem. Pierś margrabiny falowała gorączkowo, po ciele jej przelatywały płomienie. Gibkim ruchem odwróciła do ordynata głowę i biust i świecąc zębami, śmiała się ciągle. Oczy jej ciskały kolące ognie.

Ordynat spytał:

— Co cię tak bawi?

— Ha! ha! twoja obojętność!

— Nie wierzysz w nią?...

— Ach! nie jestem dzieckiem, wiem, żeś ostygł, boś mnie nie widział cztery lata. Wy mężczyźni zawsze jednakowi: wam trzeba nieustannej podniety.

— Hm! za to wasza wierność dorównywa naszej zdradzie. co?...

— Jesteś zazdrosny o Tolleda?

— Nie. Zresztą obecnie powracasz do mnie, wybaczam więc mu jego winy.

— Jesteś zbyt pewny siebie! Skąd wiesz, że powracam?

— Mam cię przecież, dajesz mi nadzieję dość niedwuznacznie.

— Musiałabym wpieryw poznać dokładnie listę mych współzawodniczek. Ile ich było po mnie?...

— Prawdopodobnie tyle, co przed tobą, ale z pewnością mniej, niż moich następców w tej kronice buduarowej — rzekł cynicznie.

Margrabina przeciągnęła się rozkosznie. *Prężąc ramiona, mówiła rozwlekłym głosem:*

— Jesteś zawsze wspaniały, tylko palisz jakieś zatrute cygaro i ono cię czyni odmiennym, niż w Rzymie. Ale ja to rozumiem: ten kraj ochładza. Tu niema prawdziwie pięknych kobiet. Chociaż i tu miałeś szanse kolosalne. Znam te północne rywalki. Musiały cię znudzić?

— Zapewne — odrzekł obojętnie.

Wera przegięła się bliżej ordynata, poruszając miękko ciałem, jak zaspana tygrysica; ręką uderzała niecierpliwie po adamaszkowej poduszce otomany.

— Jedź na zimę do Rzymu, sułtanie mój! Mówiłam, że cię kocham. Pojedziesz?...

Ordynat wydał usta z lekceważeniem. W źrenicach igrały mu szatanki śmiechu.

— Po co?... Gdybym chciał pobić Tolleda i odnowić wspomnienia z paljowego buduaru, to...

Pochylił się i z łobuzerskim uśmieszkiem popartzył w oczy margrabiny. Ona przymknęła powieki, oddychając szybko. Stopy jej drżały.

— Jestem twoja — szepnęła.

— A widzisz! północ cię nie zmroziła.

Michorowskiemu zmysły wypelzły na usta. Oczy mrużyły się satyrycznie, ale nozdrza zaczęły wachlować prędkim tempem. Nie poruszył się. Patrzył na leżącą, okrągłą figurę Wery, na wypukłą jej pierś i różowe ciało; burzyła mu się trochę krew. Posiadał tę kobietę, dziś ona jest znowu taka sama, oddana mu, zalotna. Tylko chłód jakiś owiewał go teraz mimo wewnętrznej gorączki.

Margrabina położyła rękę na jego kolanach i zaczęła szeptać:

— Lwie mój! Pamiętasz?... tak cię nazywałam. Mon lion.

Oparła się drugą ręką na nim, wisząc półciałem w powietrzu.

— Rzuć te wstętna lodowatość! to mię podnieca. Ale już dosyć! — syknęła przez namiętnie zaciśnięte wargi.

Poczem rzuciła się w tył, jak waż, wołając z wybuchem:

— Nie patrz tak na mnie! tyle masz drażniącej ironji!... Przybyło ci stali w oczach, wyglądasz, jak lew nad ofiarą. Pyszny jesteś, ale straszay!... Ordynat zaśmiał się. Wzgarda tryskała z jego głosu.

— Uwalniam cię. Wero, od swych szponów, ha! ha! ha.

Głos jego brzmiał dziko.

Margrabina wyciągnęła głowę z ciekawością i błyskiem w oczach. Rzeka ciszej, niespokoinie:

— Ciebie ktoś trzyma... Powiedz kto jest... nową sułtanką?... ona istnieje, czuję to.

Ordynat zgniótł cygaro. Miał już dosyć. Wstał i podszedł do niej, oczy jego piekły żarem. Były istotnie straszne. Usta, wykrzywione ironją, przerażały.

— Wero! — zawołał porywczo.

Margrabina podniosła się, wyciągnęła ramiona. Brylant na palcach błysnął obfitą zawieją kolorów. Waldemar porwał jej ręce w kostkach i zdusił wściekle. Ona opadła na haftowaną poduszkę otomany, mdłym głosem szepcząc:

— Teraz niech nas pokryje mgła...

Waldemar pochylił się i rzekł już spokojnie:

— Tylko panią. Ja odchodzę. Proszę się dobrze bawić w Petersburgu.

Puścił ją i odstąpił.

Wera zerwała się i usiadła. Twarz jej zaszła purpurą.

— Odchodzisz?!

— Tak. Wypaliłem cygaro.

Uklonił się i wyszedł z cichym, ironicznym śmiechem.

W sali zapytał go młody hrabia Mortęski:

— Gdzie moja kuzynka, ordynacie?

— Margrabina Silva jest w czerwonym gabinecie.

Mortęski mrugnął filuternie.

— Piękna zawsze, prawda?...

— Za wiele szminki: to psuje najklasycyjsze linje — odrzekł Waldemar z grymasem:

— Cóż pan chce? Czterdziestka!

Ordynat odszedł. Młody hrabia lisim krokiem podążył w stronę gabinetu.

XXXI.

— Więc ojczuś stanowczo nie będzie na koncercie i na balu? — spytała Stefcia pana Rudeckiego w dzień wielkiej zabawy.

— Nie, dziecko! Jadę do domu jutro, a mam jeszcze bardzo wiele interesów.

Stefcia nadała się.

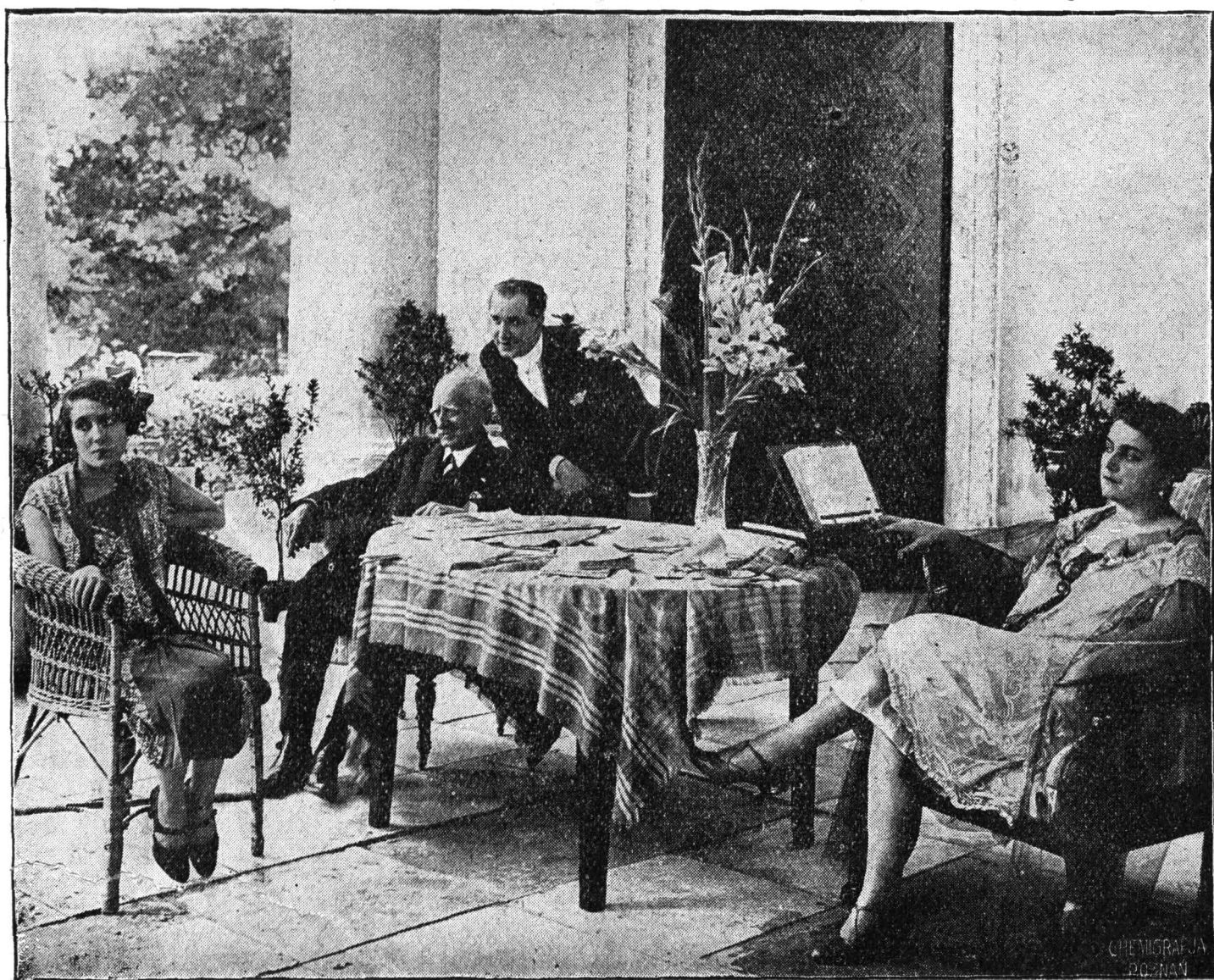
— Ej! tak liczyłam na to. Wolałabym być z ojczusiem. Na balu będzie dużo osób nieznanymi mi zupełnie i przeważnie z arystokracji.

— Będą również i obywatele z okolicy, no i główniejsi wystawcy. To przecie bal publiczny na jakiś cel, znajdą się na nim i mniej karmazynowi. Czy bal odbędzie się bezpośrednio po koncercie?

— Tak, i w tej samej sali. My nawet na koncercie nie będziemy. Przyjeżdżamy wprost na bal.

Pan Rudecki pożegnał się z córką do następnego dnia. Chociaż jednak zapowiadał, że na balu nie będzie, wybierał się nań w rzeczywistości, ale jako widz z galerji. Chciał zobaczyć Stefcię w otoczeniu, któremu niezbyt ufał, aby się jej przypatrzeć zdaleka, nie będąc widzianym.

Dość wcześnie przyszedł na koncert do sali wielkiego hotelu, znalazł dobre miejsce w krzesłach i równie dobre na galerji. Wśród publiki siedziało wiele pań ubranych po balowemu, lecz z arystokracji nie było nikogo.



Michorowscy i panie Elzonowskie na tarasie w Słodkowcach.

Koncert nie zachwycił pana Rudeckiego, ponieważ znał się na muzyce, a grymasił w śpiewie. Ale urządzenie estrady podobało mu się. Był tam brzozy lasek, naturalny, wysłany mchem. Pomiedzy drzewami stały krzesła i pulpity dla muzykantów. Zasiadła na nich grupa artystów nie miejscowych, jedynie na czas wystawy przybyłych tu z wielkiej stolicy. Pan Rudecki doznał zawodu: sławna orkiestra nie zachwyciła go.

— Tylko tyle, że huczą, ale, dalibóg, gdzie tu melodja?

Śpiew i śpiewaczka porywały go jeszcze mniej.

Na estradę weszła młoda panna, dobrej tuszy, w białej wygorowanej sukni. Obnażone ramiona wyglądały mocno różowo bez żadnych subtelniejszych odcieni. Na piramidce tych różowości piętrzyła się czarna głowa, jak nastraszona czapka angorska. Czarne małe oczki świeciły, jak ćwieki, wbite w bardzo kolorowe tapety.

Wyszła, podtrzymując suknię, i, złożwszy parę ociężałych niemiłosiernie wdzięcznych ukłonów, stanęła, mnąc w rękę zeszyt z nutami. Poczem zaczęła śpiewać z wzniesioną do góry głową.

Pan Rudecki, patrząc na nią, doznawał pewnych obaw. Najpierw zdawało mu się, że debiutantka nie przetrwa tej próby, bo kolor jej biustu nabierał coraz więcej makowej barwy. Przytem tak się widocznie dławiała, że niektórzy ze słuchaczy sięgali do własnych kołnierzyków w przekonaniu, że są za ciasne.

Nagle do uszu ojca Stefci przysunął twarz jakiś młodzieniec, siedzący obok, ale rzekł wcale nie szeptem, wskazując oczyma pełne ramiona debiutantki:

— Panie, czy to ręce czy łydki? bo nie mogę rozpoznać.

I, nie czekając na objaśnienie, bardzo kontent z siebie i swego dowcipu, zaczął go szerzyć w inną stronę sali.

Gdy nareszcie piskliwe dławienie się umilkło, wszyscy odetchnęli, jakby zwalając ciężar z piersi. To poprzedziło oklaski, których jednak nie skąpiono. Kilka wdzięcznych ukłonów — i debiutantka wolno, pomiędzy brzożami zaczęła się oddalać, świecąc z daleka bielą sukni i rumianym karczkiem, wyciętym w kwadrat.

— Co ona będzie teraz robiła? — zapytał dowcipny młodzieniec, nie zwracając się wyłącznie do nikogo.

— Zapewne weźmie zimną kąpiel — odpowiedział jakiś głos z następnego rzędu krzesel.

W czasie ostatniej przerwy wiele osób wyszło na korytarz i marmurowe schody, wiodące z kontramarkarni. Zaczynał się już tam charakterystyczny ruch przed balem w hotelu. Biegali lokaje, z cukierni wnoszono torty i piramidy cukrów na podstawach kryształowych. Wnosili kosze kwiatów do ubrania sali. Pan Rudecki, oparty o poręcz schodów, przyglądał się ciekawie.

Ten wstęp do balu miał w sobie wiele znamienności. Cechował go przede wszystkim gorączkowy ruch służby, uwijającej się z gorliwością niemal podniosłą. Rudecki pomyślał, że zawsze tak samo niższe klasy pracują dla umilenia zabawy klas wyższych, uprzywilejowanych. I chociaż są płatne, jednak często robią to jakby z dumą, że ich do tego użyto. Rozmyślenia jego przerwał głuchy turkot karety u podjazdu. Kilku lokaji rzuciło się do drzwi. W kontramarkarni zrobił się większy ruch.

-- Zaczynają się zjeżdżać, trzeba iść na stanowisko — pomyślał pan Rudecki. Lecz spojrzął jeszcze na dół. Weszło dwóch panów; rozmawiali ze sobą głośno, pozbywając się palt za pomocą służących.

— Czy te wycia nie skończone? — rzekł jeden z nich, młody, cienki i już łysy.

Lokaj zgiął się w ukłonie z przymilającym się służbowym uśmiechem.

— A nie jeszcze, proszę jaśnie wielmożnego hrabiego, choć to już czas...

— Nie do ciebie mówię, fagasio — syknął jaśnie wielmożny.

Lokaj znowu ukłonił się.

— Arystokracja! — szepnął do siebie pan Rudecki.

Dwaj panowie stali przed lustrem, sprawdzając fryzjerską robotę na głowie, sztywną białość wielkich plastronów bielizny i znudzonokapryśny wyraz zwiędłych ust, poczem wolno, miarowym krokiem wchodzili na schody i, przymrużając oczy, spoglądali z góry na stojącego obywatela.

— To ktoś z koncertowej tłuszczy — rzekł do towarzysza łysy hrabia.

Pan Rudecki słów tych nie słyszał, zobaczył natomiast coś lepszego. Lokaj, który dotąd stał w postawie wyczekującej, gdy panowie znikli za drzwiami, zwrócił się gwałtownie w ich stronę i pokazał język... ale panu Rudeckiemu. Spostrzegłszy omyłkę, śpiesznie się cofnął do kontramarkarni, zupełnie skonfundowany.

Pan Rudecki, ubawiony tą sceną, poszedł prosto na galerję. Z miejsca swego widział oszklone drzwi wchodowe, schody i część górnego korytarza. Ostatni numer koncertu nie zajmował go wcale, jak i przeważną liczbę osób, siedzących bliżej drzwi.

Coraz ktoś nowy przyjeżdżał, ruch wzmógł się. Ojciec Stefci, siedząc obok filaru, widział wszystko, sam w razie koniecznym mógł, przechyliwszy się za filar, być z dołu niewidzialnym.

Dotychczas zjawiali się tylko nieznanymi panowie. Jeden z nich zatrzymał na sobie dłużej wzrok pana Rudeckiego. Był to człowiek już bardzo stary, ale prosty i sztywny, w obcisłym fraku. Twarz miał blada, jakby woskowa, na niej odznaczał się duży orli nos i ogromne czarne oczy. Siwe, prawie białe włosy miał zaczesane w staroświeckie pukle nad uszami, wąskie usta, zaciśnięte dumnie, wyrażały pychę magnacką.

Pan Rudecki wiedział, że jest to Andrzej Mortęski, prezes miejscowego towarzystwa rolniczego i dyrektor wystawy. Duma i wielkość były od tej postaci, czyniąc ją niesympatyczną. Obok hrabiego stał jakiś niski pan, gruby, czerwony i spocony na twarzy, z ogolonemi wąsami i białym zarostem à la Moltke. Ręce trzymał założone w tył z miną, jakby sobie nic z nikogo nie robił. Jednak na hrabiego spoglądał pokornie, uśmiech pełen uszcześliwienia nie schodził mu z ust. Gdy hrabia zwracał się do niego, zawsze trochę z góry, założone w tył ręce grubego jegomościa odrywały się nagle od fraka i tłuste czerwone palce zaczynały gmerać koło dewizki. Z taką uniżonością przeginał swą beczkowatą figurę, takie robił układne miny, że pan Rudecki patrzył na niego z obrzydzeniem.

— Pewnie jakiś młynarz z dóbr hrabiego, bo przecie chyba nie obywatel.

Koncertu nikt nie słuchał. Zaczęły się zjeżdżać panie z arystokracji. Mężczyźni wybiegli do kontramarkarni. Pan Rudecki wypatrywał pani Elzonowskiej i Stefci, ale jeszcze nie nadjechały. Przyjechał natomiast hrabia Trestka i Wiluś Szeliga. Nowe rzucenie się lokaji do drzwi i wszedł ordynat Michorowski, prowadząc pana Macieja.

Wszyscy panowie poruszyli się. Młodzi wyszli aż na schody. Hrabia prezes poważnie posunął naprzód swą imponującą postać. Powitanie dwóch starców odbyło się z obopólną atencją, poczem już hrabia nie odstąpił pana Macieja, a gruby jegomość z zarostem à la Moltke odszedł w skromniejsze szeregi męskie.

Waldemara otoczyli młodszy panowie. Pan Rudecki z za swego filaru pilnie na niego patrzył. Młody ordynat wyglądał już inaczej, niż na koniu i przy obiedzie, ale może jeszcze świetniej, gdyż nieposzlakowany frak uwydatniał zręczną i elegancką jego postać. Miał w sobie dużo wielkopańskiego tonu i swobodnej a wytwornej niedbałości w ruchach. Wyróżniał się z całego otoczenia. Poznawało się w nim pana bardzo wysokiej krwi, nie przeciętnego salonowca. Bal był dla niego, nie on dla balu. Pan Rudecki spoglądał na niego i cieszył się, bo lubił panów tego pokroju, co Waldemar.

Gdyby wszyscy nasi arystokraci byli podobni, stalibyśmy na szczycie cywilizacji — myślał z żalem.

Przyjechała starsza księżna Podhorecka, w czarnych drogocennych koronkach, i panna Rita. Księżnę prowadził hrabia prezes Morteski. Ritę jakiś pozujący na Anglika młodzieniec, który zręcznie uprzedził Trestkę.

Baron Weyher wprowadził triumfalnie, kapiącą klejnotami hrabinę Cwilecką. Za nią postępowała sztywno panna Michalina z łysym hrabią, co miał scenę z lokajem, i roześmiana Paula, wsparta na ramieniu równie roześmianego towarzysza. Waldemar, widocznie zniecierpliwiony, spoglądał na drzwi wchodowe.

— Czemu one nie przyjeżdżają? — pomyślał pan Rudecki.

Wtem zwrócił się do niego jakiś stary pan, siedzący obok i spytał, patrząc z pod okularów:

— Panie, czemu muzyka nie ustaje? Bębnią i bębnią, choć nikt nie słucha, a tam arystokracja już wali gremjalnie i pewno się także złości.

— Ktoś tu komuś powinien ustąpić: koncert arystokracji, czy vice-versa — odparł zagadnięty.

— Tymczasem nikt nie ustępuje, ale to dowodzi, że ci wszyscy panowie niewiele sobie robią ze sztuki, przytem są niezbyt grzeczni, bo i sami nie słuchają i innym nie dają.

— Zachowują się jednak dość cicho, a co do muzyki dzisiejszej, nie warta ona lepszego traktowania.

— Panie! przecie to sława stolicy i ostatni koncert!

— Może być! ja się nie zachwycam.

— A był pan na poprzednich koncertach?

— Nie!

— A — ba!

Ten wykrzyk przekonał pana Rudeckiego, że niezawsze ostatni akt równa się pierwszemu.

Pan w okularach mówił dalej:

— Zanim tę salę uprzątną z krzesel, to się biedne panie djabelnie znudzą w buduarach, a my tu na galerji.

— To i pan przyszedł oglądać bal?

— A tak. Ja, panie, po nocach nie śpiam, a nic lepszego nie mam do roboty, więc pomyślałem sobie. Trzeba popatrzeć, jak to oni tańcuja. A pan dlaczego tu przyszedł?

— Ja? ot dla zabicia czasu.

— A widzi pan?

Głośniejszy ruch przy drzwiach zwrócił uwagę rozmawiających. Pan Rudecki spojrział i cofnął się za filar. Na schody wchodziła pani Idalja w pysznej aksamitnej sukni i w brylantach, prowadzona przez starszego księcia Giersztorfa.

Waldemar prowadził młodą księżną Podhorecką. Biała jak śnieg Lucia szła z Wilusiem Szeligą. Stefcia, owiana seledynową krepa, świeża jak maj, wspierała się na ramieniu Trestki. Pan Rudecki, zaciękawiony, zapomniał o potrzebnej ostrożności, wychylił się z galerji, by lepiej widzieć wchodzących. Stefcia wydała mu się śliczną. Gdy przechodzili koło grupy mężczyzn, wszystkie głowy pochylły się przed pierwszemi parami. Pani Idalja skinęła głową trochę dumnie, a młoda księżna, drobna i ładniutka, z nieopisanym wdziękiem. Na Lucię i Stefcię posypało się moc spojrzeń, głównie na Stefcię, bo nie wszyscy ją tu znali. Ale Trestka, prowadzący dziewczynę, robił jej reklamę, miał przytem bardzo dumną minę.

W ślad za nimi przyjechali hrabioswo Barscy. Do hrabianki podbległ książę Zaniecki. Koncert skończył się.

Po długich oklaskach zaczęto wychodzić, ale jeszcze połowa publiki nie wyszła, a już zgraja lokaji wpadła do sali, chwytając krzesła i z rumotem wynosząc je na korytarz. Wszczęło się zamieszanie i hałas. Z za filarów wyszedł Waldemar, wskazał ręką w kierunku drzwi i zawołał krótko, spokojnym lecz stanowczym głosem:

— Służba na potem! Teraz proszę tam.

Lokaje spiesznie cofnęli się obsługiwać odjeżdżających.

W sali ucichło. Publika wychodziła swobodnie.

— Oho! temu nie przytrafi się to, co tysemu hrabiemu — pomyślał z zadowoleniem pan Rudecki.

A pan w okularach zawołał:

— Oto zuch! to ordynat, panie... Michorowski z Głębowicz. Ho! ho! to wielki pan, ale nie taki, jak oni wszyscy.

— Jakto nie taki?

— Bo rozumniejszy od wielu innych. Pan nie słyszał o jego dobrach? Jak on prowadzi gospodarstwo, a jaki popularny i ludzki. Przytem patryjota: żyje po magnacku, ale dla cudzych milionów nie trwoni. W jego dobrach ludzie żyją, jak u pana Boga za piecem, i otaczają go prawdziwą czcią. Ech! żeby nam więcej takich, nie oglądalibyśmy się na zagranicę!

Pana Rudeckiego uderzyło podobieństwo myśli sąsiada do jego własnych.

— Czy pan zna osobiście ordynata? — spytał.

— Osobiście, panie. Ale poznałem już go na wystawie, bo mam tu swoje torfy, dreny i rozmaite plany. Ja jestem inżynier, panie. A, że ordynat jest członkiem komitetu, czynnym przy organizacji, więc miałem sposobność rozmawiać z nim przy lokowaniu swoich artykułów. On ma na wystawie ogromną stajnię. Dziesięć klaczy, różnych ras, ze wszystkich majątków, i tego pięknego ogiera, panie, araba czystej krwi, na którym tak dzielnie jeździł na wyścigu hipicznym, pewno pan widział?

Ma także swoje zboża, psy myśliwskie i jeszcze tam coś w dziale myślistwa.

— Za konie dostał złoty medal.

— Bo też ma śliczne.

— I psiarnia dostała dobrą nagrodę. On widać ogromnie kulturalnie gospodaruje.

— I rozumnie, co dziwniejsze, że taki młody człowiek. Ja przecie znam głębowickie już za jego własnej administracji. Przedtem hulał, panie, po świecie, jak Nabab, błyszczał zagranicą. Teraz jakoś woli siedzieć w kraju, ale o żeniactwie nie słyhać, choć mu hrabiankę Barską swatają na gwałt.

Pan Rudecki zamyślił się.

Salę uporządkowano. Ogrodnicy ustawiali kwitnące wazon-y roślin. Posadzka odświeżona błyszczała, jak szyba.

Nagle z buduaru wyszła Stefcia z Lucią i, chwyciwszy się za ręce przebiegły wzdłuż sali. Za nimi ukazały się dwie panienki w wieku Luci, wattle i drobne, jak laleczki, w białych sukniach, uczesane w secesję. Były to księżniczki Podhoreckie, wnuczki księżnej z Obronnego. Wszystkie zaczęły wirować po sali. Wesole śmiechy odbijały się srebrnym dźwiękiem o freski ścian i sufitu. Wśród cieplarnianych kwiatów i drzew panienki fruwały, niby jasne motyle. Stefcia, najwyższa i najsmuklejsza, wodziła rej. Obie księżniczki kręciły się z rozradowaniem nowicjuszek, pociągając i Lucię, nieco poważniejszą. Nie zwracały najmniejszej uwagi na galerję, ani na służbę, która się grzecznie cofnęła. Na korytarz wszedł Waldemar, rzucił oczyma na salę i wpadł w rozbawione koło dziewczęce.

— Waldy! Waldy! — krzyknęły księżniczki.

— Panienki, kółko! — zawołał wesoło.

Porwał rękę Stefci i jednej z księżniczek, inne chwyciły się także za ręce, i w tempie mazurówem okręcił je parę razy dokoła.

— Waldy, ty stań w środku i będziesz wróblem, a my będziemy śpiewały — wołała zadyszana Lucia.

— Nie można, idziemy! — rzekł prędko i pociągnął je za sobą, wskazując brwiami pełne galerję.

Panienki rozbiegły się spłoszone, Waldemar wolno podążył za nimi.

Zaczeli się zjeżdżać goście z miasta, muzyka zagrała walca, dając hasło do balu. Ale pan Rudecki nie widział wchodzących par, tak pochłonięta go drobna scena z panienkami i ordynatem.

— Wzięli mi ją całą, wsiakła w nich — powtarzał w myśli i niebardzo słuchał zachwyków sąsiada.

— Oto, panie, młodź rozdokazywana! Jakie to były ładne te ich pi-ruety. Ale ordynat i do tańca i do różańca. Z panienek najładniejsza ta jasnozielona. Kto to taki? Pewnie także jakaś księżniczka.

— Żebyś wiedział, że jestem jej ojcem! — pomyślał pan Rudecki z prawdziwą dumą.

Bal rozpoczął się szumnie, z życiem. Prowadził tańce Waldemar i hrabia Brochwicz z pomocą kilku innych.

Mieniło się na sali od barwnych strojów pań, przeplatanych czarnymi frakami, od przybranych w kwiaty i brylanty głów kobiecych. Wytworna woń perfum, kwiaty, powiewanie wachlarzy tworzyło odurzającą atmosferę balową.

Błyszczały oczy, świeciły klejnoty, nogi w lakierkach i jasnych pantofelkach ślizgały się rytmicznie. Wiotkie postacie kobiet, przegięte z wdziękiem na ramionach mężczyzn, rozkosznie pochylone głowy, miały w sobie jakąś zmysłowość, idącą w krew a estetycznie piękną. Mężczyźni wyglądali zwyczajnie, czarne ich ramiona obejmowały śmiało gibkie stany tancerek, jakby z energicznym triumfem. Niektóre pary, tańcząc, zdawały się szeptać sobie na ucho tak samo porywające słowa, jak rwącym był szumny walc, który je unosił.

Waldemar, przetańczywszy z kilku pannami z arystokracji, porwał Stefcię w zaklęty wir. I wówczas zrozumiał czar tańca.

Po raz pierwszy otaczał ramionami jej smukłą postać i czuł ją tak blisko siebie przechyloną, wdzięczną, oddaną. Trzymał ją silnie i doznawał rozkoszy, słysząc bicie jej serca. Gorący oddech dziewczyny palił go, jej włosy musnęły mu usta. Sam pochylił się nieznacznie, aby dotknąć ich puchu jedwabistego. Oczy z pod zmrużonych powiek trzymał utkwione w strojnej główce, ozdobionej pękami białej koniczyny. Widział obfite rzęsy Stefci i delikatne rumieńce, widział jej ładny profil, gorejące usta, białą welinową szyję i ramiona, wychylające się z seldynowych obsłon krepy. Czar ogarniał go potężnie. Czuł, że i on oddziaływa na dziewczynę silnie. Stefcia tańczyła dobrze i lekko, ale była jak nieprzytomna. Nie zdawała sobie sprawy z uroku, jaki ją otaczał, czuła się szczęśliwą aż do upojenia. Wspaniale oświetlona sala, kwiaty, dobra muzyka — otuliły ją, tańczyła z zapamiętaniem, całą duszę wkładając w zabawę. Gdy zobaczyła obok siebie Waldemara, ogarnęło ją przerażenie, pełne błogości. W jego ramionach prawie zdrętwiała. Nie patrząc, czuła, że on przepala ją wzrokiem. Unoszona przez niego, lekko i zręcznie płynęła po niezmiernych falach szczęścia. Oboje tańczyli jak artyści. Tak byli wytworni i dobrani, że w tłumie mnóstwa par zaczynali zwracać na siebie uwagę. Upojenie ogarnęło ich wichrem, ich taniec stawał się namiętniejszym i, trwając za długo, przykuwał do siebie oczy baczniejszych widzów.

Panu Rudeckiemu łza zakręciła się pod powieką, westchnął cicho. Nie mógł oderwać wzroku od pięknej pary, a bolał go jednocześnie jej widok.

— Wyrwać ją stąd, unieść, zabrać! — zaszumiało mu w głowie.
Zapóźno.

Pan Rudecki czuł, że zapóźno.

Chwila przerwy. Szum, gwar, poprzedzający ważną chwilę balu, słyhać komendę ordynata. Brochwicz zwija się, ustawiając pary.

Nagle runął na salę huczny, dziarski mazur. Zakipiał spiesznym tętnem w sercach, rozgrzał krew w żyłach.

Zerwały się, popłynęły wszystkie pary.

W pierwszej ordynat z młodą hrabiną Wizembergową, córką księcia Giersztorfa, z którą ordynat niegdyś swatano. Druga para: hrabianka Barska i książę Zaniecki, następnie Trestka z panną Ritą, Brochwicz ze Stefcią, Lucia i młody Żnin. Zaroilo się na sali od czwórek.

Zapał rósł, kipiała krew tańczących, promieniały twarze pań, silne prądy, namiętne dreszcze rosły dokoła. Donośny głos ordynata podniecał do życia.

Mazur gorętszych wprost porywał za włosy, zniewalał do szału, budził entuzjazm.

Waldemar, niewyczerpany w pomysłach, układał coraz nowe figury. Widząc go tak rozbawionym, pan Maciej dziwił się po cichu, ale pani Elzonowska głośno mówiła, że takiej werwy dawno nie widziała u ordynata.

— Chyba w czasach, gdy bujał po świecie, lecz i wtedy był innym.

Mazur trwał długo, ale ordynat nie pozwolił mu słabnąć: przerwano go w pełni życia, chociaż wszyscy byli już pomęczeni. Sala opustoszała. Większość taneczników poszła do obficie zastawionych bufetów, a kółko arystokracji do dolnego gabinetu, gdzie była zamówiona osobna kolacja. Do sali balowej wpadła służba, uzbrojona w szczotki, zaczęła odświeżać posadzkę, niby arenę przed nowym wystąpieniem gladiatorów.

Pan Rudecki rozpamiętywał swe wrażenia. Dopomagał mu w tem sąsiad w okularach, który mówił bez przerwy, robiąc różne uwagi o tancerzach i tancerkach. Z pań chwalił najwięcej błękitną, istotnie piękną hrabinę Wizembergową, księżycową pannę Ritę i jasno-zieloną Stefcie. Tak je nazywał od koloru sukien.

W dolnym gabinecie bawiono się wybornie. Stefcia miała z jednej strony Trestkę i pannę Ritę, z drugiej młodzieńca z monoklem, który się nią ogromnie zajmował, a naprzeciw Waldemara z hrabianką Barską. Stefcia, uradowana z sąsiedztwa, miała złoty humor. Z wesołą przekorą drażniła się z Trestką, z pustym śmiechem przyjmowała umizgi młodzieńca w monoklu. Razem z panną Ritą tworzyli czwórkę niezrównaną. Waldemar dorzucał często swe atuty, co zwiększało grę słów, płynących szeroką rzeką, pełnych wytrysków dowcipu.

Hrabianka krzywiła się: drażniły ją ucieczki Waldemara do przeciwnego obozu; dokładała wszelkich usiłowań, aby go zatrzymać przy sobie, stosując wyraźną kokieterję. Na Stefcie czarne oczy hrabianki ciskały złe spojrzenia. Instynktownie czuła większe niebezpieczeństwo z tej strony. Panna ta w swej gorąco-pomarańczowej sukni, za bogatej i za poważnej na jej wiek, śniada, z włosami i oczyma czarnemi jak noc, przypominała cygańską królową, walczącą z dziką zazdrością o zdobycz.

Gdy patrzyła na Stefcie, z twarzy jej znikało rozczenie dla ordynata, a wypelzał gniew, prawie nienawiść, pokryta maską uprzejmego uśmiechu. Oczy gorzały dziko.

Książę Zaniecki, który pochłaniał ją wzrokiem, szepnął w zachwycie:

— Demoniczna dziewczyna! ale śliczna!

Popelnił nieostrożność: siedząca obok hrabianka Paula dosłyszała i rzekła z przekąsem:

— Ordynat nie lubi demonów w kobiecie.

Gniewało ją, że książę, siedząc przy niej zwracał oczy w inną stronę.

Zaniecki, zamiast skruchy, uradował się niezmiernie. On chciałby otoczyć ordynata całym legionem aniołów, byle mu tylko tego demona zostawił. Księciu chodziło najwięcej o oprawę: był z liczby ludzi, którzy w pewnych wypadkach więcej cenią ramy, niż obraz.

Stefcia dostrzegła nieprzychylny błyski w oczach hrabianki, lecz nie psuły one jej wesołości. Bawiła się wybornie, nie czując skrępowania.

Dobrze przeczuwał pan Rudecki: wsiąkła już w sferę tych ludzi. Miała przytem powodzenie. Jej karnecik szczelnie zapisano nazwiskami

Michorowski powtarzał się w nim kilka razy. Dziewczyna z rozkoszą wciągała wonny dymek uwielbień, unoszący się dokoła niej. Każde spotkanie się jej oczu z Waldemarem wstrząsało nią, każdy taniec z nim odurzał. Bała się jego zbliżenia, zaczynała drżeć, gdy na nią patrzył, a jednocześnie ten błogi niepokój sprawiał jej niewysłowioną rozkosz.

Kolacja trwała niedługo, poczem tańce znowu zaczęły się ze zdwojoną siłą.

Waldemar, przetańczywszy ze Stefcia kontredansa, posadził ją pod grupą olbrzymich palm i rzekł nieco szorstko, jak zwykle, gdy mu na czem zależało:

— Niech mi pani pokaże karnecik.

Stefcia podała mu seledynowy, malowany gracik z maciupcim ołówkiem tegoż koloru. Waldemar przeczytał na okładce:

„Lepsza w kwietniu jedna chwilka,
Niż w jesieni całe grudnie“.

Uśmiechnął się i usiadł obok Stefcia na krześle w ten sposób, że odgrodził ją od sali.

— Czy to pani sama wybierała ten karnecik?

— Dostałam go od baronowej.

— Bardzo dobry aforyzm. Mickiewicz dla siebie go widać ułożył, bo jednak czasami jest inaczej. Naprzykład u nas wiosenne chwile były złe, nieufne, drażliwe, słowem brzydkie! Dzisiaj są lepsze, a mamy jesień!

— Ale nie grudzień!

— W grudniu będzie jeszcze lepiej.

Przerzucał kartki karnecika, odczytując nazwiska.

— Ależ tu cała armja wpisana! Bajeczny rejestr! Moje litery bledną wobec tej potęgi. Co? co?... kotyljon — Brochwicz? No, mogła pani kotyljona zostawić dla mnie.

— Nie mogłam odmówić panu Brochwiczowi. Zresztą bal, to jak bitwa: zdobywa ten, kto pierwszy przychodzi.

— Nie zawsze! czasem drugi pobije pierwszego. Ja właśnie mam ten zamiar.

Spojrzał jej w oczy z demoniczną pewnością siebie.

Stefcia zmieszana się, ale odrzekła bez wahania:

— Tak nie można. Pan Brochwicz byłby słusznie obrażony.

— Potrzeba mi tylko zgody pani, a już ja tak urządzę, że się Jurka ułagodzi. Ale teraz mi pani naturalnie odmówi.

Powstał z krzesła i rzekł z uśmiechem:

— Idę po Brochwicza. Za chwilę.

Gdy odszedł, podsunął się do Stefcia młodzieniec w monoklu i zapytał z umizgiem:

— Pani kotyljona tańczy?

— Tak, panie.

— A!... pardon! spóźniłem się... i zawsze ordynat.

— Co pan tu przeciwko mnie spiskuje? — zapytał niski głos ordynata, tuż za nim.

Młodzieniec bąknął coś po francusku i z ukłonem odszedł.

Waldemar stanął przed Stefcia, trzymając pod ręką Brochwicza.

— Mój Jurku, ja tu zaatakowałem karnet panny Stefanji i twoja pozycja w kotyljonie bardzo mi się nie podoba. Nie chcę z tobą batalji, mając nadzieję, że sprawę załatwimy polubownie.

— Dobrze! ale to zależy odemnie, a ja się nie zgadzam — rzekł Brochwicz.

— Mój drogi! nie jesteś wyrocznią w tej sprawie.

— Zależy i ode mnie, lecz tem samym pan wygrywa — dodała Stefcia.

— Dziękuję pani! A co Waldy?

— Nie triumfuj przed czasem! Uciekam się do ostatniego środka i przekonam was, że słuszność żądania jest po mej stronie. Pani obiecała mi pierwszego kotyljona jeszcze w Słodkowcach — ten będzie pierwszym. Ty zaś, Jurku, podobno starasz się o rękę hrabianki Melanji, a ją znudził już Zaniecki, wierzaj mi!

— Przekonywa mnie jedynie pierwszy argument. Jeśli pani obiecała kotyljona najpierw tobie, muszę się cofnąć, chociaż z głębokim żalem.

Stefcia, mocno różowa, wyciągnęła rękę do Brochwicza.

— Przepraszam pana. Istotnie zapomniałam.

Chłopak ścisnął jej rękę z ukłonem.

— Jestem pobity, ale trzymając się zasady: nic darmo, proszę panią o ostatniego mazura.

Stefcia złożyła ręce z zabawnym grymasem.

— Niestety! wpisał się pod nim Żnin.

— A więc proszę o nadprogramowy. Waldy, ty, jako dyrygujący, urządzisz to.

— Z całą przyjemnością.

— Stefcia na końcu karnecika napisała dużemi literami:

— Biały mazur — Jerzy Brochwicz.

Chłopak z ukłonem odszedł w stronę Barskiej.

— Czy zadowolona pani? — spytał cicho Waldemar.

— Dlaczego pan skłamał? Ja panu kotyljona nie obiecywałam.

— A dlaczego pani skłamała?

— Chciałam ratować sytuację.

— A ja chciałem z panią tańczyć. Wcześniej nie mogłem o to prosić z powodu ścisłej barykady fraków, otaczających panią. Użyłem podstępu.

— Tak, ale co pan Brochwicz pomyśli?

— Pan Brochwicz uwierzył święcie, a teraz — o! niech pani patrzy — kłania się hrabiance i został przyjęty.

Przesunął się koło nich hrabia Barski. Zmierzył dumnym wzrokiem Stefcię i ordynata, ale w jego oczach ujrzał niezbyt zachęcający wyraz, bo spieszenie odszedł dalej.

— Co pani sądzi o tym panu? — zapytał Waldemar Stefcię.

— O hrabiu Barskim? Niesympatyczny i wydaje się nieprzystępnym. Zresztą — mało go znam.

Waldemar wydał usta.

— Napuszony arlekin wielkości, karykatura sferowa. Człowiek ten jest przekonany, że nie on istnieje dla świata, ale świat dla niego. W jego mniemaniu on jest osią, dokoła której wszystko się obraca. Ja nawet wątpię, czy on wierzy we własną śmierć, chyba w taką, że zostanie żywcem wniebowzięty, razem z herbem i koroną. Ale niech szanuje swą wielkość, jak sam chce, byle przestał być apostołem swych idei, gdyż one posiadają zarazek niebezpieczny.

— Więc hrabia ma jakieś idee i szerzy propagandę? — zdziwiła się Stefcia. — Nie posądzałam go o to: ma wygląd sobka, troszczącego się jedynie o swe miliony, tytuł i o... dobrą partję dla córki.

Waldemar z uśmiechem skłonił głowę.

— Odgadła go pani trafnie, lecz to są względniejsze wady hrabiego, możnaby mu je wybaczyć, bo za wiele mamy podobnych w kraju. Ale hrabia ma przytem niemożliwe doktryny etyczne i społeczne, i w sposób kaznodziejski chce je rozpowszechniać wśród młodzieży naszej; a że posiada mózg raczej żółwi, niż orli, więc może sobie pani wyobrazić, jakie zdania wygłasza. To już nie fanatyk, to barbarzyńca sferowy, naszpikowany dumą. On nie uznaje ludzi, tylko magnatów. To ciekawy typ, okazowy! lecz powinien być w muzeum, nie w świecie.

Stefcia poruszyła głowę ze zdziwieniem.

— Jeżeli znany jest ogółowi pańskiej sfery, jako człowiek wąskiego umysłu, więc nie może szkodzić.

— Tak, umysłem tęszym, ale mamy duży procent głów bardzo niewykształconych, umysłów niemowlęcych; na nich wpływ hrabiego działa. W ten sposób rozszerzają się jego pojęcia i szkodzą. Gdyby nie miał milionów i pięknej córki, możeby jego apostołstwo mniej znajdowało przychylnych obozów, ale to jest magnes, który ściąga bawelniane głowy pod jego hasło.

— Czyli, że hasło hrabiego brzmi: precz ze światem, niech żyje Olimp! — zawołała wesoło Stefcia.

Waldemar roześmiał się.

— Brawo, panno Stefanjo! doskonale! pani go lepiej zna, niż sądziłem. Hrabia istotnie arystokrację uważa za bogów, siebie bez wątpienia za Jowisza.

— Czy hrabianka podziela zapatrywania ojca?

— O tak! wprowadzie w inny sposób, lecz treść jednakowa. Tylko ona, jako panna na wydaniu i kobieta piękna, nosi swe zasady jak suknię, stosownie do okoliczności. Więc do salonu: aksamity, gazy, białe puchy, zwłaszcza, gdy widzi przed sobą, choć jedną partję z nazwiska, tytułu lub majątku. Na codzień szata jest ostrzejsza: wełna, brokat, dla ogółu ludzi stać ją tylko na płótno, perkalik, a dla służby nawet zgrzebny drelich jest zbyt kosztowny.

— Wypowiedział pan to z ręcznie, lecz złośliwie.

— Nie, pani, może w sali balowej moje zdanie wydaje się za ostre. Zresztą hrabianka jest dziś w najpiękniejszej ze swych ceremonjalnych szat, jest w otoczeniu wielbicieli i widzi przed sobą paru, o których jej wyjątkowo chodzi.

Stefcia uśmiechnęła się i skłaniając głowę w stronę mówiącego, rzekła:

— A jeden z najpierwszych rozmawia z przedstawicielką klas upośledzonych. To może hrabiankę gniewa.

— O i pani powiedziała to złośliwie.

— Nie, tylko szczerze.

— Więc powiem i ja tak samo. Jestem egoistą i dla hrabianki nie zaniecham rozmowy z panią. Ale otóż grają. Służę pani.

Stefcia wsparła się na jego ramieniu. Ordynat, otaczając jej gibki stan, spojrział na nią z pod zmrużonych powiek wzrokiem, jakim potrafił wprowadzać kobiety na manowce. Stefcia drgnęła i spuściła długie rzęsy. Ordynat objął ją silniej. Popłynęli na salę.

Kotyljon wił się z niebywałem życiem. Przygotowanych kwiatów zabrakło, szły na ofiary dekoracyjne. Waldemar miał na piersiach istny pancerz kwiatowy. Stefcia wyglądała, jak jeden bukiet, panna Rita, hrabianka Melanja, hrabina Wizembergowa, nawet Lucia i młodzietki księżniczki Podhoreckie pływały w kwiatach. Sala miała wygląd ogrodu: wszystkie panie różowe, rozpromienione, z gwiazdami w oczach, były jak kwiaty. Panowie, niby czarne motyle, uwijali się gęsto przy najpiękniejszych.

Szał ogarnął tańczących, przeszedł we wzajemne oświadczenie się sobie za pomocą kwiatów. Upajająca woń roślin, roznamietnienie, czar unoszący się w blaskach sali, omotując wszystkich niebezpieczną siecią, przeźrocza, jak mistyczna jakaś pajęczyna. Waldemar otrzeźwiał pierwszy i zakończył kotyljona huczną figurą mazurową.

Pomęczone panie uciekały do buduarów. Lokaje roznosili chłodzące napoje. Stefcia, księżniczki i Lucia wybiegły na korytarz. Naręcze kwiatów złożyły na balustradzie, same zaczęły się chłodzić wachlarzami. W ten na schody wbiegł lokaj, niosąc ogromny pęk róż, gwoździków i storczyków, przeplecionych pierzastą paprocią. Znikł w drzwiach sali.

— Ciekawam, dla kogo to? — szepnęła Lucia. — Pewno Zaniecki dla Barskiej.

Kilku mężczyzn otoczyło panienki. Młodzieniec w monoklu prawił Stefcie mdłe grzeczności. Zniecierpliwiona zabrała kwiaty, chcąc się schronić do buduaru. Panienki poszły z nią razem.

W przejściu pod filarami spotkały Waldemara.

Szedł niosąc w rękę świeżo przyniesiony pęk kwiatów. Błysk żywej radości zapalił mu się w oczach. Rozdzielił kwiaty na dwie części: jedną połowę wręczył Stefcie, a drugą sypnął na nią, jak na corso. Rzekał przyciszonym głosem:

— To nad program. Kwiaty składają pani hołd w moim imieniu.

Aksamitne róże pozaczepiały się na krepie sukni, upadły na szyję i ramiona Stefcie, inne u jej stóp. Jeden storczyk zawisł na włosach. Stała, jak w powodzi.

Waldemar znikł za filarami, zanim zdumiona Stefcia zdążyła mu podziękować. Obie księżniczki z okrzykiem rzuciły się podnosić rozsypane kwiaty i zaczęły je ciskać wesoło na Stefcie. Ona, ochłonawszy, odrzucała na nie. Bawiły się jak dzieci. Tylko Lucia stała sztywna, iakby zdrętwiała, patrząc nieruchomo na roześmianą trójkę.

— To już tak?... aż tak? — szepnęła do swej zdumionej duszyczki.

Pani Idalja, nawet nie widząc sceny z bukietem, zaczynała się dąsać na powodzenie Stefcie. Dziewczyne spotykały same tryumfy. Arystokratyczna młodzież dobijała się o tańce z nią. Otaczano ją stale ścisłym kołem. Zmęczona, rozpromieniona jak zorza, wirowała po sali niby motyl, niby cudny kwiat, porywający oczy. Pani Idalja widziała ożywienie ordynata, tańczył z nią zbyt często i zbyt namietnie. Lecz najgorzej bolało baronową, że Waldemar hrabiankę Melanję zaniebijał.

Po kotyljonie, w bocznym buduarze, podeszli do baronowej: hrabia Barski z jednej strony, z drugiej hrabina Ćwilecka, i oboje mocno zgorzeleni rozpoczęli atak. Hrabia mówił:

— Popeliła baronowa odstępstwo od zasad arystokracji, wprowadzając w nasze kółko tę Rudecką. To trochę skandal! Ça ressemble un peu mal!

Panią Idalję uraził ton tych słów. Nie lubiła czynionych sobie uwag. Spojrzała z góry na hrabiego i odrzekła sucho:

— Skandalu nie widzę, gdyż w sali jest wiele panien podrzędniejszych od Rudeckiej. Ta zaś, skoro jest dame de compagnie mojej córki, ma prawo do pewnych względów.

Barski podniósł dumnie głowę.

— Tak! ze strony baronowej i jej córki, nie przeczę. Ale ja tu widzę dokoła panny Rudeckiej hołdy młodzieży naszej. To już zbyt wiele.

— To kwestja jej urody i powodzenia — odcięła się pani Idalja.

— Idalko! — przemówiła pani Ćwilecka — nie broń jej. Hrabia ma słuszość: ta dziewczyna zaćmiewa sobą nasze panny. Był to największy nierozsadek z twej strony brać ją na bal.

Pani Elzonowska rozgniewała się.

— Zostawić jej w hotelu przecież nie mogłam. Z trochę dziwnemi państwem występujecie pretensjami.

— Wogóle popełniłaś nieostrożność, biorąc ją do Słodkowic — mówiła zirytowana hrabina. — Ona jest zbyt piękna tam, gdzie przebywa ordynat.

Barski zadrżał niespokojnie i złym wzrokiem przeszył hrabinę.

— Permettez, comtesse! stanę w obronie ordynata. Ta panna wpływu tak silnego mieć nie może, aby mówić tu o niebezpieczeństwie. Ona nie zaćmiewa naszych gwiazd, ale wprowadza niepokój, demoralizuje młodzież. Lecz zakusy ordynata mogą być względem niej inne, które łatwo wybaczyć: ona jest ładna, to prawda, ale i... subretki bywają ładne. Pani rozumie?...

Tłuste wargi hrabiny uśmiechnęły się do mówiącego rozkosznie, mrugnęła z dowcipną miną.

Nagle wyszła na środek buduaru hrabina Wizembergowa, dotąd stojąca w drzwiach niepostrzeżenie, i rzekła chłodno:

— Ale subretkom nie powierzamy swych córek, nie wprowadzamy ich do towarzystwa, nie podajemy ręki. Porównanie hrabiego jest co najmniej niewczesne. Panna Rudecka c'est une fille jeune, belle, et très bien élevée! Ona istotnie zaćmiewa nasze panny urodą, wdziękiem, inteligencją, porywa młodzież i ordynata — to wam się nie podoba. Ale można sarkać na nią, jeśli was gniewa, tylko nie ubliżać, szczególnie wobec osoby, której córka jest pod jej opieką.

Hrabina odwróciła się powolnym ruchem i dumnie wyszła z buduaru, ciągnąc za sobą szumiącą falę błękitnej mory.

Hrabia zły, napadnięty zmienacka, gryzł wąsy, a gdy pani Idalja również wyszła, syknął przez zaciśnięte zęby:

— Histeryczka.

Hrabina Ćwilecka wzruszyła ramionami.

— Poszaleli na punkcie Rudeckiej!

Oboje powrócili do salonu.

Tańce trwały do rana. Biały mazur przepłynął ostatnią dźwięczną falą, zahuczał raz jeszcze, rozniósł już trochę senne echo wesela po zmęczonej sali i zamilkł. Bo i sala była zmęczona. Świadczyła o tem wytarta posadzka, walające się na niej listki i gałązki zmięte, bezbarwne. Świadczyły pooblamywane dekoracyjne kwiaty i ten wyłączny stygmat skończonej zabawy. Zdawało się, że we freskach ścian, wśród zdobiących je roślin tułają się jeszcze westchnienia, śmiechy i resztki marzeń razem z tonami muzyki.

Przed podjazdem huczały karety, nawoływania służby i głuchy tentent koni.

Wschodzące słońce, połyskując na lakierach karet i zaglądając ciekawie do okien, mówiło odjeżdżającym „dzień dobry“.

Pan Rudecki, schowany w doróżce, wracał do siebie zmęczony, z pochyloną głową, pełną ciężkich myśli.

XXXII.

Wieczór zapadł nad miastem. Zabłyśły szeregi świateł na ulicach, okna domów migotały, przed hotelem, zawieszona wysoko, ziała białym blaskiem wielka lampa elektryczna.

W numerze pana Rudeckiego panował ruch. Lokaje wynosili walizkę i paczki, zdawali rachunek, doróżka czekała. Pan Rudecki, już w palcie, opłacał służbę.

Przy oknie oparta Stefcia, patrząc na ulicę, drżała, wstrzymując łzy. Przed nią stało lubiane pudło, pełne kwiatów z wczorajszego kotyljona. Posyłała je matce wraz z paką cukrów dla siostrzyczki i brata. Wszystkie kwiaty ułożyła na mchu warstwami, ale ogarnął ją teraz niepokój. Prędko otworzyła pudło i, przebierając między kwiatami, wzięła bladożółtą różę i parę gwoździków. Gorączkowo wsunęła je za stanik, zamknęła pudło i znowu otworzyła, biorąc wspaniały purpurowy storczyk.

To symbol jego... to on. Spiesznie schowała storczyk razem z różą i gwoździkiem. Pochodziły one z bukietu Waldemara, którym obsypał ją po kotyljonie. Pozostałej masie kwiatów przesłała z figlarnym uśmiechem od ust całusa i zaczęła zapakowywać pudło.

Do numeru wszedł szwajcar hotelowy.

— Czy wszystko gotowe? — spytał pan Rudecki.

— Proszę pana, doróżka gotowa, ale pan ordynat Michorowski przysłał swoją czwórkę i lando. Jest i lokaj, a oto list.

Na bilecie Waldemara, skreślonym silnem, oryginalnem pismem, było kilka uprzejmych słów, zawierających prośbę, aby jego powozem odjechali do kolei, gdzie i sam obiecywał być. Pan Rudecki zmarszczył się. Wszedł lokaj ordynata i uklonił się z uszanowaniem.

— Czy pan ordynat sam pojechał na dworzec? — spytał go pan Rudecki.

— Nie z hrabią Trestką i z panią z Obronnego.

Pan Rudecki odetchnął.

— Bardzo grzeczny i bardzo taktowny człowiek — pomyślał zadowolony.

Wyszli.

Na ulicy stało wytworne, błyszczące lando z małym herbem i mitrą książęcą na drzwiczkach, zaprężone w cztery kare klacze w strojnej uprząży. Krakowskie chomonta świeciły srebrnymi okuciami.

Konie rwały się niecierpliwie, gryząc wędzidła, ale poważny stangret Flawjan, starszy kolega Brunona, który jeszcze woził pana Macieja jako ordynata, umiał utrzymać je na wodzy.

Kiedy lando ruszyło, Stefcia przytulona do ojca zapytała cicho:

— Czy ordynat był wczoraj u ojczusia?

— Tak, był po obiedzie. Zabawił parę godzin. Bardzo się z nim ciekawie rozmawia.

Po długiej chwili szepnął znowu, jakby do siebie:

— Bardzo, bardzo elegancki człowiek.

Stefcia milczała. Coś ją ścisnęło w krtani... żal za odjeżdżającym ojcem i zarazem gorycz do samej siebie. Miarowy tupot koni, cicho sunące lando i dobrze znajoma liberja nasuwały jej uparcie na myśl Waldemara. Jechała jego landem, jego końmi — to samo już ją upajało. Pan Rudecki także milczał. Z ukosa patrzył na ładny profil córki, śledził jej widoczne wzruszenie, a w duszy jego gromadziły się złe obawy skłębioną masą.

Oboje mieli sobie dużo do powiedzenia i oboje milczeli. Zamykały im usta wrażenia, wiążące się w całość podobną, bo z jednego wypływały źródła. Przerazili się, ujrawszy dworzec kolejowy. Lśnił tysiącami świateł, migotał, huczał. Przeciągły świst lokomotywy przeszył serce Stefci dziwnym zgrzytem. Z niedającym się ukryć przestrawieniem przytuliła się do ojca.

— Ojczusiu, ty jedziesz, a ja zostaję znowu sama — szepnęła z taką przejmującą obawą, że pan Rudecki zadrżał.

— Stefciu! dziecko! a przecież nie chciałaś wracać... dobrze ci tu, oni cię lubią, uznają. Stefciu, czego się boisz?...

Lando stanęło. Lokaj zeskoczył z kozła, gromada tragarzy rzuciła się do stopni powozu. Wszczął się zgiełk i zamieszanie. Stefci serce waliło jak młotem. Gorączkowo, jakby sama miała jechać, wysiadła i szła z lokajem, niosącym pudło.

Nagle uczuła, że ktoś dotyka jej ramienia. Obejrzała się: był to Waldemar.

— Pani sama... Gdzież ojciec?...

— Poszedł kupować bilet.

— Niech mi pani poda rękę. Tu taki ścisk.

Oparła się na jego ramieniu. On ją przytrzymał mocno i bez słowa prowadził wprost do sali pierwszej klasy.

Panna Rita i Trestka powitali ją okrzykiem. To ją rozweseliło. Za chwilę wszedł pan Rudecki.

Rozmawiano niedługo.

— Czy pan prędko opuszcza wystawę? — pytał pan Rudecki Waldemara.

— O nie, panie! jeszcze zabawimy tu czas jakiś. Jutro zaledwo wyjeżdża pierwszy — a przyjeżdża drugi personel mej administracji. Gdy wszyscy obejrzą wystawę, a moi panowie praktykanci wybawią się należycie, wówczas wracamy do domu.

Rozległ się pierwszy dzwonek, trzeba było siadać. Pożegnanie trwało krótko. Stefcia nie łatwo oderwała się od ojca. Waldemar zniósł ją prawie ze stopni ruszającego pociągu. Jeszcze trochę ukłonów, powiewań chusteczki i pociąg z szumem pogrążył się w czarną czeluść nocy.

Lando wracało w milczeniu. Panna Rita i Stefcia siedziały cichutko, zamyślone. Panowie nie odzywali się także. I znowu Stefcia słyszała miarowy tupot koni, cichy turkot kół na gumach, znowu w blaskach świateł ulicznych migały przed nią złote guzy liberji na kozle. Jechała jego landem, jego końmi, ale obecnie i z nim. Wiedziała, że on siedzi naprzeciw, lecz wrażenie było już inne, może więcej skomplikowane, ale mniej potężne. Tylko czar płynął tą samą, co zwykle, falą.

Na wystawie ruch zaczął się zmniejszać, wiele osób wyjechało. Zabawy przycichły. Wszyscy zdawali się być pomęczeni. Tylko ordynat Michorowski, niewyczerpany w pomysłach, urządzał ciągle nowe przyjemności swym krewnym i znajomym. Odbywano wspólne wycieczki w śliczne okolice podmiejskie, końmi lub na samochodach, włóczono się po mieście, zwiedzając magazyny. Na placu wystawowym, gdy ruch się nieco zmniejszył, oglądano szczegółowo ciekawsze działy. Pewnego dnia byli wszyscy w stajniach i pawilonach głębowickich.

Stajnie, przybrane w barwy ponsowe z czarnem, najeżone chorągiewkami, strojne w festony zieleni, przedstawiały widok piękny. Kręciło się tam pełno chłopców stajennych w dzokiejkach i ponsowych kurtkach, oraz masztalerzy strojniejszych już, pod dyрекcją koniuszego Badowicza. Konie miały na sobie kapy sławuckie, haftowane w monogramy z mitrą i żółte zamszowe uździenice.

Porządek w stajniach panował wzorowy. Zachwycono się najwięcej Apollem. Odprowadzał go sam koniuszy. Apollo na widok ordynata zarżał cicho i dymiące nozdrza zwrócił w jego stronę. Szyję wyginał klasycznie, oczy pełne i inteligentne w wyrazie gorzały jak pochodnie, kręcił się, bił kopytami ziemię, chrapiąc w sposób, znamionujący wyborną rasę.

Stefcia podeszła do konia, klepała go po wygiętej szyi, gładziła śliczną główkę.

— Stefciu, on ciebie uderzy! — wołała przestraszona Lucia.

— Nie uderzy. Owszem, niech go pani pieści — szepnął Michorowski — niech mu pani da rękę do pocałowania.

— Oż tego nie potrafiłby! — zaśmiała się Stefcia.

— Powinien znać swe obowiązki.

Waldemar dotknął pejczem kolan Apolla i zlekka uderzył parę razy. Koń stęknął, zachrapał i, zginając kolana, ukląkł na przednie nogi przed zdumioną Stefcią.

Panna Rita zagryzła wargę aż do krwi, Trestce rozszerzyły się oczy. Rządca głębowicki i praktykanci spojrzeli na siebie błyskawicznie. A Brochwicz z miną rozradowaną nadzwyczaj uprzejmie usunął się przed Barskim, jakby mu chcąc odsłonić niezwykły widok.

— Kosiu! košku! śliczny, cacany! — zawołała, ochłonawszy Stefcia. Objęła głowę konia ramionami i pocałowała w białą gwiazdkę na czole.

Apollo, jakby tego tylko czekał, zerwał się gwałtownie, wyrzucając łbem i parskając rażno.

— Warjat! — mruknął Barski.

— Kto? ordynat czy Apollo — spytał z umizgiem Brochwicz.

Hrabia spojrział na niego z góry z taką miną, jakby chciał rzec:

— Obaj siebie warci, a i pan nie lepszy — i obrażony, założywszy w tył ręce, podszedł w przeciwną stronę, gwizdząc.

— Ależ to cyrkowy koń! Jakim sposobem pan go tego nauczył? — spytała Stefcia trochę zmieszana.

— A od czego wola — rzekł Waldemar.

— Zaimponowało mi to, muszę przyznać — mówiła panna Rita.

A Wiluś, stojący na boku myślał:

— Szczęśliwy człowiek! może jej okazać hołd nawet przez konia. Ciekawym, kogobym ja mógł zmusić do zgięcia przed nią kolana. Chyba samego siebie.

I westchnął rozgoryczony.

Pawilon łowiecki był również ciekawy. Tam przeważały barwy szare i zielone. Wieniec z dębowych liści, głowy łosi, jeleni i danieli o potężnych rogach, łby odyńców, zadziwiające kłami, ozdabiały budynek. Przy wejściu stał ogromny wypchany niedźwiedź, trzymający w łapach stalowe wieszadło do kapeluszy. Dział ten przedstawiał okazy fauny i flory z lasów ordynackich, plany wzorowego urządzenia lasów, dokładny wykaz ilości starodrzewiu i zagajników, a także mapy i trofea myśliwskie ordynata. Jeden kątek pawilonu zajmowały zdobycze jego z podróży do pustyni Afryki. Były tam skóry lwie, tygrysie i lamparcie, jeden tygrys bengalski, całkowicie wypchany. Były kły słonia i głowa antylopy, oraz okazy ptaków podzwrotnikowych. Każda sztuka miała tabliczkę z objaśnieniem, gdzie zabita i kiedy. Dział ten obsługiwał typowy murzyn z wełnistą głową, ubrany w zielony jedwab. Na ścianach wisiały fotografie zwierzyńca gębowickiego, a także strzelby, rewolwery, trąby i noże obsługi leśnej. Dyrygował i objaśniał łowczy Urbański z pomocą strzelców. Odznaczał się strzelec Jur, ulubieniec ordynata, olbrzymi chłop, mający dumną minę i pyszny moderunek. Jego zielony uniform lśnił od złotych szamerowań.

Zwiedzili jeszcze pawilon ze zbożami ordynata i poszli na plac główny do cukierni.

Zajęli miejsce na werandzie przy kilku stolikach. Michorowski siedział z panną Ritą, Stefcia i Lucią. Trestka przysunął się do nich również. Naprzeciw był stolik wolny. Za chwilę usiadło przy nich dwóch panów: tłusty jegomość z czerwoną spotniałą twarzą i młody zbiedzony urzędniczek.

— Kawy! — zawołał ostrym basem gruby pan do chłopca w białym fartuchu.

Poczem wsparł brodę na olbrzymiej kościanej gałce od laski i rzucał wzrokiem na wszystkie strony. Sapał przytem, jak lokomotywa.

— To jakiś restaurator napewno — mruknął Trestka. — Bada, czy więcej ma gości cukiernia, czy jego restauracja. A może to jakiś rzeźnik?...

— Nie krytykuj pan z pozoru — rzekł Waldemar. — Zobaczymy dalej.

— Czy pan nie jest fizjonomistą? — zapytała panna Rita.

— Ja, pani? Owszem! bywają wypadki, nawet częste, że odgaduję ludzi z twarzy, po oczach zresztą. Ale odgaduję usposobienie danej osoby, czasem myśli, — trudniej przeczuć, czym się ona zajmuje, o ile niema zewnętrznych oznak. Stopień wykształcenia, inteligencji wykazuje najczęściej zachowanie się i dlatego ten pan robi na mnie wrażenie podejrzanego.

— To rzeźnik napewno — twierdził Trestka i zaczął opowiadać Stefcii i Lucii jakąś zabawną anegdotkę.

Rita rzekła do Waldemara:

— Jeżeli pan odgaduje niekiedy myśli innych, proszę powiedzieć coś o mnie. O czym myślę?

— O czym pani myśli, czy o czym pani myślała? — spytał z przekornym uśmiechem.

— Kiedy?

— Tak... trochę wcześniej... w stajniach.

Panna Szeliżanka utkwiała w nim surowy wzrok.

— Owszem, proszę — rzekła.

— Myślała pani o mnie...

— Zarozumialec!...

— Niech mi pani pozwoli dokończyć! Myślała pani, że... jestem narwany i jeszcze, że rzucam rękawicę pewnym osobnikom, o których w mniemaniu ogółu powinno mi chodzić. Ech! myślała pani, że jestem warjat. No, czy nie zgadłem?

Patrzył jej w oczy z uśmiechem. Rita gryzła usta. Nagle prędkim ruchem podniosła głowę, rzuciła bystre spojrzenie na Stefcię i odrzekła niepewnym głosem:

— Tak, zgadł pan. Ale nie myślałam, że pan warjat, broń Boże! Ani to, że pan rzuca rękawicę Barskiemu. Wiem, że panu o niego nie chodzi. Dziwiłam się tylko, że... wysuwa pan zbyt śmiało naprzód sytuację... mogąca być jeszcze w cieniu.

Michorowski ściągnął brwi.

— Dlaczego? A jeśli ja ją chcę mieć w pełnym świetle? Czy mi nie wolno?

Panna Rita pobladła.

— Ach! któż o tem wątpi?... Tylko... zdawało mi się... że był pan pod wrażeniem chwili i trochę może mimowoli.. przeszarżował prawa zwykłych grzeczności.

Waldemar popatrzał na nią i rzekł z przyciskiem:

— Więc zapewniam panią, że byłem szczery. Gdzie istnieją całe szeregi chwil, nie poddaję się wyłącznie wpływowi jednej. Zatem nie szarżowałem, raczej przeciwnie, przez wzgląd na osobę interesowaną, zawsze i wszędzie niesłychanie normuję swe wrażenia, nie chcąc wyprowadzać jej z dotychczasowego obiektywu pod bardziej szczegółowy rozbiór opinii, która nie szczędzi nikogo.

Rita siedziała blada, panując nad sobą. Ta walka ubrała ją w maskę chłodu. Odrzekła sztywno:

— Danej osoby opinia nie naruszy, ale u pana wynurza się już subiektywność kwestji...

— Pozwalam wszystkim na rozcząstkowanie siebie i swych myśli, byle się kontentowano tylko mną. To zastrzegam — dodał, kładąc nacisk na ostatnich słowach.

Panna Szeliżanka dumnie rzuciła głowę.

— Niech pan zastrzega innym, gdyż ja rękawicy pańskiej nie podniosę... mogę ją najwyżej popierać w pewnych sferach, gdy już będzie rzuconą.

Michorowski skłonił się.

— W panią wierzę — rzekł grzecznie.

— Och! — zawołała młoda panna.

— Czy dostanę kawy? Co u diabła! — ryknął nagle tłusty jegomość przy bocznym stoliku.

Ordynat z pod brwi podniósł na niego zdziwiony wzrok i zatrzymał chwilę.

— Ga:son! trutniu jakiś! kawę podawaj!

Gwar panował na werandzie. Środkiem płynęła fala kobiecych kapeluszy i męskich głów. Lokaj nie zjawiał się.

— Garson! — krzyknął jegomość, podnosząc głos do wyżyn niemożliwych. — Błazny, hultaje! czy to w waszej podłej cukierni nawet dowołać się nie można? —

Waldemar nie spuszczał oczu z rzucającego się jegomościa, tylko wzrok chłodniał mu stopniowo.

— Dzika bestja! — mruknął.

— A co! nie mówiłem, że to rzeźnik? — dowodził Trestka. — Jemu się nawet zdaje, że jest w oborze.

Jegomość stuknął laską w podłogę, wreszcie i tego mu było za mało. Zadarł głowę do góry i z miną wolarza zaczął walić laską w marmurowy blat stolika, aż brzęczały naczynia poustawiane na innych.

Lucia i Stefcia zaniepokoiły się, panna Rita zaczęła się cicho śmiać. Michorowski wstał.

— Panie! bez skandalu — szepnęła błagalnie Stefcia, przechylając się przez Lucię.

Oczy jej spotkały zimne źrenice ordynata. Złagodniał, na ustach jego mignął ledwo dostrzegalny uśmiech.

— Bądź spokojna — wyczytała Stefcia w jego oczach.

Waldemar zbliżył się do jegomościa, ale miał taką minę, że szczupły urzędniczek pociągnął krzykacza za rękaw.

— Panie łaskawy — rzekł Waldemar przyciszonym głosem, lecz dobitnie — pan zapewne wraca z rajszuli, ale tu jest cukiernia i są damy.

— Co to pan?! — zaperzył się zdumiony jegomość, prostując potężne bary.

Wystraszony urzędnik ciągnął go niemiłosiernie za rękaw. Michorowski niedbale oparł się dłonią na stoliku.

— Niech pan raczy poszukać sobie odpowiedniejszego miejsca dla swej... bujnej natury — rzekł szczególnym tonem.

Kilka osób stanęło. Oglądano się na nich.

— Co to znaczy! co pan znowu? — wrzasnął zrywając się jegomość.

Waldemar stał jak posąg z lodu.

— To, panie, że ja mam tu pewne prawa i na ich zasadzie nie pozwalam w miejscu publicznym, gdzie są kobiety, urządzać knajpy — mówił dobitnie.

Przerażony urzędnik ściągał już ubranie z ramion towarzysza.

— Panie, to ordynat Michorowski — szepnął do ucha zaperzonego jegomościa jakiś przechodzący pan.

Tłuszcioch zmitygował się odrazu.

— Ale mnie kawy nie dają — rzekł znacznie grzeczniej.

— Niech się pan upomina, lecz ciszej, proszę! — rzekł Waldemar i odszedł do swego stolika.

Rozejrzał się bystro po werandzie... Nadbiegł wezwany przez kogoś chłopak. Ordynat zmierzył go ostrem spojrzeniem.

— Pilnować służby — rzekł krótko i wskazał na stolik.

Uspokojony jegomość sapał zawstydzony.

Chłopak spuścił oczy, szurgnął nogami przed ordynatem i pospieszył na stanowisko.

Waldemar usiadł i zwrócił się do Stefci.

— Pani wzrokiem mogłaby poskromić lwa — szepnął z uśmiechem.

— Trochę wątpię — odparła.

Waldemar zaczął się śmiać z przerażenia Luci.

Trestka rzekł do Rity:

— Ordynat pożarł rzeźnika, uważała pani?

— Zawsze wspaniałały! — odparła zamyślona.

— Chyba nie rzeźnik?

— Niemądry pan jest.

— Zwykle zakończenie! — rzekł z rezygnacją Trestka.

Panna Szeliżanka zamyślona spuściła głowę. Słońce, zachodząc, wyjrzało raz jeszcze przez pawilony, rozświetliło drzewa, jak ostatnie tchnienie rzuciło blask na werandę cukierni i na stół z lodami, przy którym każdy myślał o czem innym, lecz wszystkie te myśli ściągały się do jednego mianownika.

W połowie września mieszkańcy Słodkowic i Obronnego opuścili wystawę. Ordynat został aż do jej zamknięcia. Z pewnym smutkiem wyjeżdżali wszyscy, ale żegnali się zaledwo na tydzień. Zapowiedziane przez ordynata polowania w Głębowiczach miały na nowo rozpocząć szereg zabaw. Wiele pań rozmyślało nad zabraniami odpowiedniej ilości strojów okolicznościowych i na bal kostjumowy, będący w programie. Wszystkich dziwił zapal ordynata. Na wystawie on najwięcej przyczynił się do ogólnego życia, sypał pieniędzmi, imponował oryginalnością pomysłów. Odgadywano, że w Głębowiczach wystąpi jeszcze świetniej, mając stosownie do tego ramy. Nikt nie domyślał się, co go tak pobudza, choć wielu chciało dojść prawdy. Niektórzy przeczuwali w tem hrabiankę Barską; należała do ich liczby i pani Idalja. Lecz większość, z panem Maciejem na czele, nie wierzyła.

Tylko w kołach najbliższych, panny Rity, Trestki i Brochwicza, wszyscy zrozumieli wielką prawdę, ale i oni zaliczali ją do bajek.

Niespodziewane ukazanie się w salonach Mortęskiego margrabiny Silva zaciekało uświadomionych.

Czy to był figiel hrabiego, czy przecucie margrabiny? Nagłe zniknięcie jej zainteresowało podwójnie...

— Przegrała Werka! — szeptały zadowolone panie.

Brochwicz opowiadał wszystkim, że ordynat zakończył ostatnie rachunki włoskie i wszelkie inne rubryki rzucił do pieca.

— A krajowe? — spytał dowcipnie młody książę Giersztorf.

Trestka zacisnął usta i mocno ściągnął czoło.

— Hm! tu będzie trudniej: księżna Krystyna twardsza od Silvy... Nie nałoży habitu... napewno — mówił Brochwicz. — Będą spazmy, awantury i na tem koniec. Ordynat już ofiarował Kryście *carte blanche* — mogła się oswoić. On usunie poboczne pretensje, skoro tylko zechce.

Panna Rita smutnie kiwała głową.

XXXIV.

Wystawa zamknięta. Większość towarzystwa przeniosła się do Głębowicz, gdzie nastąpił sezon polowań jesiennych. Zamek głębowicki z łatwością pomieścił gości. Waldemar przyjmował ich po królewsku.

Miała się odbyć wielka obława na wilki, polowanie na łosie, dziki i w zwierzyńcu na bażanty. Cała armja leśnej służby ordynackiej była w ruchu. Łowczy Urbański wypełniał gorliwie polecenia ordynata, komendenrując z kolei podłowczymi, ci zaś mieli pod sobą zastępy gajowych i masy nagonki. Psiarczyki trzymali na smyczach psy gończe i małe podpalane jamniki do wytrapienia lisów z nor.

Dokoła dziedzińca zamkowego jeździły zwolna bryczki i wolanty, ciągnięte przez rosłe spasiołe konie.

Masztalerze uwijali się pomiędzy wierzchowcami. W wielkiej marmurowej bramie stali na koniach trębacze, oznajmiając rozgłośną fanfarą

zbliżających się gości z sąsiedztwa. Całe obywatelstwo ordynat zaprosił do Głębowicz.

Wszystko to miało wygląd wyprawy wojennej. Michorowski w ubraniu myśliwskim, jak główny wódz był wszędzie. Witał przyjeżdżających, doglądał ostatnich przygotowań, nawet bawił panie, zebrane w wielkiej sali jadalnej, gdzie mężczyźni jedli śniadanie przed wyjazdem do kniei. Nikt prawie nie siadał, każdy stojąc, trzymał talerz przed sobą. Taka swoboda sprawiała niezwykłą przyjemność. Godzina była wczesna, więc tylko młodsze panie i panny towarzyszyły wyjazdowi. Po głośnych pożegnaniach, bryczki, wolanty i myśliwi konni wyruszyli z bramy zamkowej długim sznurem. Przeprowadzał ich odgłos trąb, jakby zamek, wysyłając swą drużynę w bój, dodawał jej otuchy tym dźwiękiem śpizowym.

Ordynat jechał konno, za nim strzelec Jur wioził dwie strzelby i naboje. Waldemar miał przy sobie rewolwery w olstrach i sztylet w srebrnej pochwie. Olbrzymi dog Pandur biegł obok jego konia poważnie, lecz z butną miną. I on rozumiał ważność wyprawy. Udano się najpierw do bliższych borów. Majaczyły czarną linją i w miarę zbliżania się myśliwych rosły w olbrzymów. Od przepaściastych głębi wiało obfitością zwierzyny. Orszak wbił się klinem w lasy i zaraz po pierwszej knieji rozpoczęto łowy. Oblawa na wilki dała pyszne trofea. W pierwszych zakładach Waldemar nie strzelał, ustępując gościom najlepszych stanowisk. Dopiero w następnych zabił ogromnego wilka w biegu, pomykającego wśród krzaków. Łowczy Urbański polował również i dwaj praktykanci. Główną komendę nad ustawianiem nagonki prowadził jeden z podłowczych, drugi kierował psiarną w zakładach, gdzie puszczano psy. Ale nadzór ogólny miał sam ordynat. Zajęto nową część lasu, gdzie przebywały losie.

Gęsty bór sosnowy, wysoki, podszyty liściastymi krzakami, szumiał poważnie, miał wewnątrz wielką różnorodność kolorów. Żółte i czerwone liście, ciche, prawie bez szelestu spadały na ziemię. Gdzieniedźle czerwieniły się borówki, grzyby wysuwały z pod mchu tłuste swe czoła. Czerwone plamki syrojadek, żółte towarzyskie gąski, różowe rydze, okryte rosą, tworzyły ładne desenie na ciemnym dywanie mchu. Jesień wysadziła się na bogactwo, darząc las wszystkim, co mógł mieć w sobie o tej porze roku. Białe nitki babiego lata, zaczepione o złotawe pnie sosen, wiewały w powietrzu srebrnymi pasmami, owijając liście, tworząc pajęczą siatkę, oplatającą las. Razem z masą włókien spływała dziwna melancholja, jakby sonety jesienne. Jakiś ocieślały spokój i łagodna cisza w naturze, i bezpretensjonalność i powaga. Cała natura zdawała się mówić: „Oto szczęśliwie dobiegam kresu“.

I dreszcz szedł po wielkich konarach drzew w obawie nadchodzącej zimy. Liście i kwiaty i zioła przeróżne czuły, że kres idzie, żółkły im lica i wędły ciała. Uśmiechały się jeszcze do słońca, ale już przedśmiertelnie, boleśnie, wspominając z żalonym poszumem miniony, złoty maj. Tylko grzyby panoszyły się butnie, słyszeć nie chcąc o jakiejś tam zimie; zaledwo wyjrzały na świat Boży i były pełne pretensji.

Dziś bór miał wiele różnaitości. Po ustawieniu się myśliwych zagrzmiiała donośnie trąba na wyruszenie nagonki, poczem zapadła głucha cisza. Cała linja strzelców jakby zamarła, tylko gęste korony sosen huczały w górze jednostajną melodją kołysanki leśnej, tylko liście sze-

jeszcząc spadały na ziemię, a czasem zakwilił ptak wśród gałęzi. Linję obstawiono gęsto; prawie za każdym myśliwym stał strzelec.

Waldemar miał miejsce pod ogromną sosną. Trzymał strzelbę w pogotowiu, druga stała oparta o drzewo. Nie lubił mieć za plecami służącego: jego strzelec, olbrzymi Jur, stał w pewnej odległości, mając polecenie przynosić zabita zwierzyne po skończonym zakładzie.

Nagonka ruszyła daleko, myśliwi nic słyszeć nie mogli. Bór milczał jakby się gotując do mającej nastąpić kanonady. Waldemar wsparł się plecami o sosnę, niebardzo uważając na ciemne głębie przed sobą. Oczy jego nie miały ironicznego wyrazu, sarkazm częsty gość w nich, schował się głęboko, wysyłając na swe miejsce trochę tęskną zadumę. Pełne, nieco zynsłowe usta przeciągnęły się w linję stanowczą, jakby do walki, przez tęsknotę oczu przelatywał chwilami groźny błysk. Wówczas brwi tworzyły złowrogi łuk. O czymś rozmyślał, coś postanawiał, może nawet marzył... Lecz na fali marzeń musiały być jakieś porohy nieprzyjazne. One wywoływały groźne cienie w jego oczach i na twarzy.

Nagle rozpogodził się, jakby jasny blask słońca padł wprost na jego głowę. Lekki uśmiezek, prawie rzewny, przemknął po jego ustach. Wyszeptał niemal z czułością:

— Stefcia...

Wiatr wionął, żółte liście z drzew poruszyły się zgodną harmonją, zaszumiały głośniej wyniosłe czuby sosen, kilka głosów ptasich uderzyło w niebo.

— Stefcia... Stefcia... — szeptały dokoła drzewa i kwiliły ptaki.

Zdaleka zerwał się hałas kołatek i przeciągłe pohukiwanie idącej zgrai.

Szła nagonka.

Jeszcze chwila nateżonej uwagi... Zadudniał głuchy, potężny tętent, ozwał się trzask łamanych gałęzi i Waldemar ujrzał pędzącego z boku olbrzymiego łosia. Zwierzę rwało przez zarośla ociężałym kłusem, z podniesioną głową i położonemi na grzbiet rogami, jak sekate galezie.

Waldemar wymierzył, lecz nie strzelał: oddał pierwszeństwo księciu Zanieckiemu. Ten raptownie podniósł strzelbę do oczu, ale łos dojrzał ruch i, skrećiwszy na miejscu, rzucił się w stronę Waldemara. Zaniecki strzelił z obu luf — spudłował! Łos zadął głowę i, farbując, posunął się bliżej ordynata.

Wówczas Waldemar wypalił, mierzac w komorę, raz i drugi. Olbrzym ryknął przeciągłe i ciężko ranny poszedł dalej.

Brochwicz dokończył mord. A Zaniecki szepnął do siebie:

— Ordynat rozmarzony, zaczyna pudłować.

Strzały nie milkły, cała linja grzmiała hukami.

Padło kilka łosi, inna zwierzyna sypała się gęsto. Ordynat zabił dużo, otaczał go ładny wianek zdobyczy.

Gdy nagonka podeszła blisko, myśliwi zgromadzili się przy księciu Giersztorfie.

Każdy opowiadał o swych zdobyczach.

— Ja najwięcej dałem strzałów — wołał Trestka.

— A zabił pan ile sztuk?

— Ile?... coś chyba... ech, nie wiem! To się potem policzy.

— Panowie, baczność! uważam, że Trestka chce ściągnąć każdemu z nas po jednym zajączku dla zwiększenia swego tryumfu — zawołał wesoły Brochwicz.

Trestka obraził się.

— Szczególnie tobie nie mógłbym tego zrobić, bo byś odrazu poznał, mając najmniej na rozkładzie.

— Przepraszam cię! zabiłem sześć zajęcy, wilka i kozła. To trochę więcej, niż u ciebie, gdzie tylko jedna lisia kita błyszczy w otoczeniu dwóch szaraków.

— Dobrze strzelacie obaj i zwierzyny mnóstwo — rzekł pojednawczo Giersztorf.

Hrabia Barski zbliżył się do Waldemara.

— Czekamy ze śniadaniem na panie? — zapytał, biorąc go pod rękę.

— Zapewne, już wkrótce przyjadą.

Hrabia pociągnął go na stronę.

— A propos! niech mi pan powie... raczej określ bliżej stosunek tej... tej... comment donc! panny Rudeckiej do naszego towarzystwa?

Waldemar stanął jak spiorunowany, gniew zawrzał w nim, ostry wzrok zwrócił na hrabiego i spytał:

— Jaki stosunek? Nie rozumiem!

— Ah Dieu! panie ordynacie! chcę, abyś mi jaśniej wytłomaczył pozycję tej panny między nami.

— Jest nauczycielką Luci Elzonowskiej i zarazem towarzyszką... przyjaciółką.

— Nie to. To wiem... Ale ona ma prawa jakieś wyższe, nadane jej przez was?... Ona jest traktowana na równi z pannami ze sfery?... Ale Rudecka to trochę za mały szczebel do naszych wyżyn... za mały!

— Pozwoli pan, nasze wyżyny, jak pan się wyraził, to rzecz bardzo względna i wymagająca szerszego omówienia — przerwał Waldemar.

Hrabia skrzywił się, przybierając postawę pełną godności.

— W ustach pana trochę fałszywie brzmią jego słowa — to nuta nieodpowiednia dla potomka jednego z pierwszych rodów naszej arystokracji.

— Nie jestem, panie hrabio, fanatykiem sferowym. Cenię swój ród, lecz nie kłaniam mu się bałwochwalczo. Stygmat wyższości widzę w czynach, nie w herbie, bo taki sam noszą inne rody w kraju.

— Ale masz pan nad nim mitrę, czego ci inni nie mają.

Waldemar roześmiał się przykrym, szyderczym śmiechem.

— Ach!... więc to?... u mnie mitra, u hrabiego dziewięć pałek?... to stanowi owe wyżyny? Aa! jeżeli tak, to panna Rudecka istotnie do nas nie dosięga, ale razem z Szeligami, Żninem i wszystkimi, którzy są uważani za naszych, są wśród nas, a jednak mają tylko pięć pałek w koronie

Hrabia spojrzał ciekawie, lecz z gniewem na ordynata.

— Nie pojmuję pańskiego oburzenia!

— Daruje hrabia, ale ja nie pojmuję całej naszej rozmowy.

Waldemar był wzburzony i nie ukrywał tego, nie bacząc na nic.

— A jednak ja wciąż dążę do tego, aby pana przekonać.

— Nie, hrabio, to na nic. Proszę się nie trudzić!

Barski mówił dalej, jakby nie słysząc:

— Nasz stygmat nie leży w tej samej koronie, lecz i w tradycji. To, co świat cały nazywa arystokracją, wymaga u nas pewnej baczności, nawet pieczołowitości. Nie wolno nam zapominać o tem! nie wolno wprowadzać obcych pierwiastków w nasze zgromadzenie, aby nie wywołać gangreny, paraliżującej nasze poglądy, najświętsze dążenia.

Ferment taki byłby katastrofą naszych idei: nie wolno nam zapominać o tem!

Hrabia podniósł wskazujący palec do wysokości swej twarzy i, wpijając w Waldemara oczy jak sztylety, powtórzył dobitnie:

— Nie wolno!

— Patetyczny głupiec! — pomyślał Waldemar. — Gangreny... paraliże... fermenty... Co to ma za związek z panną Rudecką? — wybuchnął głośno.

— O, ma! i wielki. Ona jest właśnie pierwiastkiem...

— Mogącym nas zgangrenować? Ha! ha!... niech pan wierzy, że jeżeli kto kogo, to z pewnością my ją prędzej zgangrenujemy.

Hrabia poruszył się obrażony.

— My przedewszystkiem powinniśmy takie osoby trzymać na daleką metę, lecz nie wprowadzać w nasz świat bezpośrednio. To szerzy niepokój, budzi nieufność w towarzystwie.

— Wszystkie te wypowiedziane przez hrabiego... komunały nie mają zastosowania u nas. W naszym domu i okolicy panna Rudecka jest uważana jak najlepiej, zasługuje na zupełne uznanie i staramy się traktować ją w sposób, odpowiadający jej osobistej godności; chcemy, aby się nie czuła obcą i każdy, kto przebywa wśród nas, musi się do tego stosować bezwarunkowo.

Waldemar mówił prawie niegrzecznie, szorstkim tonem.

Nie dbał już o to, że hrabia jest jego gościem. Wrodzona popędliwość unosiła go, jak burza. Ale hrabia zdawał się słów jego nie rozumieć; nie chciał się obrażać, bo chodziło mu o ordynata, lecz jednocześnie pragnął rozmowę wygrać.

— Ja godności tej pannie ujmować nie chcę, elle est même bien tenue i ostatecznie w Niesieckim jest zapewne jakiś zakątek na pomieszczenie Rudeckich. Mon Dieu! przecież i wśród naszej służby są osobniki z nazwiskami, których herbarz nie pominął. A jednak nie są oni zaliczeni do towarzystwa, nie bawią się z nami, nie prowadzą salonowych rozmów...

— Panie hrabio, proszę nie wyprowadzać mnie z roli gościnnego gospodarza i nie robić takich porównań. To mnie oburza! Jeśli pan wszedł na tę drogę, muszę go uprzedzić, że dziś przy obiedzie siądzie z nami do stołu mój rządca, łowczy i marszałek dworu. I pan, panie hrabio, przez szacunek dla mnie i dla mego dziadka, musisz im podać rękę. Co zaś do panny Rudeckiej, rola jej wśród nas jest jasno określona i ubliżyć jej bez ubliżenia nam... nie można.

— Za pozwoleniem, panie. Ja mówię z punktu tradycji. Takie osoby, jak ona, zarażają nas. Mamy dowód na panu: zbyt gorliwie jej pan broni. W sprawie takich panien można stawać, nie przeczę, można... lecz w inny sposób. N'est-ce pas?

— Panie! — wybuchnął ordynat.

— Pardon! ale wśród nas ona jest niewłaściwym elementem, elle n'est pas pour nous! nie trzeba się z nią zbliżać i poufalić. Panna Rudecka jest dla nas trędowata.

Waldemar rzucił się gwałtownie. Ostre, obrażające słowa zawisły mu na ustach... Już... już miał je wypowiedzieć. Hrabia to odczuł i raptownie zwrócił się do nadchodzących panów. Jednocześnie załtętniało i na drożynie leśnej ukazała się czwórka koni, zaprzęzonych do breku pełnego wrzawy. Przwjechały panie.

Myśliwi pobiegli je wysadzać. Wszystkich rozweseliła obecność dam i przywieziona przez nie nadzieja śniadania.

Waldemar, nie zważając na nikogo, zarzucił strzelbę na plecy i ruszył pomiędzy wysokie sosny i żółtawy gąszcz podszycia. W oczach miał złe błyski, na ustach ironiczny wyraz.

Dojrzał go Brochwicz i dogonił.

— Waldy, dokąd zmierzasz? Panie już są i śniadanie dymi w pawilonie. Głodny jestem, jak ten wilk, co go zabiłem.

— Idź jedz i zajmij się tam wszystkim w moim imieniu. Zwłaszcza nie zaniechaj spojić dobrze tego... cymbała !... .

— Kogo, Barskiego?

— Ależ zgadłeś!

— Mój drogi! Jeden jest tylko cymbał między nami. Nic też dziwnego, że odgadłem.

— No dobrze, idź już.

— Albo co?

— Ja zostanę sam.

— Zachwycająca naiwność! cóż tam może być bez ciebie?

— Ach! nie nudź.

Brochwicz chwycił Waldemara za ramię.

— Waldy, słuchaj! jeśli mnie kochasz i chcesz udelektować Barskiego, to właśnie wracaj. Nie rób sobie z niego nic, ale to nic na owinięcie palca, to będzie najlepsza kara dla tego mamuta. Nie wiem, czym ci dokuczył i wogóle dziwię się, że to zrobił, bo diablo podkopał szanse swej córki, nawet w zwykłych warunkach niekiełkujące pomyslnie. Ale nie poznaje ciebie, Waldy. Dawniej sam pokazałbyś plecy Barskiemu. Z twej irytacji wnoszę, że zaszło coś ważnego.

— Masz słuszność! ten stary szyld wyimaginowanej wielkości staje się tak świetnym, że aż głupim, i tem zirytował mnie.

— Waldy! Waldy! że on ma więcej barw w ustach, niż w głowie, to o tem nawet wrony kraczą. Niema się czem przejmować.

Waldemar uśmiechnął się.

— Wybornie malujesz przyszłego swego teścia!

— Pochlebiam sobie, że nim nie zostanie. Papa mnie mrozi — brrr! A Melanja nawet ze swą gorącą cerą nie zdoła jakoś poruszyć mej północnej natury. Zaniecki bardziej nadaje się do tej kombinacji. Powiem ci coś o Barskim, czego pewno nie wiesz. Pysznie się znalazł twój praktykant, ten najstarszy.

— Otocki?

— Tak. Wyobraź sobie, kiedy stanęliśmy na pierwszym stanowisku, hrabia najpierw skrzyczał koniuszego.

— Badowicza, za co?

— Za to, że ten przez pomyłkę powiedział do hrabiego „proszę pana”, bez tytułu. Sam słyszałem.

— Bestja! — mruknął Waldemar. — Idźmy do pań!

Zawrócili do pawilonu.

— Więc dalej o Barskim — ciągnął Brochwicz. — Kiedy już nagonka miała ruszyć, hrabia zszedł z przeznaczonego miejsca na drugie, bo uznał je za lepsze — z nim zawsze tak. Idąc, zapomniał strzelby, a że jego strzelec gdzieś się zawieruszył, więc Barski, niewiele myśląc, patrzy z góry na Otockiego, który właśnie stał blisko i mówi po swojemu „Słuchajno te... te... przynieś mi tam strzelbę z pod krzaka“...

— Przecież mu przedstawiałem praktykantów. Jak on śmiał! — wybuchnął Waldemar.

— Tak, ale Barski już się dowiedział, że Otocki jest najbiedniejszy i że mu płacisz — to dla niego dosyć. On przecież wszystkich pracujących za pieniądze nie uważa za ludzi.

— Otocki mu pewno dał dobrą naukę? Nie jest przyzwyczajony do podobnych wybryków.

— Poczekaj. Najpierw udał, że nie słyszy, ale gdy się hrabia po raz drugi tak samo odezwał, wówczas Otocki klania mu się z powagą i mówi: „Byłem już hrabiemu przedstawiony przez ordynata, nazywam się Otocki“. Powiedział tak i odszedł w drugą stronę.

— Pysznie! — zawołał Waldemar ubawiony.

— Ja i Żnin daliśmy brawo Otockiemu, ale Barski musi być wściekły. Waldemar zaśmiał się.

— Tembardziej, kiedy mu nadmieniałem, że przy obiedzie musi podać rękę panom z administracji, którzy będą na nim obecni. Wykręca się, abym mu nie przedstawił łowczego, ale go złapię wieczorem i przy wszystkich poda mu rękę.

Brochwicz klasnął w dłonie.

— Doskonale! to i o tem była rozmowa.

— Ach, daj mi spokój!

— No widzisz! i ty chcesz, abym wszedł w związki z takim utytułowanym zacofańcem? Choćby mi ciocia księżna nie dała miliona, a Barska sama się oświadczyła, jeszczebym nie chciał. Wstydziłbym się takiego teścia. My z tobą, Waldy, jesteśmy ludzie innej rasy.

— A przynajmniej innych poglądów — rzekł Waldemar.

Powrócili do towarzystwa w samą porę. Nadjechał drugi brek, pełen pań, i amerykańan.

Śniadanie przeszło wesoło, ale trwało niedługo, bo Waldemar spieszył.

Powstał projekt, że każda z pań wybierze sobie towarzysza na stanowisko. Do Waldemara podbiegła żywo rozpromieniona hrabina Wizembergowa. Skłonił jej się z wdzięcznością, zadowolony, że wyprzedziła hrabiankę Melanję, niedwuznacznie obiecującą mu ten zaszczyt przy śniadaniu. Waldemar, pod rękę z hrabiną, niepokoił się o Stefcię. Razem z Lucią stała na uboczu, mierząc z floweru do wielkiej sosny. W gronie panów Barski coś spiskował, pewno nic dobrego dla Stefci. Niepokój Waldemara zwrócił uwagę hrabiny.

— Monsieur, vous me troublez! wydaje się pan niezadowolony z mego towarzystwa.

— Przeciwnie, pani, jestem zachwycony. Lecz nie wszyscy mają pary, idzie troche marudnie.

Hrabina bystro spojrzała na ordynata i pobiegła oczyma w ślad za jego wzrokiem.

— Ach! rozumiem! Lucja i panna Stefanja nie mają pary. Cemuż same nie wybierają? Z pewnością wielu na to czeka. Mrugnę na Żnina, będzie mi wdzięczny.

Waldemar wesoło pocałował w rękę piękną panią.

— Już nie potrzeba, Jurek się tem zajął.

— A prawda!

Brochwicz przymilał się do Stefci, aby go wybrała. Zgodziła się chętnie, poszły razem z Lucją.

Barski popatrzał na nich z pod oka.

— Porwanie Sabinki! — rzekł ironicznie. — Brochwicz zapomina, że i u nas są jeszcze damy.

Zaniecki uśmiechnął się.

— Panie hrabio, prędzej porwanie siostr sjańskich, bo one zawsze jak przyszyte do siebie.

Barski nie lubił, gdy mu kto psuł dowcip. Spojrzał z góry na Zanieckiego i rzekł kwaśno:

— No dobrze, idź pan na stanowisko. Moja córka czeka.

Wszyscy powiadali na bryczki i wolanty, aby podjechać do dalszych knieji.

Niektóre panie i panna Rita polowały również. Ale nowy zakład w towarzystwie pań nie bardzo się powiódł.

Stefcia, Lucia i Brochwicz stali obok ordynata i nie krepowali się w rozmowie, nawet śmiech hrabiny Wizembrgowej zadźwięczał czasem. Cała linja brzmiała echem rozmów. Strzały częściej szły w powietrze, niż w zwierzyne, jednak ilość zabitej przedstawiała się niezłe. W jednym zakładzie nagonka ruszyła stado dzików. Z rechotem i głośnym tętentem racie waliły wprost na strzelców. Strzelanina nie ustawała, lecz myśliwi gorączkowali się, pudłując często. Na księcia Zanieckiego wyszedł olbrzymi odyniec. Kłusował ostro i przewalał na dwie strony czarne, nasiąknięte żywicą cielsko. Z pod rozsuniętych wściekłością warg zwierzęcia błyskały potężne kły. Książę nie stracił głowy, wymierzył spokojnie i wypalił. Kula drasnęła dzika w grzbiet, nie robiąc mu krzywdy. Rozjątrzony potwór sapnął i ruszył obcesem naprzód. Dano do niego jeszcze dwa strzały. Kula księcia Giersztorfa zraniła odyńca w nogę, Barski przestrzelił ucho. Rozjąszony do szaleństwa zwierz, tocząc pianę, rozejrzał się krwawymi ślepiami i ruszył wprost na Stefcię. Rwał na nią ciężkim galopem, sapiąc przeraźliwie i świszcząc nozdrzami.

Stefcia zdretniała z przerażenia, zbladła, lecz, nie tracąc przytomności, zasłoniła sobą Lucię i cofnęła się wstecz. Powstała straszna panika wśród strzelców. Brochwicz przerażony, krzyknął na Stefcię, aby uciekała, i sam zakreślił się, jakby do ucieczki. Michorowski stał błądy, groźny, lecz spokojny.

W ostatniej chwili, kiedy myśliwi osłupieli ze zgrozy na widok rozjuszonego odyńca, rzucającego się na Stefcię, nagle Waldemar przypadł do niej, błyskawicznie cofnął ją za sosnę i, przyskoczywszy do dzika, szalonym rzutem ramienia wpakował kordelas aż po rękojeść w samo serce zwierza. Ugodzony śmiertelnie dzik runął na trawę, czarna krew tryaskała, cielsko drgnęło w kureżu śmierci i zwierzę znieruchomiło.

Waldemar, trzymając skrwawiony kordelas, przeciągnął ręką po mokrem, bladym czole. W oczach miał grozę, usta zacięte. Spojrzał na martwego dzika i przedko podszedł do Stefci. Ona, ochłonawszy, wysunęła się do niego z Lucią, bardzo blada, lecz z ogniem w łzawych oczach. Waldemar rzucił kordelas i porwał jej rękę. Wpił w nią przerażone oczy i spytał zdławionym głosem:

— Bardzo się pani zlekła?... Boże! co za wypadek!

— Gorąco uściśnęła mu dłonie.

— Dziękuję panu... ocalił mi pan życie z narażeniem siebie... Tego... nie zapomnę...

— Miałem straszną chwilę!... Nie, mówmy już o tem.

A myśliwi i panie zaledwo teraz otrzeźwieli z przestrachu, zgrozy i zdumienia. Śmiałość ordynata zaimponowała wszystkim. Pierwszy ocknął się Brochwicz, lecz był trochę zawstydzony. Wszyscy podeszli do sosny, wieszając Stefcia ocalenia, a ordynatowi odwagi.

Ściskali dłoń jego z podziwem, patrząc nań ciekawie. Zwłaszcza panie przenosiły uporczywie wzrok z ordynata patrząc na Stefcia. Brochwicz uspokajał struchlałą Lucję. Rękę ordynata ścisnęła z kolei hrabina Wizembergowa.

— Vainqueur! maintenant vous l'avez prise, elle vous appartient.

Ordynat złożył pocałunek na jej ręce.

Po zachodzie słońca orszak myśliwych powracał do zamku, witany odgłosem trąb i orkiestra, umieszczoną na krużganku.

Podczas kiedy myśliwi przebierali się, straż leśna, pod nadzorem łowczego, ułożyła zabita zwierzynę na dziedzińcu zamkowym w olbrzymią kłamrę. Mieszały się razem lisy i zające przetykane gęsto ciemną aksamitną sierścią kozłów, których głowy ładnie podparte wysuwały pyszne rogi. Koronę kłamry tworzyły łosie i dziki, w środku leżało kilka wilków. Na samym przodzie, zręcznie umocowany, stał odyniec, zakłuty przez Waldemara. Z półotwartej paszczy wisiały sople skrzepłej krwi, ostre, białe kły były, rzecz można, urągowskim minionej potęgi. Szklane oczy stały słupem, przerażone, jakby zwierz zdziwił się, że tak niedawno wzbudzał szalony popłoch wśród ludzi, że wywoływał grozę, a teraz oni trąbią nad nim larum, na sławę dla siebie, na pohybel jemu. Wilki miały wysunięte języki i wyszczerzone zęby, jakby zgrzytające z gniewu, że zwierzyna, którą tępiły, teraz tak w licznym wyborze otacza ich ponure cielska tryumfalnym wieńcem. „Myśmy polegli, ale i was tyranów nie stało“.

Kiedy panie wyszły na dziedziniec, kilku strzelców w zielonych kurtkach, w długich botfortach, stojąc na boku kłamry, uderzyło w trąby radosna fanfara myśliwska. Było coś rycerskiego w ich postaciach. Podniesione w górę trąby opiewały grzmiąco historję dzisiejszej oblawy, niby marsz pogrzebowy dla zgraji poległych mieszkańców boru.

Goście przysunęli się bliżej, panie zaczęły oglądać zwierzynę grubszą i leżące dalej wianki ptactwa. Pieścili zgrabne główki jeleni i śliczne płowe kuropatwy. Mężczyźni opowiadali sobie szczegóły każdej zabitej sztuki, przyczem najgłośniej krzyczał i kłamał Trestka, wyreczając Brochwicza, bo ten nie mógł jakoś otrzasnąć się po wypadku z dzikiem, czując, że odegrał w nim nieszczęśliwą rolę. Zaczęły się sprzeczki o to, kto najwięcej zabił zwierzyny. Okazało się, że właśnie Brochwicz. Ordynat ogłosił go królem. Ale Trestka, zły na to, rzekł złośliwie:

— Nie miał byś pan tej weny, gdyby ordynat strzelał swobodnie. Ale ordynat ustępował dziś strzały gościom i oddawał im wyborowe stanowiska. W tem tkwi klucz do rozwiązania zagadki szczęścia pańskiego: ordynat oddał ci tytuł króla.

— Czemuż, naprzykład, pan się o to nie postarał? — zapytał Brochwicz — jesteś także gościem.

Trestka machnął ręką, jakby mówiąc:

— Każde szczęście nie dla mnie.

Stefcia rękę panowie umoczyli w krwi dzika. Ja i ordynata ogłoszono bohaterami dnia. Hrabianka z ojcem z wielkim wysiłkiem panowali nad sobą, aby nie wybuchnąć gniewem i oburzeniem. Z pań naj-

więcej zwierzyny położyła panna Szeliżanka. Waldemar wziął jedną z kuropatw, zabitych przez nią, i wśród wesołych żartów umazał krwią jej rękę jako tryumfatorki.

— Wiwat nasza nemrodka! — zawołał.

Młoda panna cieszyła się choć z takiego powodzenia. Ale Trestka gryzł wasy.

XXXV.

Wieczorem zamek zajaśniał światłem elektrycznym. Okrągłe, złożone z szyb ściany zimowego ogrodu lśniły się blaskiem i zielenią roślin. W wielkiej sali jadalnej stół, zastawiony w podkowę nakryto na sto kilkanaście osób; zatrzesiony masą kwiatów nurzał się w mnóstwie światła i blasku wspaniałej zastawy. Z sali prowadziły kręte żelazne schody do zimowego ogrodu, skąd dochodził cichy szmer fontanny sztucznych wodospadów. Schody, oplecione wieńcami kwiatów, oświetlone bukietami lampek z kolorowego szkła w kształcie tulipanów, były jak cudny przesmyk, wiodący z przepysznej sali do raju, którym śmiało mógł być nazwany ten ogród. Liczna służba w galowych uniformach, pełno woni świeżych kwiatów, jakaś charakterystyczna atmosfera milionów — wszystko to wywoływało lekki zawrót głowy.

Stefcia chodziła po zaczarowanych salach trochę upojona. Oczy jej się mrużyły od widoku bogactw i gustu w rozmieszczeniu ich. Dziewczyna czuła się podniecona, jej zmysły rozdrażniły się, urok wiał na nią zewsząd i potężnie.

Inne wrażenia kołysały hrabiankę Melanję i jej papę. Ona obiecywała sobie użyć wszelkich sposobów, aby zostać panią tego zamku. Na ordynata hrabianka spoglądała z uwielbieniem, niemal z pokorą, co go drażniło i tembardziej odsuwało od niej. Hrabia chodził po zamku napuszczony; rozmyślał o efekcie, jaki zrobią jego miliony, włączone w ten przepych. Może szukał, czego tu jeszcze brak. Wszystko imponowało mu, ale dobry gust, panujący w rezydencji, wydał mu się zbyt skromnym.

Przy obiedzie hrabia siedział zły, bo ordynat przedstawiał rządce, łowczego i marszałka dworu w ten sposób, że panowie podawali im rękę i hrabia nie mógł postąpić inaczej. Dobre wina zdołały hrabiego rozchmurzyć, szampan dokonał reszty i pod koniec biesiady Barski pogodził się z obecnością administracji. Czynił sobie tylko w duchu postanowienia, że gdy zostanie teściem w tym zamku, wówczas wystąpi z pewnymi warunkami w przeprowadzeniu reform sferowych, na których ordynat się nie znał.

Podczas obiadu orkiestra grała na tarasie. Zamek, park, tarasy i ogród angielski były iluminowane, nawet rzeka płonęła od ognisk rozłożonych dokoła, ba! nawet brzeg zwierzynca i łodzie. Kolorowe lampy ozdabiały schody, prowadzące do przystani, dywanowe klomby i aleje z kwiatów. Sznury drobnych lampek kołysały się pomiędzy drzewami i tworzyły poprzeczne baldachimy w alejach. Z trawników wytryskiwały światełka, niby niezliczona moc błędnych ogników. Sztuczne wodospady oświetlono ogniami bengalskimi; strzelały w górę smukłe rakiety.

Po obiedzie nikt nie pozostał w zamku. Jedni rozbiegli się po alejach i klombach, inni szli oglądać tryskające fontanny w ukwieconych

basenach. Każdą oświetlał odmienny kolor ogni bengalskich. Rozpylone pióropusza wody lśniły niby tęczowe smugi. Wiele osób dążyło do łodzi, strojnych w girlandy i różnobarwne płomyki. Gondole „Stefanie” ozdabiały lampki tylko purpurowe i wieńce z róż, spływające do wody.

Druga orkiestra, fabryczna, grała na zmianę w altanie nad rzeką. Pan Maciej błakał się także po parku, a widząc, że wszędzie jest coraz piękniej, kiwał smutnie głową. Bał się odgadywać, dla kogo te cuda, ale mimowoli rozumiał.

Na tarasie hrabianka Barska wsunęła rękę pod ramię ordynata.

— Czy zechce pan pokazać mi iluminowane groty? — szepnęła z prośbą.

Była jakaś senna i zmysłowo pociągająca. Mocno wygorsowana suknia dodawała jej ponęt, ciemny, gorący ton ciała odbijał od jasnych materji i pajęczych koronek. Perły drżały jej na szyji.

Wsparła ciężko obnażone ramię na jego ramieniu i, pochylając głowę z pieszczotą, powtórzyła:

— Dobrze? pokaże mi pan te groty?

— Owszem, jeśli pani pragnie...

— Podobno są cudne.

W milczeniu zeszli z tarasu i udali się w głąb kwiatowego ogrodu między fontanny. Minęło ich kilka osób i panna Rita, która rzuciła na hrabiankę wzrok ironiczny, dziwnie przykry. Za Waldemarem obejrzała się zdziwiona.

Hrabianka mówiła:

— Śliczne są Głębowicze! Nawet sobie nie wyobrażałam, że tak piękne. Mieszka pan, jak w raju. Czy to daje panu wielką dozę szczęścia — spytała, zaglądając mu w oczy.

— To zależy, jak kto rozumie szczęście. Ja Głębowicze kocham nie za ich przepych, lecz że są moje. To moja gleba, mój teren pracy, który chcę doprowadzić do możliwej doskonałości.

— I pan potrafi. Dekoracje wspaniałe! ma pan kobiecą rękę i gust w urządzeniu rezydencji.

Waldemar spojrział na nią niecierpliwie.

— Och! nie mówiłem o dekoracjach. W tem niema mej pracy. To są jeszcze pamiątki gustu babki Gabryeli. Ja jedynie dbam o zachowanie tych zabytków. Babka chciała z Głębowicz zrobić drugi Wersal, pielęgnuję więc jej dzieło, nie żałując wkładów.

— Tak, kobiety mają zwykle większy pociąg i zdolność do tworzenia arcydzieł efektu. Pańska żona jednak nie będzie miała pola do samodzielnych występów, gdyż wszystko, co wymarzone, już jest. Chyba zapragnie zmian...

Waldemar uśmiechnął się. Odgadł intencje hrabianki; wyciągano go na oświadczyzny.

— Jak niektóre kobiety są płaskie! — pomyślał.

Hrabianka spojrziała na niego z umizgiem.

— Czy pozwoliłby pan swojej żonie na zmiany, gdyby je zaprowadzić chciała?...

— Nie wiem, pani. To są rzeczy względne.

— Rozumiem! zależałoby to może od stopnia pańskich uczuć względem żony? Ale wielkie przywiązanie, miłość zmusza poniekąd do poświęceń...

Waldemar spojrział zdziwiony.

— Pani to rozumie?

— O tak! wiele rzeczy dawniej niepojętych rysuje się wyraźnie, gdy... następuje w nas zmiana.

— Dobrze, ale pani, na przykład, cóżby poświęciła dla uczuć?

— Ja?... Wszystko!

— Az tak! No, sfery by pani nie poświęciła.

— Nie rozumiem!

— Gdyby pani pokochała kogoś nie z arystokracji, czy w imię miłości zostałaby pani jego żoną?...

— Ach nie, taki wypadek mi nie grozi, *quelle idée!* Nawet nie podnoszę oczu na ludzi nie naszych. Kochać mogę jedynie najwyższych.

Strojna głowa hrabianki pochyliła się na ramię Waldemara, jakby ten niemy znak miał mu powiedzieć: „Tyś najwyższy — jam twoja“.

Waldemar zrozumiał, lecz nie odczuł. Zaśmiał się trochę szyderczo.

— A więc gdzież jest to „wszystko“, co pani ma poświęcić dla ukochanego?

Hrabiankę uraził jego śmiech. Zaciśnęła usta.

— Pan stawia pytania tak... dziwne i zdaje się, że pan nie ufa w siłę mych uczuć... A jednak ten, którego pokocham, zdoła to ocenić.

— Zapewne! takie odkrycia należą do najświetniejszych tryumfów.

— Czy pan ich nie doznał?

— Owszem, pani, dość wiele, ale odkryć tylko. Tryumfem nazywam szczęście, wynikające z nich i mam przecucie, że jest bajeczne, lecz tego jeszcze... nie doświadczyłem.

— Bo może się pan o to nie starał?

— O szczęście starać się trudno, to przychodzi samo, a chęć znalezienia szansy jest dość bladym celem.

Hrabianka przez chwilę milczała, poczem zaczęła mówić ciszej, jakby do siebie.

— Chciałabym być mężczyzną. Mężczyźni mogą wypowiadać to, co czują, iść za popędem serca. Nam tego nie wolno.

Głos jej dźwięczał tęsknie, oczy wzniosła w gwiazdziste niebo. Były pełne iskier, gorzały niecierpliwością, ubrana w szatę melancholji.

Waldemar patrzył na nią z ukosa. Uderzyła go jej uroda, istotnie przepyszna.

— Szkoda, że Zanieckiego tu niema — monologował w myśli. — Miałaby go u nóg, bo zewnętrznie... warta zachwytu. Ja, profan, zawsze wolę rękę, niż rękawiczkę, zwłaszcza w sytuacji, o jakiej ona marzy... Ej! gdyby tak dawniej!...

Waldemar z pod rzęs rzucił na hrabiankę łobuzerskie spojrzenie.

— Pani mówi, że kobiety są skrupowane w wyrażaniu swych uczuć? Ja tego nie znajduję.

— Cóż pan chciał, żeby się same oświadczały?

— E nie! ale one zwykle dają wenę do oświadczyn. Ich uczucia, gdy są wyraźne, ułatwiają zakochanym sięgnięcie po szczęście. Jest to taka pieśń bez słów.

Ordynat mówił umyślnie, wiedział, że wchodzi na ślizką drogę i że zarzuca haczyk, na który hrabianka może się złapać. Ale bawiło go to, nie zaliczał się do zbytłych skrupulatów uczciwości tego rodzaju. Gwałtowny rumieniec na twarzy hrabianki rozśmieszył go, złośliwość cisnęła mu na usta nowe słowa:

— Bywają kobiety, jak owe rośliny, które do słońca rozstulają swe kielichy, odurzając czarem zapachu, a gdy księżyc zastąpi słońce, zamykają się, skapia barw, chowają czar, jakby w obawie, że mniej zostanie dla ukochanego. Do takich roślin zalicza się powój, jeden z kwiatów ulubionych przezemnie. Gdy kobieta w ten sposób daje odczuć ukochanemu swą miłość, jak powój daje słońcu barwę i bardzo subtelną woń, wówczas bez słów mówi: „Jestem twoją, bierz mię“. Są to ciche oświadczenia, po których następują słowa wypowiedziane przez męskie usta.

Hrabianka słuchała go z natężeniem, zręcznie udając upojenie. Usta jej drżały szczęściem, cel swój dostrzegła już blisko i w tęczowycy barwach.

— Pan lubi powój — spytała cicho.

— O tak! bardzo.

— Pan tak mówi, że można się zasłuchać. Ale czy zawsze słońce odczuje mowę rośliny? Tyle się oczu doń podnosi, tyle uwielbień płynie... Czy zdoła biedny... zakochany powój zdobyć cieplejszy promień dla siebie?...

— Z pewnością, skoro powoduje nim prawdziwe i szczere uczucie. Słońce, widzi pani, jest zbyt inteligentne, by całą sumę uwielbień podciągnąć pod jeden rodzaj. Ono potrafi różniczkować, wie, co jest wyłącznie dla niego, a co dla jego blasków, i nigdy się nie myli. Wszelkie odcienie niesłychanie łatwo odczuwa, to go jedynie broni przed zarozumiałością.

Barska drgnęła niespokojnie, bo głos ordynata i jego słowa zastanowiły ją. Spuściła oczy.

Waldemar znowu zerknął na nią z boku, oczy jego miały wyraz szatański.

— Czy ja jestem słońcem, to mniejsza. Ale żeś ty nie powój, lecz zwykły słonecznik, to pewno — pomyślał.

Zbliżali się do iluminowanych grot, skąd dochodził gwar wesołej zabawy. Hrabianka zwolniła kroku i rzekła, nie patrząc na ordynata:

— Czy pan wie, że księżę Alfons Zaniecki stara się o mnie?...

Głos jej miał pewne tony wyniosłe.

— Wiem, pani.

— Mój papa dość go proteguje, a ja... Co pan o nim sądzi?

— To bardzo dobry człowiek — trochę próżny, lecz w naszej sferze to się liczy za zasługę.

— Próżny? Nie zauważyłam! Więc mi go pan poleca?...

Głos mówiącej zadrżał.

— Proszę pani, ja nigdy w podobne sprawy nie wchodzę. Zdanie o nim wyraziłem, co zaś do dalszych kombinacji, to rzecz osobistych zapatrywań, uczuć, bez udziału osób trzecich.

— Jednak mi go pan nie odradza?

— Panno Melanjo, wyraża się pani w sposób, ubliżający dla księcia. Jego się przyjmuje lub nie, ale radzić i odradzać nie można.

— Dlaczego pan mówi wymijająco?

Waldemar zmarszczył brwi: spostrzegł zagadkowy uśmiezek hrabianki i poruszyło go to. Był już znudzony, pragnął skończyć rozmowę, ale postawa hrabianki wzburzyła w nim krew. Odrzekł szorstko:

— Nie pojmuję, dlaczego pani tak stanowczo chce znać mój pogląd na kwestję, nawiasem mówiąc, dla mnie obojętną. Lecz skoro tak jest,

więc powiem. Zanieckiego uważam za najpoważniejszego ze wszystkich starających się o panią.

Pannie Barskiej zamarł oddech w piersi.

— A gdybym się zdecydowała wyjść za niego?...

— Życzyłbym pani szczęścia z całą szczerością.

Hrabianka stała się bladą, jak kreda. Usta jej drżały nerwowo. Oddychając szybko, szła, jak przytłoczona. Milczeli długą chwilę.

Nagle Melanja wyrwała rękę z pod ramienia Waldemara i zawołała wzburzoną głosem:

— Dziękuję panu, sama obejrzę groty.

— Jak pani każe — odparł z ukłonem.

Ona pobiegła do grot, on zawrócił do zamku.

— Spaliłem jeden złoty most za sobą... Ale śmieszna dziewczyna.

Stefcia wymknęła się cichaczem z parku, gdzie ją prześladował młodzieniec w monoklu, jej wystawowy wielbiciel. Razem z Lucią i młodemi księżniczkami Podhoreckimi poszła do zimowego ogrodu. Chodziła po uliczkach, wśród puszystych paproci i aksamitnych liści begonji barwnych jak emalia, po mostkach, wiszących nad źródłkami. Zatrzymywała się przy skałach, z których spadały sztuczne wodospady. Mech i pleśń na kamieniach wybornie udawały naturę. W zagłębieniu skały siedzi napuszczona sowa, tam znowu pod kamieniem wije się wąż, w źródłkach pluskają złote rybki.

Baseny wodotrysków z alabastru lub konchy perłowej, otoczone wieńcem kwiatów, pełne wody i pływających na niej nenufarów. Obok rosną kępami niezapominajki, smukłe lilje i żółte irysy. Rozpylone pióra wody szemrzą cicho. Małe ławeczki z lapis lazuli lub z różowego marmuru, ukryte wśród skał, drzew pomarańczowych i cyprysów, wśród mirtów i magnolji, nęcą wzrok malowniczością widoku. Gdzieś niegdzie błysnie alabastrowa figurka amorka, lub boginki.

Na małej okrągłej sadzawce, której brzegi toną w krzewach irysów i paproci, buja bacik, cały z różowych muszli, w kształcie łabędzia, z blado-niebieskim jedwabnym żaglem, mogącym pomieścić dwie osoby; w świetle elektrycznych lamp mieni się barwami. Olbrzymie palmy wachlarzowe i strzępiaste ozdabiają szklane ściany; kryształ rżniętych szyb w żelaznej kracie błyszczy, jak fosforyzujące morze. Tak samo świeci wysokie sklepienie, jak jedna różeta kryształu podtrzymywana w odstępach, w formie krokwi, żelazną rzeźbą. Na szczycie szklany dach podniesiony: widać pogodne niebo, usiane gwiazdami, trochę zaczerwienione od iluminacji. Matowe balony lamp, umieszczone wśród palm, nadają pyszny ton roślinom. Wzrok błądzi z jednych cudów na drugie, ucho śledzi z rozkoszą szmery, nie chce się wierzyć, by to była rzeczywistość.

Papugi spacerują poważnie po uliczkach i huśtają się na gałęziach. Wszystko tworzy uludę jeszcze plastyczniej. I tu pełno róż, pełno dywanów aksamitnych begonji, pełno zapachów. Z każdego kwiatka wyciera wdzięk, każdy szmer wachlarzowych palm podnosi urok. Rozkosz jakaś słodka, mistyczna a potężna wnika w krew, wywołuje silne tętna, nerwy grają podniecone. Upojenie ogarnia senne a błogie, aż do zawrotu głowy. Czar trąca w struny zmysłów, jak w harfy, śpiewa słodka, usposabiająca do marzeń pieśń rozkoszy, pieśń snów nieziemskich.

Stefcia chodzi, patrzy, słucha, nozdrzami wchłania wonie i nie wie, czy to jawa, czy sen? Ale nawet snów tak odurzających nie miewała.

nigdy. W zachwycie nie uważa, że Lucia zabrała księżniczki, aby im pokazać kostjum myśliwski, przygotowany do bażantarni. Stefcia została sama. Czuje się ogłuszona i szczęśliwą aż do bezmiaru. Nie widzi, że od kilku minut po ukwieconych schodach, wśród kwiatów stanął on, pan i właściciel tych skarbów, świetny, strojny, w aureoli kolorowych lamp; że spogląda na nią z góry, w milczeniu, jakby się napawał jej widokiem. Stefcia oparta o wielki pień mirtu, zapatrzona w głąb ogrodu, stoi jak przykuta; w swej balowej sukience, zwrócona profilem do schodów, tworzy śliczną, żywą dekorację ogrodu. Rozmarzona, nie widzi, że on wolno, krok za krokiem, zstępuje ze schodów, z utkwionemi w niej oczyma, nie słyszy jego stapań na uliczce. On, bojąc się ją przestraszyć, stanął. Wówczas drgnęła, instynkt ostrzegł ją, że ktoś jest blisko. Odwróciła się gwałtownie. On wyciągnął do niej rękę. Stefcia nie krzyknęła, ale zbladła bardzo. W tej chwili, gdy cała jej dusza przepojona była nim, widzieć go jednak nie chciała, czuła się zbyt rozstrojoną. Złękła się jego obecności i jego wzroku.

On wziął jej rękę w swe gorące dłonie, stanął bliźutko. Czar uderzył w harfę ich uczuć, kwiaty swe wonne, zawrotnie cudne, rzucił na ich twarze. Oboje zadrżeli.

— Już drugi raz przestraszyłem panią w Głębowiczach — szepnął niskim, cichym głosem. — Panno Stefanjo, co pani?...

— Nic... nic... niech mnie pan puści, proszę pana.

— Dlaczego się pani mnie boi? czemu unika?

Spojrzała na niego. Szare oczy gorzały mu ciemnym ogniem, wydawały się prawie czarne. Brwi zbiegły się na czole. W całej twarzy młodego magnata, w drżeniu ust, w nerwowem poruszaniu się nozdrzy przebijała wielka namiętność i gwałtowność, lecz zarazem jakby tkliwość. Stefcia widziała go już takim w sali portretowej... Szarpnęła się mocniej.

— Niech mnie pan puści — zawołała zdławionym głosem.

On ją przyciągnął ku sobie, rękę ścisnął kurczowo. Stefcia czuła, że słabnie. Zbyt potężne siły złożyły się na odurzenie jej podnieconych zmysłów. On ją pożerał oczyma, przyciągnął ku sobie i szeptał:

— Pani się mnie boi?

— Ależ nie... tylko...

— Myślałaś o mnie! Ja wiem. Nie wrywaj się na próżno. Jesteś w mej mocy... Prócz nas dwojga, niema więcej nikogo w zamku. Zostań!

— Proszę mnie puścić — krzyknęła Stefcia rozpaczliwie.

Gwałtownie, z wysiłkiem wyrwała mu rękę i jak ptak, szybko dobiegła na schody. Za chwilę znikła.

Waldemar patrzył na nią roziskrzonym wzrokiem, przetarł ręką czoło, przeszedł parę kroków i ciężko usiadł na ławeczce marmurowej.

— Musi być moja, choćbym miał świat zwalić — wyrzekł z namiętną energją.

Spojrzał na schody, gdzie znikła Stefcia, zerwał się i poszedł za nią.

Długo szukał jej wśród towarzystwa. Znalazł obok Luci w gronie kilku osób. W oświetlonej altanie hrabina Wizembergowa grała na cytrze. Wszyscy słuchali w skupieniu. Waldemar stanął pod drzewem, za krzesłem Stefci. Widział, jak była poruszona i jak zadrżała na jego widok. Gdy hrabina skończyła grać, powstało trochę hałasu: dziękowali jej rozgłośnie. Stefcia zerwała się z krzesła. Waldemar skorzystał, pochylił się do niej i rzekł poważnie a serdecznie:

— Niech mi pani wybaczy, byłem szalony... teraz przepraszam...
Na zgodę niech mi pani poda rękę.
Podala mu ją cała drżąca.
— Więc już dobrze? — szepnął z prośbą.
— Tak — odrzekła.
— Byłem szalony, powtarzam, ale cenię panią nad wszystko.
Poszli do grupy osób otaczających hrabine.

XXXVI.

Na drugi dzień była przerwa w polowaniu. Całe towarzystwo bawiło się w zamku. Jedni grali w bilard w wielkiej stylowej sali, inni na placu tenisa. Zwiedzano umieszczone na wieży obserwatorium meteorologiczne, którem zajmował się ordynat, a także bibliotekę i galerję obrazów.

Niezmiernie długa halla galerji miała sklepiiony sufit, malowany ręcznie w sceny wojenne. Płótna znakomitych malarzy wisiały w pewnych odstępach w stylowych ramach. Niektóre obrazy były wielkich rozmiarów, prawdziwie imponujące. Kilka oryginałów Matejki, Siemiradzkiego, Norblina, parę dzieł Kossaka. Kopje i oryginały, nabyte niegdys za szalone sumy, Rembrandta, Tycjana i innych artystów wszechświatowych. Wiele obrazów przedstawiało epokę napoleońską, oraz motywy swojskie: heroiczne walki z historii polskiej, portrety królów, typy i krajobrazy. Galerja zdawała się nieskończona. Mieściła bardzo piękne posagi z marmuru, rzeźby i popiersia znakomitych ludzi. Z galerji wchodziło się do biblioteki, zawierającej w swych oszklonych, dębowych szafach niezliczoną ilość tomów. Portrety wielkich pisarzy otaczały malowany sufit. Śiodek sali zajmował stół dębowy, ozdobiony rzeźbą, także krzesła, ciężkie i wysokie, oraz kilka wygodnych foteli, obitych brązową skórą. Wysokie weneckie okna i drzwi miały niezwykle piękne rzeźby na ramach.

Stefcia przeglądała tomy z chciwością. Znajdowały się tu dzieła wszystkich autorów i stylistów polskich. Były nawet księgi stare, pisane ręcznie na pergaminach, różne statuty i listy. Literatura obcokrajowa występowała również pokaźnie, począwszy od starożytnych klasyków.

Z biblioteki wchodziło się do salonu-czytelni. Ten miał ściany jasne, posadzkę zasłaną dywanami. Wśród gaju palm stał zgrabny mahoniowy fortepian.

Sufit przedstawiał artystycznie oddany sąd Parysa. Wielkie oszklone drzwi prowadziły na balkon z marmurową poręczą, ozdobioną figurami dziewięciu muz. Z balkonu roztaczał się widok na tarasy i rzekę. Zwiedzono jeszcze salę muzyczną, w stylu gotyckim, nadzwyczaj wyniosłą i bogatą. Pierwsze miejsce zajmowały tam wspaniałe odpowiadające stylem organy; był też fortepian, skrzypce, wiolonczella. Stefcia znała już te sale ze swej bytności w łecie, lecz i teraz nie mogła się im napatrzeć.

— Sala muzyki, ale dziwnie poważna w tonie, prawda? — zagadnęła Ritę.

Młoda panna lekko westchnęła.

— O tak! bo i tu więcej rozbrzmiewało skarg, niż śmiechów. Widzi pani organy? One wiele pamiętają. Gabrijela de Bourbon... Ale czy pani zna jej historję? To babka ordynata.

— Znam...

— Kto ją pani opowiedział?

— Sam ordynat.

— Ach ta! Otóż ona podobno wszystkie swe żale i smutki powierzała organom. Była mistrzynią w tej grze. Ordynat również grywa na nich i wysoce je ceni. Jakże na pani robi wrażenie ta sala.

— Sadzę, że ma w sobie coś klasztornego. Może to sprawa staroświecki ton ogólny. Zresztą organy widziałam tylko w kościołach: to zapewne jest powodem mego wrażenia.

— Na mnie wieje z tych wyniosłych ścian ukryty smutek — rzekła w zamyśleniu Rita.

Przeszli do przedniej części zamku, gdzie mieściła się zbrojownia. Tam najdłużej zabawili zwiedzający. Bogate zbiory broni, począwszy od zamierzchłych wieków, aż do najnowszych zdobyczy, porozwieszane były w malowniczych grupach. Całe zbroje husarskie ze skrzydłami i krzyżackie stały w pełnym rynsztunku, tworząc jakby historję uzbrojenia wieków. Drogocenne, kamieniami sadzone, złote i srebrne ryngrafy z wizerunkami świętych. Hełmy, przyłbice, szable polskie, jągagany tureckie. Sztylety, niektóre miały główne skrzące klejnotami. Halabardy, lance, łuki, kopje i szturmaki. Zbrojne rzędy na konie. Trąby i bębny wojskowe, piszczałki i litaury. Wszystko poumieszczane na staroświeckich makatach, lub chorągwiach. Na zbrojach z herbami Michorowskich tabliczki objaśniały, którego członka rodu było własnością i w jakich bitwach były użyte. W innej sali gromadziły się trofea myśliwskie, wypchane niedźwiedzie, wilki, dziki, głowy łosi o olbrzymich rogach, orły, sokoły i ładniejsze okazy ptaków brodzących i wodnych. Wśród tych zbiorów wiele zaliczało się już do zdobyczy Waldemara, jeden odział całkowicie z jego wyprawy myśliwskiej do Indji.

Stefcia widziała to na wystawie. Uśmiechnęła się przyjaźnie do murzyna, salutującego zwiedzających. Zbrojownia i sala myśliwska zachwyciła wszystkich. Stefcia nie wiedziała, co woli: bibliotekę z czytelnią, galerję obrazów, ogród zimowy, czy te zbiory.

W zamku każda sala posiadała wyłączny charakter. Zwiedzono jeszcze pamiętną dla Stefci salę portretową, słynną z płaskorzeźb na suficie, i salę gobelinową.

— To nic. Nie widziała pani jeszcze koni — mówiła Rita do Stefci.

Po obiedzie postanowiono zwiedzić sławne stajnie głębowickie, szorownie i straż ogniową. Inni upierali się przy papierni i nieco odległej cukrowni, ponieważ kampanje były już rozpoczęte. Ale Waldemar śmiał się, zapewniając, że na fabryki będzie jeszcze czas. Pochlebiało mu, że mógł się poszczycić Głębowiczami, które istotnie kochał. Sam objaśniał i cieszył się podziwem wszystkich. Ale głównym ciceronem był Brochwicz. On zawsze coś nowego wynalazł i prowadził tam całe towarzystwo. Zwiedzili murowany gmach zbiornika elektryczności i poszli do stajen. Tam panna Rita wpadła w zachwyt, a Stefcia, choć przyzwyczajona do wykwintu stajen słodkowickich, stanęła zdumiona. Sam budynek ogromnych rozmiarów przedstawiał się wspaniale. Wewnątrz stajnie miały pozór salonów; każdy koń, okryty bogatemi derami, przy porcelanowym źłobie stał, jak we własnym pokoju. Wszędzie przepych, wszędzie widoczne zamiłowanie właściciela. Lamy elektryczne, strojne posadzki dodawały świetności. Gdy Waldemar wszedł, głowy koni odwróciły się do niego z cichem rżeniem, nozdrza węszyły w jego stro-

nę, kopyta uderzały niecierpliwie. Cała stajnia go znała i witała z rozradowaniem.

Ze stajen wielkie oszklone drzwi wiodły do szorowni. Tam znowu kilka oddziałów, równie wytwornie urządzonych. Na ścianach i sztalugach wisiały najrozmaitsze uprząże, na kamiennej posadzce stały pojazdy w wielkiej ilości i kosztowne. Wyróżniała się uprząż na ośm koni, zwana ceremonjalną. Wyborowy zamsz, srebrne pozłacane okucia, pióropusze zdobiły ją gesto. Ceremonjalna miała swą karetę pozłocistą, ozdobioną na szczycie wielką mitrą, a wewnątrz wybitą karmazynowym adamaszkiem. Była to karetą niemal dworska. W następnych oddziałach mieściły się rzędy na konie wierzchowe, również drogocenne.

Wielu panów gryzła zazdrość, innym błyszczały oczy, z zachwytu. A wśród tych skarbów chodził ordynat z typowym spokojem, pełen wytwornego taktu, uprzejmy, ale i trochę dumny.

Stefcia, im więcej widziała jego bogactw, tem bardziej ją przestraszał. I dziwnie było jej gorzko. Nie zdawała sobie sprawy, dlaczego jego miliony zrażają ją. W Głębowiczach nie czuła się z nim swobodną, unikała go. W lecie Głębowicze oczarowały ją, teraz przeraziły.

A prowadzono ją dalej i dalej. Za szorownią mieściła się wielka sala dla zwiedzających gości. Tam panował gust zupełnie odrębny, w stylu stajennym. Meble z rogów łosi, kryte żółtą, ręcznie wypalaną skórą, dębowe ściany zawieszane obrazami, wyłącznie przedstawiającymi sceny z wyścigów Derby angielskich i na torach krajowych. Fotografie wielkich rozmiarów i malowane płótna przedstawiały konie rozmaitych typów w całości lub tylko sylwetki głów, Apolla w całej jego piękności; obok nich wisiały fotografie stajen głębowickich. Był portret pana Macieja na koniu w ubraniu ułańskim i Waldemara na Apollu z biegnącym obok Pandurem. W inne ramy były oprawione drzewa genealogiczne stadnin, listy pochwalne, złote medale za konie, wśród nich i medal tegorocznej wystawy.

Stefci podobał się bardzo portret Waldemara na koniu. Stała przed nim nieco dłużej. To zwróciło uwagę tych, którzy ją śledzili. Kilka osób z mniej życzliwych uśmiechnęło się znacząco. Hrabia Barski podszedł do niej.

— Kogo pani podziwia: jeźdźca, wierzchowca czy ramy?

Stefcia, zaskoczona zniecka, splonęła, lecz prędko odzyskawszy zimną krew, odrzekła swobodnie:

— Wszystko, panie hrabio, bo całość godna uwagi.

— Ale jeździec najwięcej, n'est-ce pas?

— Bez wątpienia, jako punkt główny.

Głos hrabiego zasyczał:

— Lecz nie dla wszystkich... przystępny. Zresztą... zachwycać się wolno... każdemu.

Stefcia utkwiała w nim oczy.

— Co hrabia przez to rozumie?

— Och! nie będę się pani tłumaczył. Zabawne pytanie! Pani wydaje mi się wykolesioną i wkracza w horyzonty nieodpowiednie dla niej. Ale takie eskapady najczęściej źle się kończą, dla płci pięknej naturalnie... Mówię to pani przez życzliwość.

Stefcia zbladła. Podniosła dumnie głowę i, mierząc hrabiego roziskrzonym wzrokiem, rzekła dobitnie:

— Panie hrabio, życzliwość pańska jest tu zbyt duża. O mojem wykolejeniu sądzić mogę tylko ja sama. Nadto... nie ma pan prawa obrażać mnie.

— To rzekłszy, odeszła z pozornym spokojem.

Łzy cisnęły jej się do oczu, straszny żal gniótł serce. Lucia pytała, co zaszło, ale na próżno. Stefcia milczała.

Panna Rita, widząc scenę z hrabią, jakkolwiek nie słyszała słów, domyśliła się o co poszło. Wracając do zamku, podeszła do Stefci.

— Co pani zrobił ten napuszony hrabia?

Zagadnięta zachowała spokój.

— Mnie? Nic — odparła.

— Ależ ja widziałam: on pani w czemś ubliżył. Niezdolna kreatura!

Lucia podniosła na Stefcię zdziwione oczy.

— Co! hrabia Barski ci ubliżył? ten obrzydły dziad? Ja mu dam! Zaraz powiem Waldemarowi. On go przykróci!

I dziewczynka zerwała się biec, lecz Stefcia chwyciła jej rękę.

— Ani mi się waź, Luciu.

— Bo ten dziad myśli, że on tu już panem, ale on ci dokuczać nie ma żadnego prawa. Ja mu tego nie daruję.

Stefcia uspokajała dziewczynkę. Panna Rita niczego dowiedzieć się nie mogła.

XXXVII.

Pewnego dnia polowano na polach z chartami. Cały orszak jeźdźców i amazonek wyruszył na żółte rżyska. Ordynat powybierał najlepsze konie wierzchowe pod siodła damskie. Dla Stefci masztalerz podprowadził karą a abkę. Erato, wierzchówkę Waldemara. Klacz z fantazją uderzała kopytami w ziemię, chrapiąc, z oczu jej sypały się iskry. Wszystkie konie miały bardzo bogate siodła i czapraki, nie zauważono więc, że Erato była w nowym siodle zamszowym i błękitnym czapraku, kupionym na wystawie. Tylko panna Rita, czujna i uważna, od razu to spostrzegła. Stefcia wzdragowała się, nie chcąc jechać w tak licznej towarzystwie, ale znużona ulubioną jazdą, zgodziła się wreszcie. Waldemar sam podstawił jej rękę. Lekko wskoczyła na siodło, wyglądając powabnie w obcisłej amazonce z czarnego sukna. Na głowie miała mały kapelusik sportsmeński, ładnie ułożony na jej złoto-miedzianych włosach. Jechała z Brochwiczem. Młody hrabia nie czuł jakoś ochoty do rywalizowania z księciem Zanieckim. Hrabianka, mimo swej olimpijskiej urody, nie zajmowała go. Czuł większy pociąg do Stefci i podziwiał ją szczerze. Brochwicz, towarzysząc Stefci, dogadzał i ordynatowi, pomagając mu do utworzenia nad nią dobrej opieki. Spisków przeciwko dziewczynie nie brakowało w obozach Melanji i jej ojca. Hrabina Cwilecka dokładała swych usiłowań, wciągając córkę Paule i barona Weyhera, ale ten okazał się twardszym. Brochwicz drażnił pewne osoby własnej sfery, lecz mu to sprawiało zadowolenie. Wynik był ten, że się ze Stefcią bawili doskonale.

Gdy towarzystwo konne wjechało na pola, puszczone ze smyczy charty. Dojeżdżacze na siwych koniach, poubierani w czerwone kurtki i długie czarne botforty, jak maki rozsypali się na żółtych przestrzeniach pól. Charty goniły szare zające, które jak wicher pomykały do lasu. Kilkunastu jeźdźców i kilka amazonek puściło się w cwał, roz-

poczynając krwawy pościg. Odgłos trąb, wrzaski „hallall“, tentent koni zmieszały się z przeraźliwym krzykiem rozdzieranych przez psy zajęcy. Amatorów to upajało. Trestka pędził na oślep, hrabianka Barska i Zaniecki gnali na złamanie karku. Czarne ogniste oczy hrabianki płonęły, nozdrza jej poruszały się z lubością, wietrząc krew, Zmysły grały w niej, jak struny w dzikim jakimś instrumencie. Książę Zaniecki, flegmatyk, pozujący na Anglika, nerwował się na jej widok. Podniecała go...

— Demon! demon! — szeptał w zachwycie.

I gnał za nią, aż piana buchała z pyska jego rumaka.

Waldemar stał na boku, pilnował polowania. Sam wyruszał często w skok, ale strzelał do zajaca lub lisa, zanim go charty dopadły. Nie lubił procesu rozszarpywania zwierzyny. Bawiły go głupie i zdumione miny chartów na widok padającego przed ich nosem martwego zwierzątka. Waldemar strzelał z konia w biegu. Apollo przyzwyczajony był do strzałów z pośród własnych uszu. Częściej jednak orli wzrok ordynata biegł za karą arabką Erato...

Stefcia uganiała się po polu nie za zwierzyną, lecz dla własnej przyjemności. Lubiła konną jazdę, zwłaszcza na Erato doskonalej wierzchowce. Stefcia uciekała jak najdalej od krwawych scen, lecz sprawiał jej przyjemność widok rozpedzonych jeźdźców i czerwonych kurtek dojeżdżaczy. Bawiły ją okrzyki i trąby, drażniły zajadłe śmigające charty, niby wazkie pstre tasiemki. I jej oczy biegły za smukłą sylwetką ordynata. Podobał jej się sposób polowania Waldemara, widziała w tem pewną estetyczną doskonałość w połączeniu z dzielnością. Harcując po polach, spostrzegła pędzącą naprzeciw pannę Szeliżankę. Gdy Buckingham w pędzie zrównał się z Eratą, młoda panna krzyknęła głośno:

— Na bok! Hala... li!!...

Stefcia podniosła w górę pejcz.

— Halali! — powtórzyła okrzyk.

— Proszę za mną! — usłyszała jeszcze.

Pomknęła żywo za Ritą rozbawiona, aż jej oczy żarzyły się, jak iskry. Nagle usłyszała rozdzierający wrzask zajaca. Skreśliła klacz na miejscu. Zacisnęła usta, brwi ściągnął kurcz bólu. Za delikatną miała naturę, zbyt wytworną na podobne odgłosy. Zwolniła biegu, jadąc tegim kłusem w stronę lasu.

— Nie mogę, cóż poradzę! — szepnęła do siebie zmartwiona.

Z boku zajeżdżał ją Waldemar. Apollo zarżał zalotnie. Erato odpowiedziała z wdziękiem. Konie się zrównały.

— Dlaczego nie dotrzymała pani placu pannie Ricie? — zapytał, hamując konia.

— Nie mogłam, zlekłam się wrzasku zajaca. Widzi pan, jaka ze mnie niezdara — odparła trochę zawstydzona.

Ale jemu oczy błysnęły.

— To dobrze, niech pani będzie sobą, tak najlepiej! Jest pani, jak biały kwiat, rzucony między krwiożercze zwierzęta. My tu wszyscy przy pani wyglądamy jak szakale.

Stefcia zaśmiała się.

— No, nie wszyscy. Pan naprzykład.

— Ja? Morduję nie w ten, to w inny sposób. Ale uchylam czoła przed instynktami pani.

Przeagalopowała obok nich panna Barska, rozogniona, z rozwianemi włosami, istna królewna burzy. Za nią pędził Zaniecki.

— Halali!- hop hop! — krzyczała hrabianka, nie widząc Stefci i ordynata. Oczy miała utkwione w charty, pędzące przed koniem. Już dosięgały zająca.

Waldemar popatrzał na nią z uśmiechem.

— W swym żywiole — rzekł z lekką ironją.

Stefcia nic nie odpowiedziała, klepiąc wygiętą szyję Erato. W milczeniu odjechali dalej, a gdy konie ich rozniosły, nie zawrócili już, tylko oczy obojga goniły za sobą.

W parę dni potem po rannej obławie na wilki, w której brały udział panie, zamek głębowicki zalegała głucha cisza. Polowanie odbyło się o wschodzie słońca, o dwunastej powrót, a po krótkim śniadaniu każdy zamknął się u siebie dla wypoczynku. Słońce oświecało pusty park, tarasy i uliczki wśród kwiatów, jakby zdziwione ciszą niebywałą oddawna.

Ordynat nie spał. Odbył długą naradę z łowczym i koniuszym, wydał nowe polecenia, odwiedził stajnię, fabrykę i, powróciwszy do zamku, wałęsał się po nim trochę znudzony.

— Dobrze są obławy ranne, ale nudne te siesty — pomyślał.

Na drugim piętrze, w ogromnym sklepionym korytarzu, przeszedł się kilka razy, patrząc na staroświeckie obrazy i posągi, poustawiane w niszach. Nagle zatrzymał się. Jeden duży obraz, już zblakły ze starości, przedstawiał jakąś scenę religijną. Z boku stała odwrócona profilem Marja Magdalena. W niebieskiej opończy z przewiniętym dookoła szyi białym welonem miała rozpuszczone długie włosy i śliczne rzeźbione rysy. Oczy pełne wyrazu ocieniały bujne, ciemne rzęsy i regularne łuki brwi. Cała postać miała w sobie dużo powagi, lecz i ślicznej zalotności. Waldemar patrzył długo i usta drgnęły mu nerwowo.

— Stefcia... — wyszeptał.

A po chwili znowu:

— Bajecznie do niej podobna. Ten sam typ.

Przetarł dłonią czoło. Idąc dalej, myślał:

— Stefcia... Samo imię wchodzi mi do mózgu. Dziwne!...

Czuł, że w tym korytarzu postać Magdaleny będzie go przykuwała do siebie, postanowił wyjść. Zeszedł cicho ze schodów i w wielkim przedsionku, łączącym dwa piętra stanął zdumiony. Naprzeciw niego, również ze schodów schodziła Stefcia. Była w blado-niebieskiej flanelowej sukni z luźną bluzką, na ramionach miała zarzucony biały miękki szal, z pod którego wyglądały włosy spuszczonego warkocza. Przed chwilą widziana postać Magdaleny stanęła przed oczyma ordynata — podobieństwo stroju wzmocniło wrażenie. Rozradowany jej widokiem, patrzył na nią bez słowa, stojąc w miejscu. Stefcia zatrzymała się także. Rumieniec oblał jej jasną twarz.

— Pan nie śpi?

— O to samo chciałem panią zapytać.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

— A to zabawne! byłem pewna, że cały zamek chrapie. Chodzę już po nim dawno, nawet zbłądziłam i muszę się przyznać szczerze: nie wiem, gdzie jestem. Pan ukazał mi się, jak widmo. Pewno i ja zrobiłam podobne wrażenie? Miał pan minę zdziwioną.

Waldemar podszedł bliżej.

— Na mnie pani nie zrobiła wrażenia widma, ale widzenia. To różnica! Przed chwilą widziałem pani pseudo-portret. Pójdźmy, pokażę go pani.

Stefcia żywym ruchem podbiegła naprzód i... stanęła. Białą szal zaczęła zsuwać, zakrywając spuszczone warkocz. Wahala się czegoś.

Waldemar lekko dotknął jej ręki.

— Idziemy.

— A czy daleko?

— Już się pani boi? Czy odległości, czy mego towarzystwa?

Zapłoneła, biegnąc śmiało naprzód.

— Idziemy.

Waldemar, idąc za nią, myślał:

— Już cię teraz za nadto czczę, abyś się mnie obawiać miała.

W korytarzu stanęli przed obrazem.

Waldemar wskazał Stefci postać Magdaleny.

— Przed chwilą przyglądałem się jej, myśląc o pani... Ogromnie podobna. Trzebaż trafu, że bezpośrednio potem ujrzałem panią, nawet w podobnym stroju.

Stefcia szepnęła jakby do siebie:

— Czy ja jestem taka... ładna?...

Ordynat przysunął się bliżej i pochylił.

— Ładniejsza! boś żywa, a ta martwa... bo ta spłowieła, a pani... kwitnie.

Stefcia oddychała szybko, poruszona brzmieniem jego głosu. On mówił dalej:

— Ale Magdalena ma włosy puszczone swobodnie, a pani swoje zakrywa. Widzę panią w takim uczesaniu pierwszy raz.

— Nie spodziewałem się, że kogo spotkam — odrzekła dziewczyna zarumieniona.

— Ależ pani jest w tem prześlicznie! Pani powinna częściej tak chodzić. Kto ma lat dziewiętnaście, ten ma zupełne prawo do spuszczonego warkocza. Dlaczego pani tak nie nosi włosów?

— W domu nosiłam, ale tu... nieetykalnie — odrzekła z uśmiechem.

— Ach! dość tej etykiety!

— Pan jej nie lubi? A jednak to stały mieszkanięć tych murów.

— Wiem. Wprowadzony tu jeszcze w latach zamierzchłych, nie da się wykorzenić. Zresztą może to nadaje główny styl zamkowi.

Stefcia rozejrzała się.

— I tu nie byłam ani razu. Olbrzymi korytarz! To dziwne: takie wysokie sklepienia straszą mnie. W zamku pańskim pełno tego. Dokąd ten korytarz prowadzi?

— Do prawej wieży, gdzie jest kaplica. Chodźmy tam.

— Ale...

— Żadnego ale. Cały zamek w uśpieniu, jakby wymarł. Cóż pani będzie robiła sama? Do parku iść nie można, bo deszcz pada, chociaż słońce świeci. O! widzi pani?

Przez wysokie, wąskie okno w niszy wskazał jej błękitne niebo, splamione szaremi obłokami. Padał obfity, kroplisty deszcz, bijąc o szyby i spływając po nich strumieniami, jak lzy. Przyćmiony korytarz i to wąskie okno, zalane deszczem, w ciszy potężnych murów czyniło ponure wrażenie, trochę klasztorne i ciężkie. Mury te wydały się

Stefci klatką, ogromnym pomnikiem, przygniatającym wielką przeszłość ludzką. ale nie wesolą; skałą, z której wyfruwają młode orły, pełne życia, z szerokimi skrzydłami i silnym lotem, a wracają poranione, dźwigając kajdany, nałożone przez życie, jakby tradycję tych murów.

Dziwna ta myśl przejęła Stefcię grozą. Z pod zsuniętych brwi spojrzała ostro na Waldemara.

— Co pani myśli? — zapytał cicho — coś niemiłego?

Skinęła głową.

— Ten zamek, to skała, a pan — młody orzeł... i już pan wyfrunął z gniazda, prawda? — rzekła dziwnym głosem.

Patrzył na nią uważnie.

— Wyfrunąłem, ale wrócę.

Dziewczyna spuściła oczy.

— Wróci pan... słabszy.

— Przeciwnie silniejszy.

— I nie połamię pan skrzydeł?

— Będzie o nie walczył.

— I wróci pan bez kajdan?

— Może z berłem w szponach, z berłem szczęścia, które wydre światu.

Podniosła na niego ciemne źrenice. On patrzył na nią poważny, z fałdą na czole i odrobiną smutku w zagięciu ust.

Chwilę milczeli. Stefcia oparła się o mur i rzekła śmiało:

— Ma pan wolę i siłę hetmańską, ale czy to wystarczy?...

— Mam prócz tego nadzieję i ostre szpony, któremi w walce o swój byt duchowy potrafię rozkrwawić. Albo zginę, albo wydre światu owo berło i skończę Austerlitzem. Jestem dziki!

— Straszny! — rzekła Stefcia w zamyśleniu — ale takie natury zwyciężają, chociaż... po największych zwycięstwach następuje... Waterloo.

Brwi Waldemara ściągnęły się groźnie, w oczach zatlił ponury cień.

— Dziwnie mi pani dziś przepowiada. Moje Waterloo nastąpić może... nie jestem pyszny, ale wątpię, czy w otwartej walce z ludźmi. Chyba zgniecie mnie potęga, z jaką walka jest ponad siły ludzkie. Co jednak wpłynęło na tak smutne myśli u pani, wolno wiedzieć?

Stefcia wysunęła się na środek korytarza i, robiąc ręką ruch okrągły, jakby ogarniający cały zamek, powiedziała bez uśmiechu:

— Te mury i tradycja ich.

Pobiegła naprzód kilka kroków, poczem odwróciła się i zarumieniona wyciągnęła do Waldemara rękę:

— Jeśli zrobiłam panu przykrość, przepraszam.

Zatrzymał drobną jej dłoń w swojej i rzekł poważnie:

— Tradycja jest smutna, ale może ja będę orłem, który ją rozjaśni?...

— Daj Boże! pragnęłabym tego dla pana... Ale teraz... chodźmy już. Wielki czas.

Poszli oboje, poważni, zamyśleni.

W dolnym salonie stanęli w oszklonych drzwiach, prowadzących na mniejszy taras.

Deszcz padał ciągle, mimo, że z poza chmur wyglądało słońce. Grad wielkich kropli bił w marmurową posadzkę tarasu. Z twardych, błyszczących liści drzew pomarańczowych spadały perełki wody, lśniąc w słońcu, jak klejnoty.

Grupy drzew egzotycznych parkowych i kwiaty wyglądały przepysznie w dziwacznej mieszaninie deszczu z blaskami słońca. Miało to swą odrębną cechę dekoracyjną, jakby olbrzymi, niewidzialny wodotrysk skrapiał rośliny obfitą zawieją rosy. Waldemar otworzył drzwi i tuż koło Stefci padały duże krople wody, opryskując jej suknię. Dziewczyna wyciągnęła stuloną dłoń i napełniała ją wodą, wylewając potem na kwiaty.

— Mówią, że taki deszcz w słońcu, to błogosławieństwo Boże — zauważył Waldemar — więc pani zbiera błogosławieństwo w swe dłonie. Stefcia błysnęła uśmiechem.

— Zamoczy się pani, przejdźmy do czytelnicy, tu obok. Prosiła mnie pani wczoraj o Times. Tam są wszystkie pisma.

Stefcia strzepnęła ręce, dłoń wysuszyła chusteczką i weszła przed nim do małej czytelnicy, obok zielonego gabinetu Waldemara. Ordynat podał jej fotel, sam usiadł przy stole, zarzuconym gazetami.

— Zaraz tu znaję, czego pani żądała — rzekł, przerzucając papiery.

— Ach, prawda! w porę przypomniałam sobie — zawołała Stefcia.

— Czy pan już wysłał na pocztę?

— Już. Pocztowy odjechał rano, ale jeśli pani każe, pojedzie umyślny.

— Ależ nie. To jutro. Mam list. Chciałam go panu oddać, bo mogę znów jutro rano spać. Proszę, oto on.

Ordynat wziął list i, spojrzawszy nań uważnie, poruszył brwiami, wydymając lekko usta.

— Ładne, oryginalne pismo i koperta, ale bardzo szablonowy adres — rzekł trochę ironicznie. — Myślałem, że pani nie podlega ogólnej modzie, raczej epidemji adresowania w kraju po francusku. „Monsieur Stanislas Rudecki à Ruczajew“. To samo łatwo wyrazić po polsku, prawda?

Stefcia poczerwieniała.

— Daje mi pan dobrą naukę... i ma pan zupełną słuszość.

Uśmiechnął się.

— Uznaje pani to?

— O tak! pan dobrze nazwał epidemją: widzę u innych i bez zastanowienia robię to samo. Niech mnie pan nie posadza o chęć popisania się francuzczyzną.

— Co znowu! wiem, że ją pani posiada wybornie. Ale język francuski u nas w kraju, to istna szarańcza, w wielu miejscach wypiera rodowity. Już nie mówię o powszechnie przyjętych adresach, nawet listach francuskich, ale niech pani zauważy, jakie ten język ma szerokie zastosowanie i to przeważnie w dziedzinach, w których obracają się panie. Niezbyt to pochlebne dla Polek. Większe firmy sklepowe, przybytki mody, piszą rachunki i adresy tylko po francusku, na drzwiach umieszczają „Entré“. Panie, a i niektórzy mężczyźni modlą się z książek francuskich, bo modlitwa po polsku jest dla nich zbyt ordynarna. Bilety wizytowe także francuskie. Dzieci, nie znając dobrze własnego języka, już trzepią po francusku. Znałem pewną dziewięcioletnią dziewczynkę, która, zapytana przez ojca, nad jaką rzeką leży Warszawa, krztusiła się: Vis... Vis... wreszcie wycedziła: Vistule. Poprosto nazwa Wisły nie mogła dziecku przejść przez gardło. Lucia była w ten sam sposób wychowana. Nigdzie pani tego nie zobaczy zagranicą, tam każdy szanuje swój rodzinny język i ceni go. Francuz nie napisze na

sklepie ani na etykiecie po polsku, choćby większość jego odbiorców była Polakami. Nie przeczę, że francuzczyzna jest nieodzowna, jak i inne języki europejskie, ale nie trzeba stosować ich w kraju na każdym kroku. One mają wszechświatowy byt zapewniony, nasz tylko u nas i jeszcze go wypędzamy. Jaki to wstyd! Śmieją się z nas obcokrajowcy, bo oni podobnego grzechu nie znają i tej dzikiej mody dawania pierwszeństwa obcym. To wyłącznie nasza cecha.

Stefcia patrzyła na niego z wdzięcznością. Rzekła porywczo:

— Zawstydził mnie pan, ale nauczył. Teraz już nigdy języka francuskiego używać nie będę bez wyraźnej potrzeby.

Zajrzał wesoło w jej oczy.

— Doprawdy? Bardzo jestem rad. Niech pani przedewszystkiem będzie Polką i patriotką, a nigdy taką światową kobietą, która dla mody usuwa ojczysty język ze swego słownika. Rozumiem posługiwanie się obcą gwarą w razach koniecznych, przy służbie, lub w pewnych przysłowiach. Ale mieć ją często albo stale w ustach, to bluźnierstwo. Więc pani obiecuje poprawę? To już bardzo wiele. Mam nadzieję, że wyrzeknie się pani zupełnie zamiłowań hrabianek Ćwileckich, Barskich, wszystkich Trestków, Weyherów i tak dalej. Z naszych pań panna Rita jest najwięcej Polką.

— I to pewno stała się nią pod wpływem pana — wyrwało się Stefcii. Ordynat uśmiechnął się.

— Może być. Zreszta wszyscy oni strasznie egzotyczni. Ale na nich już rady niema: nazbyt czczą zagranicznych bożków, aby mogli się oduczyć od składania im hołdów.

W bocznym korytarzu rozległy się kroki lokaja.

Stefcia powstała.

— Pani już odchodzi?

Podniosła ramiona, jak ptak skrzydła do odlotu.

— Uciekam, już pewno wszyscy wstali.

— Szkoda! tak nam było dobrze razem. Zabiera pani list?

— Zmienię adres. Jużbym go teraz wysłać takim nie mogła.

Waldemar skinął jej ręką.

— Z pani mam prawdziwą pociechę. Dobrze i... śliczne „dzdzi“.

— Już pan zaczyna.

— No, już nie! Do widzenia! Oto żądany dziennik. Zaraz obiad.

— Długo siedzieliśmy — rzekła Stefcia już w progu.

— Żałuje pani tych chwil?

— Żałuje, że minęły.

Uśmiechnęli się do siebie raz jeszcze i dziewczyna znikła w bocznym salonie.

Waldemar ścisnął dłońmi skronie. Szybko chodził kilka minut wzdłuż salonu.

— Ja szaleję! — zawołał rzucając się na fotel.

XXXVIII.

Nazajutrz polowano w zwierzyńcu na bażanty. Zabito ich spora liczbę. Wieczorem obiad był zastawiony na przystani zwierzynieckiej. Stojący pośrodku duży posąg Djany—łowczyni z białego marmuru otaczały stoły w podkowie pod baldachimem z żaglowego płótna i festonów dębowych, przystrojone w inicjały myśliwskie. Na słupach, okręconych

wieńcami, porozwieszano strzelby i trąby. Orkiestra grała na łodziach. Po toastach szeregi gajowych, przybranych w szare kurtki z zielonym i w błyszczące blachy, dawały salwy ze strzelb. Przy stołach obsługiwała straż zwierzyniecka w galowych uniformach. Kierował nią stary marszałek dworu i kamerdyner Andrzej, stojący za krzesłem ordynata. Rzeka iluminowana płynęła krwawą falą, odbijając w sobie porozkładane na brzegach ogniska i lampy na przystaniach.

W oddali na ciemnej rzece błyszczwały jak gwiazdy, pojedyncze światelka, ognistą wstążką okalając park i zwierzyniec. Łodzie z muzyką, iluminowane rzeźbiąc, cicho sunęły po czarnej fali. Z najwyższej wieżycy zamkowej wielka lampa elektryczna ciskała snopy światła, jak nasiąknięte srebrem słońce. Przy stole panowie i panie pozostali w strojach myśliwskich. Stefcia w kostjumie z ciemno-malinowego sukna i w miękkim białym kapelusiku tyrolskim. Obie z Lucią miały zgrabne flowery i ładowniczki, ofiarowane im przez pana Macieja. Stefcia była trochę jak zgaszona: drażnił ją impertynencki hrabia i przykry wzrok hrabianki. Waldemar ją krępował, serce jej biło dziwną obawą, gdy podchodził. Ordynat odgadł jej niepokój, a przeczuwając, że on jest powodem, unikał jej dyskretnie.

Ale inni mężczyźni pochłaniali ją wzrokiem, podobała się ogólnie. Dwóch młodych hrabiów szeptało z sobą:

— Czy to możliwe, aby ordynat pozostawił ją „na boku“? Za ładna jest... Musi tam coś być — mówił jeden.

— Traktuje ją, jak księżniczkę — dodawał drugi.

— To pozór: dba o jej opinię, by mu jej nie odebrano.

— Ale można mu zazdrościć. On się w czepku rodził, zawsze i wszędzie znajduje gwiazdy.

Rozmowy takie prowadzono z bardzo wielką ostrożnością, zmuszał do tego zupełnie towarzyski stosunek względem Stefcii osób, z którymi trzeba było się liczyć. Młody Michorowski, nazbyt sprytny, odczuwał wszystko i z daleka, lecz stale otaczał Stefcie opieką. Czynił to zrezygnownie, nikt nie domyślał się prawdy. Jedna panna Szeliżanka rozumiała jego grę. Znajac Waldemara od bardzo dawna, nie zauważyła nigdy, aby się kim tak zajmował i tyle okazywał szacunku, nawet czci. Chwilami, gdy patrzył na Stefcie, Rita dostrzegła w jego oczach iskry i te ją niepokoiły. Młody magnat stał się dla niej zagadką, Stefcia dziwem. Ale spostrzeżenie swoje zachowywała dla siebie, nie dzieląc się z nikim, jedynie z Trestką.

Ta para, mimo ustawicznych kłótni, nie traciła do siebie ufności.

W czasie polowania panna Rita spytała swego adoratora:

— Panie, czy pan się tylko bawi, czy trochę obserwuje?...

— Dlaczego się pani o to pyta?

— No... tak sobie. Czy pan nic nie uważa?

— O! nawet bardzo wiele. Uważam, że osoby, które chcą być wyższe, są poniżone.

— Cóż to za styl biblijny!

— I dalej, że osoby, które nie pną się na wyżyny, mają je.

— Brawo! pan mówi o Barskiej i Rudeckiej. Tak?

— Oczywiście! Druga, nawet nie wiedząc o tem, djabło prędko teci na szczyty, pierwsza zaś... à bas le roi!...

— Tak, jej rola tu nie ciekawa. Ostatecznie widzi wszystko, bo w takich razach wzrok, słuch, instynkt niesłuchanie potęgują się. A tu

nawet i tego wszystkiego nie trzeba, by dojrzeć credo ordynata. Chyba każdy lepszy obserwator zauważy to, nawet zwykły widz — cóż dopiero mówić o osobach interesowanych. Praktykanci i administracja ordynata, albo służba... uważał pan?

Administracja już składa jej cichy hołd, a służba skacze koło niej, jak koło pani tego zamku. To impuls, wywołany taktyką ordynata. Sam obecnie trzyma się dyskretnie na uboczu.

Panna Szeliżanka pokręciła głową.

— Ktoby chciał wierzyć w owo „na uboczu“, mógłby na tem bardzo źle wyjść. Ordynat czuwa niewidocznie, lecz otacza ją nimbem swej opieki. Wie o tem każdy, nawet Barski. Chciałby ją steroryzować swą wielkością, ale czuje miecz Damoklesa w postaci ordynata. Raz jeden, kiedy ordynat był w szorowni, a ona w sali stajennej, Barski coś do niej mówił. Nie dowiedziałem się co, ale napewno jej ubliżył: zauważyłem jej wzburzenie. Musiała mu też dobrze odpowiedzieć. Jest ona ~~po~~ wieloma względami gołębicą, ale potrafi być i sokolicą. Nie daje powodu do impertynencji i... nie pozwoli na nią nikomu.

— O! to orlątko! — rzekł Trestka. — Ale czy ona sama jest au courant własnego powodzenia, czy odczuwa hołdy?

— Z pewnością! — odrzekła Rita. — Ona jest inteligentna, wrażliwa i sprytna, ona w lot chwyta wszystko, ale ma takt godny salonów. Po niej każda intryga może się ześliznąć, jak ślina po kryształach.

Trestka zawołał z ożywieniem:

— Fenomenalne połączenie! Takt i ognisty temperament. W niej się to bajecznie kojarzy. Może to stanowi ów czar, który ją otacza, jak perfumy? Ale, czy wiedząc o względach ordynata, odpląca mu tem samem — trudno odgadnąć.

Panna Rita oburzyła się.

— Ach panie! czyż może być inaczej?... Być przez niego tak czczone, jak ona, i nie szaleć?... To niemożliwe.

Trestka wielkie oczy krótkowidza zatrzymał na twarzy mówiącej. Machnął ręką i rzekł apatycznie:

— Prawda! zapomniałem, że to mowa o Michorowskim... Za nim trzeba szaleć. Słyszę to co godzinę, mam dowody i jeszcze wątpliwie. Zaiste zaczynam idjociec.

— Istotnie! — rzuciła prędko panna Szeliżanka i poszła dalej.

Było więcej osób, prócz Trestki i Rity, widzących wszystko. Niepokoił się pan Maciej. Panią Idalgę drażniło to ze względu na hrabiankę, Melanja nie ukrywała zazdrości... Upragniona partja wymykała się jej bez nadziei... nie pozostawało nic więcej, jak zrećźnie udawać obojętność. Ale panna Barska czuła się obrażoną, więc poczawszy od Waldemara, skończywszy na jej panie służącej, każdy słyszał zgrzytanie i znał powód.

Hrabianka na polowaniu w zwierzyńcu ujrzała scenę, która ją przybiła zupełnie. W bażantarni Stefci zaciął się flower. Nie mogąc go naprawić, podeszła do jednego z podłowczych. Nagle, jak z pod ziemi, wyrósł przy niej sam łowczy Urbański, który wtedy rozmawiał z Barskim. Przeprosił hrabiego i prędko podszedł do niej. Z nadzwyczajnem uszanowaniem zaczął jej naprawiać broń. W tej chwili nadszedł drugi oddział służby zwierzyńckiej. Na widok Stefci skłonili się nisko i jak-

by niechcący stanęli w dwa szeregi. Na końcu tego szpaleru była o z łowczym. Gdy flower został naprawiony, Stefcia wdzięcznie skinęła głową łowczemu i spojrzała przed siebie. Zdziwiła się trochę, lecz nie widząc innej drogi, zarzuciła flower na ramię i szła swobodnie między szeregami strzelców, którzy przed nią pochylali głowy. Odpowiadając na ich ukłony z pełnym wdzięku uśmiechem, i, choć już zmieszana, dążyła na stanowisko z godnością księżniczki, oswojonej z hołdami. Za nią szedł Urbański i odprowadził na miejsce.

Hrabia Barski zaklął zły, niemal wściekły. Córka jego zakipiała z gniewu, musiała jednak podziwiać Stefcię. Tak wdzięcznego i pełnego taktu przejścia wśród kłaniającej się służby, mogła jej pozazdrościć nawet większa magnatka. Hrabianka gryzła wargi, palce wpijała w żelazną swej strzelby z głuchą zawiścią.

— Oni ją tu honorują, jak... narzeczoną jego — myślała.

Ordynat stał oddalony wśród sosen i niewidzialny śledził całą scenę. Gdy Stefcia doszła do miejsca, szepnął do siebie z uśmiechem:

— Zuchy moje chłopcy! wiedzą, jak trawa rośnie. A ona... wspinała! — dodał.

I dumnie wzniosł czoło do góry.

XXXIX.

Połowania, zabawy, turnieje konne trwały dziesięć dni. Wielki bal w kostjumowy, oddawna będący w programie, zakończył sezon gębowicki. Biała sala balowa w zamku, podtrzymywana przez marmurowe filary owinięte błuszczem, tonęła w świetle lamp elektrycznych, w blasku kryształowych żyrandoli, w masie kwiatów i zieleni. Sala pomieściła miejscowe towarzystwo i mnóstwo osób przyjezdnych. Kostjумы były klasyczne i oryginalne. Wyróżniała się hrabina Wizembergowa w symbolicznym *ubiorze burzy*. Fantastyczną, perłowo-szafirową materiją ciężkiej powłóczystej sukni ozdabiały pęki z gazy w odcieniach kłębiastych i szaro-białe, — wszystkie łączyły się z sobą bardzo harmonijnie. Na gazowych chmurach złociły się ogniste gzygzaki piorunów ze złotych blaszek. Błyskawice udawały wszywane w gazę kawałki materji, usiane drobnymi brylantami. Taki sam sznur roziskrzony, ale z wielkimi brylantów, otaczał szyję. Ramioną owijały złote węże z kamieniami. Od krótkich rękawów spływał bujny, roztargany pęk traw, tak lekkich, że od ruchu ramion wiewał nieustannie, jakby szarpany wichrem. Czarne ciężkie włosy hrabina miała rozpuszczone; na głowie piętrzył się ciemny obłok fioletowej gazy, przesyty złotym piorunem z wielkim brylantem na końcu. Z pod obłoku spływały wiotkie, długie rozwiane trawy. W ręku hrabina miała wachlarz ze złotych blaszek i brylantów, oraz złotą laseczkę, zakończoną piorunowym gzygzakiem z brylantów. Laseczka posiadała w osadzie małą pękawkę, która za przyciśnięciem wydawała suchy trzask. Kostjum był artystyczny i niezwykły, zastosowany do klasycznej, lecz groźnej piękności hrabiny. Rozwiane trawy, udające do złudzenia miotanie wiatrów, i nagłe błyski brylantów czyniły kostjum niesłychanie efektownym. Hrabianka Melanja, przebrana za bogatą izraelitkę, wyglądała również dobrze, w sukni ze złotej lamy, w białym welonie, podtrzymywanym na głowie przez wysoki diadem, szyty perłami.

łami. Tworzyło to wielce udatną całość z jej wschodnią urodą. Panna Rita przemieniła się w Katarzynę Howard, Lucia we włoską kwiaciarkę. Stefcia była damą z czasów dyrektorjatu, w różowej powłoczystej sukni z lekkiej wełny, z jedwabną szarfą i w czarnym kapeluszu z wielkimi strusimi piórami. Włosy miała zaczesane wytwornie: bujna fala loków spływała na jej plecy. Szyję ozdobiła sznurkiem pereł dosyć cennych. W tym stroju, z wachlarzem z czarnych strusich piór, pękami różowych kamelji przy gorsie i we włosach, była poważniejszą, niż zwykle, ale tak ładną i dystygowaną, że więcej biegło oczu męskich za nią, niż za wspaniałą żydówką. Waldemar i większość panów nie mieli kostjumów.

Tańce szły z wielkiem ożywieniem. Dwie orkiestry zmieniały się z sobą. Bał ten miał już odmienny styl, niż podczas wystawy. Składała się na to przepyszna sala, dobór towarzystwa, bogate stroje i duch inny, niż na balu publicznym. Ramy magnackiego zamku różniły się od hotelowych. Tu ordynat występował w roli gospodarza zabawy i właściciela.

W czasie figury mazurowej do młodego Michorowskiego podbiegł Brochwicz, trzymając pod rękę hrabiankę Melanję i Stefcie.

— Elektryczność i ogień au naturel! — zawołał.

— Wolę ogień. Elektryczności mam dosyć — odparł Waldemar.

Brochwicz oddał mu Stefcie.

Hrabianka zaśmiała się przykrym, szyderczym śmiechem.

— Les extrêmes se touchent! — rzuciła z ironją.

Ordynat tańczył mazura klasycznie, z dystynkcją i junakierją zarazem, Stefcia płynęła: wyglądali niestychanie. W tańcu spoglądał jej często w oczy. Ona swych nie spuszczała. W zawrotach przygarniał ją silnie, lecz bez zapалу. Jego taniec, pomimo zręczności i zuchwałej brawury, układał się jednak trochę posagowo, co nadawało mu wyłączny wyraz. Twarz miał prawie poważną, Stefcia, pomimo zorzy w oczach — zamyślona. Oboje byli szlachetni w ruchach. Wiał od nich urok. Musiano ich podziwiać.

— Cette fille a l'air d'une princesse! — zmełła w zębach hrabianka Melanja.

Brochwicz dosłyszał.

— Tak, pod tą parą napisałbym — l'état c'est moi — rzekł z zapalem.

Hrabianka rzucił mu wyzywające spojrzenie.

Na boku, pod filarem stał pan Maciej. Oczy jego ściagały tańczących z uporem, ale bez przyjemności. Przeciwnie, zsunięte brwi starca wyrażały grozę, oczy świeciły ponuro. Widywał tańczącego wnuka, lecz jakoś inaczej. Mazur z tą dziewczyną przeistaczał go. On, niewielki zwolennik tańca, teraz wkładał weń całą duszę, patrząc na Stefcie, nie widział nic już więcej. Albo ta Stefcia?... Pana Macieja ogarniał niepokój. Jak ona dziś wygląda? Ta różowa dama z czasów dyrektorjatu, z wytwornym wdziękiem podnosząca do ust wachlarz, z uroczą powagą płynie przez salę, jak księżniczka. Pan Maciej nie poznaje codziennej Stefcie, w skromnych sukniach, wesolej, nieraz rozbawionej, jak dziecko, albo z tęskną myślą na świeżej twarzy. Co ją dziś czyni poważniejszą?... Zawsze jest zręczną, lekka jak powiew, zawsze delikatna, pełna powabu i uroku. Ale ten majestat, wykwintna dystynkcja, zdobiąca ją dzisiaj, uderza starca. Patrzy na nią, patrzy i przypomina chwile, zasnutę mgły odległych lat: przymyka oczy, słucha, jak serce bije mocno z grozy,

poruszone wspomnieniami, i nagle z piersi jego wydobywa się jęklivy starczy głos:

— Ona... zupełnie ona... Skąd to podobieństwo?... Co to jest?...

A po chwili znowu prawie z przerażeniem:

— Imię, uroda, wiek, czar — wszystko jak u tamtej... Boże!...

Starzec stoi, jak przykuty, i śledząc różową postać, coraz nowe odkrywa podobieństwa i rani swą zdrętwiałą duszę.

— Ten sam charakter, usposobienie... te same ruchy i głos... Czy to ona w odrodzeniu?

Zadrzał na całym ciele.

— Czy i przeznaczenie takie same?... Jakieś fatum naszej rodziny... Boże, zmiłuj się!

Pan Maciej był silnie zdenerwowany, unikał wnuka, nawet jego wzroku.

Po skończonym mazurze, ogród zimowy, zamkowa oranżerja i palmiarnia, przytykająca do sali balowej, napełniły się strojnemi postaciami pań i panów. Inni przechadzali się po ogromnej, pysznie urządzonej halli, będącej dopełnieniem białej sali. Stąd wchodziło się na żelazną rzeźbioną galerję zimowego ogrodu, biegnącą dokoła szklanych ścian z widokiem na całe urządzenie wewnętrzne.

W spacerowej halli zwracały uwagę płaskorzeźby sufitu, przedstawiające walki i pochody wojskowe z szeregami jeźdźców na koniach. Cała halla miała ton niebieski i nadzwyczaj cenną wenecką posadzkę mozaikową.

Wszędzie bawiono się wesoło. Wachlarze powiewały wolno, gorączkowo i namiętnie. Rozlegały się głośnie rozmowy i ciche szepty pojedynczych par. Elektryczne lampki, nieznacznie poumieszczone wśród palm i kwiatów, łogadnemi błyskami pełzały po obnażonych ramionach, kładły w oczy melancholijne cienie.

Waldemar usiłował spotkać Stefcię, ale mu ciągle ktoś w drogę wchodził. Sam zresztą miał zbyt wielkie powodzenie. Po długich poszukiwaniach odkrył jej różową suknię za grupą drzew palmowych, usłyszał jej wesoły, młody głos i stanął, chcąc się przekonać, z kim rozmawia. Obok niej ujrzał Trestkę, nieco dalej pannę Ritę w towarzystwie miejscowego lekarza z Głębowicz. Trestka miał minę bardzo zajęta, dowodził coś z ożywieniem. Waldemar, zaciekawiony, zbliżył się.

— O czym oni mówią?

— Widzi pani, — rozprawiał Trestka — ja jestem szczery: zmieniła się pani na awantaż. Nie powiem, żeby pani wypiękniała, gdyż i dawniej nic pani nie brakowało, ale jakaś zmiana jest — i to nasza zasługa.

— A to jakim sposobem?

— Miała pani rasę, ale trochę tremy, co psuło efekt. Nie mogła się pani zorientować w nowych ramach.

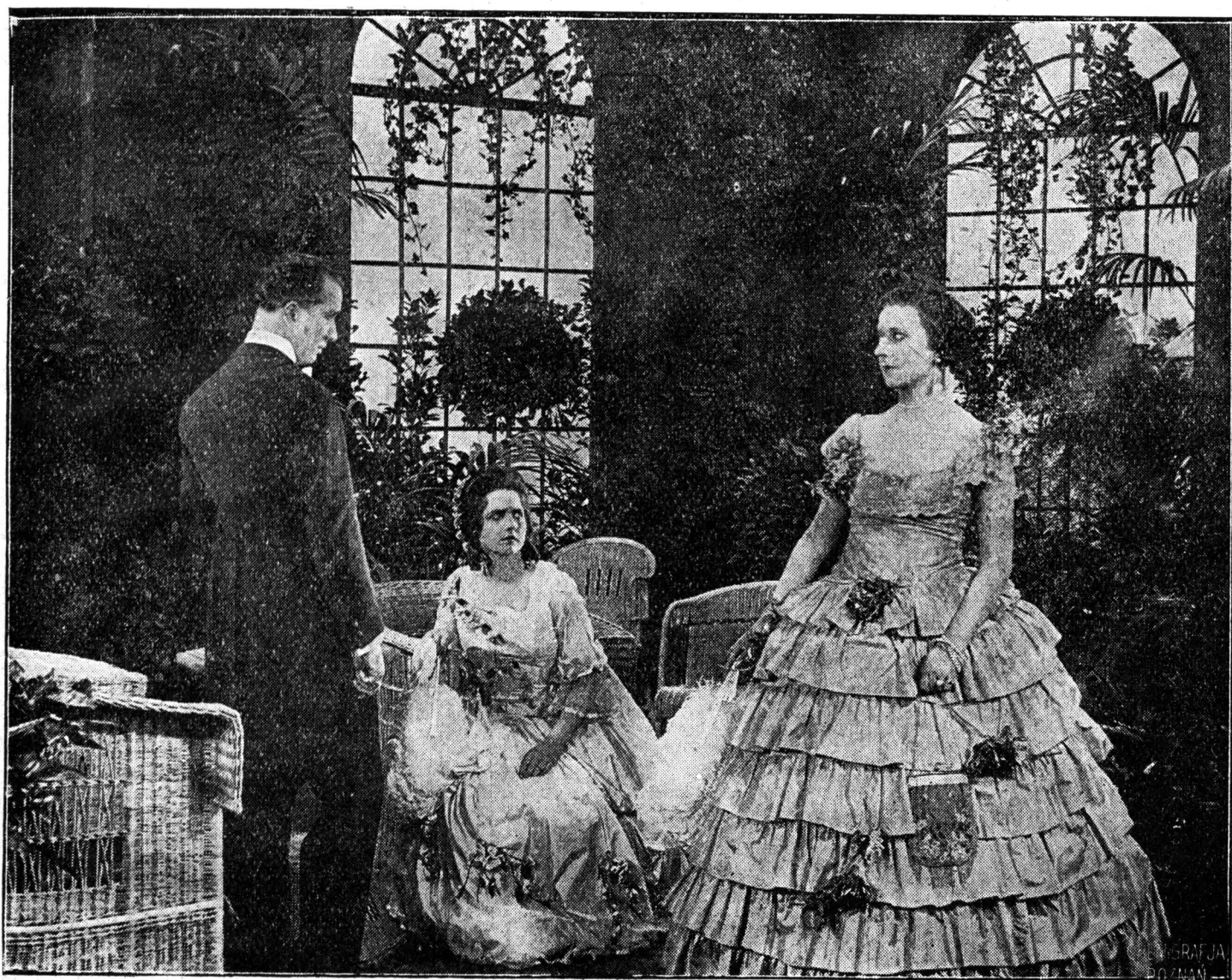
— Czyli, że teraz zmieniłam się na lepsze?

— Ba! i jak jeszcze. W tym stroju jest pani zachwycająca. Wyobrażam sobie Napoleona na mojem miejscu.

Stefcia parsknęła śmiechem.

— Skąd panu znowu Napoleon przyszedł na myśl? Czy z powodu mego kostjumu? Nie przypominam chyba Józefiny Beauharnais.

— Strasznie pani cnotliwa, skoro widzi Napoleona tylko przy Józefinie.



Tu ordynat występował w roli gospodarza zabawy i właściciela. str. 223.

— Więc może do Marji Ludwiki jestem podobna?

— Ach, co znowu! to była glista, nie kobieta.

Stefcia zaśmiała się.

— Wyborny pan jest! Jakże można robić takie porównanie?

— W każdym razie moje jest mniej potworne, niż zestawienie pani z Marją Ludwiką.

— Ach! ma się to uważać za komplement i podziękować? Tego musi się pan wyrzec, bo nie dziękuję nigdy za komplementy.

— Ale je pani lubi, co to gadać! Odemnie one nie robią wrażenia.
Gdyby tak Napoleon...

— O! niech już pan nie nudzi tym Napoleonem. Czy on mówił komplementy?

— Jemu mówili.

— W każdym razie nie kobiety.

— A jej! najwięcej! On miał szaloną wene, na tuziny liczył wielbicielki! Chce pani, to je wymienię, bo widzę, że pani słaba jest w epoce napoleońskiej.

— Dziękuję, znam ją dokładnie.

— Czy i ze szczegółami?...

— Zdaje mi się.

— No więc egzamin: które wielbiciele były z nim pod Trafalgar, które nad Berezyną, a które w wąwozach Somosierra, — bo on i tam flirtował.

— Niech pan sam na to odpowie i postawi sobie piątkę, a już z góry wołam brawo!

— I bis?

— Nie, i zapuszczam kurtynę.

— To rzekłszy, Stefcia frunęła w drugą stronę palmiarni.

— Dowcipna i umie się bronić — mruknął Trestka.

Dziś Stefcię napastowano ze wszystkich stron. Zaledwo odeszła od Trestki, gdy spotkała się z monoklem swego adoratora z wystawy. Chciała go minąć, lecz posunął się do niej żywo, uprzedzając Walde-mara.

— Panno Stefanjo, pani mnie dziś tyranizuje. Nie otrzymałem ani jednego lepszego słówka, a z tańców tylko ten nędzny walc.

— O! panie hrabio, powinno to panu wystarczyć.

— Merci! wygląda pani, jak królowa, ale dla swych poddanych jest pani bezlitośna.

— Doprawdy? Kogóż to pan uważa za mych poddanych?

— Siebie przedewszystkiem.

— Radzę panu przejść pod inne berło. Będzie to korzystniej dla stron obu.

— Jestem rojalista, przywiązany do dynastji.

— Ależ, hrabio, ja przedstawiam republikę dzisiejszym strojem.

— To nic. Mimo to władza pani berłem. Ale ja nie mam szansy. Szczególnie ta palmiarnia... Ciągle mi się pani kryje.

— Cudowne palmy!

— Jak wszystko w Głębowiczach. Panie nawet ordynata nazywają cudownym.

— Pan się na to nie zgadza?

— A pani?...

Stefcia się zająknęła.

— Ordynat jest zastosowany do swego otoczenia — odrzekła prędko.

— To znaczy cudowny.

— Och nie! Lubię cudowne rzeczy, ale cudownych ludzi nie znoszę.

— To wiele mówi! Przytem jest pani sama z sobą w niezgodzie.

Stefcia złożyła mu dworski, powłóczysty ukłon.

— Monsieur! je suis enchantée.

Zaśmiała się i znikła.

Hrabia ruszył wytrwale za nią.

Waldemar słysząc wszystko, przeciągnął rękę po czole.

— Jak ona potrafi się zbywać i jak sobie z nich nic nie robi — szepnął zadowolony.

Postanowił zbliżyć się do niej sam.

Siedziała na marmurowej ławeczce z księżniczką Lilą Podhorecką w otoczeniu kilku panien i panów. Gdy Waldemar podszedł, Stefcia zwróciła się do niego:

— Panie Michorowski, prosimy na kongres międzynarodowy. Jest tu dosyć narodowości w kostjumach. Jedni obstają za menuetem, a drudzy chcą jeszcze napawać się palmami.

— A pani do których należy?

— Ja zajmuję stanowisko pośrednie, bo menueta nie tańczę. Wybrano mię na arbitra.

— Zatem interwencja moja nie jest potrzebna?

— Ale do jakiego należy pan obozu?

— Ja jestem za menuetem. A większość głosów?

— Tak samo. Więc sprawa rozstrzygnięta.

Wdzięcznym ruchem uderzyła się wachlarzem w dłoń.

Wodzirej, młody książę Giersztorf, wybiegł na salę. Wkrótce zagrziała muzyka. Menuet popłynął melancholijną, dźwięczną nutą. Stefcia i Waldemar stali w drzwiach palmiarni pod wielkimi festonami róż i zieleni.

— A pan nie tańczy?

— Nie, pani.

— A jednak pan głosował za menuetem?

— Umyślnie. Wolę rozmawiać z panią.

Stefcia umilkła. Rozbawionemi oczyma ściagała barwny sznur wijących się par. Biała sala, ubrana w palmy i kwiaty; strojna we freski i wspaniałe złocenia, fantastyczne postacie, chylące się ku sobie w wytwornych ukłonach, sprawiały wrażenie z pierwszych lat stulecia.

— Tak musiały wyglądać bale w Sans Souci i Wersalu — rzekła Stefcia do ordynata.

— Tak, tylko brakuje peruk i koronkowych żabotów, no i pończoch.

— I muszek na twarzach pań oraz kokieterji — dodała Stefcia.

— Tej zawsze dosyć. Nawet i pani ma trochę kokieterji.

— Doprawdy?

— Ale u pani jest ona wyłączna. Kokieterja mimozy pociąga bezwiednie i nawet jest wybredna.

— Z czego pan to wnioskuje?

Michorowski z ładnym uśmiechem poruszył głową.

— Stawia pani dość śmiałe pytanie. Gdy zechcę być szczerym, muszę być zarozumiałym, a na to mi nie pozwala własna etyka.

Dziewczyna zmieszana się, ale odpowiedziała szczerze:

— Może i jestem wybredna, lecz... tam, gdzie przestać nie być, traci zwykłą odwagę i wówczas zapewne mam bardzo naiwną minę.

W oczach ordynata błysnął promień radosny.

Ogarnął ją pieśczośliwym wzrokiem.

— Nie naiwną, broń Boże! ale zakłopotaną — i to na panią rzuca dziwnie ładny refleks, wzruszający. To stanowi doskonały kontrast ze zwykłą pani wesołością i swadą. Trudno się domyślać, że jej wdzięczna zuchowatość może mieć takie chwile, jak obecna, i... śliczne.

Stefcia spojrzała na mówiącego. Po twarzy jej przebiegła jasna błyskawica rumieńca, charakterystyczna u niej, a zawsze czarująca Waldemara.

— Zdaje mi się, że pan...

— Wkracza w zarozumiałość? Sama mnie pani do tego upoważniła, niechcący naturalnie. Ja zaś pochlebiam sobie, że w oczach pani mam nieco więcej szans od hrabiego z monoklem, Wilusia i Trestki.

Stefcia uśmiechnęła się.

— Trzeba przyznać, że nie wybrał pan zbyt silnych przeciwników. Tu zarozumiałość pańska trochę błednie.

Waldemar skłonił głowę wytwornym ruchem. Był to rodzaj podziękowania.

Milczeli jakiś czas, poczem on rzekł znowu, wskazując tańczących:

— Niech pani zauważy entuzjazm niektórych pań. Menuet nazwałbym tańcem najseńniejszym, a jednak rozgrzewa. Dobry wynalazek! Często w tańcu odkrywa się temperament. Ale każdy widz zdaleka musi się dziwić, co tych ludzi tak podnieca.

— Tak. Lecz podobnego wrażenia może doznać człowiek nie tańczący, zatem nie amator. Gdy jest przeciwnie, widok tańczących musi porywać. Chciałabym jednak wiedzieć, jaki człowiek pierwszy raz zatańczył?

— Albo warjat w przystępie szału, albo jakiś bezmiernie zadowolony osobnik, może jaskiniowiec z epoki jurajskiej wykonał taki radosny odruch przy szczęśliwie zdobytej zwierzynie.

— Albo po zjedzeniu własnej żony, którą to biesiada zakończył miodowy miesiąc — odezwał się za nimi głos Trestki.

Stefcia i Waldemar zaśmiali się.

— Skąd pan wiedział o czym rozmawiamy?

Zapytany zrzucił binokle.

— Mam wyborny słuch, a że także nie tańczę menueta, bo mi działa na nerwy, więc podążyłem do państwa. Kwestja, postawiona przez pannę Stefanję, podobała mi się. Jeżeli mnie tu nie chcecie, to pójde sobie. Liczę jednak na waszą uprzejmość. Spójrzcie państwo na Barskiego: co za niesłychany wzrok skierował na nas. Uważacie?

Michorowski zmarszczył się.

— To także jaskiniowiec nowoczesny.

— Gdzie jest panna Rita? — zapytała Stefcia.

— Klaniają się sobie ze Żuinem i są zadowoleni.

— A pan nic na to.

— Cóż mam zrobić: w łeb sobie palnąć, czy powiesić się? — odparł krzykliwie.

— Nie, ale razem tańczyć.

— Ani myśle. To byłaby za wielka ofiara z mej strony.

Książę Giersztorf zakończył menueta. Pary rozsypały się. Wąchlarze poszły w ruch. Krótki odpoczynek i przy dźwiękach orkiestry długi barwny sznur ruszył do sali jadalnej, poprzedzany przez marszałka dworu. On umieszczał pary przy świetnych stołach. Była to już uczta pożegnalna — wszystkich na te myśli ogarniało wzruszenie.

Nazajutrz umyślnie sprowadzony fotograf zdejmował grupę towarzystwa w kostjumach. Stefcia stała w drugim szeregu, trochę z boku. Waldemar nadszedł, kiedy już grupę ustawiono. Stał za Stefcią. Przewyższał ją, ale musiał się nieco przesunąć w bok, gdyż jej duży kapelusz zasłaniał mu dół twarzy. Hrabianka w pierwszym rzędzie nie zauważyła tego. Rita, przeciwnie, szepnęła cichutko do Trestki:

— Pierwsze publiczne tête-à-tête.

Trestka skinął głową twierdząco.

Oprócz zbiorowej grupy, wszystkie panie zdejmowały się osobno, w kostjumach i w balowych strojach, Stefcia w swym kostjumie z czasów dyrektorjatu, a na prośby Luci — w codziennej szarej sukience i w koralach.

Była grupa myśliwska w zwierzyńcu, grupy na łodziach; zdejmowano konne kawalkady, partję tenisa i grę w bilard. Cały dzień zeszedł na zdjęciach. Niektórzy goście przed wieczorem wyjechali na kolej, inni mieli opuścić Głębowicze na drugi dzień rano. Odejeżdżające panie otrzymywały od ordynata bukiety, orkiestra grała na krużganku.

Ostatni wieczór zgromadził w sali jadalnej znacznie szczuplejsze towarzystwo i dziwnym trafem najsympatyczniejsze. Wyjechali Barscy i kilka osób ich pokroju. Zaraz inny duch powiał. Wyjazd hrabianki nie był triumfalnym. Dostała bardzo piękny bukiet, orkiestra grzmiała jak dla innych, wiozła ją wspaniała karetka i cztery siwe araby, ale hrabianka miała złość na twarzy. Spotkał ją zawód. Nie została narzeczona ordynata i żadnej nadziei mieć nie mogła. Najwięcej ją gniewała świadomość, kto jest winien jej porażce.

Hrabia jechał posepny, jak chmura. Wymarzona godność teściwa w Głębowiczach uciekła przed nim, w jej doścignięcie już nie wierzył. Miał głuchy żal do córki, wyrzucał jej obojętność dla ojca i dla własnego herbu, nie myśląc, że jej ambicja cierpi również dotkliwie, nawet więcej. Hrabia patrzył na pyszną urodę córki, przymykał oczy, haftował ją sobie na tle olbrzymiego posagu i dziewięciopalkowej korony z herbem na złotym polu. Ogarniało go zdumienie. „I to wszystko nie podziałało na ordynata? Ależ to idjota, głupiec!“ Ilekroć przed oczyma dumnego pana przesunęła się delikatna, wdzięczna postać Stefci, zaciśkał pięści.

Uspodobienie rozgoryczonej pary hrabiowskiej zdawało się rozsądzać karę. Ale ogiery arabskie pędziły do stacji kolejowej wyciągniętym kłusem, oddalając się od niewdzięcznych Głębowicz, co, jak złoty sen hrabianki, zachodziły w mgłę.

W zamku nie było smutno, lecz trochę odmiennie. Wszystkich ogarniał melancholijny spokój po gwarnych dniach. Chodzili po wązkich uliczkach zimowego ogrodu, zaglądali do winnicy, do ananasarni, do uroczej doliny róż.

Każdy myślał z żalem, że jutro trzeba opuścić zaczarowany zamek. I niejedno westchnienie wionęło, niejedne oczy szukały tego, który stanowiął oś minionych zabaw, środkowy punkt zamku.

Stefania nie wdychała, nie oglądała się za Waldemarem, cicha i milcząca. Doznawała dziwnych uczuć: że chce się stąd wyrwać i nie może, chce uciekać — coś ją trzyma, chce się bronić — coś woła na nią: „Zapóźno!” Było jej tak ciężko, jakby ten ogromny zamek walił się na nią. Przepychi, wspaniałość znowu zaczęły ją dławić. Żal niesłyszany rozrywał piersi łkaniem. Tłoczyły ją uczucia i paliły ogniem.

XL.

W parę dni potem odjeżdżali goście ze Słodkowic.

Księżna Podhorecka wyjechała wcześniej z synem, synową i Ktą.

Głębowicze były trochę smętne w tonie, jakby pierwsze dni października tak je nastroiły. Służba miała zgorzkniałe miny, lokaje włożyli się sennie. Choć czekał ich zasłużony odpoczynek, żalowali świetnych dni, obliczając zyski, mogące zadowolić najchciwszych.

Rządca Ostrożecki i dwaj praktykanci, schodząc z tarasu, ujrzeni naprzeciw siebie wstępującego na schody ordynata. Szedł z ciepłarni zamyślony, w ręce niósł pyszny bukiet żółtych róż. Panowie usunęli się grzecznie. Spójrztał na nich i uśmiechnął się przyjaźnie.

— Dokądże to panowie dążą?

— Tak, włoczmy się po zamku, wywołując minione echa — odrzekł jeden z praktykantów.

— Smutno będzie teraz w Głębowiczach, co?

— Zapewne... Rozbałamuciliśmy się trochę.

— Nie dziwię się wam, bo i ja jestem rozbałamucony. Nudniej mi teraz będzie samemu w Głębowiczach.

Skinął im grzecznie głową i wszedł na taras. Po chwili znikł. Ostrożecki rzekł półgłosem:

— Cóż panowie na to? Ordynat z bukietem róż, przyznający się do nudów w przyszłości... Osobliwość!...

Młody praktykant, hrabia L., włożył ręce w kieszenie marynarki.

— Wcale nie osobliwość. Bukiet dla panny Rudeckiej i nuda za nią, kwintesencja zaś tego: panna Rudecka przyszlą ordynatową.

— Sądziś pan? — zdziwił się Ostrożecki.

— Czy sądzę? Wierzę w to, jak w ewangelję. On przecie za nią szaleje, ślepy by doirzał. Z tego powodu Barski wścieka się, z tego powodu powodu hrabianka Melanja zachoruje na żółtaczkę, z tego powodu wreszcie wyniknie wiele krzyków, hałasów, bo arystokracja stanie deba, lecz rezultatem będzie Veni Creator. Ordynat inaczej nie dostanie Rudeckiej, a że jest wprost oszalały, więc u stóp ołtarza sprawa musi się zakończyć. Ona zaś takiej partji nie odrzuci, to pewno.

Ostrożecki zmarszczył się.

— Czy tylko ordynat naprawdę myśli o ołtarzu? Ostatecznie... to magnat z krwi i kości, choć wyjątkowy, ale zawsze feudalny, a że jest widocznie podniecony... To na nią działa i musi działać. Otacza ją królewskimi hołdami: to samo zdoła odurzyć pannę Rudecką, nie mówiąc o jego własnej osobie, która już, zdaje mi się, nie jest jej obojętną. Jego miliony zastawiają tu na nią sidła. Lecz jak się to skończy — nie wiadomo. Jeśli on ma względem niej zamiary mniej szlachetne... szkoda byłoby dziewczyny... To kwiatek za ładny, za świetny na zmarnowanie, nawet w takim przepychu.

Hrabia praktykant zaśmiał się.

— Dlaczego? Czy pan sądzi, że panna Rudecka nie może zostać płomieniem ordynata... bez żadnych sakramentalnych zastrzeżeń?..

— Szkodaby jej było!

— Bagatela! nie z takimi miał ordynat do czynienia i nie myślał o żadnych zobowiązaniach. Miałby się zastanawiać nad panną Rudecką? Jest ładna, wytworna, to tem lepiej, jest z temperamentem, to podnieca mocniej, a że jest cnotliwa — to zaostrza apetyt. Ordynat doskonale to rozumie

— Niech pan tak nie mówi. To byłaby nikczemność, do jakiej ordynat zdolnym nie jest. Panna Rudecka stoi towarzysko bardzo dobrze, w Słodowcach ma swoje fory, z czem ordynat musi się liczyć.

— Och, panie! to nie są skrupuły dla ordynata. Jego przeszłość dowodzi, że się lubował tylko w wytwornych i wyszukiwał je w wysokich sferach. Nieszlifowanych djamentów nie oceniał nigdy; to esteta! Ale bywały zawilsze sytuacje i zawsze potrafił wybrnąć zwycięsko. Nie zawahałby się i tu, lecz.. tu jest coś innego.. coś, co pachnie sakramentem. Panna Rudecka nie tylko rozplomienia ordynata, lecz włązi mu do mózgu.

— I wszyscy to rozumieją — dodał Ostrożęcki — nawet służba. To nie jest przelotna słabostka. Kwestja tylko, czy ordynat potrafi wytrwać do końca ! czy zdoła złamać przeszkody, jakie będzie stawiała jego zamiarom sfera, do której należy.

Rozległ się głuchy turkot kół i tupot koni przed podjazdem zamkowym.

— Odjeżdżają. Chodźmy tam — rzekł hrabia praktykant. Poszli spiesznie.

Stefcia stała w głównej sieni zamkowej przy schodach, już w płaszczu i w kapeluszu. Zapinała rękawiczki, bawiąc się z Pandurem. Lucia biegła po schodach, wołając matki.

Z bocznego korytarza wyszedł Waldemar, stanął obok Stefci i, wręczając jej bukiet, rzekł z powodu obecności służby po angielsku:

— Niech te kwiaty przypominają pani Głębowicze i pachną tam w jej pokoiku.

Stefcia splonęła. Patrząc serdecznie na niego, odpowiedziała:

— Dziękuję, o Głębowiczach nie zapomnę... bez pośrednictwa kwiatów.

Pocałował ją w rękę.

— One również zachowają pani obraz. Ukraszała je pani, teraz osieroca... Zostanę tu, jak pustelnik.

— Więc niech pan jedzie z nami.

Spojrzał na nią błyskawicznie. Iskierki zatliły mu się w oczach. Odwrócił się do zebranych lokai, wydając rozkaz:

— Niech osiadłają Apolla.

Młodszy pokojowiec wypadł na ganek. Jednocześnie ze schodów schodziła pani Idalja z Lucią i pan Maciej, prowadzony przez kamerdynera. Słyszeli rozkaz ordynata.

— Jedziesz z nami? — spytała go baronowa, patrząc na zaróżowioną Stefcię i żółte róże w jej ręku.

— Tak — odrzekł Waldemar — boję się tych pustych ścian. Nigdy nie wydadzą mi się bardziej smutne, jak teraz.

Poskoczył na schody i, usunawszy lokajów, łam ramię dziadkowi.

Nadszedł Ostrożecki z praktykantami, marszałek dworu i łowczy. W portyku pod filarami zebrali się lokaje i pokojowcy. W drzwiach stał kariuszy Badowicz. Orkiestra grała na krużganku ulubioną Stefci awerturę Suppego: „Chłop i poeta“. Pani Idalja i Lucia miały również ogromne bukiety kwiatów. Lando, wybite karmazynowym aksamitem, zaprzężone było w czwórke rosłych folblutów złotogniadej maści, z foryściami na koniach i z tyłu landa. Obok osiodłany Apollo wyrzucał niecierpliwie głową, piniąc się i bijąc kopytami w żwir podjazdu. Od portyku do bramy w arkadach stały dwa szeregi strzelców na koniach w strojach odświętnych, z Jurem na czele. Waldemar podsadził dziadka i panią Idalję do landa. Stefcia zajęła przednie siedzenie wraz z Lucią.

Ordynat wskoczył na konia.

— Powracam jutro — mówił, żegnając się z administracją.

Lando ruszyło. Szeregi strzelców pochyliły się, salutując odjeżdżających. Gdy lando wyjechało za pierwszą bramę, szeregi rozłamały się i, formując czwórki, pocwałowały w ślad za niem. Jur prowadził kolumnę. Z wieży zamkowej zagrzmiała fanfara na trąbach hucznie, trochę żałośnie. Był to wyjazd królewski, ale uradował tylko Lucię. Pani Idalja siedziała nadęta, pan Maciej smutnie zamyślony. Oboje odgadywali, że te parady i towarzystwo Waldemara nie jest dla nich, lecz dla Stefci. Pan Maciej unikał wzroku dziewczyny. Ona to odczuwała. Ciężar nieznośny gniół jej piersi, na twarz wystąpiła łuna. Waldemar jechał obok i także milczał. Stefcia widziała giętke nogi Apolla w energicznym rytmie tęgiego kłusa, widziała stopy Waldemara w wytwornych butach, z błyszczącymi ostrogami. Trochę nerwowo szarpał strzemieniem. Siodło i uzdeczki wydawały cichy skrzyp. Apollo gryzł wędzidło, plując pianą. Stefcia chciała spojrzeć wyżej, lecz bała się wzroku Waldemara, który czuła na sobie. Rozmowa nie szła, wszyscy mieli zważone miny, prawie w milczeniu dojechano do Słodkovic.

Przed wieczorem Stefcia, siedząc w bibliotece, zobaczyła przez okno młodego Michorowskiego. Spacerował w parku, automatycznie chodząc po alejach. Żółte liście spadały mu pod nogi. Błękitnawy dymek z cygara pływał, omotując sieć babiego lata, co jak srebrne włosy, unosiło się wśród drzew. Ordynat był głęboko zamyślony. Świadczyły o tem jego ruchy mniej elastyczne, niż zwykle, i ociężałość w całej postaci.

Stefcia wiedziała, że na drugi dzień Waldemar wyjeżdża do Głębowicz, a potem jedzie na polowanie do znakomitych domów w kraju, gdzie zabawi do zimy. Dziewczyna oderwać się nie mogła od okna. Tysiąc myśli wirowało w jej głowie, serce ścisnął bolesny kurcz — zapowiedź tęsknoty za nim. Śliczne oczy Stefci zaszyły łzami. Łkanie szarpnęło piersią.

Waldemar chodził ciągle.

— O czem on myśli? Czy o tem, co ja?..

I wielka, choć nieśmiała nadzieja spływała jej do duszy, rodząc niezmierną błogość. Dziewczyna przymknęła oczy, słuchała tętna własnych pulsów, słuchała biegów swych myśli — i one ją przerażały śmiałością. Na twarzy jej pojawił się radosny uśmiech, jak jutrzienka, lecz nikt natychmiast. Walka w niej trwała i zmagaly się moce, jakich nazwać nie potrafiła. Rozumiała siebie i... kryła sama się przed sobą.

A Waldemar w alei chodził wolno, szeleszcząc opadłym liściem, z natłokiem myśli w mózgu.

Nie dziwił się już, że bezmiary jego dawnych marzeń i ideałów przyoblekły się w ciało i stanęły przed nim tak uroczo... Zastanawiał się, czy ta rzeczywistość dla niego? czy sięgnie po nią? czy ją dostanie? I ten człowiek, zepsuty powodzeniem, szczęściem w życiu rozbałamucony, pytał teraz sam siebie:

— Czy ten czar dla mnie?...

Budziły się w nim nadzieje, pełne szczęścia i piękna. Postanowił trwać w nich jeszcze. Rwało go naprzód, ale przewyciężył się.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

